

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 8,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 52/405 21-28 GRUDNIA 2020

Demony naszej wolności
– wywiad z arcybiskupem
Markiem Jędraszewskim

Depisyzacja Polski
według Romana Giertycha

Niezwykła rozmowa
z Kają Godek

Karol Marks za pan brat
z diabłem

Donald Trump
– życie po prezydenturze



ŚLEDZTWO „DO RZECZY”

Kto się boi prawdy o św. Franciszku



Spokojnych **Świąt** **Bożego Narodzenia**

Bezpieczeństwa, zdrowia, pomyślności
na co dzień, od święta i przez cały Nowy Rok!

Życzy PZU





PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Prorocтва dla Zachodu

Ponad sto lat temu wielki brytyjski katolicki pisarz i publicysta, Hilaire Belloc, przestrzegał, że skutkiem upadku religii i rozwoju społeczeństwa kapitalistycznego może być na Zachodzie powrót do stanu niewolnictwa. Pisał: „Państwo kapitalistyczne generuje z siebie teorię kolektywistyczną, która w swoim działaniu wytwarza coś całkowicie różnego od kolektywizmu. A mianowicie Państwo Niewolnicze”. I z prawdziwą przenikliwością jasnowidza dodawał: „Przyszłość społeczeństwa industrialnego, a w szczególności społeczeństwa angielskiego, jeśli pozostawić ją jej własnemu biegowi, okaże się przyszłością, w której proletariatusi zagwarantowane zostaną dostatek i bezpieczeństwo, ale ceną tej gwarancji będzie wyrzeczenie się przez niego dawnej wolności politycznej i ustanowienie dla niego statusu realnie – choć nie nominalnie – niewolniczego”. Przewidywał, że możliwy jest czarny scenariusz, w którym to w zamian za bezpieczeństwo i zaspokojenie potrzeb ludzie pogodzą się z masową utratą wolności. Musi tak być – dowodził – w systemie, w którym zniknie chrześcijaństwo, a w szczególności Kościół katolicki, który był zawsze strażnikiem prawdziwej wolności i gwarantem istnienia triady: wiara-wolność-własność.

Przyjęcie wiary przez Europę oznaczało, że prawdziwym fundamentem społeczeństwa i prawa musiało być prawo Boże. To Bóg był gwarantem godności osoby ludzkiej. Mając nieśmiertelną duszę, każdy człowiek cieszył się niezwykłymi prawami. Było to przez wieki podstawą, oparciem, fundamentem dla wolności i własności, dla praw stanowiących. Usunięcie tego fundamentu, czego pierwszą próbą była reformacja, a potem rewolucja

francuska, pozostawia człowieka w stanie chaosu. W ten sposób – uważał brytyjski pisarz – tworzy się stopniowo przestrzeń dla niewoli. Dlaczego teraz wspominam Belloc'a? Ponieważ, obawiam się, główna jego intuicja okazała się trafna: w naszej epoce groźba państwa niewolniczego nie maleje, ale rośnie.

Żyjemy w systemie, w którym podstawowe potrzeby życia są zaspokojone praktycznie dla wszystkich. Dzięki skokowemu rozwojowi technologii ogólny poziom bogactwa systematycznie rośnie. Jednak dawna wiara systematycznie wypierana jest przez nową ideologię radykalnej emancypacji. Zamiast osoby ludzkiej, która swą wartość i godność czerpie z relacji do wiecznego Boga, pojawia się nienasycony konsument, jednostka, której wartość zależy tylko od dwóch czynników: poziomu konsumpcji i zdolności zaspokajania potrzeb. Człowiek nie został już, uważa się powszechnie, stworzony na obraz i podobieństwo Boże, nie został też odkupiony przez Chrystusa, jest co najwyżej wyższą formą gatunkową zwierzęcia. Osoba ludzka nie ma zatem ostatecznie w sobie nic bezwzględnego, nic niezbywalnego. W ostateczności zostaje ona podporządkowana wielkiemu procesowi powszechnego rozwoju i konsumpcji.

O ile państwo tradycyjne musiało uznawać pierwszeństwo dóbr ducha, o tyle państwo współczesne uznaje absolutny i jedyny prymat doczesności. Państwu nie udało się wyeliminować śmierci, ale skutecznie pozbywa się ono wiary w życie poza nią i, przede wszystkim, usuwa obraz sędziego. Dlatego w ateistycznej cywilizacji skrajnej doczesności państwo w ogóle rezygnuje z obrotu prawa naturalnego, Boga czy norm obiektywnych. Prawo ma służyć ochronie dobrego samopoczucia

spełniającego się „ja”, które może wciąż się zaspokajać i konsumować. Kiedy traci taką możliwość – czas i choroby wciąż nie zostały pokonane – państwo zapewnia mu (tak już dzieje się w społeczeństwach akceptujących eutanazję) wygodny sposób zniknięcia.

Państwo średniowieczne miało służyć i pomagać zbawieniu duszy obywateli, państwo współczesne interesuje tylko jedno: maksymalizacja konsumpcji i nieskrępowanego doznawania. Celem państwa klasycznego – czy to starożytnego, czy średniowiecznego – była troska o sprawiedliwość i szczęście (chrześcijanie dodawali – wieczne), celem państwa współczesnego jest całkowicie wolna ekspresja swego „ja”. Przy czym tym, co rzekomo w człowieku najgłębsze, nie jest dusza nieśmiertelna, ale pożądanie seksualne, libido. W efekcie państwo współczesne powoli i konsekwentnie zmierza w stronę zamordyzmu: nic nie może stanąć na drodze do ekspresji własnego „ja”, nic i nikt nie może go krytykować. Krytyka powoduje stres, a stres, w tym systemie, musi zostać wyeliminowany. Płynność, ulotność, neutralność, tymczasowość i doczesność – na tym oparty ma być nowy ład/bezład. Żeby go zapewnić, potrzebna jest ścisła i uniwersalna kontrola nad tymi, którzy mogliby próbować poza to, co płynne, wyjść.

Czy przed takim rozwojem, przed tą tyranią doczesności, która na razie pojawia się jeszcze niewyraźnie, jako koszmar, nie ma ucieczki? Sam Belloc widział nadzieję w odrodzeniu religii. Pisał: „Wiara odzyska swoje głębokie i wiodące miejsce w sercu Europy”. Dziś na pewno trudniej przyjąć taką nadzieję niż na początku XX w. Ale kto wie, może jednak okaże się ona proroczą? ©



TEMAT TYGODNIA

20 GRZEGORZ KUCHARCZYK
**ŚWIĘTY NA MIARĘ
NASZYCH POTRZEB**
Konstruowanie wizerunku
św. Franciszka

OPINIE

70 ROZMOWA Z PROF. PAULEM KENGOREM
MARSZ MARKSA
Diabeł i Karol Marks

74 ŁUKASZ WARZECHA
MŁOKOSI KONTRA DZIADERSI

HISTORIA

76 RAFAŁ ŁATKA
PRYMAS W STANIE WOJENNYM
Kościół a Solidarność

80 JACEK KOMUDA
POLOWANIE NA NIZIOŁKI

ŚWIAT

84 MARCIN MAKOWSKI
TRUMP. ŻYCIE PO PREZYDENTURZE
Co zrobi byłby prezydent USA

88 GABRIEL MICHALIK
**SŁODKIE TAJEMNICE
WŁADIMIRA WŁADIMIROWICZA**

EKONOMIA

92 JAKUB WOZINSKI
WIZJONER WIELKIEGO RESETU
„Szczęśliwość” zamiast „kultu PKB”?

96 JACEK PRZYBYLSKI
ŚWIAT BEZ TURYSTÓW

STYL



100 JOANNA BOJAŃCZYK
SKUTKI OGLĄDANIA SERIALI
Przepis na przebój

O ZDROWIU

106 KATARZYNA PINKOSZ
(NIE)WYDOLNE SERCA POLAKÓW
Niewydolność serca
– palący problem kardiologiczny

KRAJ

24 ROZMOWA
Z KS. ABP. MARKIEM JĘDRASZEWSKIM
DEMONY NASZEJ WOLNOŚCI
Bóg jest jedynym Panem dziejów

28 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
ANI TRIUMF, ANI ZGON

30 PIOTR SEMKA
PRZYMIARKI DO NOWEJ EPOKI

34 TOMASZ ROWIŃSKI
**TRYBUNAŁ REWOLUCYJNY
ROMANA GIERTYCHA**

38 KAMILA BARANOWSKA
HEJTER W GARNITURZE

40 ROZMOWA
Z KAJĄ GODEK
**NIE TRZEBA
BYĆ FAJNYM,
BY ZASŁUŻYĆ
NA ŻYCIE**

44 ŁUKASZ ZBORALSKI
LUDZKI ODRUCH



46 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
ZROLOWANY KSIĄŻĘ WITOLD



48 RADOŚLAŃ WÓJTAS
NA RODZINNĄ NUTĘ

KULTURA

50 KRZYSZTOF MASŁOŃ
POLSKA WCIĄŻ MŁODA
Przegląd młodopolskich dokonań

54 TOMASZ Z. ZAPERT
REŻYSER I STATYSTA
56 PIOTR GOCIEK
POŻEGNANIE JOHNA LE CARRÉGO

NIE PRZEGAP

58 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA



Wesołych Świąt

Szczęśliwych, rodzinnych, pełnych ciepła i nadziei,
a przede wszystkim zdrowych i bezpiecznych
Świąt Bożego Narodzenia życzy Zespół

LINK 4 |



TYGODNIK LISKIEGO DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzezy.pl, www.DORZECZY.pl

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, **Piotr Górecki**, **Krzysztof Masłoń**, **Piotr Semka**,
Łukasz Warzecha, **Rafał A. Ziemięciwicz**

Stali współpracownicy i felietoniści:

Kamila Baranowska, **Olivier Bault**, **Joanna Bojańczyk**, **Grzegorz Brzozowicz**,
Wojciech Cejrowski, **Wiesław Chelminiak**, **Dominika Ćosić** (*Brusela*),
Tomasz Łukiniak, **Krzysztof Czałajski**, **Piotr Gursztyn**, **Marek Jurek**,
Jacek Komuda, **Slawomir Koper**, **Piotr Kowalczyk** (*Rzym*),
Grzegorz Kucharczyk, **Tomasz Lenczewski**, **Piotr Litka**, **Łukasz Majchrzyk**,
Marcin Małkowski, **Monika Małkowska**, **Karolina Marchlewska-Trzmiel**,
Gabriel Michalik, **Agnieszka Niewińska**, **Andrzej Nowak**, **Maciej Pieczyński**,
Katarzyna Pinkosz, **Tomasz Rowiński**, **Witold Repetowicz**,
Wojciech Roszkowski, **Agnieszka Rybak**, **Joanna Siedlecka**, **Teresa Stylińska**,
Artur Szeremeta, **Tomasz P. Terlikowski**, **Błażej Torajski**, **Szewach Weiss**,
Piotr Włoczyk, **Marcin Wolski**, **Małgorzata Włoczyk**, **Jakub Wozinski**,
Tomasz Wróblewski, **Igor Zaleski**, **Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zofia Magdziak**
(zastępca), **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej),
Zuzanna Dąbrowska (także Radio Maryja), **Anna M. Piotrowska**,
Małgorzata Puzyr, **Marcin Bugaj**, **Damian Cygan**, **Jan Fiedorczuk**,
Przemysław Harczuk (także „Super Express”), **Paweł Zdziarski**

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (szef studia), **Jakub Tański**,
Jacek Nadratowski, **Włodzimierz Zakrzewski**

Fotografy: **Edyta Bortnowska**, **Przemysław Traczyk**

Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś**, **Anna Zaleska**, **Marzena Dobosz**

Rysownicy: **Andrzej Krauze**, **Cezary Krzysztopa**

Okładka: **Fine Art Images/Heritage Images/Getty Images**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy

Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Piotr Piaszczyk, **Robert Pstrokoński**, **Ewa Rykaczewska**

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, **Paweł Lisicki**

BIURO REKLAMY: reklama@dorzezy.pl; tel. 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCAJA:

Adam Borecki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Monika Doros**, tel.: 508 040 664

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład 60 tys. egzemplarzy



DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji
tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
artykułów tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
materiałów prasowych na www.dorzezy.pl/regulamin/

Drodzy Czytelnicy!

Dobiegający końca rok wymusił wiele zmian także w funkcjonowaniu naszej redakcji. Jedną z przykrych konsekwencji była konieczność rezygnacji z bożonarodzeniowego spotkania (a wcześniej także wielkanocnego) z naszymi współpracownikami i przyjaciółmi. Od lat w takich chwilach towarzyszy nam książdz infułat dr Jan Sikorski. W tym roku musiały nam wystarczyć kontakt telefoniczny, wymiana korespondencji, życzeń bez spotkania twarzą w twarz. Pozwólcie zatem na małą prywatę. Rubrykę otwieramy listem od księdza infułata. Życzymy i sobie, i Wam, abyśmy w przyszłym roku mogli bez przeszkód dzielić się opłatkiem na małych i dużych spotkaniach twarzą w twarz.

Korespondencję elektroniczną do redakcji prosimy kierować na adres: listy@dorzezy.pl.

Wielce Szanowna i Droga Redakcjo,
ze wzruszeniem wspominam dotychczasowe świąteczne spotkania w Redakcji Tygodnika „Do Rzeczy”. Niepowtarzalny klimat wytworzony przez Redaktora Naczelnego i Jego Współpracowników, dzielenie się opłatkiem, śpiewane dziarsko kolędy, życzenia w formie świątecznego „oreździa” i te twarzą w twarz, a wreszcie agapa w nastroju rodzinnego spotkania.

Jest do czego nawiązywać, choć rzeczywistość bardzo się zmieniła. Mimo to z wiarą wpatrujemy się w cud Bożej miłości promieniującej ze źródła Betlejemskiego, ufając, że miłującemu Boga wszystko wychodzi na dobre (por. Rz 8,28). Skoro tak, to jak mówi kolęda: „Weselmy się, radujmy się, Bogu cześć dajmy”.

ks. Jan Sikorski



Spotkanie opłatkowe w redakcji „Do Rzeczy” w 2016 r. FOT. ARCHIWUM REDAKCJI

„Bat na kłamców”, „DRz” 51/2020

Wiele podobnych obrazów widywałem w życiu, bo jestem częstym bywalcem muzeów i namiętnym czytelnikiem książek historycznych, ale i tak za każdym razem wstrząsającym przeżyciem jest dla mnie oglądanie takich zdjęć, jakie pokazałście w wywiadzie z mec. Lechem Obarq [fotografia ofiar niemieckich zbrodni w obozie na Majdanku – przyp. red.]. Ale są to wstrząsy potrzebne, niezbędne wręcz. Dziękuję Wam za te wstrząsy, za odwagę w przypominaniu o rzeczach najtrudniejszych i najważniejszych. Życzę wszelkiej pomyślności i łask Bożych.

Prenumerator



Przepustka sprzed 300 lat

Dokładnie 300 lat temu – w roku 1720 – Europę również nękała groźna epidemia. Była nią ospa czarna, czyli prawdziwa, jeszcze bardziej śmiertelna od COVID-19. Co ciekawe, aby ograniczyć rozprzestrzenianie się zarazy, we Francji – tak jak dzisiaj – wprowadzono zakaz przemieszczania się bez specjalnych przepustek. Oto taki dokument wydany w jednym z miast na południu Francji:

My, konsul miasta Remoulin świadczymy wszystkim, że Aleksander Coulomb wiek 28 lat, wzrost mierny, szatyn opuszcza to miasto, gdzie nie istnieje żadne podejrzenie zła, które zakazywałoby, aby udał się do Bloyac i innych miejsc po drodze.

Prosimy wszystkich, żeby mu udostępnić wejście i zapewnić przejście. W imię czego My wydaliśmy ten certyfikat, żeby świadczył, że pochodzi on z Remoulin.

4tego lutego tysiąc siedemset dwudziestego roku
Fabre Sędzia Konsul

(Publikacja dzięki uprzejmości
pani Magdaleny Filipczak z Paryża)



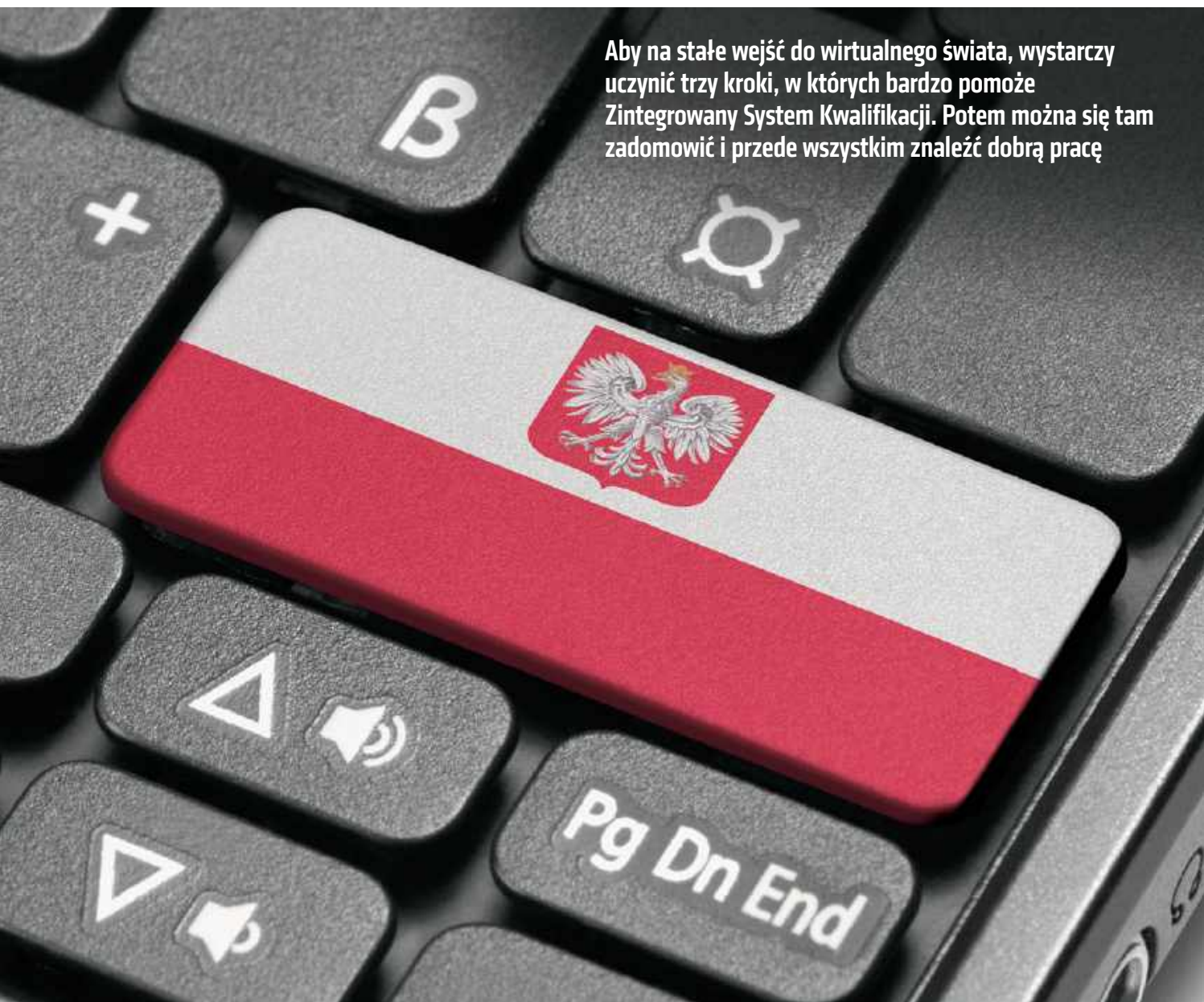
Superior Moonphase

ROAMER
OF SWITZERLAND

7
YEAR
WARRANTY



Aby na stałe wejść do wirtualnego świata, wystarczy uczynić trzy kroki, w których bardzo pomoże Zintegrowany System Kwalifikacji. Potem można się tam zalogować i przede wszystkim znaleźć dobrą pracę



Trzy kroki w kierunku nowej pracy



Jednym z najbardziej odczuwalnych dla każdego skutków pandemii COVID-19 jest izolowanie ludzi w domach.

Lockdowny wywarły ogromny wpływ na światową gospodarkę i rynek pracy. Jak się okazało, najlepiej z ich skutkami radzą sobie przedsiębiorstwa, których głównym źródłem przychodu jest działalność w Internecie. Swoje dochody zwielokrotniły m.in. firmy zajmujące się usługami e-commerce, a także dostarczające wszelkiego rodzaju narzędzia ułatwiające komunikację on-line między ludźmi.

SKOK O 355 PROC. – JAK TO MOŻLIWE?

Aplikację Zoom, umożliwiającą internetowe wideokonferencje, stworzyła w 2013 r. spółka Zoom Technologies. Po sześciu latach obecności na rynku używało jej na co dzień ok. 80 tys. klientów instytucjonalnych, zatrudniających ponad 10 osób. Tak było pod koniec 2019 r. Tymczasem we wrześniu 2020 r. liczba takich użytkowników na całym świecie przekroczyła już 370 tys. W tym czasie Zoom Technologies odnotowało w porównaniu z poprzednim rokiem skokowy wzrost przychodów – aż o 355 proc.

Najlepiej świadczą o tym, jak gremialnie następuje przechodzenie firm na pracę zdalną. Przy tej okazji miliony ludzi musiały zdobyć dodatkowe kwalifikacje, żeby wykonywać swoje obowiązki zawodowe z domu. Te rewolucyjne zmiany wraz z końcem pandemii nie zostaną anulowane. „Pracodawcy i rekruterzy wskazują, że jest kolejna kompetencja, której będą szukać – łatwość współpracy on-line. Tak rodzą się: nowa umiejętność i nowa potrzeba” – zdradza Barbara Fijałkowska, ekspertka z Instytutu Badań Edukacyjnych. Wielu ludzi ma już tego świadomość. Jak pokazują wyniki badań przeprowadzonych przez Grafton Recruitment oraz CBRE, aż 9 na 10 osób szukających nowego zatrudnienia sprawdza możliwość pracy zdalnej. Co więcej, 64 proc. badanych zadeklarowało, że jest w stanie się przekwalifikować. Łatwo powiedzieć, trudniej zrobić. Ale okazuje się, że w Polsce działa już rozwiązanie, które znacznie ułatwia ten proces. Mowa o Zintegrowanym Systemie Kwalifikacji, którego istnienie zostało zainicjowane ustawą przyjętą 22 grudnia 2015 r., dostosowującą polskie prawo do zaleceń Komisji Europejskiej.

„ZSK działają już w 13 krajach Unii, a w kolejnych są wdrażane” – wylicza Ziemowit Socha, regionalny lider ds. Zintegrowanego Systemu Kwalifikacji. Mają one za zadanie ułatwić szybkie przekwalifikowanie się pracowników lub pozyskiwanie przez nich nowych kwalifikacji. Sprawiają bowiem, że ważniejsze od dyplomów, otrzymywanych po ukończeniu wieloletnich studiów, są posiadane wiedza oraz umiejętności. Dzięki temu, że ZSK umożliwia pozyskiwanie certyfikatów je poświadczających, każda osoba może łatwo udokumentować, pracodawcy, iż cyfrowy świat nie jest jej obcy.

TRZY KROKI W KIERUNKU NOWEJ PRACY

Pierwszym krokiem w cyfrowy świat, jaki oferuje Zintegrowany System Kwalifikacji, jest „Certyfikat umiejętności komputerowych”. Kwalifikacja ta jest adresowana przede wszystkim do młodzieży szkolnej, szukającej się do podjęcia pracy, a także do osób w starszym wieku, chcących dorobić do emerytury bądź renty. Taki certyfikat jawi się jako banalnie prosty, jednak z raportu Komisji Europejskiej DESI 2020 wynika, że 15 proc. Polaków nie korzysta z Internetu, a podstawowe umiejętności cyfrowe ma mniej niż połowa społeczeństwa (jedynie 44 proc.) w wieku od 16 do 74 lat. Średnia dla UE wynosi 58 proc. Tymczasem na wykonywanie prostych prac biurowych, a także właśnie kwalifikacje poświadczające „Certyfikat umiejętności komputerowych”, nadal jest spore zapotrzebowanie. Jednocześnie taką pracę coraz częściej wykonuje się w trybie zdalnym.

Natomiast gdy ktoś pragnie pójść o krok dalej, wówczas w ramach ZSK może postarać się o certyfikację kwalifikacji „Projektowanie grafiki komputerowej”. Daje ona możliwość samodzielnej pracy zdalnej w domu i świadczenia usług zlecanych przez m.in.: drukarnie, platformy e-learningowe, agencje PR, domy medialne itd. – co stanowi znakomity fundament do założenia własnej firmy. Według raportu „Foresight kadr nowoczesnej gospodarki”, opracowanego przez Polską Agencję Rozwoju Przedsiębiorczości, projektant grafiki komputerowej to jedna z najbardziej poszukiwanych i zarazem rozwojowych profesji na rynku. Certyfikat „Projektowanie grafiki komputerowej” jest kompatybilny z trzecim krokiem

w wirtualny świat, jakim jest kwalifikacja „Tworzenie witryn internetowych”. To już droga dla osób, które wiedzą, czym jest „front-end”, HTML, CSS i JavaScript, a przy tym biegle potrafią ich używać. Tych wszystkich umiejętności można się nauczyć podczas różnych kursów, nawet tych internetowych, oferowanych przez platformy szkoleniowe, np. Udemy, Coursera czy edX. Jednak przyszły pracodawca na pewno będzie wymagał dokumentu poświadczającego ich posiadanie.

ZADOMOWIĆ SIĘ W WIRTUALNYM ŚWIECIE

Wspomniane trzy kroki i zarazem certyfikaty są wiarygodne nie tylko dlatego, że stanowią jeden z najważniejszych elementów systemu wdrażanego w całej Unii Europejskiej. Równie istotne jest to, jak przeprowadza się proces walidacji, czyli ich wydawania. „Nasz kandydat może zdobyć wiedzę na kursach albo podczas nieformalnego uczenia się, np. może nauczyć się tworzenia witryn internetowych od ojca, który działał w branży, albo od starszej siostry, albo podczas oglądania tutoriali na YouTube” – wyjaśnia Barbara Fijałkowska.

„W ZSK działa system internetowy, w którym można wyszukać interesującą nas kwalifikację oraz odpowiednie instytucje certyfikujące. Dzięki temu wiadomo, z kim się skontaktować oraz co należy wiedzieć i potrafić, aby otrzymać certyfikat” – dodaje. Chętni muszą wnieść odpowiednią opłatę, a następnie przejść czterostopniową walidację. W jej trakcie okazują dokumenty poświadczające posiadane umiejętności (jeśli takowe mają) oraz prezentują wykonane przez siebie prace (np. witryny internetowe). Następnie przystępują do egzaminów teoretycznych, a na końcu też praktycznych. Bywa niestety, że się one nie powiedzą, lecz to nie zamyka drogi do certyfikatu. „Oczywiście system przewiduje też odwołania. Jeżeli kandydat się nie zgadza z oceną asesorów komisji walidacyjnej, to ma prawo odwołać się od niej. Jeśli i po tym następuje decyzja odmowna, to może za jakiś czas, gdy się douczy, podejść do walidacji ponownie” – podkreśla Barbara Fijałkowska. Najważniejszy jest bowiem efekt końcowy, a są nim wiedza oraz umiejętności pozwalające łatwo zadowolić się w wirtualnym świecie i znaleźć tam wymarzoną pracę.



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Na odlew

Felieton do bożonarodzeniowego numeru „Do Rzeczy” z obraźliwą dla chrześcijan karykaturą Jezusa, towarzyszącą entuzjastycznemu tekstowi w „Krytyce Politycznej” o akcji liczenia kolejnych apostazji w Polsce. Zdaję sobie sprawę, że może to kogoś urazić. Po głębszym namyśle postanowiłem jednak, że nie zmienię tematu tekstu. Przecież jeśli poprzez święta coś czcimy, to musimy też wiedzieć, co jest tego antytezą. Jeśli popieramy jedne wartości, to dobrze jest wiedzieć, co może wejść na ich miejsce.

Dlaczego ten wyskok z karykaturą Jezusa jest tak znaczący?

Po pierwsze dlatego, że jest przekroczeniem kolejnej granicy. W ciągu wieków w Polsce było wielu rewolucjonistów, którzy negowali tradycyjny porządek. Nawet jeśli jednak występowali pod hasłem walki z Kościołem, to zazwyczaj oddzielali od swej niechęci samą postać Chrystusa. Zaznaczano, że sam cieśla z Nazaretu był szlachetnym wizjonerem i promotorem

sprawiedliwości, w odróżnieniu od chciwych kardynałów i występnych biskupów. Teraz wraz z pojawieniem się ruchu Strajk Kobiet żadnej taryfy ulgowej dla Jezusa już nie ma.



Uwaga druga – „Krytyka Polityczna” przez wiele lat pozowała na siłę, która domaga się uznania swej dojrzałości i dostrzeżenia, że progresywny lewicowiec to ktoś inny niż dawny komunista. Teraz środowisko Sławomira Sierakowskiego sięga po propagandę typową dla sowieckiego „Bezboż-

nika”. I robi to w stylu prostackiego ateizmu. Oto wyobrażony na rysunku Jezus wytrzeszcza oczy z przerażenia, że ludzie dokonują apostazji, i w bezzadnym geście rozkłada ręce. Wyobrażenie o Bogu godne sowieckiego pioniera z lat 30. Każdy, kto otarł się trochę o chrześcijaństwo, powinien wiedzieć, że wiara jest łaską, a Stwórca obdarzył ludzi wolną wolą, aby mogli mu się także sprzeciwić lub całkiem się od niego odwrócić. Przekonanie, że Jezus jest jakimś banalnym buchalterem załamany, gdy spadają słupki z liczbą wiernych, powinno żenować nawet ludzi lewicy. Tymczasem nie widzę żadnych reakcji na takie wysoki.

Krytyka Polityczna” idzie na całość. Wydaje się jej, że teraz już może. Widziałem w latach 80. takich samych zuchów, którzy kajali się z powodu swojej wiary w materializm w epoce Bieruta. Pierwsi zginali się wiele lat potem do papieskiej ręki, gdy marksizm z czasem okazywał swe słabości. Pewnie wielu z dzisiejszych lewicowców myśli: „Mnie to się na pewno nie zdarzy”. Założymy się? ©

LEWANDOWSKI
NAJLEPSZY

Robert Lewandowski został wybrany na Piłkarza Roku FIFA. Jest pierwszym w historii Polakiem, który otrzymał to prestiżowe wyróżnienie. Polski napastnik znacząco wyprzedził w statystykach takie sławy futbolu jak Leo Messi czy Cristiano Ronaldo. Od 20 lipca 2019 do 7 października 2020 r. zdobył 64 bramki w 58 meczach, do tego asystował przy 15 golach. – Jestem dumny. To wielkie osiągnięcie i dla mnie, i dla mojej drużyny. Zarówno dla Bayernu, jak i reprezentacji Polski – mówi Lewandowski. (jap) ©



FOT. POOL/GETTY IMAGES



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Bodnar forever?

Pat z wyborem nowego rzecznika praw obywatelskich trwa i – jak to mawiają – „trwa mać”. Chociaż kadencja Adama Bodnara dawno już minęła, rządzący nie zdobyli się dotychczas na zgłoszenie kandydata, choć nie zgodzili się też na wybór kandydatki zgłoszonej przez opozycję. Pal diabli, gdyby oznaczało to wakaty na urzędzie, który, hm, do sprawnego funkcjonowania państwa wydaje się niekonieczny. Oznacza to jednak dalsze pełnienie obowiązków przez wspomnianego już Adama Bodnara.

W przedświątecznym tygodniu władza zapowiedziała wreszcie, ustami marszałka Terleckiego, że kandydata zgłosi – będzie nim prof. Piotr Wawrzyk, urzędujący wiceminister w MSZ.

Nie sposób zrozumieć, o co w tym chodzi. Rzecz oczywista, że prof. Wawrzyk, z całym szacunkiem, nie ma najmniejszych szans na wybór, bo do tego trzeba jednomyślności Sejmu i zdominowanego przez anty-PiS Senatu. Oczywiście, można się obawiać, że PO z Lewicą i PSL będą blokować każdego, nawet najlepszego kandydata, dla podkreślenia swej „totalności” (jak było ze śp. Januszem Kochanowskim, któremu, co słusznie przypomniał ostatnio Schetynie Robert Mazurek, PO najpierw sama zaproponowała ten urząd, a potem, gdy zgłosił go PiS, zagłosowała przeciwko). Blokując prof. Wawrzyka, z racji jego zaangażowania w rządzie, będzie jednak niestety miała rację. Wyznaczenie na RPO polityka związanego z partią rządzącą podważa sens tego urzędu.

Można by przecież przynajmniej spróbować znaleźć kandydata, którego choć kilku senatorów głosujących dotychczas razem z partiami opozycji mogłoby bez wstydu poprzeć. Czy PiS-owska ławka kadrowa jest naprawdę tak beznadziejnie krótka? Czy aż tak już narosła obsesyjna chęć posiadania wszędzie „swoich”, posłusznych ludzi? Przecież w tym przypadku alternatywa jest tylko między ewentualnym kandydatem spoza partyjnego podziału a przedłużaniem w nieskończoność urzędowania Bodnara, który, snadź rozzuchwalony sytuacją, zachowuje się ostatnio (np. w sprawie zakupu Polska Press przez Orlen) jak etatowy działacz partyjny Lewicy, z oczywistą szkodą i dla rządzących, i dla Polski, i dla samego urzędu. ©©



MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Zagadka niepraworządności

Czym ona właściwie jest? Czy polski rząd łamie praworządność, gdy teoretycznie zakazuje zgromadzeń w czasie pandemii, czy gdy praktycznie na nie pozwala? Albo czy Francja – wprowadzając zakaz fotografowania interweniujących policjantów – chroni ich prywatność i bezpieczeństwo, czy ogranicza wolność słowa? I jak Unia powinna na to patrzeć?

Pytania ciekawe, ale chyba jednak źle i ze złą intencją postawione. Zakładają bowiem, że rządy prawa to jakaś transcendentna norma, którą Unia ma rozważać, rozpoznawać i stosować. Tymczasem w różnieniu Unii i „wartości unijnych”, polityki Unii i praworządności zawiera się fundamentalny błąd,

niezrozumienie tego, czym Unia Europejska jest. Praworządność bowiem nie jest wobec niej zewnętrzna zasadą, ale jej immanentną cechą, Unia – krótko mówiąc – jest praworządna z natury. Sama jest miarą praworządności i tylko prawdziwi wrogowie Unii mogą się przeciw niej na praworządność powoływać. Władze Unii Europejskiej nie mogą prawa naruszać, tak jak w „ustroju socjalistycznym” robotnikom nie mogła dźbiać się krzywda.

Żeby to lepiej zrozumieć, trzeba też brać pod uwagę prawa fizyki. Skoro Francja niosąca pochodnię postępu leży na moralnych antypodach zacofanej Polski, to nic dziwnego, że to, co u nas narusza praworządność, we Francji jest

prawnie konieczne. Nie ma w tym nic dziwnego, tak jak w tym, że w grudniu w Szwecji jest zima, a w Argentynie lato. Tylko płaskoziemcy nie mogą tego zrozumieć.

Mądry Frans Timmermans lubił mawiać z chytrą miną pokerzysty, że rządy prawa, demokracja i prawa człowieka muszą iść zawsze razem, więc państwa nie powinny wykręcać się ani rozmawiać o każdej z tych zasad osobno. Choćby więc miały najpewniejszy demokratyczny mandat i wykonywały go w najbardziej legalistyczny sposób, zawsze pozostają prawa człowieka. A o tym, czym prawa człowieka są, decyduje już tylko Unia; więc naprawdę lepiej nie kombinować. ©©

Po świętach nowe obostrzenia

– Od 28 grudnia do 17 stycznia wprowadzamy narodową kwarantannę – ogłosił w czwartek minister zdrowia Adam Niedzielski.

Decyzja rządu oznacza, że w tym okresie zamknięte będą stoki narciarskie oraz hotele – także w kontekście podróży służbowych. Poza tym od 31 grudnia 2020 r. od godz. 19 do 1 stycznia 2021 r. do godz. 6 w całym kraju będzie obowiązywał zakaz przemieszczania się. Wyjątkiem będą m.in. niezbędne czynności służbowe oraz inne wskazane w rozporządzeniu.

– Nie jesteśmy w stanie zbić do końca tego wzrostu zakażeń. On jest oczywiście trochę niższy, niż był jeszcze miesiąc temu, aczkolwiek utrzymuje się na poziomie powyżej 10 tys. zakażeń dziennie – mówił na antenie TVP Info minister w kancelarii premiera Adam Andrzejewicz. Zauważył, że wszyscy specjaliści od pandemii są zdania, iż przed nami trzecia fala epidemii koronawirusa.

Ogłoszone restrykcje wywołały ogromne kontrowersje. Tymczasem premier Mateusz Morawiecki w wywiadzie dla wp.pl zapowiedział, że rząd rozważa „wprowadzenie dalej idących restrykcji, również dotyczących przemieszczania się, ale one wiążą się z koniecznością wdrożenia nowej legislacji”. Wśród rozważanych rozwiązań jest m.in. wprowadzenie godziny policyjnej. – Obserwujemy dane i dalsze decyzje uzależniamy od



FOT. RAFAŁ GUZ/PAP

nich. Już dzisiaj jednak chciałbym bardzo mocno zaapelować, by zachowywać się tak, jakby była godzina policyjna. Tak jakby obowiązywały jeszcze dalej idące ograniczenia. Także w przemieszczaniu się. Zakres zmian zależy od naszej dyscypliny – zaznaczył szef rządu.

Premier dodał, że zdaniem ekspertów styczeń i luty to miesiące, które wirusy z grupy koronawirusów „lubią” najbardziej. „Trzecia fala jest przed nami. Dlatego zdecydowaliśmy się na obostrzenia, które mają zlikwidować fikcję, polegającą na tym, że całe rodziny wyjeżdżają na wyjazdy służbowe lub w siłowniach pojawiali się sami sportowcy zawodowi, a w galeriach handlowych są tłumy. Tu nie ma czasu na żarty i omijanie prawa, umierają ludzie – oznajmił premier Mateusz Morawiecki. ©© (jap)

RAZ JESZCZE TYRMAND

Być może najlepszym zakończeniem Roku Tyrmanda będzie, zapowiadany na 28, 29 i 30 grudnia o godz. 15 w TVP Kultura, trzyodcinkowy cykl dokumentalny w reżyserii Tomasza Sokołowskiego – „Leopold Tyrmand – życie bez kompromisów”. Marcel Woźniak – autor jedynej pełnej biografii Leopolda Tyrmanda, a zarazem dziennikarz i autor kryminałów, wielbiciel jazzu – wyrusza śladami pisarza i odkrywa nieznane i nieopisane rejony jego biografii. Podróż rozpoczyna od Warszawy – rodzinnego miejsca pisarza, aby podążać jego śladami do Wilna i Frankfurtu nad Menem i odpowiedzieć na pytanie, co robił w roku 1942 młody polski Żyd z francuskim paszportem we Frankfurcie nad Menem. (IP) ©©

„DO RZECZY” NAJBARDZIEJ OPINIOTWÓRCZE

W listopadzie tygodnik „Do Rzeczy” był najbardziej opiniotwórczym medium w kategorii tygodniki i dwutygodniki – wynika z najnowszego rankingu Instytutu Monitorowania Mediów. „Do Rzeczy” – które w listopadzie było cytowane aż 378 razy – wyprzedziło m.in. „Gazetę Polską” (258 cytatów) oraz magazyn „Viva!” (230 cytatów). W najnowszym rankingu tygodnik „Do Rzeczy” wspiął się aż o cztery pozycje (w październiku był bowiem cytowany 173 razy). Analizę częstotliwości cytowań poszczególnych mediów przez inne media przeprowadzono na podstawie 48 184 przekazów pochodzących z monitoringu prasy, radia i telewizji oraz portali internetowych. (jap) ©©

CHRZEŚCIJANIE DLA SUDANU

Katolicy z Polski zebrali pieniądze, za które powstały dwie kaplice w południowym Sudanie

Troska i Kościoła, i świeckich zarówno o rechryzianizację Europy, jak i o rozprzestrzenianie wiary w Chrystusa tam, gdzie jeszcze o Nim nie słyszano, są działaniami bardzo ważnymi.

W to drugie działanie wpisała się akcja „Krzyż nadziei świata!” zorganizowana jesienią 2019 r. przez Stowarzyszenie Kultury Chrześcijańskiej im. ks. Piotra Skargi. Inicjatywę poparło Papieskie Stowarzyszenie Pomoc Kościołowi w Potrzebie, wskazując na Sudan Południowy, najmłodsze państwo

świata, powstałe w 2011 r. po krwawej dla chrześcijan 50-letniej wojnie domowej.

Tam działają Misjonarze Kombonianie Serca Jezusowego, a wśród nich Polak – o. Krzysztof Zębik MCCJ, który zgłosił pragnienie budowy dwóch kaplic dla katolików z diecezji Rumbek: w miejscowości Piirciok i Kowic.

Polacy chętnie odpowiedzieli na apel stowarzyszenia. Zebrano 200 tys. zł i jeszcze w grudniu 2019 r. ruszyły prace budowlane. Choć problemów nie brakowało (przebieg prac można prześledzić na stronie dlaSudanu.pl), to na efekt nie trzeba było długo czekać – już w czerwcu tego

roku obie kaplice stały gotowe. Ta w Kowic przyjmie wezwanie Dobrego Pasterza, a kaplica w Piirciok – Chrystusa Króla.

– Chcemy, aby ludzie poznali Pana Jezusa jako Pasterza łagodnego, troszczącego się o nas. Szczególnie dla plemion pasterskich jest to bardzo ważne. Chcemy, aby poznali Go też jako Króla nas wszystkich i całego wszechświata – powiedział o. Zębik.

Plany ewangelizacyjne zatrzymała pandemia koronawirusa i świątynie ciągle czekają na konsekrację, ale już służą społeczności – korzystają z nich katecheci i szkoła. ©©

Michał Wikieł



INSTYTUT WSPÓŁPRACY POLSKO- WĘGIERSKIEJ

IM. WACŁAWA FELCZAKA

„Tak naprawdę Polacy i Węgrzy
nawet nie przypuszczają,
jak wiele mają z sobą
wspólnego”

(prof. Wacław Felczak)

Uniwersytet Letni – Szkoła Liderów na Zamku w Krasicy

Co roku na Podkarpaciu ok. pół tysiąca studentów z Polski i Węgier bierze udział w wykładach oraz dyskusjach o najważniejszych wyzwaniach, przed którymi stoją Polska, Węgry, Europa Środkowa, UE i NATO. Młodzi uczestniczą w zajęciach sportowych, projekcjach filmów, w koncertach i... odnajdują miłość swego życia.



Portal www.kurier.plus

Publikujemy najnowsze wiadomości, artykuły historyczne i politologiczne analizy na trójjęzycznym portalu www.kurier.plus. Zachęcamy do lektury i prenumeraty newslettera.

Kluby F

Dyskusje z czołowymi politykami i ekspertami o najciekawszych wydarzeniach dla Węgrów i Polaków. W grudniu w Klubie F nie tylko o polityce opowiadała Judit Varga – węgierska minister sprawiedliwości i tego-roczna laureatka nagrody Strażnik Wartości, przyznawanej przez Instytut pod patronatem tygodnika „Do Rzeczy”.



Karpacki Rajd Kurierów im. Wacława Felczaka

Etapowy, szosowy wyścig rozgrywany na terenie Polski, Słowacji i Węgier. To najwyższej punktowany (2.2U) w Europie przez Międzynarodową Unię Kolarską UCI wyścig w kategorii młodzików do lat 23. W przyszłym roku – po raz kolejny.



Stypendia. Dofinansowania

Konkursy o dofinansowanie projektów na rzecz współpracy polsko-węgierskiej oraz program stypendialny. Szczegóły na: www.kurier.plus od 3 stycznia 2021 r.



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Wesołych świąt!

WRzymie wszystkim poza dziećmi jest wesoło już od 11 grudnia. Wówczas na pl. św. Piotra gubernator Państwa Watykańskiego kard. Giuseppe Bertello zainaugurował szopkę. Hierarcha co prawda ostrzegał, że będzie nowoczesnie, ale gdy odsłonięto awangardowe dzieło, rozległ się zbiorowy jęk i nie był to niestety jęk zachwytu.

Tę szopkę artyści ceramicy z Castelli w Abruzji tworzyli w latach 1965–1975. Jest owocem refleksji poświęconej tematyce bożonarodzeniowej na zajęciach prowadzonych w tamtejszym Instytucie Artystycznym. W efekcie powstały 54 figury. Kilkanaście z nich stoi teraz na pl. św. Piotra. Szopka wiele lat temu była już wystawiana w Rzymie w Hallach Trajana. Cmokierzy pisali, że wspaniale łączy w sobie elementy sztuki sumeryjskiej, egipskiej, antycznej, a nawet Wysp Wielkanocnych i oczywiście folkloru Abruzji.

Wszystkie postaci ludzkie są okrągłe i pękate jak matryoszki. Na samym przodzie stoi kosmonauta. To zapewne jeden z trzech królów, który przybył z kosmosu. Za nim jakaś przerażająca postać w masce, z tarczą, a na dodatek z rogami. Wiadomo, diabeł nie śpi. Są i zwierzęta: dwie gęsi podobne do gęsi i jakaś bestia ze zmierzwioną sierścią w pozycji kucznej. Trochę przypomina wilka, choć stojący obok mnie na placu watykanista z Irlandii przekonywał, że to wilkołak. Jeszcze większe kontrowersje wywołała postać Maryi: głowa otoczona aureolą, a niżej szkielet składający się wyłącznie z kręgosłupa i żeber albo ości.

Z całą pewnością kryje się za tym wszystkim jakiś głębok sens religijno-estetyczny i filozoficzny. Niestety, jak to często z awangardową sztuką bywa, klucz do rozwiązania tych rebusów sprzed pół wieku ktoś wyrzucił do studni.

Jedyną pocieszenie w tym, że to turystyczne horrendum zdemontują 10 stycznia.

Rozumiem, że za Spisową Bramą idzie nowe. Jednak żeby z tej okazji straszyc dzieci, największych entuzjastów szopek? Przecież to, co Watykan wystawia teraz na pl. św. Piotra, może się koszmarnie przyśnić w nocy. ©©

Autor jest korespondentem
Polskiego Radia.



MIEDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Wszystko jest okej!

Aborcja jest tematem, który z debaty prawną-swiatopoglądową zszedł na ulicę.

W parze z tym zejściem powędrował również poziom dyskusji. „Aborcja jest okej i nie dajmy sobie wmówić, że jest inaczej” – ogłosiła na przykład młodzieżówka partii Razem.

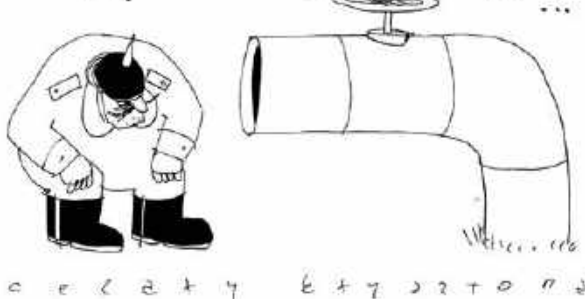
A tutaj, dla odmiany, publicysta „Krytyki Politycznej”. „Polecam posłuchać, jak moja dziewczyna Hanna Zagulska opowiada, jak zrobiła sobie aborcję. Niestety nie ze mną, ale jeszcze wszystko przed nami <3” – napisał Jaś Kapela, reklamując wywiad. „Partner pani Zagulskiej ubolewa, że aborcja nie z nim” – skomentował dziennikarz Patryk Słowik, zamieszczając screen wpisu. „I będę tak ubolewał, dopóki wszystkie osoby z macicami nie będą mogły legalnie i bezpiecznie przerwać ciąży, gdy będą tego chciały” – odpowiedział mu Jaś.

Niektórzy próbowali podejść do zagadnienia od strony metafizycznej. „Gdyby każda kobieta, która zrobiła sobie aborcję, w wigilię świeciła anielską poświatą, fraza »aborcja jest ok« może wreszcie dotarłaby do niektórych głów” – rozmarzył się „Galopujący Major”. „A co, jeśli nie każda kobieta, która zrobiła aborcję, uważa, że »aborcja jest okej«?” – zapytał Adam Traczyk. „To, że są takie, które sobie ją zrobiły i uważają, że jest ok, a wmawianie im, że nie jest ok, jest ich wtórną wiktymizacją” – odpowiedział „Major”. Nie doprecyzował jednak, co jest wiktymizacją za pierwszym razem, skoro w aborcji nie ma niczego złego.

Pozostaliśmy w temacie upadku obyczajów, oddając głos Romanowi Giertychowi. „Apeluję do Radnych Warszawy, aby nie godzili się na żadne ulice którekolwiek z braci Kaczyńskich. Lech Kaczyński był lepszym człowiekiem niż jego brat, ale całe życie właśnie bratu meldował wykonanie zadania” – zadeklarował mecenas.

Na koniec polityka zagraniczna. „Czekam na wieści z USA. Tam jest prawdziwy Armagedon, miejsce, gdzie siły dobra starły się z legionami szatana. Od tej bitwy zależy los świata, Polski, UE, Niemiec, Rosji i Chin” – ogłosiła Irena Szafrńska. Tymczasem kolegium elektorów oficjalnie potwierdziło wybór Joe Bidena na prezydenta elekta. Czyli rok 2021 rozpocznie się końcem świata. Trochę szkoda, ale można przywyknąć. ©©

Ruko ciagiem Notd Stream 2
Nieulcy beda sprowadzali prosto
z Rosji demokracje i praworadznośc





SKROMNA NIESŁYCHANIE

Aktorka Agnieszka Włodarczyk w przededniu swoich 40. urodzin postanowiła zrobić bilans swojego życia i podzielić się ze światem swoimi przemyśleniami. – A teraz ciąg dalszy wywodów „przedczterdziestkowych” o tym, że w sumie równa ze mnie babka. Nie kradnę, nie kłamie, nikogo nie wykorzystuję, wszystko, co zarobiłam, zarobiłam uczciwie, czasem ciężką, rzadziej lekką pracą, dzięki czemu nie mam teraz kredytów. Nie zawsze były tłuste lata, więc nauczyłam się oszczędzać. Nie mam wielkich potrzeb, nie żyję na wyrost, na pokaz, na kredyt – wylicza celebrytka. – Nie wzbudzam w ludziach poczucia, że są gorsi, nie wywyższam się, nie robię zakupów na Moliera, nie jeżdżę „lambo” z wypożyczalni, ściemniając, że to moje. Nie kupuję drogich ciuchów. Często ubieram się w lumpeksach, o czym doskonale wiecie. W ramach możliwości dbam o środowisko. Kocham zwierzęta, nie noszę futer i nie prowadzę imprez dla firm futrzarskich nawet wtedy, kiedy nie mam z czego żyć. Nie reklamuję kosmetyków testowanych na zwierzętach – kontynuowała. Zapomniała dodać, że jest arcskromna!

TO TYLKO TELEDYSK

Piosenkarka Margaret żali się, że przez to, iż w jej ostatnim teledysku widać, jak pali skręta, „robi się z niej aktualnie ćpunę”. – W takim momencie w moim życiu, gdy nigdy wcześniej nie żyłam tak zdrowo, nie byłam tak szczęśliwa i tak okej sama ze sobą. Biegam, jem zdrowo, więc z jednej strony mnie to śmieszy, a z drugiej też bardzo często rani, bo to też wpływa na mnie, na mój wizerunek i na to, jak myślą o mnie ludzie – ubolewa. – Jest to jednak krzywdzące dla moich rodziców, bo oni takie rzeczy przeżywają. Ludzie do nich dzwonią zmartwieni i mówią: „O Boże, Gosia jest ćpuną”, co jest w ogóle nieprawdą. To mi pokazuje jakąś hipokryzję w nas – dodaje. Mówi też, że nie chce wcale promować narkotyków, ale nie zamierza udawać, że nie lubi sobie czasem „zajarać”. – Myślę sobie, że dzieci nie przestaną sięgać po narkotyki, jak będziemy robić zasłonę dymną i udawać, że ich nie ma – dodaje. Dlatego warto pokazywać je w teledyskach. Czego nie rozumiecie?

RZECZ O HIPOKRYZJI

Barbarze Kurdej-Szatan obrywa się za hipokryzję. Hipokryzją część internautów nazywa bowiem to, że celebrytka najpierw aktywnie wspierała Strajk Kobiet (między innymi zamiesz-

czając zdjęcie ze swoim nowo narodzonym dzieckiem i wymalowaną na dłoni błyskawicą), a później, jakby nigdy nic, zgodziła się wziąć udział w bożonarodzeniowym kołędowaniu w jednej z telewizji. Celebrytkę, jak się okazuje, zabolat zwłaszcza zarzut jednej z fanek, że „szła w strajku, który rzucił jajami w kościoły i zakłócał msze święte, na których czczono Boga i Maryję, teraz będzie śpiewać »Bóg się rodzi«”.

– Wierzę, że Bóg, niezależnie od tego, kto jak go widzi i kim dla każdego jest, to jest tylko i wyłącznie DOBRO. Kobiety na strajku nie były przeciw Bogu, tylko w walce o siebie przeciw innym ludziom, którzy wysługują się Bogiem i traktują wiarę i kościół jako argumenty do tego, aby rządzić innymi i mówić każdemu, jak ma żyć – tłumaczyła się Kurdej-Szatan. – Nie identyfikuję się z tymi, którzy rzucali jajami czy mazali sprayem po zabytkach i kościołach. Sama idąc starówką warszawską, byłam bardzo zniesmaczona i smutna, widząc pomazane mury kościoła... – dodała. No tak, i dlatego, jako osoba wierząca, szła dalej.

JAK (NIE) ŚWIECIĆ PRZYKŁADEM

Małgorzata Rozenek wyznała, że ma problem ze swoim 10-letnim synem Tadeuszem. W filmiku, który opublikowała w Internecie, opowiada o tym, że przez zdalne nauczanie jej dzieci spędzają za dużo czasu przed monitorami komputera i smartfona. – Musiałam rozwiązać dramaty związane z Tadeuszem i jego używaniem telefonu – zdradziła na swoim Instagramie. – Wszystko przez ten homeschooling, do tej pory się dzieciom mówiło, że „nie, komputery nie można” i tak dalej. A teraz spędzają całe dni i później jest problem, żeby im te komputery zabrać – narzeka Małgorzata. Zwykle gdy rodzic chce do czegoś zachęcić dziecko, zaczyna od siebie. W końcu przykład idzie z góry. Tylko czy wyobrażacie sobie, że Małgorzata odstawia komputer, telefon, Internet? Choćby na tydzień? No właśnie. To co się dziwić 10-latkowi? ©©



FOT. PIWET GORDAJKA



FOT. ARTUR ZAWADZKI/REPORTER



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH

Kochani, tegoroczne winter holidays będą inne do tego stopnia, że nawet my daliśmy się porwać atmosferze zachowywania społecznego dystansu i wysłaliśmy kartki, of kors o charakterze świeckim, do rodziny i znajomych. Musieliśmy też powtórzyć trochę matematyki, iżby dokonać skomplikowanych obliczeń, czy zmieścimy się przy wigilijnym stole w małym ośrodku, oraz zamówić wszystkie prezenty przez Internet, co było trudne z uwagi na to, że nasza zaprzyjaźniona leśna niebinarna kooperatywa wytwórczo-spożywcza korzysta z neta tylko przy okazji wizyty w starbuniu, iżby sprawdzić stan konta na Patronajcie.

Jak więc widzicie, przygotowanie do winter holidays kosztuje nas już od dawna wiele emocji i w związku z tym spotyka nas wiele przygód, nawet w sytuacji social distancingu oraz zasad DDM. Na wstępie bowiem musicie wiedzieć, iż zachowujemy rządowe zalecenia, ponieważ co prawda boimy się Kaczafiego, ale koronawirusoosoby boimy się jednak bardziej – na co mamy dowody w postaci głosowania demokratycznego i niejawnego przeprowadzonego w naszym kolektywie. Kaczafiego bał się bardziej tylko Nowy z Tarnowa, ale to akurat zrozumiałe w jego środowisku – ten lęk wymieszany z podziwem.

Otóż musicie wiedzieć, że gdy tylko rząd poinformował, iż przy wigilijnym stole w małym ośrodku zmieści się

w tym roku wyłącznie pięć dodatkowych osób, nie licząc domowników, zaczęliśmy dokonywać nerwowych przeliczeń, iż nie byliśmy pewni, czy opłaca się brać wolne w Wigilię i jechać do osób płodzących, czy jednak połączyć się za pomocą Messengera czy innego skajpa z kawalerki na obrzeżach aglomeracji krakowskiej.

Na szczęście okazało się, iż osoby płodzące chętnie nas przyjmą, rezygnując z corocznego rytuału zapraszania wszystkich lokalnych wujków i ciotek. Czym to poskutkuje? No dobrze wiecie, na nas spadnie ciężar rozmowy o polityce przy stole, a uwaga osób płodzących skoncentruje się na naszym życiu

osobistym. Trudno będzie im pewnie nadażyć za naszym płynnym podejściem do kwestii zaimków i niebinarności, więc taktycznie odpuścimy te tematy, podobnie jak przemilczymy nasz aktywny udział w Strajku Kobiet. Bo po co denerwować kogoś, kto na koniec może dać nam pieniądze, słoiki i może jeszcze nawet podwieźć na dworzec PKP?

W takiej sytuacji musimy być przygotowani na rozmowy o: tarcia w koalicji, szczepionkach, dziennych przypadkach zakażeń, wyborze Bidena, energii jądrowej w tym kraju, edukacji zdalnej, telemedycynie, Billu Gatesie, 5G i wyjątkowo ciepłym styczniu. Na pewno



PODSŁUCHANE

Ludzki głos

No i widzisz, Czarus, nie pobawi się ze mną.

Oj tam, Fiona, te twoje zabawy z nim. Ja mu dzisiaj chciałem wygarnąć.

Jedna noc, kiedy mogę po ludzku. A on gdzieś siedzi na Wigilii, nas zostawił, tylko łyska nasypał.

Co ty mu chciałeś wygarnąć?

No bo słuchaj: ile można? On się męczy w tej polityce i innych męczach. Czasem jak tu do niego przychodzą, to ja słucham, co mówią, kiedy on na chwilę wyjdzie. Ty oczywiście masz to gdzieś.

Oj, bo ja się polityką nie interesuję.

Ludzie mówią, że polityka się za to tobą interesuje. A ci, co tu przychodzą – ty wiesz, jakie oni, za przeproszeniem, psy na nim wieszają, jak go nie ma w pokoju?

Ostatnio byli ten taki wysoki z tym trochę niższym, wiesz.

No, chyba wiem.

I jak on wyszedł, to ten wyższy mówi do niższego: „Ale się postarzał”. A ja go wtedy w łapsko drapnąłem. Tak mnie wkurzył.

W sumie to masz rację. Jakby z tą polityką skończył, toby się ze mną więcej bawił.

Ech, tobie to tylko jedno w głowie. ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Znam ludzi, którzy mówią, że w życiu by się nie zdecydowali, żeby być posłem, bo by ich to finansowo wykończyło”

MACIEJ GDULA, poseł Lewicy, w Radiu RMF

OŚRODKÓW

będzie ciężko, więc od kilku dni śledzimy programy informacyjne i robimy notatki, iżby być na bieżąco. Co prawda przez ostatnich 10 lat nie udało się nam jeszcze nakierować osób płodzących na ścieżki europejskiego, postępowego myślenia, ale może to jest ten rok, skoro już takie wyjątkowe rzeczy się dzieją na świecie.

Skoro więc okazało się, iż możemy odwiedzić niewielki ośrodek, to postanowiliśmy wysłać winterholidayowe kartki do naszych frendów, z którymi niestety z powodu pandemii/panidemii/nonbinarydemii od jakiegoś już czasu się nie widzimy. Niestety, okazało się, iż ten kraj jest wciąż zaściankiem Europy, iż większość kartek była z motywem bezpośredniego religijnym lub odwołującym się przynajmniej do chrześcijańskiego wątku w obchodach winter holidays. A potem uświadomiliśmy sobie, iż wysyłanie kartek to boomerski zwyczaj i dajemy się złowić prosto w siłą podstępnego patriarchy, a więc

wysłaliśmy po prostu maila o treści: „Wszystkiego, czego sobie życzyście z okazji winter holidays! Neutralne świeckie życzenia!!!”, w świeckim duchu dziękując sobie samym, iż uniknęliśmy takiej kompromitacji.

W tej sytuacji pozostaje nam tylko kwestia odpowiednio świeckiego prezentu, który jednocześnie nie byłby boomerski, nie kojarzyłby się religijnie i był neutralny światopoglądowo, a jednocześnie dobrze ilustrował triumf postępu i stale dokonującą się zmianę. Uznaliśmy więc, iż świetnym pomysłem będzie ekologiczna dekonstrukcja skarpetek w postaci ekologicznych skarpet plecionych z łyka, wikliny i uzupełnionych sianem z traw zebranych podczas księżycowej nocy na północnym stoku Babiej Góry przez nasz zaprzyjaźniony feministyczny kolektyw z leśnej osady. Niestety, frendziary z różnych przyczyn nie przyjmują transakcji bezgotówkowych, chodzi też

o kros o niefinansowanie podatkami państwa polskiego, więc było trochę trudności z odbiorem produktu w sytuacji konieczności zachowania dystansu społecznego, ale ostatecznie pandemia w wielu obszarach pokazała, iż „nie da się” to tylko wymówka dla osób, które pozostają w swojej strefie komfortu i nie podejmują wyzwań. No więc znalazł się kurier, który ogarnął temat.

Dlatego też teraz czekamy tylko na wieczór wigilijny, odcierpimy śpiew kolęd, pewnie nawet zostaniemy zaciągnięci na pasterkę (ale to OK, iż jest limit osób w kościele, zabierzemy miejsce jakiemuś katolowi xD), a następnie wrócimy do wielkiego ośrodka na kolejną rundę walki z patriarchatem.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



**FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI
OSOM NA FEJSIKU:
FB.COM/MWIZWO**

REKLAMA

ROAMER PRIMELINE DAYDATE

Najbardziej wyczekiwany model wśród tegorocznych nowości szwajcarskiej marki ROAMER.

PRIMELINE DAYDATE to kultowy design pożądaný przez większość miłośników zegarków.

Wypasany został w wysokiej jakości szwajcarski mechanizm automatyczny, gwarantujący dokładność i niezawodność. Bransoleta oraz koperta zostały wykonane ze stali szlachetnej i ozdobione charakterystycznym żłobkowanym bezelem. Na tarczy, pokrytej odpornym na zarysowania szafirowym szkłem z powłoką antyrefleksyjną, umieszczono wskazanie dnia tygodnia oraz datownik ze szkiełkiem powiększającym.

ROAMER PRIMELINE DAYDATE ma wszystko, co powinien posiadać szwajcarski zegarek - doskonale wzornictwo oraz najwyższą jakość wykonania. Innymi słowy, to świetna inwestycja na długie lata.

Cena: 2880 zł 98166241 75 90



Hura, święta! I to nasze ulubione! Tradycyjnie więc przygotowaliśmy zestaw prezentów dla bohaterów naszej rubryki. Zwrotów nie przyjmujemy. Prezenty rewanżowe prosimy wysyłać na adres redakcji.

Ponieważ w zeszłym roku nakrzyczyła na nas ponieważ pewna czytelniczka w liście, że zapomnieliśmy o prezencie dla Jarosława Kaczyńskiego, zaczynamy właśnie od niego. Jesteśmy jednak w kropce. Przecież dostał już tyle prezentów – całe portfolio koncernu Polska Press na przykład. Żeby jednak nie było, my też jeden mamy. Stabilna większość sejmowa, oto prezent. Inna sprawa, że szeregowy wicepremier Kaczyński jest w stanie ustrugać większość sejmową nawet z dwóch agrafek, gumki i znalezionych w szufladzie ołówków. Więc w sumie nie potrzebuje naszego prezentu.

Dla prezydenta Andrzeja Sebastiana mamy w prezencie krasnała. Wielkiego, brodatego krasnała w okularach. A to dlatego, że swojego starego krasnała, znaczy Marcina Kędrynę, wyrzucił. I to tak daleko, że biedak nie stoi nawet w ogrodzie. A przecież ciężko żyć bez własnego krasnała. Niestety, nasz gipsowy krasnał do pięt Kędrynie nie dorasta (znaczy błyskotliwością, humorem i mediami społecznościowymi, bo ogólnie jest podobnych rozmiarów).

Dla premiera Mateusza – taser. To jest taki dynks, który uspokaja nadmiernie ekscytujących się, gestykujących i rozgadanych osobników. Idealny do dyscyplinowania wiceministrów. Ministrowie dyscyplinują się sami na posiedzeniach rządu, bo trudno jest im znieść zjednoczony

krytyczny wzrok premiera i szeregowego wicepremiera.

Dla wicepremiera Jarosława Gowina – nowa Jadwiga Emilewicz. Skonstruowaliśmy ją z części, które zostały nam po złożeniu kilku elektrycznych samochodów produkcji polskiej, jakie sobie ostatnio kupiliśmy. Nowa Jadwiga wygląda jak poprzednia, ale w odróżnieniu od niej nie pójdzie sobie samowolnie w kierunku PiS, gdyż zapobiegają temu specjalne obwody bezpieczeństwa. A Gowinowi przyda się trochę pomocy, bo ledwie wyrabia.

Dla Zbigniewa Ziobry – wehikuł czasu. Żeby mógł wybrać się w przyszłość i sprawdzić, co z tego wszystkiego wyniknie. W sumie bowiem zdania są podzielone. A my mamy nadzieję, że jak już się w podróż wybierze i wróci, to nam potem wszystko opowie.

Dla Eine Totalopposition mamy taką małą miedzianą maszynkę. Z jednej strony jest korbka, w środku różne ustrojstwa, a na końcu elektrody. Elektrody przypinamy sobie do czoła. Kręcimy korbką. Wtedy prąd wali nas w czoło. Jest to najbardziej zbliżony do oryginału mechanizm obrony praworządności. Ponieważ zabawa najfajniejsza jest w większym gronie, przygotowaliśmy kilka egzemplarzy. Borysław Budka będzie mógł podpisać Nitrasy, Nitrasy Neumanna, Neumann Kidawę, Kidawa Scheta i tak sobie razem będą kręcić korbkami oraz podrygiwać w nienawiści do PiS.

Dla marszałkissimusa Tomasza Grodzkiego mamy w prezencie rurkę z wentylem. Instrukcja obsługi: punkt 1) podpinamy rurkę do Grodzkiego, punkt 2)

dwaj panowie g



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

spuszczamy trochę powietrza, bo chłopina pęknie, 3) powtarzamy codziennie rano i wieczorem, zwłaszcza po orędziach, kiedy się nadyma do granic możliwości.

Dla Donalda Trumpa, znanego jako dobry Donald z Waszyngtonu, mamy czapkę z daszkiem z napisem: „Make Poland great again”. Czapeczka leży w gabinecie jednego z ministrów, świeża, nieużywana. Donald miał ją dostać podczas wizyty w Polsce 1 września 2019 r. w rocznicę wybuchu drugiej wojny światowej, ale zamiast siebie przysłał wiceprezydenta Mike’a Pence’a. Czapeczka czekała więc na następną okazję, okazji nie było ani nie będzie, bo wygrał Biden, a nie chcemy, żeby się zmarnowała.

Dla Donalda Tuska znanego jako zły Donald z Brukseli mamy butelczynę. W odróżnieniu od tej, która stała na półce za Donaldem i Martą Lempart, kiedy robili sobie focie, nasza butelczyna jest wyższej jakości. Już tłumaczymy, skąd ten pomysł – w każdej rodzinie trafi się taki męczący wujek, który nie ma nic ciekawego do powiedzenia, a mimo to gada jak najęty na wszystkich chrzcinach, prywatkach i świątecznych obiadach. Albo na Twitterze. Dopiero jak sobie mocniej lutnie, to robi się spokojny i mamrocze coś tylko pod nosem na fotelu w kącie, ku uldze rodziny. Na zdrowie, wujku Donaldzie!

Zaskakująco łatwo było znaleźć upominek dla Szymona Hołowni. To



odrobina wstydu. Zażyć można o dowolnej porze. Pamiętamy wszak, jak to kiedyś Szymon starał się przystępnie opowiadać o Panu Bogu, wierze, modlitwie i rozmaitych innych rzeczach, które teraz zgodnie wołają z kąta: „Szymonie, miej ty odrobinę wstydu!”. Więc mu tę odrobinę wstydu zapakowaliśmy.

Dla Władysława Tygrysa-Kamysza mamy wasy. Porządne, gęste wasy w stylu Wincentego Witosa. Nie zostawił nam wyboru. Skoro z każdym kolejnym rokiem Tygrys udowadnia, że na nic mu kręgosłup, poglądy, charakter i troska o polskiego chłopca, wasy witosowskie okazują się jedynym elementem, który może go przybliżyć do poważnego polityka.

Dla Pawła Kukiza chcieliśmy wyszykować demokrację bezpośrednią, ale nigdzie nie mogliśmy jej dostać, we wszystkich sklepach bezradnie rozkładali ręce i mówili: „Nie ma”. Zapisaliśmy się więc na import towarów luksusowych ze Szwajcarii, ale nie wiemy, czy demokracja bezpośrednia dojdzie na czas, bo sporo po drodze blokad, granic, obostrzeń i różne strefy kwarantanny.

Dla Daniela Obajtka, szefa Orłenu, szykujemy prezent w postaci ok. tysiąca redaktorów naczelnych. Tytuł będzie potrzeba, żeby było komu kierować przejętymi wraz z Polska Press dziennikami, tygodnikami i portalami. Ze względu na rozmiary prezentu jego pakowanie może trochę potrwać.

Dla Rafała Trzaskowskiego mamy nową nazwę jego ruchu. Jest pilnie potrzebna, bo pierwsza nazwa, czyli Nowa Solidarność, zużyła się szybciej, niż trwa

wypowiedzenie tej nazwy, a nazwy drugiej – Wspólna Polska – nie pamiętają nawet przyjaciele Rafcia z Peło, tacy jak Małgośka Kidawa-Błońska. Może jest zbyt trudna do zapamiętania? Zatem proponujemy nazwę trzecią, najłatwiejszą: Ruch. Po prostu Ruch. Ups, no tak, ale Ruch został kupiony przez Orleń! Co za pech! Wygląda na to, że Rafcio Trzaskowski nie dostanie w tym roku nic. W sumie zasłużył.

Dla Grzegorza Schetyny – specjalny zegarek. Ten zegarek będzie pokazywał, kiedy wreszcie nadejdzie czas Grzegorza. Dotąd było bowiem tak, że ile razy wszyscy myśleli, że nadchodzi czas Grzegorza, to okazywało się, że jednak nie nadchodzi.

Dla Włodzimierza Czarzastego – kolejny sweterek. Ale uwaga! Tym razem to prezent przewrotny! Udziargaliśmy go ze sprutych szalików kibiców pielgrzymujących na Jasną Górę. Więc może troszkę parzyć.

Dla posłów Konfederacji mamy prezent szczególnie, bo żeby go przechowywać, trzeba mieć zamrażarkę nastawioną na -70 st. C. To zestaw szczepionek na COVID-19. Prezent jest podwójny, bo przecież sami nie zużywają, gdyż nie wierzą w epidemię. Ale za to będą mieli jak znalazł na prezenty dla innych, więc sporo oszczędzą.

Dla Misia Kamińskiego mamy w prezencie bilet do Włoch. Tylko tam będzie mógł w świątecznym jacuzzi w obszernej Villa Romana zażywać kąpeli ze swym druhem Romanem Giertychem. Zwykli to robić w Zakopanem, ale za sprawą COVID i PiS w tym roku nie mogą.

Dla Romana Giertycha mamy też bilet. Z Włoch do Polski. Żeby jak się wymoczy z Misiem w jacuzzi, mógł przylecieć i zeznawać w prokuraturze, czego dotąd nie zrobił, bo zapewne nie stać go na samolot. Nie musimy zaznaczać, że bilet jest w jedną stronę. Kiedy Roman przyleci, wtedy już nie wyleci. Już organów ścigania w tym głowa.

W związku z tym mamy dla Romana jeszcze jeden prezent, tym razem osobisty i praktyczny. To łyżka z zastrzonym trzonkiem. Do celi jak znalazł! Będzie nią Roman mógł wyskrobać na ścianie „*****” albo „Donald, *****, ratuj!”. Ewentualnie, gdyby wyrok okazał się wyjątkowo ciężki, wyskrobać sobie drogę na wolność, jak bohater filmu „Skazani na Shawshank”. Tylko zamiast plakatu z Raquel Welch

po pewnie będzie miał plakat z Lempart.

Dla wszystkich wiewiórek hojnie zaopatrujących naszą rubrykę w rozmaite ciekawe informacje przygotowaliśmy specjalne szyfrowane systemy łączności. W czasach pandemii ciężko bowiem spotykać się osobiście. Dużo więc gadamy zdalnie. Ponieważ nie stać nas na drogie elektroniczne gadzety, proponujemy szyfrowany system polegający na tym, że dzwonicie do nas z nieznanymi numerami, ale żeby się zidentyfikować, zaczynacie rozmowę od wypowiedzenia słów: „Halo? Poproszę panią zamiejscową. Lubartów czydzieści czy. Czy co? Nie czy pytajne tylko czy wzięte liczebniczko. A, mój numer – czysta czydzieści czy”. Wesołych świąt! A las możecie sobie wziąć za darmo. I tartak. © ©

W dniu 8.12.2020 zmarł w Meksyku



Profesor Zbigniew OZIEWICZ

Profesor Instytutu Fizyki Teoretycznej UW 1965–2003
Profesor Universidad Nacional Autonoma de Mexico od 1993,
Profesor Uniwersytetu w San Antonio w Teksasie od 2008
Członek redakcji pięciu międzynarodowych czasopism naukowych
Od 1977 kolporter niezależnych niepodległościowych wydawnictw
Współorganizator struktur RKS Dolny Śląsk
Współtwórca Solidarności Walczącej, członek Rady Politycznej SW
Internowany w 1982 w Grodkowie
Aresztowany w 1984 i osadzony w areszcie na Świebodzkiej
we Wrocławiu

Odnznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski,
Krzyżem Wolności i Solidarności, Krzyżem Solidarności Walczącej

Msza św. pogrzebowa w kościele św. Augustyna przy
ul. Sudeckiej 90 we Wrocławiu-Krzyżkach
W dniu 12 grudnia 2020 o godz. 18.30

W 2011 r. w liberalnym „Guardianie” ukazał się artykuł „Franciszek z Asyżu – święty na nasze czasy”. Autorka (Heather McDougall), przedstawiana jako „specjalistka od katolicyzmu i buddyzmu”, stwierdziła, że „troska o ubogich była centralnym tematem życia św. Franciszka z Asyżu. Jest on świętym na nasze czasy, ponieważ reprezentuje tradycję pełnego mocy upominania się o sprawiedliwość społeczną. Problemy, z którymi się mierzył, są problemami, którym my również

wojny w Afganistanie. „Ludzie wokół niego powtarzali mu, że szaleństwem jest działanie w pojedynkę na rzecz powstrzymania krucjat. Jednak wyruszył i wywarł głębokie wrażenie na przywódcach muzułmańskich, którzy – co niezwykle – pozwolili mu wyjechać. Czy to bohater, czy szaleniec, który by pojechał do Afganistanu, by powstrzymać tam wojnę?”.

Nie tylko pacyfista, nie tylko patron ruchu „Occupy Wall Street”, lecz także pierwowzór rockmana. Jak stwierdza



Grzegorz Kucharczyk

Jednym z przejawów dramatycznego kryzysu Kościoła jest dopatrywanie się podobieństw między surowym pokutnikiem z Asyżu a księdzem, który porzucił sutannę, „problem celibatu” zaś rozwiązał, żeniąc się ze zbiegłą mniszką

Święty na miarę naszych potrzeb

musimy stawić czoła: zaangażowanie w wojnę, bieda, korupcja na wysokich stanowiskach, społeczne wykluczenie i luka między biedą a bogactwem”.

Według brytyjskiego dziennika Biedaczyna z Asyżu wiedziałaby, jak poradzić sobie ze światowym kryzysem finansowym: „Jego życie i przesłanie było proste i bezkompromisowe: chciwość powoduje cierpienie zarówno jej ofiar, jak i sprawców. Spojrzenie św. Franciszka na tych ostatnich jest aktualne, zważywszy na to, jak bankierzy przyznają sobie nienależne, ogromne premie, podczas gdy inni cierpią. Obojętność chciwców i ich nienawiść wobec biednych rani również bogatych. Święty Franciszek uważał, że życie w taki sposób jest moralnie, społecznie i duchowo destrukcyjne”.

Biedaczyna z Asyżu wiedziałaby również, jak poradzić sobie z problemem

bowiem specjalistka od katolicyzmu i buddyzmu z „Guardiana”, św. Franciszek „grał na prototypie gitary, na instrumencie potępionym przez niektóre władze kościelne. Grał swoje własne pieśni i kompozycje, zachęcał innych, by na tym instrumencie wykonywali jego słynny »Hymn do Brata Słońce«, który ogłasza, że całe życie zależy od jednej i tej samej przyczyny: naszej ziemi i słońca”.

Resume rozważań autorki „Guardiana” o życiu Biedaczyny z Asyżu brzmi, jak następuje: „Święty Franciszek prezentuje wizję innego świata, w którym koncentrując się na budowaniu właściwych relacji z ziemią i wszystkimi bratnimi nam stworzeniami, również dzielimy bogactwa i samo życie. Jego panteistyczny język, obszarpane ubranie i kampania na rzecz sprawiedliwości społecznej są dobrym antidotum na toksyczny obraz



Święty Franciszek z Asyżu
FOT. THE METROPOLITAN MUSEUM OF ART



Boga, obraz ludzkiego ciała i deifikację bogactwa, z którymi dzisiaj walczymy”.

SEKULARYZACJA ŚWIĘTEGO

Czytając takie opinie przypominam sobie spostrzeżenia Gilberta Chestertona, który w opublikowanej niemal 100 lat temu książce o św. Franciszku z Asyżu, zauważył, że autor zajmujący się życiem Biedaczyny mógłby przedstawić go jako „wzór cnót społecznych”, jako „jedynego na świecie całkowicie szczerzego demokratę”. Ba, mógłby nawet stwierdzić, że „święty Franciszek przeżył wszystko, co najbardziej liberalne i sympatyczne w nowoczesnym sposobie myślenia: miłość przyrody, miłość zwierząt, poczucie więzi społecznej i niebezpieczeństw duchowych tkwiących w zamożności, a nawet we własności. [...] Można by go przedstawić nie tylko jako bohatera pełnego ludzkości, lecz także jako bohatera humanizmu; ba, jako pierwszego bohatera humanizmu”.

Tę sekularyzację wizerunku świętego założyciela zakonu franciszkanów angielski pisarz porównywał do próby opisanie biografii Fridtjofa Nansena – norweskiego polarnika – bez jakiegokolwiek wzmianki o biegunie północnym. Czegoś tak karkołomnego podjęli się w XIX stuleciu pisarze niekryjący swojej wrogości do Kościoła i katolicyzmu, chlubiący się swoim ateizmem – Ernest Renan oraz Matthew Arnold. Podjęli próbę – jak pisał Chesterton – „opowiedzenia dziejów świętego, nie mówiąc o Bogu”. „Poprzestali na towarzyszeniu Franciszkowi z pochwałami aż do miejsca, gdzie ich zatrzymały własne przesady; uparte przesady sceptyków. Z chwilą, gdy Franciszek zaczął robić coś takiego, czego nie rozumieli albo co im się nie podobało, nie starali się tego pojąć, a tym mniej polubić; po prostu odwracali się od całej sprawy i „więcej się nim nie bawili”. Jak pokazuje przykład „Guardiana”, taki sposób patrzenia na tego świętego ma się dobrze także w naszych czasach.

ANTYSYSTEMOWIEC?

W ten sposób Biedaczyna z Asyżu dzieli los swojego boskiego mistrza (wszak „sługa nie może być większy od swego Pana”). Wszyscy tropiciele „historycznego Jezusa” (w tym gronie Renan także należał do prekursorów) widzieli w nim wybitnego humanistę, wielkiego reformatora, a nawet rewolucjonistę z karabinem, odzierając go z tego, co





■ było najważniejsze – jego boskości i zbawczej misji. „Historyczny Jezus” nie tylko nie był założycielem Kościoła katolickiego, lecz także był mu przeciwstawiany jako przeciwnik wszelkiego „instytucjonalnego skostnienia” – zawady na drodze głoszenia „prawdziwej Ewangelii”. Jezus – tak, Chrystus – nie. Jezus – tak, Kościół – nie.

Podobne „zabiegi wizerunkowe” dotyczą św. Franciszka z Asyżu, kreowanego na rzucającego wyzwanie współczesnemu sobie „systemowi”, a nawet na prekursora ruchu hippisowskiego (por. film *Zeffirellego*). Autorom takiego wizerunku Biedaczyny nie chce się pomieścić w głowie, że jest on świętym Kościoła rzymskiego i katolickiego, że w kluczowych momentach jego życia to hierarchowie Kościoła okazali mu wsparcie i zrozumienie dla jego misji, „naprawy Domu Bożego” – wedle słów, które Franciszek usłyszał z ust Ukrzyżowanego w zrujnowanej kaplicy św. Damiana („Idź, Franciszku, i odbuduj mój dom, który popada w ruinę!”).

To płaszcz biskupa Asyżu Gwidona okrył nagie ciało Franciszka, który zrzucając ubranie pod nogi swojego ojca (bogatego kupca), zademonstrował swoje radykalne wyrzeczenie się ziemskich bogactw oraz to, że uznaje jako swojego jedynego ojca Tego, który jest w Niebie. Gestem tym biskup „zaadoptował to dziecko w imieniu Kościoła” (Daniel-Rops).

Zacytowany XX-wieczny francuski historyk Kościoła podkreślał, że „mały Umbryjczyk nie miał nic wspólnego z wędrownymi prorokami, od których się wówczas roilo, wymachującymi Ewangelią przeciwko Świętemu Kościołowi, którzy siali zamęt w diecezjach pod pretekstem życia chrześcijaństwem integralnym i co do których nigdy do końca nie wiadomo, czy przypadkiem nie są waldensami albo zwolennikami patarii”.

Twardo z tymi i innymi ruchami hereetyckimi rozprawiał się papież Innocenty III (1198–1216), którego pontyfikat uznawany jest za apogeum „papieskiej teokracji”, gdy Kościół rzymski wziął górę nad popadającym w coraz większy kryzys Cesarstwem, gdy kolejni władcy (nawet król Anglii) uznawali nad sobą zwierzchność następcy św. Piotra. A jednak to właśnie ten hieratyczny Innocenty III przyjął w 1210 r. na audyencji Franciszka i 12 innych, na pozór obdartusów. W reakcji na żarliwe słowa 28-lletniego

Umbryjczyka zszedł ze swojego tronu i wedle tradycji ukląkł przed Franciszkiem, mówiąc do towarzyszących mu kardynałów: „Zaprawdę, ten pobożny i święty człowiek przywróci Kościołowi Bożemu jego podstawy!”.

Kończąc audyencję, Innocenty III powiedział do Biedaczyny i jego 12 towarzyszy: „Idźcie z Bogiem, bracia, i głosście pokutę zgodnie z natchnieniem Pana. A kiedy Wszechmogący sprawi, że się powiększycie, wróćcie do mnie, a dam wam dużo więcej niż dzisiaj”. Dotrzymał słowa. Gdy w 1215 r. IV sobór laterański zadekretował zakaz tworzenia nowych zakonów bez zatwierdzonej wcześniej reguły – a taka była sytuacja rodzącej się kongregacji franciszkańskiej – Innocenty III oświadczył, powołując się na swoje słowa wypowiedziane podczas audyencji z 1210 r., że zakaz ten nie dotyczy Poverello i jego towarzyszy, którzy papieską akceptację dla swojego wspólnotowego życia już otrzymali.

Tradycja mówi, że w noc poprzedzającą przełomową audyencję dla Franciszka i jego towarzyszy Innocenty III miał sen, w którym ujrzał, jak bazylika na Lateranie, katedra Biskupów Rzymu („matka wszystkich katedr”), chwieje się w posadach, a przed zupełnym upadkiem chroni ją jakiś biedak podtrzymujący na swoich barkach cały jej ciężar. Jakkolwiek było, to wsparcie ze strony „papieża imperatora”, będącego zwornikiem „systemu”, okazało się kluczowe dla rozpoczęcia przez Franciszka jego misji.

REFORMATOR I RYGORYSTA

Jak wszyscy prawdziwi reformatorzy (tj. odnowiciele) Kościoła zaczął on od siebie. Osobiste nawrócenie Franciszka, porzucenie trybu życia charakterystycznego dla „złotej młodzieży” tamtych czasów było początkiem tej drogi, która w 1224 r. doprowadziła go do otrzymania stygmatów na górze Alverno. Zyskujący dzisiaj na sile w Kościele powszechnym zwolennicy rewolucyjnego wywrócenia nauczania moralnego pod płaszczykiem „podejścia duszpasterskiego” i „czułego miłosierdzia” unikającego „rygoryzmu moralnego” postępują dokładnie odwrotnie niż Franciszek. Odnowę „Domu Jezusa” rozpoczynał on od wezwania do pokuty. Przybrała ona formę radykalnej ascezy i zatopienia się w modlitwie, czyli mówiąc językiem dzisiejszych „odnowicieli” Kościoła, właśnie „rygoryzmu moralnego”.

W ten sposób Kościół z kryzysu „ciemnych wieków” dźwigał w wiekach X i XI święci twórcy kongregacji kluniackiej (Odon, Odilon, Majol), w XII w. dokładnie tak samo rozpoczynał odnowę Kościoła św. Bernard z Clairvaux, a w kolejnych wiekach po Franciszku analogicznie przez osobistą świętość do naprawy całego Kościoła szli odnowiciele Kościoła w XVI stuleciu (na przykład św. Karol Borromeusz czy św. Ignacy Loyola). Zupełnie inaczej postępował twórca reformacji protestanckiej, Marcin Luter, który ze swojej niezdolności powściągnięcia cielesnych pokus (deficyt „moralnego rygoryzmu”) wyprowadził naukę, która w końcu przywiodła go do zanegowania sensu istnienia samego Kościoła, bez względu na rządy takiego czy innego papieża.

PRAWIE JAK LUTER?

Jednym z przejawów dramatycznego kryzysu współczesnego Kościoła, który jak wszystkie jego odmiany we wcześniejszych wiekach (choć z różnym natężeniem) przebiega wedle wzorca: „kryzys wiary wiedzie do kryzysu rozumu”, jest dopatrywanie się podobieństw między surowym pokutnikiem z Asyżu, który żar cielesnych pokus gasił tarzaniem się w śniegu z księdzem, który porzucił sutannę, a „problem celibatu” rozwiązał raz na zawsze, zeniając się ze zbiegłą mniszką. Zważywszy na głęboką „erozję wiary” w Niemczech (wedle słów papieża Franciszka), która jest rezultatem głębokiego kryzysu duchowego tamtejszego Kościoła, specjalnie nie dziwi, że tego typu zestawienia dochodzą ze strony niemieckich hierarchów.

Za ich sprawą postać mistyka z Alveronii została wprzęgnięta do obchodów (w tonie jak najbardziej afirmatywnym) 500-lecia protestanckiej reformacji. W ramach przygotowania do nich pisano na nowo historię Kościoła. We wrześniu 2016 r. katolicki biskup Magdeburga Gerhard Feige (zupełnie przypadkiem nazwisko tego hierarchy na język polski tłumaczy się jako „tchórz”) w jednej ze swoich homilii stwierdził ni mniej, ni więcej, że Luter jest „przykładem, który powinni naśladować wszyscy chrześcijanie”, ponieważ „podobnie jak św. Franciszek lub Dietrich Bonhoeffer [pastor stracony przez nazistów w czasie wojny – przyp. aut.] poprzez swoją wiarę w Boga gruntownie zmienił swoje życie”.

W podobny sposób w tym samym 2016 r. wypowiedział się na kartach



Biedaczyna z Asyżu odnowę rozpoczynał wezwaniem do pokuty przyjmującej formę radykalnej ascezy

FOT. THE METROPOLITAN MUSEUM OF ART

swojej książki „Marcin Luter. Ekumeniczna perspektywa” kard. Walter Kasper, przez lata biskup Stuttgartu, obecnie jedna z najbardziej wpływowych osobistości w najbliższym otoczeniu papieża Franciszka, który niejednokrotnie dawał publicznie wyraz swojemu uznaniu dla teologii uprawianej przez byłego przewodniczącego (w latach 2001–2010) Papieskiej Rady ds. Wspierania Jedności Chrześcijan. Tak ważny dostojnik Kościoła powszechnego wyrosły w atmosferze „niemieckiej drogi” ku „nowoczesnemu chrześcijaństwu” stwierdził w swojej książce, że „ze swoim zaangażowaniem na rzecz Ewangelii Luter tkwi w długiej tradycji katolickich odnowicieli. Myślę tu przede wszystkim o Franciszku z Asyżu, który

wraz ze swoimi braćmi chciał żyć Ewangelią i poprzez to ją głosić”.

„Stanem wyższej konieczności” tłumaczy kard. Kasper to, że w przeciwieństwie do Biedaczyny z Asyżu „życie Ewangelią” Marcina Lutra oznaczało nie odnowienie, ale rozłam w Kościele. Za to jednak „dobrze utrzesioną miarę” współwiny ponosili papież i biskupi, którzy „wzbranił się przed reformą”. Gdyby nie uparty Rzym! Gdyby nie skostniałe struktury Kościoła! Pokuta? Pokora? Czystość? Na „niemieckiej drodze” ku „nowoczesnemu chrześcijaństwu” mogą one się zdarzyć, ale nie są konieczne. Najważniejsza jest „praktyka duszpasterska”. Najpierw jest czyn, a potem słowo.

GRZESZĄCY PRZECIW EKUMENIZMOWI?

Święty Franciszek postępował dokładnie odwrotnie. Wiedział, że „na początku było Słowo”. Parafrazując słowa abp. Fultona Sheena, można powiedzieć, że Biedaczyna z Asyżu nie wybierał słów pasujących do stylu jego życia, ale dopasowywał swoje życia do słów, które słyszał od Boskiego Mistrza. W 1209 r. szczególnie mocno przemówiły do niego w kościółku św. Damiana te zapisane w Ewangelii: „Idźcie więc i nauczajcie wszystkie narody! Bliskie jest królestwo Boże”. Jak zawsze Franciszek potraktował je dosłownie, nie stosując żadnych ekumenicznych klauzul wyłączeń. Nie znał pojęcia „grzechu przeciw ekumenizmowi” i z intencją nawrócenia do Chrystusowego królestwa mużulmanów udał się do Egiptu.

Mameluckiego sułtana nie przekonał, ale przecież nie jechał do Damietty, by ogłosić tam franciszkańsko-mamelucką deklarację o tym, że sam Bóg chciał różnorodności religii. Nie na tym polegał żar wiary, który pchnął go za morze. Swoją drogą – czy niemieccy biskupi tak chętnie odwołujący się do postaci św. Franciszka, nawet w zupełnie karkołomnych kontekstach (jak wyżej), pójdą w ślad Biedaczyny, który choć odrzucał krucjaty, chciał nawracać mużulmanów do Chrystusa? Dzisiaj nie trzeba jechać za morze. Miliony mużulmanów żyją nad Spławą i Łabą.

NAJPIERW KRÓLESTWO BOŻE

Za Chestertonem można powiedzieć, że Poverello „był kochankiem Boga”, „nie kochał chrześcijaństwa, lecz Chrystusa”, dlatego też kochał ludzi (nie ludzkość),

którym bez wyjątku – czy to w Umbrii, Rzymie, czy delcie Nilu – chciał przybliżyć Boskiego Mistrza. Tylko On się liczył. Wszystko inne było dodatkiem.

Ta perspektywa zdaje się zanikać we współczesnych kościelnych odniesieniach do postaci Poverello, które czyta się jak złagodzoną nieco wersję artykułu z „Guardiana”. Weźmy ostatnią encyklikę papieża Franciszka „Fratelli tutti” (podpisaną w Asyżu na grobie Biedaczyny). Odwołuje się ona do tego świętego, odmalowując jego konterfekt jako apostoła międzyludzkiego braterstwa, które w tym dokumencie jawi się raczej nie jako skutek pierwotnej przyczyny (miłość do wszystkich ludzi ich jedyne Stwórcy i Zbawiciela), ale właśnie jako zasada naczelną, wokół której należy budować globalny konsensus na rzecz walki z biedą materialną, ociepleniem klimatu i wykluczeniem społecznym imigrantów. Dla zakochanego w Bogu Franciszka kolejność była zupełnie inna – najpierw Ukrzyżowany Chrystus, potem pozostałe rzeczy. Wśród nich umiłowanie stworzenia. Papież Jan Paweł II ogłosił św. Franciszka patronem ekologów. Do dzisiaj w dokumentach papieskich (por. encyklikę „Laudato si”) poświęconych problemom ekologicznym postać Biedaczyny jest przywoływana jako pierwowzór troski o środowisko. Z kolei dla liberalnych autorów nowych żywotów Biedaczyny z Asyżu (próbka z „Guardiana” wyżej), jego żarliwa, mistyczna wiara w Ukrzyżowanego, która przejawiała się w pochwaleniu Jego dzieła stworzenia (bo „przez Słowo wszystko się stało”), jest raczej dowodem... panteizmu.

Chesterton pisał o św. Franciszku, że „był duszą cywilizacji średniowiecznej, zanim ta zdołała przybrać swój kształt”. To była cywilizacja ukształtowana przez katolicyzm, który jest religią inkarnacji, sakramentalizującą byt. Także sferę materialną. Słowo stało się ciałem, a bez chleba i wina nie ma Eucharystii, źródła i szczytu wiary Kościoła. Z takiego ducha wyrastał „Hymn do słońca” św. Franciszka – wspaniały utwór „Bożego trubadura”, ale jednocześnie wielka polemika z rozprzestrzeniającą się wówczas herezją katarską (albigensów) negującą świat materialny jako będący dziełem „Złego Boga”. Każdy, kto słuchał tego „Hymnu”, kto go wykonywał, kto czytał opowiadania o tym, jak Biedaczyna rozmawiał ze skowronkami i wilkiem, wiedział, że wszystko, co Bóg stworzył, było i jest dobre.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



**Z ks. abp. Markiem Jędraszewskim,
metropolitą krakowskim**
rozmawia Ryszard Gromadzki

FOT. BEATA ZAWIŁŁEJ / REPORTER



RYSZARD GROMADZKI: Księżę arcybiskupie, czy termin „katolicka Polska” jest wciąż aktualny? Masowe demonstracje w ramach tzw. strajku kobiet wymierzone przeciw życiu nienarodzonych w oczach wielu katolików były manifestacjami demonicznymi. W obiegu publicystycznym, ale nie tylko, pojawiły się głosy, że skala tych wystąpień jest dowodem na to, iż katolicka Polska to tylko mit bez pokrycia w rzeczywistości.

ABP MAREK JĘDRASZEWSKI: Obrazy, które płynęły z mediów, mówiące o tym, co działo się na ulicach, ale nie tylko obrazy – także rzeczywistość, tu sprzed pałacu arcybiskupów krakowskich przy ul. Franciszkańskiej – mogły naprawdę przytłaczać. To był obraz, jak pan słusznie mówi, prawdziwie demoniczny. Takiego potoku złych słów, zaciętości, nienawiści nie pamiętam, a już troszkę żyję na tym świecie. Nie pamiętam dobrze czasów stalinowskich, ale pamiętam jako młody

katolickiej. Dzisiaj patrzemy na to z perspektywy pewnego oddalenia czasowego. Ponadto ulice, może poza samą Warszawą, opustoszały. W Krakowie niektóre demonstracje gromadzą zaledwie 8–10 osób, choć niejednokrotnie są przedstawiane jako wydarzenia, w których uczestniczą tłumy ludzi. Rysuje się szansa na jakiś powrót do racjonalnego myślenia i do oceny tego, co po 22 października, tzn. po ogłoszeniu wyroku Trybunału Konstytucyjnego, rozgrywało się na ulicach polskich miast. Natomiast na pewno bardzo musi niepokoić fakt, że była to erupcja jakiegoś bardzo agresywnego zła, przede wszystkim w warstwie werbalnej, ze strony kobiet, dziewcząt, nawet dzieci, które...

... domagały się prawa do nieskrępowanego zabijania dzieci nienarodzonych.

talnie: „Mein Bauch gehört mir”, czyli „Mój brzuch należy do mnie”. Natomiast proszę zwrócić uwagę, tak naprawdę te kobiety przekreślały siebie i swoje powołanie, które jest wpisane w ich kobiecą naturę.

Naturę żony, matki...

Tak – żony, matki. Jego prawdziwość objawia się najpierw, od strony negatywnej, w przypadku niestety dość licznych kobiet, które żyjąc w małżeństwie, nie mogą mieć dzieci. Jak bardzo one z tego powodu cierpią! Ale też, od strony pozytywnej, jak bardzo są szczęśliwe, kiedy w końcu ten skarb, ta łaska macierzyństwa staje się ich udziałem! To wszystko jest w pełni zrozumiałe, ponieważ jest wpisane w nie same. Podczas październikowych demonstracji właśnie to, co jest wpisane w naturę kobiety, usiłowano przekreślić i odrzucić. Zgodzę się z panem, że to miało charakter demoniczny. Istotą złego ducha jest to, że chce on przekreślić i odrzucić Pana Boga. W potoku bardzo złych słów kryło się radykalne odrzucenie Boga, który powołał kobietę do małżeństwa, a w konsekwencji do macierzyństwa. Za tym kryło się wręcz bezwzględne żądanie, aby otrzymać prawo do zabijania niewinnych, zupełnie bezbronnych dzieci. To musi budzić ogromne przerażenie. Co się stało z polskim społeczeństwem, które naraz uległo tak przerażającej narracji?

Ta narracja przejawiała się choćby w przyjętym kodzie językowym, nacechowanym agresją i wulgaryzmami...

Chodzi nie tylko o kod językowy, lecz także kod symboliczny.

Ze złowieszczą nową jakością w postaci ataków na kościoły, pomniki Jana Pawła II itd.

Takich rzeczy się spontanicznie nie robi. To musiało być przygotowane.

Chociaż liderki tego ruchu na każdym kroku podkreślają całkowitą spontaniczność swoich działań.

Szczególnie wtedy, kiedy za wszelką cenę starają się stać ofiarami rzekomej brutalności i przemocy ze strony policji, która rzekomo panuje na ulicach polskich miast, w przeciwieństwie do prawdziwej przemocy, którą co jakiś czas można zobaczyć na ulicach Paryża czy innych francuskich lub niemieckich miast. Ludzie dzisiaj są tacy, że za bardzo nie wnikają w przekazywaną treść, natomiast reagują na obrazki. Dlatego trzeba je tworzyć,

Demony naszej wolności

chłopiec czołgi na ulicach Poznania, ludzi uciekających przed niebezpieczeństwem śmierci podczas wydarzeń czerwca 1956 r. W marcu 1968 r. widziałem też, jak milicja pałowała studentów przed Uniwersytetem Adama Mickiewicza. Trochę więc już w swoim życiu widziałem. Jednakże tamte wydarzenia miały dość jasno zakreślony podział na bezbronne ofiary i na katów. Natomiast teraz głównie słowna przemoc zwracała się przeciwko nienarodzonym jeszcze dzieciom i przeciwko tym, którzy odważyli się bronić ich życia. Demonstrujący domagali się dla siebie prawa do zabijania całkowicie niewinnych i bezbronnych istot!

To mogło przytłaczać, to mogło rzeczywiście budzić przerażenie. Przy tej okazji tworzono narracje o końcu polskiego katolicyzmu, w jakiejś mierze nawet o końcu Polski, która rdzeń swojej duchowej tożsamości znajduje w religii

Owszem, taki to był ich główny postulat – żeby móc zabijać niewinne i całkowicie bezbronne dzieci. Ale za tym kryło się coś równie przerażającego: te kobiety przekreślały całą swoją kobiecą tożsamość, swoje powołanie do miłości drugiego człowieka, do macierzyństwa.

„Mój brzuch nie jest inkubatorem” – takie hasło widziałem na jednej z kamieni w centrum Warszawy...

Te hasła nie są nowe. Widziałem je już w latach 70. w Rzymie. Też odbywały się tam ogromne manifestacje kobiet, zwłaszcza 8 marca. Pamiętam, że nie mogłem przejść wtedy przez piazza Venezia, bo dla tłumów rozhysterizowanych kobiet i dziewcząt jako mężczyzna jawiłem się jako ich główny wróg. Te demonstracje odwoływały się m.in. pod hasłami „Io sono mia”, czyli „Ja jestem moja”, „Ja należę do siebie”. Niemki wyrażały to bardziej bru-

■ aby przekazać światu kłamliwe przesłanie o rzekomej przemocy panującej w Polsce. Tutaj nie ma żadnej spontaniczności. Za tym się kryje głęboko przemyślana, cyniczna strategia.

Projekt społecznej przebudowy...

Projekt budowy nowego społecznego ładu. Nie tylko w Polsce, lecz także w całym świecie zachodnim. A Polska w tej układance odgrywa znaczącą rolę.

Znaczącą z powodu przywiązania do katolicyzmu?

Tak, z powodu trwania przy wartościach pomimo ogromnej nawały medialnej, poprzez którą pewne siły starają się doprowadzić do osłabienia znaczenia Kościoła w życiu ludzi. Jednak ostatnie badania socjologiczne wskazują, że zdecydowana większość Polaków mimo demonstracji, protestów i wrzasków na ulicach jest przeciwko temu, żeby aborcja była na zyczenie. Nie byłoby takiej postawy bez ich zakorzenienia w katolickiej wierze. Do tego trzeba konieczne dodać postawę tych ludzi, młodszych i w średnim wieku, zwłaszcza mężczyzn, którzy bronili kościołów. Podczas największych demonstracji pod pałacem przy ul. Franciszkańskiej stała grupka mężczyzn, która modliła się na różańcu. To także obraz – i to bardzo ważny – naszej ojczyzny.

Signum Strajku Kobiet były ataki na kościoły, miejsca kultu, pomniki Jana Pawła II. Trudno oprzeć się wrażeniu, że mamy do czynienia z realizowaną z pełną premedytacją kampanią dyfamacji świętego papieża. Dla milionów Polaków, także niewierzących, Jan Paweł II, stanowi niezmiennie punkt odniesienia. Być może jedną z ostatnich „kotwic” wartości w naszej rozchwieanej rzeczywistości.

Problem podważania autorytetu, którym powszechnie cieszy się święty Jan Paweł II Wielki, nie dotyczy tylko Polski. Jest to problem całego zachodniego świata. Proszę zwrócić uwagę, że w jakiejś mierze ataki na Jana Pawła II, które miały miejsce w Polsce po ogłoszeniu wyroku Trybunału Konstytucyjnego, zbiegają się z tzw. aferą McCarricka i pojawiającymi się w pewnych środowiskach na Zachodzie głosami, aby doprowadzić do „dekanonizacji” Jana Pawła II. Różnymi drogami próbuje się osiągnąć ten sam cel: pozbawić świat zachodni, całą kulturę zachodnią, tego kluczowego punktu odniesienia w naszym myśleniu o człowieku i jego osobowej godności, którym jest Jan Paweł II. Chodzi o jego dyfamację.

Bardzo przekonują mnie argumenty, których niedawno użył pan redaktor Grzegorz Górny, gdy przyrównał obecną walkę z osobą Jana Pawła II do tego, co miało miejsce w 1963 r. – do globalnej operacji na świadomości ludzkiej w odniesieniu do papieża Piusa XII. Do 1963 r., kiedy się ukazała sztuka Rolfa Hochhutha „Namiestnik”, zwłaszcza przez środowiska żydowskie, w tym także przez najwyższe władze państwa Izrael, Pius XII był postrzegany jako ktoś, kto w sposób najbardziej realny pomógł Żydom w czasie drugiej wojny światowej, ratując ich przed Holokaustem. W 1963 r. zaczęło dochodzić do głosu już nowe pokolenie, które osobiście nie doświadczyło okropności wojny. Tym bardziej nie znało Piusa XII. KGB, posługując się Hochhuthem, w dość krótkim czasie do-

głosu dochodzą ludzie, których rodzice należą do pokolenia JP II. To już nie są ci, którzy mieli możliwość osobistego spotkania z Ojcem Świętym. Od jego ostatniej pielgrzymki do kraju minęło przecież prawie 20 lat. To zupełnie inni ludzie. Już go nie znają, już nie pamiętają. Czasem pokażą im w mediach naszego papieża jako człowieka bardzo schorowanego, mówiącego z trudem i z wielkim też trudem się poruszającego. Szkoda, że w przestrzeni publicznej dominuje wciąż obraz z ostatnich lat jego życia, naznaczonych prawdziwą drogą krzyżową. Ewentualnie „ozdabia się” to kremówkami z Wadowic z 1999 r.

Przyjęło się, że to kanon, który sprzedaje się medialnie...

Myślę, że bardziej medialne byłoby, gdyby pokazywało się papieża z lat 70. czy 80. – na nartach, wysportowanego, mówiącego wspaniałym, silnym głosem.

A z pamiętnej homilii z Kielc z 1991 r.?

To przemówienie, zwłaszcza we fragmencie, kiedy odłożył on kartki i zaczął mówić wprost od siebie, powinno być teraz nieustannie pokazywane – przynajmniej w mediach publicznych. Jego słowa z Kielc są jakby na dzisiaj – właśnie dla tych ludzi, którzy krzyczą z nienawiścią przeciwko sobie samym i przeciwko dzieciom, które im się jawią jako największe nieszczęście ich życia. W 1991 r. papież był jeszcze silnym, w miarę zdrowym człowiekiem. Czuł, że Polska roku 1991, niby już wolna, jest już inna od tej, do której przyjeżdżał w latach 1979, 1983 czy 1987. Inna Polska. On już czuł to, co pojawiało się wtedy w niektórych mediach laickich. Pisano w nich, że ten papież był dobry do walki z komunizmem, ale po 1989 r. nie ma już prawa uczyć „wolnych Polaków”, na czym polega wolność w czasie demokracji. Proszę zwrócić uwagę na to, że miesiąc przed przyjazdem papieża do Polski została opublikowana encyklika „Centesimus annus”, w której Jan Paweł II stwierdzał, że demokracja bez obiektywnych wartości łatwo może przekształcić się w jawny bądź zakamuflowany totalitaryzm. To stwierdzenie od samego początku było podważane.

Wróćmy do wątku dyfamacji Jana Pawła II. Czy zdaniem księdza arcybiskupa sprawa kard. Dziwisza wpisuje się w ten plan?

Myślę, że to jest bardzo przemyślana akcja. Proszę popatrzeć, że mechanizm

Wobec Jana Pawła II uruchomiono podobny mechanizm do tego, który w latach 60. ubiegłego wieku zastosowano wobec Piusa XII

prowadziło do powstania czarnej legendy odnośnie do tego papieża, oskarżając go jeśli nie o współpracę z Niemcami, to przynajmniej o obojętność na los Żydów skazanych na zagładę. Komuniści nie mogli Piusowi XII przebaczyć tego, że już w czasie wojny widział większe zagrożenie dla ludzkości ze strony ideologii bolszewickiej niż hitlerowskiego nazizmu. A ponadto dzięki ogromnemu osobistemu zaangażowaniu Piusa XII do władzy w Italii nie doszła partia komunistyczna. Europa powojenna wyglądałaby zupełnie inaczej, gdyby nie tylko Grecja, jak też początkowo tego chciano, lecz także Italia stały się częścią imperium sowieckiego. Trzeba więc było dokonać na nim zemsty poprzez zszarganie jego dobrego imienia. Dokonano tego, niestety bardzo skutecznie, w chwili, w której pojawiło się zupełnie nowe pokolenie, właśnie na początku lat 60.

To analogia do tego, co obecnie dzieje się wokół Jana Pawła II?

To zupełnie podobna sytuacja, szczególnie jeśli chodzi o Polskę. Obecnie do

był dość podobny do tego, który zaistniał tuż po śmierci Jana Pawła II. Polska była pogrążona w ogromnej żałobie. Miliony Polaków, zwłaszcza młodych, którzy nie znali innego papieża, miały poczucie ogromnej pustki – jakby nagle zawałił im się świat. Żeby to przerwać, przeprowadzono bardzo dobrze medialnie przygotowaną akcję, ogłaszając, że jeden z najbliższych współpracowników Ojca Świętego, o. Konrad Hejmo, pozostawał na usługach służb specjalnych PRL. Po pierwsze, nie był on jednym z najbliższych współpracowników, choć jest prawdą, że Polacy przybywający do Rzymu mogli dzięki jego pośrednictwu i operatywności zbliżyć się do Ojca Świętego podczas audiencji czy uroczystości liturgicznych. Padło oskarżenie ze strony ówczesnego prezesa IPN, zaraz potem miała miejsce nieszcześna wypowiedź prowincjała dominikanów. W ten sposób ruszyła machina dyfamacji, która sprawiła, że niektórzy ludzie przerwali żałobę po Ojcu Świętym. No bo jak można płakać po kimś, kto miał w swoim otoczeniu agentów służb specjalnych PRL?! Próba uderzenia w najbliższego współpracownika Jana Pawła II, którym przez długie lata był rzeczywiście ksiądz, dziś kard. Stanisław Dziwisz, ma za zadanie pokazać, że papież nie jest do końca człowiekiem wiarygodnym. Trudno wyobrazić sobie bardziej przewrotne działanie. Znowu uruchomiono podobny mechanizm do tego, który w latach 60. ubiegłego wieku zastosowano wobec Piusa XII. Wtedy pierwszy obrońca Żydów w oczach całego niemal świata stał się nagle tym, kto pomagał w Holokauście lub co najmniej patrzył obojętnie na dokonywaną przez Niemców zagładę Żydów. Dzisiaj w instytucie Yad Vashem w Jerozolimie Pius XII jest przedstawiany jako jeden z głównych winowajców nieszczęścia narodu żydowskiego. To pokazuje, jaką operację na świadomości ludzkiej można wykonać w skali globalnej. A przecież możliwości takiej „operacji świadomościowej” są dzisiaj nieporównywalnie większe niż w 1963 r.

Dzisiaj mamy zaawansowane fabryki kłamstw pracujące na pełnych obrotach 24 godziny na dobę...

Świetnie zaprogramowane, niezwykle skutecznie oddziałujące na ludzkie emocje. To wszystko jest obecnie stosowane w Polsce.

Czy grozi nam scenariusz irlandzki czy maltański, jak wieszczą niektórzy publicyści? Jesteśmy skazani na dziejowy determinizm?

Powiedział pan: determinizm dziejowy. To pojęcie ze słownika marksistowskiego. Determinizm dziejowy głosili Marks, Lenin i Stalin, a przed nimi jeszcze Hegel. O determinizmie dziejowym uczyłem się już w szkole podstawowej. Dokładnie pamiętam lekcje z historii w siódmej klasie, gdzie dzieje ludzkości przedstawiano jako ciąg pewnych formacji społeczno-ekonomicznych, które swój kres w sposób konieczny znajdują w socjalizmie i komunizmie. Pamiętam zakłopotanie mojej nauczycielki, kiedy zapytałem ją, jak to jest, że demokracja i komunizm są zwieńczeniem procesów dziejowych, a przecież już w starożytności była demokracja ateńska, a dopiero po niej feudalizm i kapitalizm – o czym już sam wyczytałem z innych książek. Upadek komunizmu, do którego przyczynił się Jan Paweł II, wskazuje dobitnie, że nie ma czegoś takiego jak determinizm dziejowy.

Nie jesteśmy po „złej stronie historii”, jak była uprzejma wyrazić się ambasador pewnego zaprzyjaźnionego mocarstwa...

Jeżeli ktoś o czymś takim mówi, to znaczy, że przyjmuje istnienie determinizmu i jest przekonany co do tego, iż wszystko, co się dzieje, potwierdza słuszność dogmatów marksistowskich i neomarksistowskich. Natomiast chrześcijaństwo głosi nie determinizm dziejowy, lecz to, że panem dziejów i historii jest Jezus Chrystus – i że to On zwyciężył świat.

Panem czasu, a więc i pandemii. Chcę zapytać o postawę Kościoła w czasie epidemii. Czy zgodzi się ksiądz arcybiskup z oceną, że wielu pasterzom Kościoła zabrakło w trakcie tej pandemii odwagi. Wielu księży reagowało na zarazę z bojaźnią, zarażając wiernych lękiem i niepewnością. Niekiedy bardziej niż kapłanów przypominali urzędników inspekcji sanitarnej. Chociaż mamy też takie sytuacje jak we Francji, kiedy wobec restrykcji ze strony państwa to wierni domagają się na ulicach prawa do Eucharystii.

Domagają się Eucharystii, prawa do uczestniczenia we mszach świętych. Modlą się publicznie, klęczą przed swoimi katedrami – i to w laickiej Francji. To pokazuje, że i w tych trudnych czasach są ludzie, którzy szukają dla siebie nadziei i ratunku w Panu Bogu. Stąd przeżywają wielki głód Eucharystii. W wielu społecznościach: czy to narodowych, czy dużo

mniejszych, na przykład parafialnych, widać ogromne pragnienie, żeby za wszelką cenę móc przystąpić do sakramentów świętych – do sakramentu pokuty, do sakramentu Eucharystii. I tutaj muszę dodać jeszcze jedno, niejako wbrew temu, co pan przed chwilą powiedział: bardzo wielu księży i wiele sióstr zakonnych nie wahało się iść do osób zakażonych koronawirusem z duchową pociechą – czy to do szpitali, czy do domów prywatnych. W ostatnim czasie wielu księży umarło na tę chorobę – także stosunkowo młodych, zaraziwszy się od chorych. Okazali się prawdziwymi pasterzami, dzielącymi do końca los swoich owieczek.

A ten lęk?

Różnie ten lęk się rozkładał, jeśli chodzi o biskupów, o kapłanów. Mówił mi niedawno jeden z księży biskupów z innej diecezji, że ogromna liczba księży, która umarła, zwłaszcza teraz, jesienią, to wyraźny znak, że księża nie bali się iść do wiernych z posługą kapłańską, narażając swoje zdrowie i życie. O tym mało się mówi. Jednak może się nawet okazać, że jako pewna określona grupa społeczna kapłani katoliccy stali się ofiarami pandemii bardziej licznie niż inne grupy społeczne. To przełamuje pewną narrację, według której księża się tylko bali, kościoły były zamknięte, a dostęp do wiernych był ogromnie utrudniony. Powiedziałbym, że różnie to w różnych miejscach wyglądało. Generalnie rzecz biorąc, księża nie uciekali od swoich obowiązków. Kiedy się z nimi rozmawia, widać, jak bardzo boją, że wtedy, na wiosnę, kościoły mogły przyjmować zaledwie pięć osób na każdej mszy świętej.

Dzisiaj te restrykcje są mniej dotkliwe, ale nadal są bardzo duże, zwłaszcza w obliczu zbliżających się świąt Bożego Narodzenia, świąt rodzinnych i tak bardzo związanych chociażby z obecnością na pasterce. To rodzi ogromny ból u kapłanów, a zarazem konieczność poszukiwania takich rozwiązań, żeby być razem z ludem Bożym i dla ludu Bożego, umacniając jego nadzieję, podnosząc go na duchu. A jednocześnie wskazując, jak ostatecznie – mimo ogromnego postępu technologicznego w różnych dziedzinach życia – słaby i kruchy jest człowiek w obliczu sił natury. Jak nasze życie zarówno w wymiarze indywidualnym, jak i społecznym zależy od Boga, który jest jedynym Panem dziejów.



Premier Mateusz Morawiecki podczas rozmów z prezydentem Francji i premierem Węgier podczas szczytu UE w Brukseli 10 grudnia 2020 r. FOT. POOL/REUTERS/FORUM

Ani triumf, ani zgon



Rafał A. Ziemkiewicz

Słowa pożyczone z tytułu głośnej swego czasu książki najlepiej pasują do podsumowania sporu o to, czy rezygnując z weta wobec unijnego budżetu, odnieśliśmy sukces, czy ponieśliśmy klęskę

Obie strony tego sporu się mylą i zarazem obie mają rację. W istocie bowiem kłótnia o ocenę szczytu, tocząca się wewnątrz Zjednoczonej Prawicy (opozycja, na własną prośbę, od dłuższego już czasu pozostaje poza realną polityką), jest kłótnią nie tyle o to, co Niemcy wynegocjowali z większością unijnych rządów, Komisją i Parlamentem Europejskim, a nasz rząd musiał podpisać, lecz o przyszłość. O to, czego się spodzie-

wać, gdy zaczną działać mechanizmy uruchomione przez prezydencję niemiecką w ostatnich miesiącach tego roku i jaką pozycję wobec przemiany dokonującej się w Unii Europejskiej przyjąć.

Jak często bywa ze sporami toczonymi publicznie przez polityków, także i ten toczy się obok istoty sprawy. Głównie o to, co warte są zabezpieczenia, które zaoferowano Polsce i Węgrom w formie „niemającej mocy prawnej, ale stanowiącej zobowiązanie polityczne” deklaracji, obiecującej ograniczenie stosowania możliwości wstrzymywania funduszy unijnych na skutek negatywnej oceny „stanu praworządności” w danym kraju do „ochrony budżetu”. Jedni podkreślają, że obowiązujące rozporządzenie Rady Europejskiej z lipca tego roku nie zmieniło się ani na jotę i w praktyce oznacza ono, że aby wstrzymać jakiemuś krajowi przyznanie mu fundusze, większości 15 z 27 krajów Wspólnoty zamieszkałych przez co najmniej 65 proc. jej ludności wystarczy dowolny pretekst

(bo pojęcie praworządności nie jest w żaden sposób zdefiniowane). Drudzy uważają, że „polityczne zobowiązanie” zostanie dotrzymane i groźba wstrzymywania funduszy nie stanie się w UE sposobem pozaprawnego wymuszania na pojedynczych, słabszych państwach posłuszeństwa wobec koalicji państw „pierwszej prędkości”. Niektórzy za sukces uważają też wymóg „zatwierdzenia” rozporządzenia przez TSUE, który nawet jeśli nie dostrzeże sprzeczności lipcowego rozporządzenia z traktatami wspólnoty (raczej nie dostrzeże, sądząc po wyroku w podobnej sprawie – legalności tzw. relokacji imigrantów), to stanie się to nie wcześniej niż za dwa lata. To akurat nie jest prawdą, bo przy zastosowaniu trybu przyspieszonego TSUE może uwinąć się w kilka miesięcy; wprowadzenie nie ma to znaczenia w wypadku środków przyszłego budżetu UE, które i tak nie będą uruchamiane wcześniej niż za dwa lata, ale w wypadku funduszu „covidowego” – już może mieć.

Generalnie bliżej mi do tych pierwszych. Istota sprawy, jak już wzmiankowałem, jest jednak gdzie indziej. Otóż to, czy deklaracja szczytu ma moc prawną, czy jej nie ma, nie będzie decydowało o tym, czy zostanie uszanowana. Traktaty unijne niewątpliwie moc prawną mają, wspomniane rozporządzenie, wiążące wypłaty z „praworządnością” – w tej chwili nie jest istotne, jak ją definiujemy – niewątpliwie jest z nimi sprzeczne, nie pozostawia wątpliwości co do tego nawet ekspertyza prawna samej Komisji Europejskiej, przez długi czas zresztą z tego powodu ukrywana. A mimo to za zgodą wszystkich państw członkowskich, naszą także, owo niemające żadnego prawnego umocowania rozporządzenie zostało przyjęte i, z ograniczeniami wynikającymi z „politycznego zobowiązania” czy nie, będzie realizowane.

BAT W RĘKU

Nie litera traktatów i deklaracji zatem decyduje, tylko to, co zwykliśmy nazywać „polityczną wolą”. Oczywiście, źle się stało, że podpisując się w lipcu pod zasadą „pieniądze za praworządność”, premier dał państwom unijnej „pierwszej prędkości” do ręki bat, którego będą mogły użyć, jeśli zechcą nas sobie podporządkować. Ale, jak to się mawia w sferach społecznych, z których się wywodzi: „Jak kto chce psa uderzyć, kija zawsze znajdzie”. Nie będzie „praworządności”, znajdzie się – jeśli będzie „polityczna wola” – cokolwiek innego.

Płynie z tego mało oryginalny wniosek, że grudniowego kompromisu może będziemy kiedyś żałować, ale może się także okazać, że wkrótce o nim zapomniemy. Czynniki, od których to zależy, jest zbyt wiele, by można było to w tej chwili w miarę realistycznie prognozować. Na większość z nich, na dodatek, nie mamy wpływu. Poza jednym: to, czy ma się ochotę poszukać kija, by przysłowiowego psa uderzyć, w znacznym stopniu zależy od tego, czy pies jest duży i czy może ugryźć. I to powinno być wytyczną dla każdego, kto Polską rządzi i będzie rządzić w przyszłości.

Wydaje się zresztą, że – à rebours – jest to wytyczna dla tych, którzy chcieliby nam „pokazać nasze miejsce w Europie”. Z grudniowego kompromisu płyną bowiem także wnioski dla opozycji, która poczuła się przez Zachód zdradzona i porzucona w imię kwestii finansowych. Ten wniosek także nie jest odkrywczy, ale zapatrzeni w perspektywę obalenia rządów znienawidzonego PiS przez naciski Unii Europej-

skiej zwolennicy PO i Lewicy uporczywie wypierają tę „oczywistą oczywistość”, że państwa „pierwszej prędkości” i brukselska eurokracja, jeśli skłonne są ingerować w wewnętrzne sprawy Polski, to po to, by zrealizować tu własne interesy, a nie przywracać utracone wpływy politycznym nieudacznikom. Ci ostatni służą jej tylko do robienia w Polsce zamętu, do nieustannego jej osłabiania. Ideałem dla Zachodu wydaje się sytuacja obecna: rządy PiS, ale PiS na każdym kroku kontestowanego, uwikłanego w konflikty, niemającego sobie pozwolić na żadne śmiałe reformy.

HISTORYCZNY PRZEŁOM

Czy to znaczy, że możemy unijne szczyty i ustalenia drugiej połowy kończącego się roku uznać za nieistotne? Broń Boże! Mamy do czynienia z prawdziwym, historycznym przełomem w dziejach Unii Europejskiej i samej Europy. Lipcowe ustalenie o zaciągnięciu wspólnego europejskiego długu oznacza przecież ni mniej, ni więcej, tylko początek przekształcania organizacji zrzeszającej europejskie państwa w jedno europejskie państwo. Zaczyna być realizowana idea głoszona wprawdzie w europejskich elitach od dawna, i przez większość z nich uważana za oczywistą i pożądaną przyszłość kontynentu, ale nieciesząca się wielką popularnością w europejskich społeczeństwach.

Zaczęła być zresztą realizowana bynajmniej nie dlatego, żeby akceptacja dla budowy „stanów zjednoczonych Europy” wzrosła. Nikt nie ma wątpliwości, że gdyby o zmianę unijnych traktatów w kierunku federalizacji zapytać wyborców w którymkolwiek z unijnych państw, to odpowiedź byłaby odmowna. Właśnie dlatego europejskie elity, uważające federalizację za „historyczną konieczność”, zdecydowały się na działanie w trybie pozatraktatowym, podstępnie. Jest to w gruncie rzeczy „spisek elit” – we własnym przekonaniu, elit „oświeconych” – przeciwko „ciemnym” społeczeństwom. Nieco przypominający nasze doświadczenie z „transformacją ustrojową”, uzgodnioną przez elity „z obu stron historycznego podziału” zgodne co do jednego, że „im” nie ma co tłumaczyć, bo i tak nie zrozumieją – za jakiś czas będą nam wdzięczni.

Jeśli ten „spisek elit” objął praktycznie wszystkie unijne kraje i bezprawne, a w świetle traktatów, rozporządzenie o „kontroli praworządności” oprotowane zostało przez unijne „enfant terri-

ble”, nas i Węgrów, to dlatego, że rządzący Europą widzą w „pogłębieniu integracji”, w budowie „stanów zjednoczonych Europy” (choć zarówno panująca w Europie ideologia, jak i sposób myślenia eurokratów o tej budowlu każą mówić raczej o Związku Socjalistycznych Republik Europejskich) jedyne ocalenie przed rozpadem wspólnoty i pogrążeniem się jej w piekło międzypaństwowych sporów.

Jest to myślenie naiwne. Polityka interesów narodowych nie da się unieważnić zjednoczonymi deklaracjami. W dodatku cała operacja ze wspólnym długiem i kładzeniem pozatraktatowych podwalin pod niechciane przez europejskie narody wspólne państwo jest skokiem na łeb do basenu, w którym nie wiadomo, czy w ogóle jest woda.

Dzisiejsi rządzący europejskimi państwami nie wiedzą, kto ich zastąpi. Może kanclerz Merkel szczerze wierzy, że narody europejskie muszą się zrosnąć, i gotowa jest nieco ustąpić z niemieckich dążeń do hegemonii, ale jej następcą może mieć inne zdanie. Brexit i degrengolada Francji zmuszają Niemcy do roli samotnego hegemonu, a to może się skończyć w chwili kryzysu (a obsesyjne forsowanie absurdalnych celów „polityki klimatycznej” to pewny sposób na załamanie poziomu życia przeciętnego Europejczyka) odruchem „wszyscy przeciwko Niemcom”. Jeśli we Francji Macron wygrał niemal otwarcie głoszoną wrogością wobec konkurencji państw środkowej Europy, jeśli w Holandii politykę robi się na poczuciu wyższości upadłego mocarstwa kolonialnego, zredukowanego dziś do rozmiarów państwka, wobec „dzikusów” z Polski i Węgier, to nie jest niemożliwe, że za parę lat wygrywać się będzie w Europie wyborcy, licytując się w stanowczości sprzeciwu wobec niemieckiego dyktatu.

Sytuacja jest niejasna i Polska powinna, wzmacniając na wszelkie sposoby własne siły, starać się jak najdłużej zachować zdolność do wyboru różnych wariantów – zarówno realizowania swych interesów wewnątrz „państwa europejskiego”, jak i poza nim. Zachowanie zdolności do wyjścia w razie czego z tego tworu będzie dla naszej przyszłości kluczowe. Jest bowiem coraz bardziej możliwe, że „bycie w Europie”, która dekadę temu jawiła się nam ziemią obiecaną i gwarancją rozwoju, bezpieczeństwa oraz dobrobytu, w perspektywie dekady okaże się zaszywaniem się w worku z trudem.



Piotr Semka

Dużą część ostatnich wezwań do tworzenia nowej prawicy opiera się na nadziei na koniec trybalistycznych wojen w polskiej polityce. Tak jakby konflikty można wyłączyć jednym ruchem ręki. Tymczasem radykalizm i agresja ugrupowań pani Lempart zapowiadają wręcz zaostrzenie się konfliktów, a nie ich osłabienie

Najaktywniejszym politykiem PO, który próbuje dywagować na temat nowego rozdania po prawej stronie, jest Paweł Kowal. FOT. MACIEJ GOCLON/FOTONEWS/FORUM

Przymiarki do nowej epoki

Polityczny korkociąg, w który Prawo i Sprawiedliwość wpadło na przełomie października i listopada, pobudził wiele środowisk między centrum a prawicą do politycznych przymiarek – jak może wyglądać prawicowy świat po epoce dominacji obecnie rządzącej partii. Nie ma w tym nic dziwnego. Zawsze, gdy pewne ugrupowanie rządzi więcej niż jedną kadencję i pojawiają się oznaki zużycia

politycznego, widzą w tym szansę te środowiska, które dotychczas nie miały okazji do politycznej ekspansji.

W takiej sytuacji znalazła się stosunkowo duża grupa 30-, 45-latków, którzy nie wskoczyli na PiS-owską łódź ok. 2005 r., a także ci, którzy długo nie mogli doczekać się osłabienia tej formacji. W latach 2005–2020 przyjęli rolę politycznych widzów, czekających wciąż na przełamanie duopolu PiS-PO. Teraz,

kiedy widać pewne osłabienie rządzącej partii, wracają do propozycji umebrowania na nowo centrum i prawej strony sceny politycznej. Spróbujmy dokonać przeglądu najnowszych recept na ocalenie prawicy.

ANTYKLERYKALNA PRAWICA?

Najaktywniejszym politykiem PO, który próbuje dywagować na temat nowego rozdania po prawej stronie,

jest Paweł Kowal. To zresztą charakterystyczne, że właśnie niegdyśjszy PiS-owiec, choć z kręgu muzealników, pozwala sobie na dosyć swobodne rozwodzenie się nad ewentualnymi nowymi rozdaniem. Wiele mówi to o tym, jak bardzo wyjąłowiła się dawna partia Donalda Tuska.

„Nadchodzi czas na partie antyklerykalne, nawet na prawicę. W efekcie tego, co się stało, trudno będzie uniknąć

tęgo, czego politycy prawicy bardzo uniknąć by chcieli – referendum aborcyjnego” – wskazuje w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej”. Wiesz czy schyłek PiS w wyniku „typowego problemu partii władzy”. Stawia tezę, że partia ta nie ma żadnej idei, a premier Morawiecki nie potrafi znaleźć języka, którym byłby w stanie wiarygodnie komunikować się ze społeczeństwem. W tej sytuacji widzi otwarte pole dla nowej prawicy, która musi przyjąć do wiadomości nastroje niechętnie Kościołowi. Pomysłem na taki początek „odjanie-pawlizowanej” prawicy jest u Kowala propozycja referendum. Jak wskazuje, w te polityczne szachy wygra ten, kto sformułuje akceptowalne pytania referendalne i włączy to w swój program polityczny. Komu pierwszemu się to wiarygodnie uda, ten zwycięży. Kowal nie tłumaczy, jak miałyby być sformułowane takie pytania, ale wyraźnie uznaje za dogmat, że przyszłość należy do polityków, którzy muszą trzymać się wobec Kościoła na dystans.

Temu, dość wyrachowanemu, planowi towarzyszą oczywiście zapobiegawcze wyrazy ubolewania. Kowal zaznacza, że „mówi te słowa z bólem, bo tylko chyba lewica cieszy się z tego kryzysu najważniejszej instytucji państwa w Polsce”. Jak miałyby jednak konkretniej wyglądać taka prawica? Tęgo od Kowala się nie dowiadujemy. Ogłasza on ogromne przemiany, wzywa do myślenia o nowym centrum i prawicy od nowa, ale poprzestaje jedynie na definiowaniu jej jako „prawicy, która będzie odpowiadała rzeczywistości”.

Bardziej konkretne są zawarte w wywiadzie Kowala dywagacje, jak dalece trzeba będzie zawiesić na kołku zasady prawa w celu delegacji instytucji, którą w jego opinii

opanował PiS. Na tym tle krytykuje obecną, jak można się domyślić, Platformę, ale i PSL jako partię „Burbonów”, którzy wierzą, że po ich powrocie do władzy wszystko będzie można zostawić po staremu. Kowal dopuszcza spory radykalizm. W sytuacji, gdyby uznać, że „mamy już autorytaryzm”, radzi, by w okresie przejściowym (po pozbawieniu władzy PiS) częściowo wyrzec się wartości, jaką jest państwo prawa. Jak pisze: „W tym czasie powinno dojść zatem do »wyłączenia« z dnia na dzień rządowych mediów i weryfikacji kilku kluczowych dziedzin życia, odbudowy państwa. Potem powinna być nowa konstytucja”.

Gdzieś blisko jego analizy sytuuje się politolog Rafał Matyja, który swoje recepty przedstawia w Nowej Konfederacji. On także wróży rychły upadek obozu Jarosława Kaczyńskiego i szybki koniec rządów PiS. Twierdzi, że pod koniec października zaczęła się polityczna wojna o kształt przyszłej Polski, o treści konstytucji, zasady, jakimi warto kierować się po upadku rządów PiS i po zerwaniu toksycznych więzi władzy politycznej i religijnej. Podobnie jak Kowal z wyraznym zapalem zapowiada, że w tej grze nie będzie żadnego brania jeńców. Jak pisze: „Ten konflikt nie skończy się kompromisem, choć zapewne niektóre oczekiwania radykalnych uczestników protestu nie zostaną spełnione”. I dlatego wzywa, by już dziś tworzyć wizję lepszej konstytucji, sprawniejszego państwa, bardziej sprawiedliwego i solidarnego, wyciągającego wnioski ze słabości III Rzeczypospolitej. Brzmi efektywnie, ale znów bez konkretów. Co jednak istotne – nie bardzo ma ochotę wytłumaczyć, dlaczego dobra zmiana zyskała tak trwałą legitymację społeczną.

Wejdź na stronę: www.kruchekosci.pl

Kruche kości – osteoporoza

Co to jest za choroba?

Kiedy i jak się ją diagnozuje?

Kto jest najbardziej zagrożony osteoporozą?

Czy grozi Ci osteoporoza?



Zrób jednogminutowy test ryzyka osteoporozy



Poznaj historie innych
i dowiedz się jakie są czynniki ryzyka

Masz już osteoporozę?

Dowiedz się jakie są sposoby
leczenia osteoporozy

Czy i jakie ćwiczenia możesz wykonywać?

Jakie są zalecenia dietetyczne –
co służy, a co szkodzi Twojemu zdrowiu?



Te i wiele innych, praktycznych informacji
znajdziesz na stronie internetowej:

www.kruchekosci.pl

PL-PRO-1220-00023
14.12.2020

AMGEN

Amgen Biotechnologia Sp. z o.o.
ul. Puławska 145
02-715 Warszawa



■ ną. Tę kluczową kwestię zbywa jednym zdaniem: „O to, dlaczego (PiS) zaszedł tak daleko, będziemy się spierać przez lata”.

RUSZCIE SIĘ, DO CHOLERY!

Z innego punktu widzenia patrzy na aktualną sytuację Stefan Sękowski, publicysta Nowej Konfederacji. Pisz: „Prawico, czas na rewoltę przeciw Kaczyńskiemu. [...] Prawicowcy, którym nie jest w smak to, co wyprawia Jarosław Kaczyński, powinni wreszcie wybić się na niepodległość. Z prezesem PiS nie można już wiązać żadnych nadziei na reformy państwa czy choćby sprawne i odpowiedzialne nim administrowanie”. Sękowski głosi, że PiS „kompromituje wartości, które mogłyby być ważne dla konserwatysty”.

Zaprezentowana przez publicystę Nowej Konfederacji linia myślenia nie jest niczym nowym. Przez ostatnie dwie dekady przedstawia ją często Aleksander Hall, załamując ręce nad zawłaszczeniem prawicowości przez makiewelistów z Żoliborza. To, co u Sękowskiego jest czymś nowym, to raczej sugestia, by – jak można się z jego słów domyślać – Kaczyński został obalony przez siły wewnątrz jego partii. Publicysta ostrzega, że jeśli PiS utonie, to może pociągnąć za sobą całą prawicę, a przy okazji także Kościół konstytucjonalny. Jak głosi w eschatologicznym tonie: „W takim układzie może się okazać, że prawica nie jest już nikomu potrzebna. Zepchnięta do roli obrońcy obyczajowego konserwatyzmu (z odpowiednią domieszką hipokryzji), buńczucznego suwerenizmu, antykomunizmu odtwórczego i prostackiego etatyzmu nawet [...] nie będzie już atrakcyjna dla nikogo. A odpowiedzią na faktyczne problemy zajmie się lewica i liberalni demokraci.

[...] Przynajmniej na samym początku do legitymizacji władzy wystarczy samo niebycie PiS-em”. Jednocześnie Sękowski dodaje, że lewica nie powinna wierzyć we własną propagandę, jakoby większość marzyła o aborcji na życzenie. Jak pisze: „Nic z tych rzeczy – wyniki sondaży wskazują na to, że najbardziej pożądany byłby dla większości... powrót do status quo ante. Tak prawica mogłaby chronić konserwatywne wartości przed zapateryzmem i przed radykalizmem nieogłębającym się na długofalowe skutki.

Na tle bardzo gorących apeli Kowala, Matyi i Sękowskiego znacznie subtelniej jawi się jeszcze inna recepta dla elit prawicy, którą formułuje środowisko Klubu Jagiellońskiego. Jest to propozycja zainteresowania się na nowo ideą chrześcijańskich demokracji. Po teologicznej stronie tego programu znajdujemy wyzwania o przypomnienia teologii politycznej św. Pawła i zachęty do uważnego czytania się w ostatnią encyklikę papieża Franciszka „Fratelli tutti”.

Redakcja „Pressji”, pisma, w którym opublikowano owe wezwania, deklaruje, że nowa chadecja „to nie pomysł na partię, ale tożsamość ich środowiska”. Chcą odczytywać na nowo nauczanie Kościoła, pobudzić idee takie jak solidaryzm społeczny, subsydiarność, międzyśrodkowy dialog i troska o dobro wspólne. Ma to być antidotum na sytuację, w której, jak piszą, „pokolenie JPII zostało zastąpione pokoleniem Netflixa i Tindera”. Wszystko to brzmi dosyć idealistycznie i atrakcyjnie, ale znów w sposób dosyć oderwany od rzeczywistości. Jak pisze Konstanty Pilawa, główny autor chadeckiego konceptu: „Świeccy katolicy zamiast okładać się nawzajem politycznymi pałkami, powinni wziąć odpowiedzialność

za Kościół i uzupełnić w ten sposób nierzadko kontrowersyjny głos płynący ze strony hierarchów”.

CZEGO BRAKUJE?

Wszystkie wymienione powyżej rozważania na temat nowej prawicy sprawiają wrażenie dość spanikowanej reakcji na masowe demonstracje z końca października, kiedy to Polska odkryła dziesiątki tysięcy młodych ludzi, którzy demonstracyjnie wypięli się na Kościół i epatują wulgarnością. Wszystko to wytworzyło u wyżej cytowanych autorów coś w rodzaju moralnej paniki. Nagle uznano, że przechrzył w lewo w społeczeństwie jest czymś nieuniknionym i zadekretowanym na długie lata. I że na gwałt trzeba się dostosować.

Oczywiście stoi za tym przekonanie, że Polska będzie drugą Irlandią. To, co jednak budzi wątpliwość, to tak gwałtowny zwrot w wykonaniu ludzi, którzy jeszcze ileś lat temu wypowiadali się znacznie mniej krańcowo. Tymczasem okazuje się teraz, że bez większego żalu żegnają się z przywiązaniem do nauk Jana Pawła II i przewidują, iż wszyscy zostaną zalani lewicowo-liberalną falą. Co charakterystyczne, trudno znaleźć w tych manifestach obserwacji nihilizmu nową rewoltę spod znaku błyskawicy. Częściej można odnieść wrażenie, że ich autorzy w dość nerwowy sposób żądają, żeby prawica jak najbardziej włączyła się w laicyzacyjny wyścig, choć oczywiście ze zbożnym zastrzeżeniem, że ma ona ratować, co się da, z dawnej epoki papieża Polaka.

Kolejną słabością tych recept jest brak odpowiedzi na pytanie, kto takie reformy po prawej stronie ma przeprowadzać. Zarówno Kowal, Matyja, jak i Sękowski są zdegustowani rozlazłością Platformy i marzą o pojawieniu

się jakiejś nowej prawicy, która byłaby antytezą PiS. Tyle że w polityce trzeba odnosić się do jakiegoś elektoratu. A takiego antypisowskiego „plemienia” po prawej stronie oprócz Konfederacji na razie nie widać. Być może w tę stronę będzie ewoluować Jarosław Gowin i jego Porozumienie, ale nie sposób dzisiaj określić, jaką siłę miałyby ta partia i jakich znalazłaby partnerów do takiej gry, gdyby odeszła ze Zjednoczonej Prawicy. A innego kandydata na wejście w rolę nowej prawicy nie bardzo widać, chyba żeby uznać, że miałyby to być zadanie Szymona Hołowni.

Lewica już zapowiada, że będzie bardzo surowym sędzią nie tylko PiS, lecz także Platformy. Oto na łamach „Gazety Wyborczej” Andrzej Brzeziecki już zapowiada, że będzie bardzo skrupulatnie rozliczał polityków z ich odsunięcia się od Kościoła. A takie rozliczenia w wykonaniu Marty Lempart czy młodych działaczek Razem mogą być bolesne.

I jeszcze jedno. Duża część tych wezwań do tworzenia nowej prawicy opiera się na nadziei na koniec trybalistycznych wojen w polskiej polityce. Tak jakby konflikty można wyłączyć jednym ruchem ręki, jak światło. Tymczasem radykalizm i agresja ugrupowań pani Lempart zapowiadają wręcz zaostrenie się konfliktów, a nie ich osłabienie. Publicyści i publicystki Krytyki Politycznej już ostrzegają, że za złowrogich dziadersów uważają nie tylko PiS-owców, lecz także tak zasłużonych bojowników o wolność i demokrację jak Tomasz Lis. W tym świecie miejsca dla politycznego pięknoduchostwa będzie raczej mniej niż więcej. Pytanie, jak się wtedy zachowają dzisiejsi wróże przyszłości?



*Spokojnych, zdrowych i pełnych radości
Świąt Bożego Narodzenia
oraz wielu sukcesów
osobistych i zawodowych
w Nowym Roku*

*życzy
Polskie Górnictwo Naftowe i Gazownictwo*



Trybunał rewolucyjny Romana Giertycha



Tomasz Rowiński

Roman Giertych ogłosił „depisyzację”. Plany rozliczania rządów PiS w procesach politycznych nie są niczym nowym i zatruwają polską debatę od lat

Gdy Roman Giertych ogłosił na początku grudnia, że wraca do polityki i chce wystartować do Senatu, dodał też, że zamierza stanąć na czele komisji, która będzie badała i rozliczała – jak to nazwał – nielegalne działania PiS. Właśnie chęć zaangażowania w działalność „depisyzacyjną” przedstawił były lider Ligi Polskich Rodzin jako główny motyw swojej niespodziewanej decyzji. Oczywiście, by taka komisja powstała, opozycja najpierw musi, podobnie jak sam Giertych, wygrać wybory. Znany adwokat zdaje się nie widzieć w tym żadnego problemu. Co więcej, Roman Giertych zachowuje się

tak, jakby uważał, że Marta Lempart ze swoimi towarzyszami obalą łada dzień istniejący rząd oraz większość parlamentarną śpiewaniem na warszawskich ulicach kolęd przerobionych na proaborcyjne przyśpiewki. Skąd taki wniosek? Ano stąd, że Giertych szykuje się na wybory do Senatu już w 2021 r.

INSTYNKTY POLITYCZNEJ ZEMSTY?

Narracjami Koalicji Obywatelskiej czy Lewicy rządzą tymczasem rzeczywiście coraz bardziej radykalne, skrajne grupy i coraz chętniej dopuszcza się je do głosu, jeśli tylko potrafią wyprowadzić ludzi na ulicę. W TVN, „Gazecie Wyborczej” czy mediach takich jak portal OKO.press język włączający odbiorcom przekonanie o tym, że w gruncie rzeczy nie mamy w Polsce legalnej władzy, jest czymś dość powszechnym. Zatem nie prezydent, ale „pan Duda”, jeśli rząd, to „pozbawiony moralnych praw”, i wcale nie Trybunał Konstytucyjny, ale „grupa znajomych magister Przyłębskiej”. Co jednak taka retoryka ma wspólnego z demokracją liberalną, w przypadku której opozycja głosi, że jej broni? Przecież ten sposób

mówienia kulminujący ostatnio w hasłach ruchu społecznego „Wypierdalać” ma charakter rewolucyjny, a nie demokratyczny. Czy opozycja parlamentarna planuje „obalić rząd”, jak niedawno słyszeliśmy? Hasło to padło na warszawskich ulicach, choć od wielu tygodni manifestacje tzw. Ogólnopolskiego Strajku Kobiet nie mają charakteru masowego. Czy zatem opozycja planuje zaprowadzić „demokrację” wbrew tym, którzy chodzą głosować? Czy po prostu podgrzewa niskie instynkty politycznej zemsty?

Gdyby władza upadała, ponieważ ktoś bardzo chce, by upadła, rzeczywiście opozycja miałaby dziś pewne szanse. Dopóki jednak wyborcy nie zdecydują inaczej, dopóty pozostaje jej przekonanie siebie i swoich odbiorców, że już dziś tworzą załączki przyszłych trybunałów rewolucji, którą zamierzają przeprowadzić. Przekonują także wszystkich, że pomysły te mają jakiś związek z ratowaniem demokracji w Polsce. Na tych zradyzalizowanych nastrojach mogą wpływać na nowo w polityce tak ideowo niewiarygodni ludzie jak Giertych ze swoimi 10 punktami antypisowskiej walki.



Co proponuje były lider Młodzieży Wszechpolskiej? Uruchomienie po wygranych przez opozycję w 2021 r. wyborach „komisji śledczej ds. nielegalnych działań PiS w latach 2015–2021”. W swojej odezwie opublikowanej w mediach społecznościowych Giertych napisał, że prace trzeba zacząć już, by „przygotowywać zarzuty i akty oskarżenia wobec osób, które odpowiadają za nielegalne działania PiS”. Adwokat zaapelował też, by już teraz zgłaszać mu przykłady nadużyć. Chodzi o sprawy dotyczące, jak mówi, podszywania się pod sędziów, wydawania wyroków przez osoby nieuprawnione, stawianie zarzutów politycznych, przekraczanie uprawnień przez poszczególnych funkcjonariuszy policji, CBA, prokuratury oraz innych służb. Już po tej wyliczance widać, że były poseł dąży do ogłoszenia nielegalności działań demokratycznych władz polskiego państwa od roku 2015. Szczególnie dotyczy to wymiaru sprawiedliwości i organów ścigania, poczynając od Trybunału Konstytucyjnego, Sądu Najwyższego i KRS.

Dalsze punkty, np. „prześladowania przeciwników politycznych i demonstrantów” czy „kradzieże, przywłaszczenia, korupcja, nepotyzm”, rozmywają się w coraz bardziej ogólnych i niekonkretnych hasłach, które jednak oddziałują na uformowaną przez wyobrażone lęki publiczność środowisk opozycji. Nieostre, oskarżycielskie, zabarwione moralnym oburzeniem hasła pasują jak ulał, by stać się wstępem do prawdziwego procesu politycznego. Trudno zresztą wyobrazić sobie, że Giertych mógłby mieć coś innego na myśli, skoro chciałby „rozliczyć” PiS, jak powiedział, w pół roku. Jeśli dodatkowo w tym krótkim czasie chciałby też doprowadzić do delegalizacji PiS, to cała ta propozycja wygląda na cyniczną grę.

PUBLICZNOŚĆ ŻADNA OFIAR

Roman Giertych zresztą znany jest z tego, że bardziej zależy mu na wzbudzeniu zainteresowania nierealistycznymi pomysłami, które przynoszą mu poklask w wybranym sektorze elektoratu, niż ze skutecznej ich realizacji. Marek Jurek w swoich wspomnieniach z roku 2007 pisał, jak Giertych zaproponował zmianę konstytucji mającą poszerzyć konstytucyjny zakres ochrony życia nienarodzonych. Jednak po pierwsze jego propozycja miała być forsowana w trybie kompletnie nieproceduralnym,

czyli niemożliwym do przeprowadzenia, a po drugie równolegle planował ataki na ugrupowania i posłów, którzy będą się sprzeciwiać pomysłowi czy wahać. W ten sposób nie da się zdobyć szerokiego poparcia dla żadnej inicjatywy. Może zresztą o to właśnie chodziło, skoro równocześnie Giertych zbierał poklask, jako człowiek z pierwszego szeregu zmagających o wprowadzenie do polskiego prawodawstwa katolickiej agendy społecznej. Dziś adwokat zdaje się działać według podobnych zasad.

„Równolegle z pracami Komisji Śledczej musi się toczyć praca prokuratury, która wobec osób niepodlegających Trybunałowi Stanu będzie prowadzić postępowanie. Główne śledztwo winno się toczyć w związku z art. 258 kk – zorganizowana grupa przestępcza zmierzająca do popełnienia szeregu przestępstw, takich jak przekroczenie uprawnień przez funkcjonariuszy publicznych, podszywanie się pod funkcjonariuszy publicznych np. sędziów, ukrywanie przestępstw, fałszerstwa, przywłaszczenia, np. w sprawie afery KNF itp.” – możemy przeczytać w poście Giertycha.

Zdaniem Giertycha należy postawić „pilnie zarzuty kierownictwu PiS i zabezpieczyć prawidłowość postępowania przygotowawczego”. „Prokurator Generalny winien jeszcze przed zakończeniem prac Komisji zawnioskować do prawidłowo powołanego Trybunału Konstytucyjnego o delegalizację PiS i o przekazanie majątku tej partii na cele społeczne” – kontynuuje Giertych, który zanim wygrał wybory, zanim powstała komisja, zachowuje się jak jednoosobowy oskarżyciel i sędzia, podając nazwiska polityków PiS w sposób, jak gdyby już byli oni objęci aktami oskarżenia. Widzimy zatem Andrzeja D., Jarosława K., Mateusza M., Zbigniewa Z. i Beatę S.

Rzecz jasna, nie dało się zauważyć żadnych krytycznych reakcji polityków opozycji na te aberracje głoszone przez Romana Giertycha wobec żadnej ofiar publiczności. „Giertych ma 200 proc. racji!”, „Brawo panie Giertych, jestem w 100 proc. za!” – to tylko te bardziej kulturalne z komentarzy, które przeczytałem na temat pomysłów Giertycha w jednym z wiodących portali informacyjnych.

Gdy w listopadzie wciąż ze znaczną intensywnością trwały wspierane przez opozycję demonstracje przeciwko orzeczeniu Trybunału Konstytucyjnego

w sprawie nielegalności aborcji eugenicznej, Borys Budka oskarżał Jarosława Kaczyńskiego w Sejmie. „Moim zdaniem Kaczyński sprowadził zagrożenie utraty zdrowia lub życia na tysiące obywateli, wyciągając ich z domów, bo Kaczyński odpowiada za to, co się stało” – mówił. „Gwarantuję Trybunał Stanu dla każdego, kto złamał polską konstytucję. Dla prezydenta, który zaprzysiął trzech dublerów, dla premiera, który nie publikuje ustawy, która została przyjęta przez parlament i podpisana przez prezydenta, i wreszcie dla wicepremiera odpowiedzialnego za bezpieczeństwo, który jest największym niebezpieczeństwem dla Polaków” – grzmiał lider KO. Pomijając to, że to opozycja zagrzewała ludzi do manifestacji, widzimy, jak szczegółowy plan Romana Giertycha na procesy polityczne ludzi po ewentualnym zwycięstwie politycznym opozycji wprost wynika z niebezpiecznych fantazji Borysa Budki. Zresztą powracające okrzyki: „Będziesz siedział!”, które można usłyszeć z ław opozycji w kierunku posłów ugrupowań rządzących, potwierdzają, że demokratyczny mandat dla Zjednoczonej Prawicy według opozycji jest przeszkodą dla „prawdziwej” demokracji.

NIC NOWEGO

Plany rozliczania rządów Prawa i Sprawiedliwości w procesach politycznych nie są niczym nowym i zatrują polską debatę od lat. To rodzaj idée fixe opozycji. Już w końcu sierpnia 2016 r. wstępny zarys ich przeprowadzenia przedstawił prof. Wojciech Sadurski, znany szermierz liberalnego salonu. „Po rządach PiS polskie społeczeństwo stanie przed zadaniem depisyzacji kraju” – mówił wtedy.

Jak profesor wyobrażał sobie ten proces? Przede wszystkim przed Trybunałem Stanu mieli stanąć prezydent Andrzej Duda i premier Beata Szydło, a ze swoich stanowisk mieli być usunięci ludzie bez kompetencji i sprawujący swoje stanowiska z nadania politycznego. Poseł PO Robert Wilczyński w marcu 2017 r. bardzo obrazowo przedstawił stan duchowy swojego środowiska. Na pytanie, co nastąpi po PiS, odparł: „Depisyzacja, tak jak była denazyfikacja, dekomunizacja, już nie powiem o deratyzacji czy dezynsekcji”. Czy deratyzacja jest planem Romana Giertycha i opozycji na demokratyczną i praworządną Polskę?



Niemal cały rok 2020 upłynął nam na walce z pandemią koronawirusa, która całkowicie odmieniła naszą codzienność. To, co się jednak nie zmieniło, to inwestycja w rodzinę i realizacja programów społecznych. – Dzisiaj to wsparcie nabiera jeszcze bardziej wyjątkowego charakteru. Jest gwarantem bezpieczeństwa dla rodzin. Zapewniam z pełną mocą – żadne z dotychczas realizowanych programów na rzecz rodzin nie są zagrożone – mówi minister rodziny i polityki społecznej Marlena Małąg



Inwestycja w rodzinę to bezpieczne jutro

To nie był łatwy rok dla nikogo. Wiele miesięcy ciężkiej walki z pandemią koronawirusa odbiło się praktycznie na każdej dziedzinie życia.

– W ciągu ostatnich miesięcy nasze wysiłki skupiały się na ochronie zdrowia i życia Polaków, a także na wspieraniu przedsiębiorców i ochronie miejsc pracy. Mimo ogromnych nakładów na te

właśnie działania, nie zapominamy o dotychczasowych zobowiązaniach wobec społeczeństwa, wobec polskich rodzin – wskazuje minister rodziny i polityki społecznej Marlena Małąg.

PONAD 130 MLD WSPARCIA DLA RODZIN

Jak podkreśla szefowa Ministerstwa Rodziny i Polityki Społecznej, istnienie

kompleksowej i długofalowej polityki rodzinnej to od samego początku priorytet zarówno resortu, jak i całego rządu.

– Pierwszym tropem jest naturalnie program „Rodzina 500+”. Wielokrotnie to powtarzaliśmy, ale program ten okazał się prawdziwą rewolucją w rozumieniu polityki prorodzinnej – pokazał, że inwestycja w przyszłość dzieci jest możliwa. A to inwestycja



w przyszłość Polski – mówi minister Marlena Maląg.

„Rodzina 500+” to od 1 lipca 2019 r. 500 zł na każde dziecko niezależnie od dochodów. Do tej pory, od początku trwania programu, to już ok. 131 mld zł dla 6,5 mln dzieci.

– Mimo pandemii pieniądze wypłacane są bez zakłóceń i tak pozostanie. Świadczenie wychowawcze to dzisiaj szczególnie gwarant bezpieczeństwa dla rodzin – dodaje minister.

SZKOŁA ZAMKNIĘTA, ALE WYPRAWKA SIĘ NALEŻY

Innym programem wsparcia dla rodzin z dziećmi jest „Dobry start”, czyli 300 zł na wyprawkę szkolną dla uczącego się dziecka. Tutaj również wysokość dochodów nie ma znaczenia. Co ważne, świadczenie dotyczy również dzieci przebywających w pieczy zastępczej.

– Choć dzisiaj ze względu na sytuację epidemiczną w kraju dzieci uczą się zdalnie, to program działa bez zmian. Wnioski o świadczenie w ramach „Dobrego startu” można było składać do końca listopada. Zdecydowana większość uprawnionych skorzystała z tej możliwości – informuje minister Marlena Maląg.

Na realizację programu „Dobry start”, bez kosztów obsługi, w latach 2018 i 2019 wydatkowano łącznie ponad 2,67 mld zł. W ubiegłym roku do świadczenia uprawnionych było 4,5 mln uczniów.

POSIŁEK W SZKOLE... CZY W DOMU?

Nauka zdalna to sporo zmian w codziennym życiu. Dotyczy to również posiłków, które dzieci do tej pory jadły w szkolnej stołówce, ale w związku z zamknięciem szkół – nie mają dzisiaj takiej możliwości.

Minister Marlena Maląg tłumaczy, jak działa program „Posiłek w szkole i w domu” w czasie pandemii.

– Program stanowi duże wsparcie dla osób znajdujących się w trudnej sytuacji materialnej. Gminy ze środków przekazywanych w ramach programu udzielają wsparcia osobom, które spełniają określone warunki – m.in. kryterium dochodowe – wylicza szefowa MRiPS.

W sytuacji, w której dziecko nie uczęszcza do szkoły z powodu jej zamknięcia w związku z sytuacją epidemiczną, w konsekwencji czego nie może jeść posiłków w stołówce szkolnej, dyrektor lub kierownik ośrodka pomocy

społecznej ma możliwość przyznania na ten okres pomocy w formie świadczenia pieniężnego na zakup posiłku lub żywności albo świadczenia rzeczowego w postaci produktów żywnościowych.

– Pragnę uspokoić – nie jest tak, że osoby kwalifikujące się do wsparcia nie otrzymają pomocy – zapewnia minister Maląg.

DZIECI W PIECZY ZASTĘPCZEJ Z DOSTĘPEM DO KOMPUTERÓW

Nie jest niczym dziwnym, że do nauki zdalnej potrzebny jest komputer. Ale taki sprzęt przydaje się także do rozrywki i kontaktu z rówieśnikami, który w czasach pandemii jest znacznie utrudniony. Gdy dzieci w domu jest więcej, zapewnienie komputera każdemu z nich nie zawsze jest proste.

Projekt „Wsparcie dzieci umieszczonych w pieczy zastępczej w okresie pandemii COVID-19” powstał po to, by umożliwić zakup przede wszystkim komputerów i oprogramowania do nauczania zdalnego, sprzętu audiowizualnego, a także sprzętu ochrony osobistej i środków dezynfekcyjnych.

Projekt realizowany jest ze środków Europejskiego Funduszu Społecznego i budżetu państwa. To 130 mln zł. Środki trafiły już do placówek i rodzin zastępczych.

MALUCH DO ŻŁOBKA, MAMA DO PRACY

Ważną formą wsparcia rodzin jest też rozbudowa sieci instytucji opieki nad najmłodszymi dziećmi. Temu służy program „Maluch+”, który mimo pandemii również działa bez zakłóceń. To dofinansowanie do tworzenia nowych i funkcjonowania już istniejących miejsc dla dzieci do lat trzech, z którego mogą skorzystać zarówno jednostki samorządu terytorialnego, jak i podmioty prywatne.

W 2021 r., podobnie jak w edycji tegorocznej, budżet programu „Maluch+” wyniesie 450 mln zł.

– Dzisiaj w całej Polsce działa ponad 6,6 tys. żłobków i klubów dziecięcych oferujących ok. 191 tys. miejsc opieki. To o ok. 100 tys. miejsc więcej niż w roku 2015. W ramach tegorocznej edycji programu „Maluch+” powstać ma 20,5 tys. nowych miejsc opieki, a blisko 90 tys. już istniejących otrzyma dofinansowanie do dalszego funkcjonowania. To pokazuje, że program działa – podkreśla minister Marlena Maląg.

Jak dodaje, dzięki temu, że miejsc przybywa, rodzice nie muszą się martwić o opiekę nad swoimi pociechami. Pozwala im to też lepiej łączyć życie rodzinne z aktywnością zawodową.

ZNIŻKI DLA DUŻYCH RODZIN

Coraz bardziej popularnym i atrakcyjnym elementem polityki rodzinnej jest też Karta Dużej Rodziny, czyli system zniżek dla rodzin 3+ oraz rodziców, którzy kiedykolwiek mieli na utrzymaniu co najmniej troje dzieci.

Dzisiaj z Karty Dużej Rodziny korzysta łącznie ponad milion rodzin. W sumie aktywnych Kart jest ok. 3,3 mln, w tym 870 tys. elektronicznych.

W programie uczestniczy 7,6 tys. partnerów, a ze zniżek można korzystać w ponad 29 tys. lokalizacji. To m.in. parki rozrywki, ośrodki wypoczynkowe, stacje paliw, przewoźnicy, a także sklepy – od księgarni, przez sklepy odzieżowe i obuwnicze aż do... salonów jubilerskich. I wiele, wiele innych.

– Ta oferta jest naprawdę bogata, a wygodną wyszukiwarkę punktów oferujących zniżki można znaleźć w aplikacji mobilnej Karty Dużej Rodziny. Zachęcam do korzystania z niej, jest prosta i bardzo intuicyjna – wskazuje minister Marlena Maląg.

„PO PIERWSZE RODZINA!”

Resort rodziny to naturalnie najlepsze miejsce do wspierania inicjatyw służących rodzinie.

– Chętnie współpracujemy zarówno z samorządami, jak i organizacjami pozarządowymi, które są niezwykle aktywne i znają potrzeby lokalnych społeczności. Takim przykładem jest uruchomiony w tym roku projekt „Po pierwsze Rodzina!”. W sumie w ramach trzech tur konkursu dofinansowanie otrzymało 38 organizacji na łączną kwotę przeszło 8,5 mln zł – mówi szefowa MRiPS.

Jak dodaje, wspieranie młodych Polaków i tworzenie warunków umożliwiających oraz zachęcających ich do zakładania, powiększania rodziny to ważny element zarówno samego projektu „Po pierwsze Rodzina!”, jak i całej polityki prorodzinnej rządu.

– Mogliśmy zaobserwować, że projekty realizowane w ramach konkursu „Po pierwsze Rodzina!” w dużym stopniu przyczyniają się do wypełniania tego ważnego zadania. To pokazuje, że idziemy w dobrym kierunku – zaznacza minister Maląg.



Kamila Baranowska

Im mniejszy realny wpływ ma na polską politykę Donald Tusk, tym ostrzej i bardziej agresywnie komentuje w Internecie to, co się w niej dzieje

Były premier Donald Tusk jeszcze do niedawna był postrzegany jako nadzieja opozycji na pokonanie PiS. Do końca działacze Platformy i jej sympatycy wierzyli, że wystartuje w wyborach prezydenckich przeciwko Andrzejowi Dudzie. Nie zrobił tego, co zostało odebrane jako tchórzostwo. Będzie się to za nim ciągnęło, ilekroć będzie próbował mieszać w polskiej polityce.

Gdy w czasie kampanii wyborczej Tusk skrytykował prezydenta (na Twitterze oczywiście), pisząc, że „jego kampania to wstyd na cały świat”, prezydent nazwał go „cykorem”. „Miał Pan okazję wystartować w wyborach i prowadzić swoją kampanię. Był Pan dwukrotnie namawiany, by się ze mną zmierzyć, przez swoje środowisko. Wolał się Pan jednak schować za plecami Małgorzaty Kidawy-Błońskiej, a później Rafała Trzaskowskiego. Wie Pan, jak się na taką postawę mówiło na podwórku? Cykor...” – napisał Andrzej Duda. Tusk już nie odpowiedział.

Były premier nie zamierza jednak zniknąć z polskiej polityki. To akurat więcej niż pewne. Dziennikarze Andrzej Stankiewicz i Piotr Śmiłowicz w swojej książce „Donald Tusk. Droga do władzy” cytują jego słowa z 1993 r., na kilka miesięcy przed wyborczym samobójstwem KLD. Zapytany, kim będzie, gdy przestanie być politykiem, Tusk odparł: „Chyba tylko emerytem, pacjentem albo trupem. To tak, jakby spytać artystę – niezależnie od tego, czy jest geniuszem czy grafomanem – czy przestanie tworzyć? Przecież z tym »czymś« człowiek się rodzi i umiera”.

KOMENTATOR CZY TROLL?

Tusk nie ma dziś narzędzi, by wpływać na polską politykę, więc głównie komentuje wydarzenia w Internecie. A im mniejszy ma wpływ na polską rzeczywistość, tym jego wpisy są bardziej radykalne i agresywne.



FOT. DANIEL LAROCHE/ISOPA/EAST NEWS

Hejter w garniturze

– Donald Tusk powoli zmienia pracę na rolę trolla internetowego – stwierdził niedawno rzecznik rządu Piotr Müller, dodając, że to opinia powszechna na Twitterze, gdzie Tusk zamieszcza swoje wpisy.

Ostatnio Tusk wywołał spore poruszenie wpisem na temat protestów, zorganizowanych m.in. przed domem Jarosława Kaczyńskiego 13 grudnia.

„Dziś na Żoliborzu” – napisał na Twitterze, zamieszczając zdjęcie pokazujące dziesiątki radiowozów stojących przed domem prezesa PiS. I dodał: „Kiedy byłem premierem, pod moim mieszkaniem

zwolennicy PiS zorganizowali kilkadziesiąt manifestacji, a nawet kilkudniowe miasteczko namiotowe. Porządku pilnowało dwóch policjantów”.

Kilka minut zajęło internautom znalezienie zdjęć, na których dom Tuska otaczały dziesiątki policjantów. Natychmiast więc wytknięto mu manipulację. Ale to bez znaczenia, bo jego komentarz i tak udostępniono 1,7 tys. razy, zyskał też ponad 10 tys. lajków. A o to przecież chodziło.

Gdy trwały unijne negocjacje w sprawie powiązania unijnego budżetu z praworządnością, przeciwko czemu

protestował polski rząd, Tusk napisał: „Traktuję Unię jak bankomat, ale nawet karty nie potrafią włożyć. Bez głowy, serce po prawej stronie i dwie lewe ręce. Polityczne monstra”. Zarzucił też PiS działanie na rzecz Rosji. „Wszystkie, podkreślam, wszystkie działania PiS wpisują się precyzyjnie w rosyjską strategię rozbijania UE i geopolityczną izolację Polski. Czy robią to świadomie, jest pytaniem drugorzędym” – napisał. I jeszcze: „Pytanie dnia. Kto kogo prędzej odpawa: PiS nas od Europy czy my PiS od władzy?”.

Nie żałował także rządowi słów krytyki, jeśli chodzi o walkę z pandemią. „Wziąć całą władzę, by w chwili próby tchórzliwie uciekać od odpowiedzialności. Cały PiS” – napisał w tym kontekście. „Rząd stwierdził, że przed koronawirusem uchronić nas mogą tylko czyste ręce. PiS może tego nie przetrwać” – dorzucił innym razem.

KALKULACJA

Dlaczego były premier, komentując polską rzeczywistość, używa języka rodem z hejterskiego antypisowskiego profilu „Sok z Buraka” (w pewnym momencie pojawiły się nawet podejrzenia, że konto Tuska może prowadzić ta sama osoba)? Trudno Tuska podejrzewać o to, że robi to w emocjach, dużo bardziej prawdopodobne jest, że to zimna kalkulacja. Widać wyraźnie, że komentarze adresuje do najbardziej radykalnego i agresywnego w niechęci do PiS elektoratu opozycji. Dobrze wie, że to są dziś uczucia dominujące po stronie ludzi, dla których stanowi jakiś punkt odniesienia i po prostu spełnia ich oczekiwania. Mówi do nich językiem, jakiego sami używają. A może – i to jest druga strona medalu – który i jemu samemu pasuje. Chociaż bowiem przez lata w polskiej polityce kreowany był na rozkochanego w dobrych winach światowca, to ci, którzy go dobrze poznali, wiedzą, że to tylko kreacja.

„Jest w nim taki chuligan. To się czasem wyraża w żarcie, swoistym cynizmie, czasem pomieszanym z odrobiną wulgaryzmu [...]. Potrafi rzucić uwagę pod adresem przechodzącej kobiety. Pod tym względem jest najwykleszszym typem szowinistycznym” – opowiadał Janusz Palikot w książce „Kulisy Platformy”.

Zamieszczając kontrowersyjne wpisy, które są chętnie cytowane przez media, Tusk nieustannie przypomina o sobie

i o tym, że ma jeszcze ambicje odcisnąć piętna na polskiej polityce. Jeśli nie bezpośrednio, to chociaż pośrednio, ustawiając przekaz opozycji, doradzając jej i podgryzając PiS w jej imieniu.

Temu miało służyć między innymi niedawne spotkanie z Martą Lempart, liderką Strajku Kobiet. Wielu komentatorów wydawało się zdziwionych cynizmem Tuska, wypominając mu, że w 2005 r. na potrzeby kampanii wziął ślub kościelny, a później fotografował się z rodziną na tle krzyża i starał o audiencję u papieża, a dziś staje po stronie walczących o aborcję na życzenie.

Każdy jednak, kto uważnie prześledzi polityczną karierę Tuska, dojdzie do wniosku, że nie ma w tym nic zaskakującego. Palikot w książce „Kulisy Platformy” pisał o Tusku, że jest „mieszaniłą nihilizmu i cynizmu, a z drugiej strony pewnego wdzięku, uroku” i że na tym między innymi polegał jego polityczny fenomen. Warto do tego dodać opinię Jana Rokity, który w wywiadzie rzece sprzed siedmiu lat pt. „Anatomia przypadku” tłumaczył, że Tusk nie ma własnego zestawu poglądów ani wartości, lecz wybiera to, co uzna, że jest mu w danej chwili przydatne z politycznych względów.

„Tusk to specyficzny rodzaj osobowości, która nie istnieje jako treść, tylko jako forma. Istnieje ego Tuska, które nieustannie walczy o swoją pozycję w świecie. Nie ma natomiast Tuska jako jakiegoś zestawu wartości, twierdzeń, prawd, poglądów. On ma niezwykłą i bardzo przydatną w polityce zdolność absorpcji dowolnego poglądu, jeżeli jest on użyteczny dla wzmocnienia jego pozycji. Więc na pewnych etapach polityki może szczerze przyjmować wartości, od których na innych etapach równie szczerze będzie stronił [...], to nie jest z jego strony jakieś oszustwo, to jest po prostu natura. Poglądy Tuska są relatywne względem jednego problemu, zarazem politycznego i egzystencjalnego. Jest nim kwestia władzy, panowania, dominacji” – tak kreślił obraz Tuska Rokita.

POPRAWIANIE NOTOWAŃ

Spotkanie z Lempart było Tuskowski potrącenie m.in. do tego, by pokazać, że cały czas trzyma rękę na pulsie, jeśli idzie o wydarzenia polityczne w Polsce. Zawsze dobrze czuł, co jest na fali. I nawet jeśli nie widzi w ruchu kobiet polityczny potencjał, to uznał, że warto ten

ruch wesprzeć i uszczknąć co nieco z popularności, jaką cieszą się protesty kobiet w elektoracie opozycji. Wystał też tym samym do kolegów-polityków sygnał, że każdy, kto próbuje dziś sięgnąć po choćby ułamek władzy w Polsce, musi się z nim liczyć.

W niedawnym wywiadzie dla TVN24 Tusk apelował do opozycji, by umiała ze sobą współpracować, tłumacząc, że „żadna z sił politycznych, żadna po stronie opozycyjnej samodzielnie nie pokona PiS”. – PiS ma prosty przekaz: zły, brutalny, szkodliwy dla Polski, ale prosty i zrozumiały. Także tutaj, po drugiej stronie, po stronie opozycji musi powstać jakaś czytelna hierarchia, czytelne przywództwo, ten czytelny przekaz. To wymaga jakiejś elementarnej jedności. I o tym trzeba nieustannie mówić – podkreślał.

Nic dziwnego, że ustawiając się w roli arbitra i politycznego doradcy, który wie najlepiej, jak się wygrywa z PiS, a opozycję w Polsce ma za bandę amatorów, coraz częściej Tusk działa swoimi dawnymi kolegom na nerwy. Kiedy latem Platforma wraz z PiS przegłosowały kwestię podwyżek dla członków rządu i parlamentarzystów, Tusk ostro to skrytykował. „Opozycja, która złej władzy podwyższa wynagrodzenie, i to w czasie kryzysu, nie ma racji bytu. Po prostu. Ogarnijcie się, proszę” – napisał na Twitterze. Borys Budka, szef PO, odpowiedział na to w TVN24, że wolałby, żeby w takiej sprawie Tusk „sięgnął po telefon, a nie posługiwał się komunikatorem”.

Ostatni sondaż zaufania do polityków pokazuje jednak, że ów sposób z punktu widzenia Tuska nie jest taki zupełnie nieodpowiedni. W badaniu IBRIŚ dla Onetu były lider PO zyskał aż 9 punktów procentowych, notując najlepszy wynik od stycznia. W ten sposób Tusk buduje się znów w oczach nie tylko wyborców, ale przede wszystkim swoich zwolenników. Jan Rokita, zapytany o to, co jest największą ambicją Donalda Tuska, czymś, co go napędza, odpowiedział, że ma hipotezę, iż ambicja Tuska spełnia się w uznaniu. „Uznaniu mediów, uznaniu opinii publicznej, uznaniu świata. Byci postrzeganym jako władca i niemal suweren. To są zdjęcia na okładkach tygodników, rozliczne nagrody, szacunek świata celebrytów. [...] Ambicja Tuska to współczesny, trochę popkulturowy wariant czegoś, co jest odwiecznym kluczem do rozumienia polityków: ich pragnienia sławy”. © © Wszelkie prawa zastrzeżone



MACIEJ PIECZYŃSKI: Co pani czuła na wieść o tym, że najprawdopodobniej urodzi pani dziecko z zespołem Downa?

KAJA GODEK: Dostałam skierowanie na badania przesiewowe. Nie przypuszczałam nawet, że wykryją one jakiegokolwiek wady dziecka. Traktowałam to jak kolejne, rutynowe badanie, konieczne w trakcie ciąży. Ale wyniki wykazały, że jest podejrzenie jakiejś wady. Już w trakcie badania czułam, że coś jest nie tak. Lekarz nic nie mówił... Informując o wynikach, zaznaczył, że jest możliwość wykonania testów inwazyjnych, które rozwiąłyby wszelkie wątpliwości. Byliśmy z mężem w takiej sytuacji życiowej, że w tamtym momencie absolutnie nie wyobrażaliśmy sobie, że mielibyśmy wychowywać niepełnosprawne dziecko...

Dlaczego?

Byliśmy młodym małżeństwem. Wzięliśmy ślub dosyć wcześnie, w czasie studiów. Gdy zaszłam w ciążę, mąż jeszcze pisał magisterkę. Nic nie mieliśmy, zero stabilizacji życiowej. Samą ciążę traktowaliśmy jako wielkie szczęście. Zdawaliśmy sobie jednak sprawę, że łatwo nie będzie. Więc niepełnosprawne dziecko w ogóle nie wchodziło w grę... Miałam w głowie pełno klisz na ten temat – byłam przekonana, że urodzenie takiego dziecka oznacza zniewolenie do końca życia, że to zniszczy mnie, odbierałam sytuację tak, że to mnie coś się stanie.

Czyli pierwszą myślą był strach – o siebie, o rodzinę.

Dokładnie. Podziwiam matki, które twierdzą, że od początku czuły się wyróżnione, wręcz zaszczycone faktem, że urodzą niepełnosprawne dziecko. Ja byłam przerażona. Czułam ogromny stres i nie odnajdywałam się w tej sytuacji. Gdy dowiedzieliśmy się z mężem, że jest ryzyko niepełnosprawności, zaczęliśmy kalkulować, czy warto robić badania inwazyjne, potencjalnie niebezpieczne dla donoszenia ciąży. Ostatecznie stwierdziliśmy, że pół roku stresu i zastanawiania się, czy dziecko urodzi się zdrowe, czy nie, zaszkodzi dziecku jeszcze bardziej. Powiedziałam sobie: „Pójdę na te badania, na pewno okaże się, że to fałszywy alarm, i problem z głowy”.

Okazało się, że jednak nie fałszywy...

Gdy już było pewne, że urodzę dziecko z zespołem Downa, ja – 25-letnia



FOT. MATEUSZ WŁODARCZYK/FORUM

dziewczyna – poczułam, że to dla mnie koniec świata. Byłam przekonana, że nie będę w stanie udźwignąć tego ciężaru. Wcale nie myślałam, że oto dzieje się coś wielkiego, wspaniałego, a ja heroicznie przyjmę ten krzyż, zajmę się tym wyjątkowym dzieckiem, udowodnię sobie i wszystkim, jaką ja jestem wyjątkową matką. Nie miałam nawet cienia takich myśli. Dlatego rozumiem wszystkie

trudne emocje, które mogą się zrodzić u kobiet w takim momencie, ja to po prostu znam.

Jakie miała pani przed ciążą poglądy na aborcję?

Zawsze byłam przeciwniczką aborcji. Nauka jasno określa, kiedy powstaje człowiek. Nigdy nie miałam wątpliwości co do tego, że dzieci się nie zabija.



I to niezależnie od wiary?

Niezależnie. Sprzeciw wobec zabijania dzieci miał u mnie charakter rozumowy, intelektualny, a nie religijny. Co nie zmienia faktu, że na wieść o tym, że moje dziecko jest niepełnosprawne, ja się autentycznie obraziłam na Boga. Przestałam się do niego odzywać. W czasie mszy świętej ostentacyjnie nie odpowiadałam na wezwania księdza. Wstawałam, kiedy inni wstawali, siadałam, kiedy inni siadali, żeby nie robić zamieszania, ale milczałam. Powiedziałam tylko Panu Bogu: „Skoro Ty mi tak zrobiłeś, to ja z Tobą nie będę rozmawiać”.

I co na to Bóg? W jaki sposób pani odpowiedział?

Dał mi moje dziecko i to wariactwo mi przeszło (uśmiech).

Downa. Nie dowiedziałam się, że moje dziecko jest chore, ale że „jest nieprawidłowy kariotyp”. Nie powiedzieli, że urodzę chłopca. Zamiast tego usłyszałam, że „płód ma kariotyp męski”.

Czyli zdehumanizowali pani dziecko już na poziomie języka.

Myślę, że przygotowywali mnie na aborcję, więc przestali używać języka, który mógłby wywoływać przywiązanie emocjonalne do dziecka. Bardzo mnie to uderzyło. Gdy otrzymałam diagnozę, byłam między czwartym a piątym miesiącem ciąży. Lekarze powiedzieli mi, że to nie jest najgorsza sytuacja, bo jeszcze można usunąć. Panowała taka atmosfera, że pani jest młoda, diagnoza jest wcześniej, więc jeszcze panią uratujemy. Gdy zaczęłam kręcić głową z niedowierzaniem, usłyszałam: „Tak, to trudne,

nie. Pomimo odmowy lekarze ciągle sugerowali, że takie ciążę to się usuwa, a jak ktoś nie chce, no to jego prywatne widzimisię. I tak było do końca, nawet na koniec, gdy przyjechałam do szpitala z akcją porodową w toku. Położna przejrzała dokumentację i zapytała ze zdziwieniem: „A to pani nie wiedziała, że to można było inaczej załatwić?”. W momencie, gdy wiesz, że zaraz urodzisz chore dziecko, nie wiadomo, w jakim stanie i co będzie, ona zadała takie pytanie. Niezły tupet. Ale czego oczekiwać od osoby, która raz asystuje do porodu, raz do aborcji, dla niej to normalka, że czasem się kogoś zabije...

Co panią najbardziej przerażało w perspektywie wychowywania dziecka z zespołem Downa?

Miałam różne myśli. Bałam się o finanse, logistykę, życie codzienne. Poza tym byłam przekonana, że będę z moim synem wytykana palcami. Że wszyscy będą patrzeć na Wojtkę i komentować w stylu: „O nie, jakie brzydkie dziecko!”. Gdy widziałam na ulicy kogoś z zespołem Downa, przechodziłam na drugą stronę. Nie byłam w stanie się z tym zmierzyć, że właśnie noszę takie dziecko.

Nie miała pani ani jednej chwili słabości? Nie rozważała pani w ogóle aborcji?

Nie, aborcji nie brałam pod uwagę. Mam zresztą ogromne pretensje, że ciągle musiałam o niej słuchać. Ja sobie właśnie radziłam z trudną sytuacją, a oni mi jeszcze wygadywali o jakiejś aborcji... Mijały kolejne tygodnie: osiemnasty, dziewiętnasty, dwudziesty... Dziecko się ruszało. Czułam je. Pamiętam, że patrzyliśmy wtedy na siebie z mężem i stwierdzaliśmy z przerażeniem, że to dziecko wciąż jeszcze wolno zabić...

Co pani dawało siłę w tej sytuacji?

Pewnym przełomem było spotkanie z kobietą, która adoptowała dziecko z zespołem Downa. Krótko przed porodem. Wzięłam tego chłopca na ręce, a on się do mnie uśmiechnął. Poczulałam, jakby to mój syn dał mi w ten sposób sygnał: „Mamo, uśmiecham się do ciebie”. Gdy Wojtek się urodził, byłam bardzo zaskoczona, bo spodziewałam się określonego wyglądu, konkretnych cech wynikających z zespołu Downa. Tymczasem pierwsze wrażenie było zupełnie nieoczekiwane. Zobaczyłam, że mój syn ma oczy po tacie, że ma



Z Kają Godek z fundacji Życie i Rodzina rozmawia Maciej Pieczyński

Nie trzeba być fajnym, by zasłużyć na życie

W jaki sposób lekarze próbowali panią nakłonić do aborcji?

Pierwsze, co mnie uderzyło, to zmiana języka, którego lekarze używali w rozmowie ze mną. Na początku ciąży, podczas kolejnych badań, słyszałam, że moje dziecko ma już 5 milimetrów, potem, że moje dziecko ma 5 centymetrów. Ciągłe była mowa o dziecku. Do momentu, w którym okazało się, że ma zespół

ale czasem po prostu trzeba zakończyć ciążę, proszę oswajać się z tą myślą”.

Jak pani zareagowała na tę sugestię?

O aborcji nie chciałam nawet słyszeć. Odmówiłam od razu. Strasznie mnie irytował fakt, że w ogóle mi coś takiego proponowali. Ale też nie byłam w stanie ich skrytykować, choć przecież im się należało. Byłam załamana psychicz-



Kaja Godek ze swoim synem – Wojtkiem

FOT. TOMASZ ADAMOWICZ/GAZETA POLSKA/FORUM

■ delikatną skórę na buzi. Słowem: dostrzegłam te wszystkie szczegóły, które matka widzi w dziecku, gdy je urodzi. Oczywiście, nie mówię, że nie było problemów. To było moje pierwsze dziecko, do tego takie, które wymaga specyficznej opieki. Wiele rzeczy nie umiałam, popełniałam błędy. Ale na duchu podtrzymywała mnie miłość – relacja osobowa, która wytworzyła się, gdy Wojtek przyszedł na świat. Ja potem nigdy nie chciałam, żeby go nie było, nie wyobrażałam sobie, jakby to w ogóle miało być.

Oprócz Wojtka ma pani dwie córki. Dla rodzeństwa to chyba też w pewnym sensie nauka tolerancji, otwartości, wrażliwości?

Nasze dzieci są bardzo relacyjne. Są do siebie przywiązane, lubią spędzać ze sobą czas. Jak jedno gdzieś pójdzie albo wyjedzie choćby na krótko, reszta za nim tęskni, boleśnie odczuwa brak. To jest zgrany team. Z perspektywy czasu myślę, że gdybym była tak głupia i poszła na tę aborcję, dziś w naszej rodzinie brakowałoby bardzo ważnego elementu we wzajemnych relacjach. W rodzinie byłoby puste miejsce.

Proszę wybaczyć bezpośredniość, ale jak to jest być mamą dziecka z zespołem Downa?

Trochę mi na to trudno odpowiedzieć, bo ja nie postrzegam siebie przez pryzmat tego, że mam niepełnosprawne dziecko. Jest chyba takie przekonanie, że matka dziecka niepełnosprawnego to jakaś rola. Określona. Zdefiniowana i powtarzalna. Tymczasem ja to ja, mam swoje zainteresowania, rzeczy, które lubię robić, jestem aktywna także na polach poza rodziną, dzieci wychowuję

pewnie nieidealnie, ale najlepiej, jak umiem. Na pewno przy nich się rozwijam. Uczą mnie dobrej organizacji, wielozadaniowości, niektóre problemy Wojtka też nauczyłam się rozwiązywać albo przynajmniej żyć z tym, że ich nie rozwiążę. Myślę, że nabywam przy dzieciach elastyczności w diagnozowaniu sytuacji i działaniu, zdolności do trzeźwej oceny w trudnych sytuacjach. To się potem przydaje nie tylko przy dzieciach. Nie będę udowadniać, że dzieci z zespołem Downa są jak wszystkie inne, bo to nieprawda. Mają swoje specyficzne zachowania i wymagania, ale mają do nich prawo! Są też pewne hamulce w rozwoju, z którymi nie da się nic zrobić. Ale nikt z nas, rodziców, nie zawiera z dzieckiem kontraktu, w którym wymaga, by było ono takie, a nie inne. Dziecko ma prawo pewnych rzeczy od rodziców oczekiwać, a rodzice mają na te oczekiwania odpowiedzieć.

Jaki jest Wojtek?

My, matki dzieci z zespołem Downa, musimy za każdym razem udowadniać, że nasze pociechy są OK. Zwolennicy aborcji chcą słuchać, jak strasznie cierpimy. Pro-liferzy chcą słuchać, że jest pięknie, im bardziej idealistyczny obrazek, tym lepiej...

Poproszę zatem o realistyczny, prawdziwy portret.

Ja jestem w syna zapatrzona, dla mnie Wojtek jest super! Ale jedno zastrzeżenie: żeby mieć prawo do życia, nie trzeba być fajnym. Nie zabija się ludzi dlatego, że są ludźmi, a nie dlatego, że są fajnymi ludźmi. Mój syn ma 12 lat, ale oczywiście z racji opóźnień nie

funkcjonuje jak standardowy 12-latek. Jest natomiast bardzo relacyjny. Potrzebuje ludzi. Jak wychodzi ze szkoły i widzi mnie z daleka, krzyczy na cały głos: „Mama, ja cię kocham!”. Gdy idzie rano do szkoły i mówi, że będzie tęsknił, ja mu rysuję długopisem na rączce serduszko i mówię: „Jak ci będzie smutno, popatrz na to serduszko od mamy”. Uwielbia piłkę nożną, czyta książki o piłkarzach, nosi skarpetki w barwach ulubionego klubu. Ma też swoje humory – dzieci z Downem czasem się złością, są uparte... Ale często też bywa bardzo wesoły, szczególnie gdy próbuje mnie „naciągnąć” na colę w McDonalddie (śmiech). Jest wtedy sprytny, przypomina, że np. posprzątał ładnie pokój i zasługuje na nagrodę. Kiedy pojawiają się problemy, to przypominam sobie, że ma ten zespół, ale na co dzień my wszyscy o tym zapominamy.

Dlaczego postanowiła pani zaangażować się w ruch pro-life? Na ile pani osobiste doświadczenie miało na to wpływ?

Zobaczyłam kiedyś, jak Wanda Nowicka wypowiadała się w imieniu matek dzieci niepełnosprawnych. Chodziło o sprawę dziecka, którego nie chcieli zabić lekarze w jednym z poznańskich szpitali. Zgłosił się wtedy szpital z Warszawy i zabił to dziecko. I wtedy wyszła pokomentować Nowicka... Z jakiej racji??? Szczególnie że akurat okazało się, że bierze pieniądze od koncernów aborcyjnych. Nie prosiłam o takiego adwokata. Ale wahałam się, czy się odezwać, bo wiedziałam, że przecież nie powiem, że zespół Downa nie jest żadnym problemem, nie będę kłamać pod tezę. I w końcu doszłam do tego, że przecież nie o to chodzi, żeby udawać, że wychowanie niepełnosprawnego dziecka to żaden problem. Chodzi o to, że choćby nie wiem, jakie problemy przyniosło dziecko, to nie wolno go za te problemy zabić. I że może być stres i lęk, bo to normalne, przechodzi później, w końcu człowiek się uspokoi. Miewam takie chwile, gdy odbiorę dzieci ze szkoły, stoję z nimi w korku, zerkam w lusterko wsteczne, siedzą z tyłu w fotelikach i się przekomarzają. Jestem wtedy 100 metrów nad ziemią ze szczęścia. Są wszyscy, nikogo nie brakuje, nikt nikomu nie zrobił krzywdy, nie wiemy, co jeszcze przed nami, ale wiemy, że będziemy w tym razem, mamy siebie nawzajem.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Uchodźcy w Burkina Faso

**Rozmowa
z ks. Stanisławem Filipkiem,
pallotyńcem, misjonarzem
z Burkina Faso**

Regularnie odwiedza ksiądz obóz dla uchodźców w stolicy Burkina Faso, Wagadugu. Kim są ludzie, którzy tam się chronią?

Uchodźcy z obozu to kobiety z dziećmi, całe rodziny, wszyscy, którzy pół roku temu musieli uciekać ze swojej rodzinnej wioski Pisile, leżącej na północy kraju. Miejscowość została zaatakowana przez terrorystów. Dziewięć osób zginęło, wiele zostało rannych, wioska została zniszczona. Ludzie musieli uciekać. Na terenie naszej parafii, parafii św. Siostry Faustyny, założyli obóz, gdzie koczują, walcząc o przetrwanie.

Jak wygląda ich codzienność?

Żyją w dramatycznych warunkach. Potrzebują wszystkiego: żywności, środków higienicznych, ubrania, środków dezynfekujących, no i wsparcia duchowego, które staramy się im zapewnić. Jesteśmy z nimi, by dać im sygnał, że świat o nich nie zapomniał, że nie są pozostawieni sami sobie.

To chrześcijanie?

Nie tylko. W obozie na terenie naszej parafii (w Wagadugu takich obozów jest wiele, w sumie

koczują w nich ponad milion uchodźców) mieszkają w większości muzułmanie, którzy również padają ofiarą islamskich terrorystów i przez nich cierpią. Pomagamy im wszystkim, razem się modlimy. Niedawno uczestniczyliśmy w chrzcie muzułmańskim. Dziecko urodziła kobieta, która została ranna podczas ataku terrorystów. Ci wszyscy ludzie potrzebują naszej pomocy.

Czy taka pomoc jest skuteczna? Jaka przyszłość czeka mieszkańców obozu?



Na razie muszą stanąć na nogi, dosłownie. Potrzebują podstawowych produktów, ale powoli odnajdują swoje nowe miejsce w życiu. Szukają sobie zajęć, próbują zarabiać na utrzymanie. Oczywiście, że sami się nie dźwigną, ale jeśli podamy im rękę, to może się udać. Wraz z kardynałem diecezji Wagadugu staramy się organizować edukację dla dzieci. Udało się częściowo sfinansować szkołę dla dzieci uchodźców, za co kard. Philippe Ouedraogo jest bardzo wdzięczny, ale to nie wystarczy. Dlatego zwracamy się o pomoc do wszystkich ludzi dobrej woli. Edukacja jest dla tych dzieci bardzo ważna, bo po pierwsze uchroni je przed patogenną bezczynnością, a po wtóre pozwoli im na lepszy start w życiu, poszerzy perspektywę patrzenia na świat. Jesteśmy za nich odpowiedzialni. Musimy im pomóc właśnie teraz, zanim niedostatek i poczucie bezsensu zepchną ich na margines życia.

Pomoc dla uchodźców w Burkina Faso organizuje Pallotyńska Fundacja Misyjna Salvatti.pl. Pomóż, zanim będzie za późno! Każde 50 czy 100 zł to dla nich konkretna pomoc.

Bank Pekao SA:

44 1240 1095 1111 0010 3468 8020

Tytułem: Darowizna Burkina DRZ

Salvatti.pl
PALLOTYŃSKA FUNDACJA MISYJNA

Ludzki odruch



Stanisław Karczewski (lekarz i polityk PiS) jeszcze w marcu zgłosił się na ochotnika do pracy w szpitalu FOT. STANISŁAW KARCZEWSKI/TWITTER

Jednym z pierwszych był ówczesny wicemarszałek Senatu z PiS, Stanisław Karczewski w marcu zgłosił się do pomocy przy pacjentach COVID-owych. Karczewski jest z wykształcenia lekarzem chirurgiem. Przed polityczną karierą od 1981 r. pracował jako lekarz w szpitalu w Nowym Mieście nad Pilicą. I to właśnie tam jako wicemarszałek ruszył z pomocą w kitlu. W tej placówce zabrakło bowiem rąk do pracy, gdy u 11 pracowników wykryto obecność SARS-CoV-2.

„Po tym wszystkim kwarantanna. Po 5–7 dniach test na obecność COVID-19. Mam nadzieję, że ujemny. Dziękuję wszystkim z Nowego Miasta nad Pilicą za ofiarną pracę na posterunku. Razem daliśmy i damy radę” – relacjonował wówczas swoją pracę na Twitterze.

Później Karczewski zrezygnował ze stanowiska wicemarszałka i na stałe zaczął znów pracować w szpitalu. Tam w końcu zaraził się sam koronawirusem. Poinformował o tym w połowie listopada. W mediach ujawnił, że zakaził się od pacjentki, która wcześniej miała dwa ujemne testy, i to osłabiło jego czujność. Na szczęście chorobę przeszedł w łżejszy sposób.

Z pacjentami, także COVID-owymi, pracuje jeszcze m.in. poseł PiS Tomasz Latos, który jest radiologiem. Tacy pacjenci trafiają się też w Uniwersyteckim Szpitalu Klinicznym we Wrocławiu, gdzie Kliniką Transplantacji Szpiku, Onkologii i Hematologii Dziecięcej „Przyładek Nadziei” kieruje senator Koalicji Obywatelskiej prof. Alicja Chybicka.

Wielu lekarzy-polityków publicznie zadeklarowało chęć pomocy pacjentom z COVID-19. W rozmowie z mediami lekarz Andrzej Sośnierz (PiS) powiedział, że „jeśli będzie taka potrzeba”, włączy się w pomoc chorym. Podobnie prezes PSL Władysław Kosiniak-Kamysz, który wcześniej pracował m.in. w Klinice Chorób Wewnętrznych i Medycyny Wsi Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Jednak mimo zatrważających apelów płynących od lekarzy – o brakach kadrowych i nadmiarze pacjentów – żadna z tych znanych osób nie uznała jeszcze, że „jest taka potrzeba”. Pozostają „gotowi”.

Są na szczęście i tacy, którzy zamiast deklarować gotowość, ruszają na pomoc do szpitali, i to nawet nie mając medycznego wykształcenia. Tak zrobił poseł PiS Marcin Porzuczek. Zgłosił się jako wolontariusz do szpitala w Pile. Szefostwo tej

nasz prawdziwy obraz, a na pewno nie jest to obraz pełen. Najlepiej widać to teraz, podczas pandemii, gdy stać nas na najpiękniejsze ludzkie odruchy pomocy chorym, słabszym, potrzebującym.

KITEL ZAMIAST GARNITURU

Gdy Polska zaczęła się zmagać z zachorowaniami na COVID-19, na początku nie wyglądało to nad Wisłą źle. Dzięki szybkiemu lockdownowi liczba zachorowań nie doszła do poziomu, który notujemy podczas drugiej fali. Była większa niepewność – niewiele wiadomo na świecie o tej chorobie – jednak nie odczuliśmy zapaści służby zdrowia.

Mimo tego już wówczas niektórzy znani lekarze postanowili dać przykład.



Łukasz Zboralski

W trudnym czasie pandemii wielu ludzi zakasało rękawy i ruszyło na pomoc chorym na COVID-19 oraz seniorom. Są wśród nich też znani politycy

Wciąż jeszcze wiele złego mówimy o sobie jako Polacy – że jesteśmy kłótniwi, nie umiemy współpracować w grupie, wytrwale dążyć do celów. I rzeczywiście mamy takie przywary. To nie jest jednak

placówki miesiąc wcześniej zaapelowało o pomoc, ale odzew był znikomy. – Uważam, że od osób publicznych można wymagać więcej, a osoby publiczne nie tylko mogą, lecz także powinny od siebie samych więcej wymagać. Dlatego się zgłosiłem – tłumaczył swoją decyzję poseł Porzuczek.

Gdy poszedł do szpitala, okazało się, że pomoc najbardziej potrzebna jest na oddziale COVID-owym. Wówczas, jak przyznawał, swoją decyzję skonsultował z żoną. Ta go wsparła. Został przeszkolony i od kilku tygodni pojawia się w szpitalu. Tam czyści toalety, dezynfekuje klamki, sprząta sale oraz przygotowuje i wydaje posiłki. Twierdzi, że umie to połączyć z poselskimi obowiązkami. Jedyny problem, jaki napotyka, to kontakt z córką. Trzylatce trudno zrozumieć, że teraz nie może się przytulać do ojca.

Nie tylko politycy decydują się na poświęcenie. W Radziejowie (kujawsko-pomorskie) szpital jednoimienny ma takie obłożenie, że wolnych łóżek dla pacjentów z COVID-19 zostało tam już tylko kilka sztuk. Personel jest przeciążony i każda następna pielęgniarka czy dodatkowy ratownik medyczny są na wagę

złota. Dobrze rozumie to dyrektor tamtejszej placówki Sebastian Jankiewicz. Od 11 lat ma tytuł ratownika medycznego i wcześniej pracował w zespołach ratownictwa medycznego. Dlatego teraz po skończonej pracy dyrektora, po godz. 15, zamienia się w ratownika i wsiada do karetki, by nieść pomoc ludziom. W ten sposób dyżuruje trzy razy w tygodniu. – Z karetki wychodzi się późno, tyle jest wyjazdów, tylu pacjentów w stanie zagrożenia życia, których transportujemy pod respiratorami do placówek wyższej rangi, będąc w kombinezonach ochronnych – opowiadał w telewizji Polsat News. I zaznaczał: – Ile mamy sił, tyle tym pacjentom pomagamy.

SERCE W WOLONTARIACIE

W całej Polsce rozkwitają też lokalne inicjatywy wolontariatu. Często o nich nie usłyszysz się w mediach – to młodzież, sąsiedzi, którzy pomagają sobie wzajemnie, gdy ktoś zachoruje albo jest na przymusowej kwarantannie. Rząd postanowił pomóc w rozszerzaniu takiej pomocy i w październiku premier Mateusz Morawiecki ogłosił utworzenie Solidarnościowego Korpusu Wsparcia Seniorów. Starsi

Polacy to grupa, która jest najbardziej narażona, więc powinna unikać kontaktów z innymi – częstego chodzenia do sklepów itd. W tym właśnie mogą pomóc wolontariusze, którzy powinni zgłaszać się przez stronę wspierajseniora.pl lub w lokalnych ośrodkach pomocy społecznej. Rząd daje bowiem dofinansowanie samorządom na organizowanie takiej pomocy w pandemii.

Na konferencji #WspierajSeniora, która odbyła się 4 listopada w Ministerstwie Rodziny i Polityki Społecznej, podliczono, że w pomoc seniorom włączyło się w całym kraju już 100 rozmaitych organizacji, w tym wiele młodzieżowych. To wielkie zaangażowanie młodego pokolenia – mówiła minister Marlena Maląg. I dodała: – Pokazujecie, że zdajemy egzamin z solidarności międzypokoleniowej. Jesteśmy zobowiązani, żeby tak działać, aby skutecznie zabezpieczyć pomoc seniorom i osobom, które oczekują takiego wsparcia.

A oprócz Solidarnościowego Korpusu Wsparcia Seniorów w pandemii od dawna pomocą służą harcerze i żołnierze Wojsk Obrony Terytorialnej. Polaków chętnych do pomagania drugim jak zwykle nam nie brakuje. © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

ILUSTROWANA BIOGRAFIA ROTMISTRZA WITOLDA PILECKIEGO

KSIAŻKA DO KUPIENIA W: WWW.XLM.PL

NOWOŚĆ!



SPONSOR:



PATRONAT:





Agnieszka Niewińska

Przez kilka lat student łódzkiej ASP nawijał płótno na rurę kanalizacyjną i tak przewoził pociągami „Bitwę pod Grunwaldem”. Większa od oryginału kopia Matejkowskiego dzieła jest na ukończeniu

Wskierniewickiej pracowni Ireneusza Rolewskiego, 27-letniego malarza, siadamy w cieniu, a może raczej blasku „Bitwy pod Grunwaldem”, którą pięć lat temu zaczął kopiować z Matejkowskiego oryginału. Obraz naciągnięty na krosno specjalnej konstrukcji autorstwa samego malarza oneśmiela swoją wielkością. Jest o 3,17 proc. większy niż pierwowzór, jego wysokość przekracza 10 metrów. Kiedy podejdzie się bardzo blisko obrazu, z oczu traci się centralną postać księcia Witolda w purpurze. Można za to przyrzeć się pociągnięciom pędzla. Malarz obraz wykańcza przy użyciu bardzo cieniutkich pędzelków. Piętrzą się one na stoliku pod ścianą pracowni w towarzystwie palet malarskich i puszek z farbami. Aby dopeścić górne części obrazu, niezbędne jest rusztowanie, na które malarz musi wciągać także dodatkowe oświetlenie.

36 TYSIĘCY SUPEŁKÓW

A zaczęło się niewinnie – od jednego fragmentu „Bitwy pod Grunwaldem”, który Rolewski kopiował w ramach zajęć z technologii malarstwa na łódzkiej ASP. Uzyskał zgodę Muzeum Narodowego w Warszawie na malowanie z oryginału. Wybrał bogaty w detale fragment przedstawiający czeskiego rycerza Jana Žižkę i zaczął krążyć między Łodzią a Warszawą. Płótno nawijał na plastikową rurę kanalizacyjną i z takim rulonem podróżował pociągami. Namalowanie pierwszego fragmentu zajęło mu 105 dni. – Początkowo nie miałem zamiaru kopiować całej „Bitwy”, tylko ten jeden fragment, ale w muzeum dowiedziałem się, że oryginał jest tak uszkodzony, że konserwatorzy nie wyrazili zgody na to, by wypożyczyć go w 600. rocznicę bitwy pod Grunwaldem. Nawet po ostatniej konserwacji „Bitwa” nie może opuścić Muzeum Narodowego – opowiada malarz.



FOT. AGNIESZKA NIEWIŃSKA

Zrolowany książkę

Dzieło Matejki tuż po wybuchu drugiej wojny cudem udało się zdjąć z krosien, zwinąć i wywieźć na Wschód. Od 1941 r. przechowywane było w wykopanym w szopie dole. Chociaż skrzynia i papa miały je zabezpieczyć przed wilgocią, to trzy lata pod ziemią wyrządziły płótnu ogromne szkody.

– Pomyślałem, że skoro mam już skopiowany jeden fragment, to mogę skopioować cały obraz. A kopia mogłaby być wazona i wystawiana w różnych miejscach na całym świecie – mówi Rolewski.

W styczniu 2016 r. w wywiadzie dla „Do Rzeczy” szacował, że prace nad „Bitwą” zamknie w trzy lata, jednak wiele okoliczności sprawiło, że się przeciągnęły. Przewidywał, że każdy kolejny fragment będzie malował szybciej, ale ze względu na ruch zwiedzających nie zawsze było to możliwe. Wielokrotnie zamiast malować, musiał odpowiadać na pytania zaciekawionych widzów. – Po wywiadzie w „Do Rzeczy” nie tylko zaczęły odzywać się do mnie kolejne media, lecz także przychodzili ludzie, którzy przeczytali o mnie

w tygodniku. Chciałem jak najszybciej skończyć pracę, ale rozmowy rozciągały ten proces. W miesiącach, w których było najwięcej grup zwiedzających, trudno było mi się skupić na malowaniu. Efektywność mojej pracy zależała też od tego, jak wymagający był semestr na uczelni – opowiada młody malarz.

W Muzeum Narodowym malował przez przeszło 600 dni, ale niektóre fragmenty powstawały też w innych miejscach – m.in. na Stadionie Narodowym. – Matejko malował rok krócej niż ja, ale miał zadanie o tyle łatwiejsze, że zagruntowane płótno gotowe do malowania dostarczono mu z Francji. Ja obraz podzieliłem na 11 fragmentów i każdy malowałem na oddzielnym płótnie. Długo szukałem odpowiedniej techniki, by fragmenty połączyć w całość – opowiada malarz.

Zdecydował się na zespolenie obrazu za pomocą ciasno wiązanych supełków. – Początkowo chciałem je podkleić na inne płótno. Potem chciałem je zszyć maszyną, którą stosuje się do szycia żagli. Byłby to dobry sposób, gdyby sprzęt udało się



Witold

sprowadzić do pracowni. Obdzwoiłem kilka takich punktów, ale osoby, z którymi rozmawiałem, tylko się dziwiły. Na pomysł z supełkami wpadł mój szwagier i okazało się, że to najlepsze wyjście. Nie byliśmy w stanie rozzerwać 10-centymetrowego odcinka połączonego tą techniką – mówi.

Wraz z sześcioma osobami, które zgłosiły się do pomocy przy łączeniu fragmentów obrazu, wykonał 36 tys. supełków. Do złączenia była linia marginesów płócien licząca ponad 70 metrów. Wiązać trzeba było włókno po włóknie. Wcześniej pracujące przy wiązaniu osoby wykonywały próbki. Chodziło o to, by wiązać mocno i w zbliżony sposób. Poważnym wyzwaniem było też wyprostowanie obrazu. – Niektóre fragmenty leżały wiele lat nawinięte na rurę kanalizacyjną – mówi Rolewski, pokazując zdjęcie z procesu prostowania „Bitwy”.

Po marszczeniach i zagięciach nie ma już śladu, a przeciętnemu widzowi trudno będzie dostrzec miejsca łączeń. Nie wszystkie elementy namalowane na fragmentach płócien się zeszły i – jak mówi

malarz – trzeba było np. poprawiać dłonie czy scalać włócznię św. Maurycego. Dzisiaj kopia Rolewskiego jest spójną całością.

– Przygód przy pracy było bardzo wiele – wspomina malarz. W pracowni w Konstancinie, gdzie łączone były fragmenty, przeciekał dach. Kiedy w czerwcu nad Warszawą i okolicami przeszła gigantyczna ulewa, zaczęło z niego kapać na obraz. – Szkoda mi było wysiłku, jaki włożyłem w pracę, ale obraz udało się odratować. Przy okazji dużo się nauczyłem. Dzisiaj już wiem, jak naprawić takie usterki, jak usunąć zniszczoną farbę albo nie usuwając farby, przykleić ją do gruntu – tłumaczy malarz.

Z RULONEM PO SCHODACH

Z pracowni w Konstancinie zwinięty w rulon i zapakowany do skrzyni obraz został załadowany na ciężarówkę za pomocą dźwigu i przewieziony do Skierniewic. Muzeum Historyczne Skierniewic w siedzibie ZHP znalazło pracownię, w której Rolewski może wykańczać wielkoformatowe dzieło. – Nie można było użyć dźwigu ze względu na przebiegającą linię wysokiego napięcia. Obraz po schodach wnosili pracownicy miejskiej spółki pogrzebowej, która mnie wspiera – opowiada malarz.

Przez lata tworzenia „Bitwy” pomagali mu wielu mecenasów. Jedni zapłacili za niezbędny sprzęt, inni kupowali obrazy malarza, dzięki czemu mógł finansować kolejne etapy prac. Początkowo nawet nie myślał o kosztach. – Wydawało mi się, że na farby i płótno znajdę pieniądze. Nie zastanawiałem się wtedy nad tym, że będą potrzebne duża pracownia, dźwig, skrzynia, rura z kołnierzem do nawinięcia obrazu, krosno, które będzie można łatwo transportować. Chciałbym podziękować za pomoc i zaangażowanie spotkanym na drodze osobom – nie tylko w Warszawie, lecz także Strobowie, Konstancinie, Skierniewicach, Puszczy Mariańskiej, Łodzi, Krakowie, Gdańsku, Częstochowie, Otwocku, Pruszkowie, Łowiczu – wylicza.

W komputerze ma prezentacje, które przygotował dla mecenasów. Jedna z nich obrazuje działanie zaprojektowanego przez malarza krosna. Powstało ono ze sklejki. Wycięte w niej elementy połączone zostały w kształt trylinek, czyli przylegających do siebie sześciokątów. Kiedy w skierniewickiej pracowni malarza zaglądam za obraz, krosno kształtem przypomina plaster miodu. Można je rozkręcić na mniejsze elementy i łatwo przenieść transportować. – To nie jest moje ostatnie

krosno. Sklejka nie do końca się sprawdziła. Za bardzo reaguje na wilgoć. Próbowałem robić elementy trylinek z bambusa, myślałem o aluminium, ale koszty byłyby zbyt wysokie – mówi malarz.

DŁONIE, BRODY, NOWE ŚWIATŁO

„Bitwa” Rolewskiego zostanie oprawiona w ramę, która wcześniej służyła Matejkowskiemu oryginałowi. Malarz odkupił ją od Muzeum Narodowego w Warszawie, oddał do powiększenia i konserwacji. Kiedy obraz zostanie wystawiony? – Na pewno będzie to w Skierniewicach – mówi autor.

Termin zależy nie tylko od ostatnich szlifów nadawanych dziełu przez artystę, lecz także od sytuacji epidemiologicznej. – Tak długo, jak będzie to możliwe, będę obraz dopieszczał. Chciałbym jeszcze popracować nad dłońmi, nad brodami. Niektóre miejsca przyciemniłem i będę na nie nakładał nowe światło. Z malarzami jest tak, że na każdym etapie mogą uznać dzieło za skończone, ale kiedy coś im się nie spodoba, będą nanosić poprawki nawet na wernisażu.

Mówi, że maluje jak Matejko, ku pocieszeniu serc. Chociaż teraz już nie chodzi o danie nadziei na niepodległość, ale pocieszenie malarzy, pokazanie, że ich praca jest ważna, potrzebna, odgrywa szczególną rolę i budzi zainteresowanie.

– Okazało się, że „Bitwa” mnie niesie. Z zamówieniami zgłasza się do mnie sporo osób zainteresowanych malarstwem. Wiele propozycji odrzucam, bo po pierwsze nie chcę być kopistą, a po drugie mam „Bitwę” do skończenia, czeka na mnie także seria dziewięciu dyplomowych obrazów do ukończenia – mówi.

Miał możliwość, by „Bitwę” sprzedać. – Nie chciałem tego robić, nie wybaczyłbym sobie – podkreśla. Chce, by kopia jeździła po świecie, skoro w przypadku oryginału to niemożliwe. – Nie tylko Polonia na świecie mogłaby być zainteresowana obrazem. Matejko cieszy się dużą popularnością w Azji. Malując w Muzeum Narodowym, często odpowiadałem na pytania turystów z tego kontynentu, dopytywali się, gdzie jeszcze mogą oglądać dzieła Matejki. Obrazy wielkoformatowe, bogate w królewskie barwy, pełne detali są dla Azjatów wartościowe – opowiada malarz.

Jak wprawić kopię „Bitwy” pod Grunwaldem w międzynarodowy ruch? Ireneusz Rolewski wciąż się nad tym zastanawia. – Może powinienem założyć fundację, która będzie wypożyczać obraz? – pyta.



Radosław Wojtas

Można grać, śpiewać, tańczyć, ale by uczestniczyć we wspólnej pasji, wystarczy choćby przewracać nuty. To nie tylko hobby, to sposób na cementowanie więzi – przekonują muzykujące rodziny

W rodzinie Sadowskich wszystko zaczęło się przy wigilijnym stole. A może tuż po wieczery, przy rozświetlającej półmrok choince? Może przy rozpakowywaniu podarków albo po powrocie z nocnego nabożeństwa? Mniejsza o takie detale, odłożymy na bok matematyczną dokładność, minęło przecież już ładnych parę lat. Pewne jest, że było wtedy Boże Narodzenie... – Byłyśmy u mamy w domu i zaczęłyśmy z siostrami podśpiewywać. Stwierdziłyśmy, że bardzo fajnie nam to wyszło, i to był impuls do tego, żeby z naszym śpiewaniem, które towarzyszyło nam od kołyski, wyjść poza dom – opowiada Anna Petrovska, z domu Sadowska. – Pierwszy raz wyszłyśmy na scenę w konkursie piosenki białoruskiej. Nie licząc wcześniejszych występów, np. na szkolnych akademiach, śpiewam już z siostrami dobre 25 lat. Czyli większą część naszego życia, nie jesteśmy znowu jakieś takie najstarsze – uśmiecha się młoda, bo jeszcze nawet nie 40-letnia, pani Anna.

Triada, czyli zespół założony przez trzy siostry Sadowskie (dziś każda nosi już nazwisko po mężu) – Annę Petrovską, Justynę Lewczuk i Urszulę Paruk – ma w swoim repertuarze pieśni i przyśpiewki, jakie zasiadając na ławeczkach pod drewnianymi płotami, wykonywały mieszkanki Podlasia. – Pieśni uczyłyśmy się od mamy, babć i wiejskich śpiewaczek. Przeważnie jest to folklor białoruski i ukraiński, mamy też pieśni w języku rosyjskim. Bardzo nam zależy, żeby one nie zaginęły. Bo babulki jeszcze na ławkach w podlaskich wioskach można spotkać, ale już coraz mniej z nich śpiewa. Dlatego działamy w zespole, dlatego uczymy nasze dzieci tych pieśni – mówi Anna Petrovska.

Dodać tu trzeba, że Triada to dziś już nie tylko trzy siostry, lecz także dwie



Triada to zespół rodzinny z Podlasia założony przez trzy siostry Sadowskie

FOT. TOMASZ POSKROBKO



Rodzina Opydów to trzon zespołu

Warzęgowanie FOT. ARCHIWUM RODZINY OPYDÓW

Na rodzinną nutę

córki pani Anny – Kalisa i Daria – oraz córka pani Urszuli – Julia.

AUTOBUS, CZYLI POJAZD RODZINNY

Siostry Sadowskie wyszły na scenę jako pierwsze w rodzinie, ale śpiewa tam chyba każdy, i to od pokoleń. To zresztą cecha charakterystyczna dla większości rodzin pojawiających się wspólnie na scenie. – Cała nasza rodzina – Opydów i Kyrców, bo nazwisko Kyrzcz łączy naszą familię – lubi śpiewać. Moi rodzice pochodzą z powiatu limanowskiego w byłym wojewódz-

twie nowosądeckim, ale przenieśli się na ziemię zachodnie, w okolice Wrocławia. Mój tato był nauczycielem, grał na skrzypcach, śpiewał razem z mamą. Muzyka i śpiew towarzyszyły nam na każdej rodzinnej imprezie i spotkaniach. Śpiewamy pieśni ludowe, pieśni okolicznościowe, kołędujemy – wymienia Eugeniusz Opyd, kierownik zespołu Warzęgowanie z Warzęgowa z gminy Wołów w województwie dolnośląskim. To jego rodzina dała początek zespołowi – i od lat stanowi jego trzon – którym pan Eugeniusz dziś kieruje i w którym gra na akordeonie.

– Oprócz taty przepięknie grał na skrzypcach wujek Józef Danaj, mój brat Wiesław Opyd gra na kontrabasie... Wygląda na to, że muzykalność noworodki w naszej rodzinie wysysają z mlekiem matki – uśmiecha się pan Eugeniusz.

Zespół Warzęgowianie został założony w 1974 r. Dwa lata później we Wrocławiu zaczęto organizować Ogólnopolskie Spotkania Muzykujących Rodzin, w których Opydowie uczestniczą od samego początku i do dziś nie opuścili ani jednej edycji (choć sam festiwal organizowano z przerwami). Nestorką w muzykującej części rodziny jest ciocia kierowniczka zespołu Maja Pałys, która śpiewa w zespole Warzęgowianie od początku jego istnienia, uczestniczy we wszystkich wrocławskich spotkaniach muzykujących rodzin i ani myśli przestać, choć skończyła już 86 lat.

Dzisiaj, oprócz już wspomnianych, muzykują jeszcze: mąż kuzynki Andrzej Augustyniak na klarnecie, Aleksander Traczyk na skrzypcach oraz zdolny uczeń Eugeniusza – grający na skrzypcach Eryk Wysopal, też z rodziny. Śpiewają kuzynki: Józefa Madera, Stanisława Augustyniak, Barbara Kucar, Małgorzata Kucar, Grzegorz i Małgorzata Kmieciovie oraz Ryszard Danaj. Najmłodsi występują w zespole Małe Warzęgowo, który istnieje już na tyle długo, że niektórzy z „juniorskiego składu” przeszli już do „seniorów”.

Dużo? Bywało więcej, ale i dziś na tyle dużo, że w tym roku, chcąc przestrzegać rządowych obostrzeń, nie mogliby spotkać się przy wigilijnym stole, o występach, a nawet próbach nie wspominając. – Odwiedzamy się w domach, po dwie-trzy osoby, i pracujemy nad nowym repertuarem, nie spotykamy się na próbach, występach, festiwalach z naszymi przyjaciółmi, czego nam brakuje. Całe to muzykujące środowisko to trochę jest jak jedna wielka rodzina – mówi Eugeniusz Opyd.

Wśród tych przyjaciół są m.in. Gołębiewie (Opydowie, Gołębiewie i Kurasie w 1992 r. występowali razem przed Janem Pawłem II w Watykanie) z założonym przed czterema dekadami zespołem Familia. – Na spotkania muzykujących rodzin przyjeżdżają autobusem! – mówi z uznaniem o Familii Eugeniusz Opyd.

– No tak, w naszych najlepszych czasach tak było – uśmiecha się Jolanta Kielt, córka założycieli zespołu. – Familia to zespół pieśni i tańca, więc rzeczywiście, jak się jechało na festiwal czy przegląd, to grupa ponad 30-osobową. No ale to są koszty,

sponsorzy się wykruszają, więc teraz raczej zabieramy skromniejszą reprezentację: cztery–pięć par tanecznych, niedużą kapelę i grupę śpiewającą – prostuje.

RODZINA NA... PRACĘ MAGISTERSKĄ

W rodzinie Gołębiewów muzykowanie na poważniej zaczęło się w latach 60. – Rodzice zanosili mnie na próby, kiedy jeszcze nie umiałam chodzić – mówi Jolanta Kielt. Założyciele Familii z Rudolowic (gmina Rożwnica, powiat jarosławski, województwo podkarpackie), Helena i Wiktor Gołębiewie, jeździli po okolicznych miejscowościach Rzeszowszczyzny w poszukiwaniu lokalnych pieśni i przyśpiewek. – Część z nich jest oryginalna, część to słowa napisane przez moją mamusię do tradycyjnych melodii. W specjalnej księdze mamy spisane ok. 300 utworów. To perełki pozyskane dzięki moim rodzicom, ale i innym członkom zespołu czy paniom z koła gospodyń wiejskich, bo wiele osób dołożyło swoją cegiełkę, zostawiło część siebie – mówi Jolanta Kielt. – Do niedawna nasz repertuar to były wyłącznie pieśni regionalne z Rzeszowszczyzny, ale czasy się zmieniają, ludzie chcą czegoś więcej, chcą barwniej, skoczniej, bardziej tanecznie, więc spełniamy te potrzeby i zmieniamy stylistykę – dodaje.

Założyciele Familii wciąż występują z zespołem, choć już raczej na koncertach bliżej domu. – Tatusz w tym roku skończył 90 lat, mamusia ma 86, więc już powoli się wycofują z wyjazdów. Jeżeli to są występy lokalne, na terenie województwa, to jeszcze wychodzą na scenę. Mamusia jest ludową poetką, więc przeważnie deklamuje wiersz lub dwa, dośpiewuje jakąś piosenkę i kończy występ, bo nogi odmawiają posłuszeństwa – mówi pani Jolanta.

– Kiedy zaczynam grać, wtedy energia przychodzi – opowiadała w jednym z wywiadów 91-letnia wówczas Albina Kuraś, przedstawicielka jednej z najbardziej w Polsce znanych muzykujących rodzin. – Lata się nie liczą. Kiedyś dziennikarka z radia zapytała mnie, co ja robię, że na scenie mam taką energię. A to muzyka tak działa. Ręce, nogi same chodzą. Mogę grać i całą noc, i nic mi nie przeszkadza – dodawała. Skrzypaczka, którą Zbigniew Wodecki nazywał wybitną, a Witek Broda określił „królową skrzypiec”, odeszła przed rokiem, przeżywszy 94 lata.

Rodzinie i kapeli Kurasów poświęcano prace magisterskie, obszerną

monografię, odznaczano ich za zasługi dla kultury.

Aby wymienić wszystkie warte wzmianki nazwiska, trzeba by chyba poświęcić na to całe wydanie tygodnika, dodajmy więc jeszcze tylko, że od rodzinnego muzykowania zaczynały się niektóre duże kariery. Scena Ogólnopolskich Spotkań Muzykujących Rodzin była jedną z pierwszych, na których występowali m.in. Justyna Steczkowska czy Trebunie-Tutki. Popularny Enej także założony został przez rodzinnych braci. A skoro już przy braciach jesteśmy, to nie sposób nie wymienić nazwisk Cugowscy czy Golcowie.

– Mam wrażenie, że przez wspólnotę genów rodzinne śpiewanie, rodzinne muzykowanie współbrzmie ze sobą w sposób absolutnie wyjątkowy. Kiedyś usłyszałyśmy z siostrami, że brzmimy jak jeden organizm z trzema głowami – śmieje się Anna Petrovska z Triady.

ZABIERZ WNUCZKOWI SMARTFON

Wspólna pasja pomaga też zacieśniać rodzinne więzi. – Bez wątpienia to cementuje rodzinę. Wspólne spędzanie czasu na próbach, wspólne przygody na wyjazdach, które można później wspominać – to wszystko jest dla rodziny bezcenne – mówi Anna Petrovska.

Czasy się jednak zmieniają, młode pokolenie coraz częściej od ludowych przyśpiewek czy cerkiewnych pieśni woli nowoczesne rozrywki albo rezygnuje z rodzinnej pasji pod wpływem presji otoczenia. – Ciężko wygrać ze smartfonem czy z laptopem, takie czasy. Ale powiem szczerze: gdy jest próba, to po prostu zabieram dzieciom smartfony i chcąc nie chcąc, skupiają się na muzyce – mówi Petrovska.

Jolanta Kielt z Familii ze smutkiem opowiada o młodych, którzy odchodzą z zespołu. – Najlepszym przykładem jest moja córka, która od urodzenia towarzyszyła nam na scenie, a w wieku 16 lat się wycofała. Jeśli w szkole nie ma rówieśników z podobnymi pasjami, to często pod presją otoczenia młodzi rezygnują. Kiedyś występowanie w jakimkolwiek zespole to był wielki zaszczyt, człowiek o to zabiegał, dziś to zespoły zabiegają o zainteresowanie. Ale jest nadzieja, bo już dwie najmłodsze wnuczki siostry i mój trzyletni wnuczek bardzo chętnie wychodzą na scenę – mówi Jolanta Kielt.

My z niego wszyscy” – stwierdził po śmierci Adama Mickiewicza Zygmunt Krasiński i to zdanie zrobiło niebywałą karierę. Od chwili, gdy je zapisał w jednym z listów, minąć miało ponad 40 lat i oto w roku 1898 w Krakowie krytyk i teoretyk sztuki

Artur Górski zagrzmiął: „Żądamy od sztuki naszej, aby była polską, na wskroś polską – bo jeśli straci rodzimość, straci tym samym siłę i wartość, i swoją rację bytu. Ale obok tego winna być młodą, mieć w sobie ogień młodości, skrzydła orle, królewskiego ducha, płomiennego ducha Mickiewicza!”.

I taka sztuka powstała, o ile bowiem romantyzm dał naszym przodkom najwybitniejszą w dziejach Polski literaturę, o tyle modernizm – najwspanialszą sztukę. To, co w niej najpiękniejsze i najbardziej wartościowe zgromadził Ryszard Jeremi Kluszczyński w potężnym albumie „Sztuka Młodej Polski”.

Polska Wciąż Młoda



Krzysztof Masłoń

Artyści Młodej Polski byli niebywale wszechstronni. Malowali obrazy i projektowali witraże, tworzyli pierwsze plakaty i okładki do książek, zajmowali się dekoratorstwem wewnątrz

LWOWSKA SECESJA

Tym razem Kluszczyński nie ogranicza się do tego, co stanowi *crème de la crème* sztuki, czyli malarstwa, ale całe odrębne rozdziały poświęca też młodopolskiej architekturze, grafice, rzeźbie i rzemiosłu. Szczególnie ciekawy wydaje się przegląd młodopolskich (czytaj: secesyjnych) dokonań na niwie budownictwa. Wiele z nich uległo zniszczeniu, przetrwały jednak cenne obiekty, choć szkoda, że najcenniejsze z nich poza granicami Polski. Myślę tu, oczywiście, o dokonaniach architektów we Lwowie, takich choćby jak sławny kościół św. Elżbiety. Niestety, nie ma już w grodzie nad Pełtwią bodaj najbardziej reprezentatywnego dzieła polskiego modernizmu, czyli skonstruowanego ze szkła i żelaza pasażu Mikolascha, zbom-



„Dziewczynka z chryzantemami”,
Olga Boznańska, 1894 r.

FOT. WIKIPEDIA



„Autoportret z maskami”, Wojciech
Weiss, 1900 r.

FOT. MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE



bardowanego przez Niemców 22 czerwca 1941 r. Bez szwanku przetrwało jednak wiele wspinałych kamienic, postawionych nie tylko przez firmę Jana Lewińskiego, która zdominowała budownictwo miejskie we Lwowie na przełomie wieków XIX i XX. Secesyjna moda uwieczniła się może najbardziej w zdobnictwie architektonicznym. Na przykład świetnym dziełem Władysława Sadkowskiego, projektanta znakomitego eklektycznego gmachu Dworca Kolejowego, jest budynek Teatru Muzycznego powstałego w latach 1906–1908. „W zdobieniu fasady – pisze Kluszczyński – zwracają uwagę umieszczone pomiędzy oknami i pierwszej, i drugiej kondygnacji powtarzające się motywy lutni, mandoliny, harfy i liry. Ale najbardziej znaczącym elementem wystroju tego gmachu są metalowe łabędzie autorstwa Piotra Harasimowicza, wieńczące dwa boczne szczyty fasady. Te pełne symboliki rzeźby są dobrym przykładem bogactwa i różnorodności secesyjnych elementów wystroju lwowskich kamienic [...]”

W albumie możemy podziwiać też osiągnięcia architektoniczne zasłużonego przede wszystkim dla... Kijowa Władysła-

wa Horodeckiego. Zasłynął on wybudowanym na samym początku XX stulecia domem z chimerami. Najmocniejsze wrażenie robi największa świątynia katolicka w Kijowie, kościół św. Mikołaja, wzniesiona według projektu Horodeckiego w 1909 r. „W rozczłonkowanej, potężnej bryle – czytamy – zwracają uwagę strzelistość smukłych wież, bogata dekoracja rzeźbiarska fasady, z wieńczącą jej szczyt kruchą figurą Michała Archanioła z mieczem, witrażowe okna oraz krwistoczerwone ściany z cegły, które mocno kontrastują z elementami jasnej kamieniarki”.

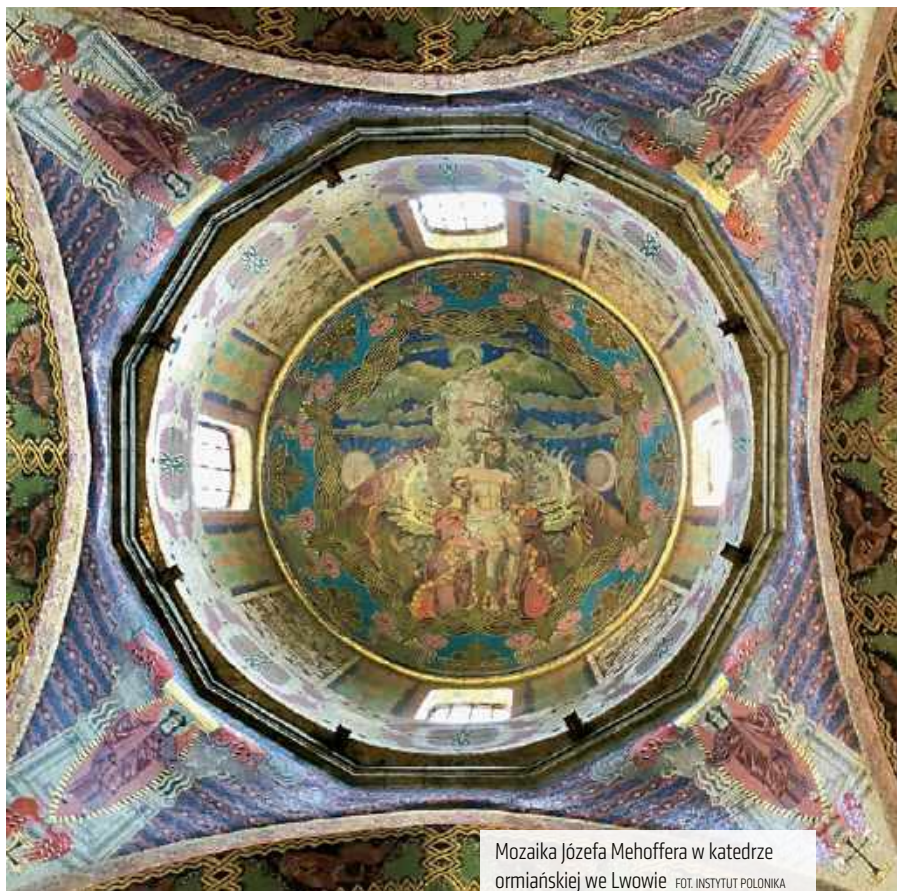
Kluszczyński omawia również zabytki budownictwa modernistycznego, oczywiście w Krakowie, także w Warszawie, Łodzi i Poznaniu, ale wróciłbym jeszcze do Lwowa, bo grubym nietaktem byłoby jedynie wzmiankowanie tamtejszego kościoła św. Elżbiety. Głęboki ukłon należy się w tym miejscu Teodorowi Talowskiemu, który właśnie w dziedzinie architektury sakralnej osiągnął szczyty (znany jest też zaprojektowany przez niego kościół w Suchej Beskidzkiej). Lwowska świątynia pod wezwaniem św. Elżbiety uważana była za „największą, a zarazem najpiękniejszą

lwowskiej ery nowożytnej” i za „najwspanialszy zabytek architektury sakralnej epoki historyzmu na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej”. „O wyjątkowości tego malowniczego projektu – powiada autor »Sztuki Młodej Polski« – zadecydowały między innymi trzy strzeliste wieże zwieńczone wysokimi ostrosłupowymi hełmami, z których ta boczna, mająca 85 metrów wysokości, jest najwyższą we Lwowie. Efektowną, zbudowaną przy użyciu cegły i kamienia fasadę główną zdobi monumentalny projekt rzeźbiarski – Ukrzyżowanie – autorstwa Piotra Wójtowicza. Charakter twórczości Talowskiego trafnie zdefiniował prof. Jacek Purchla, pisząc, iż stworzył on własny oryginalny język form z pogranicza umiarkowanego historyzmu oraz rodzących się secesji i modernizmu”.

BOŻE DZIEŁO SZTUKI

W malarstwie okres Młodej Polski w zasadzie mógłby być pokłosiem impresjonizmu, w naszym kraju jednak przemawiał się on raczej niemrawo, moda nań trwała zresztą krótko. Niewielu malarzy orientowało się na Paryż (ze znaczącymi wyjątkami choćby Józefa Pankiewicza czy Władysława Słewińskiego), po części dlatego, że wcześniej ważniejsze od Paryża było Monachium, a główną rolę odgrywały inspiracje rodzinne. Leon Wyczółkowski, na przykład, twierdził: „Plener mój pochodzi ze wsi, z Ukrainy, nie z Paryża. Orki, buraki, rybacy – czysto osobisty plener. Na Ukrainie płaszczyzna, szalenie kolorowy kraj, skamieniałe morze. Magnetyzuje przestrzeń nieskończona. Płaszczyzna w lecie, kiedy słońce drga”.

O malarskim obliczu Młodej Polski decydował jednak nade wszystko pierwiastek narodowy. Ten, o którym Jacek Malczewski powiedział: „[...] był dla mnie zawsze najsilniejszym bodźcem do pracy. Gdybym nie był Polakiem, nie byłbym artystą”. Te „wypowiedziane u schyłku życia słowa Malczewskiego – pisze Kluszczyński – nie pozostawiają wątpliwości, jak widział on swe powołanie. Jego niezwykle bogata, wielowątkowa, często inspirowana dziełami Słowackiego, symboliczna spuścizna, w której wątek narodowy, jak również umiłowanie polskiego pejzażu odgrywały istotną rolę (»Polska – to te pola, miedze, wierzby przydrożne, nastrój tej wsi o zachodzie słońca – to wszystko jest bardziej polskie niż Wawel«), jest potwierdzeniem powyższej deklaracji. Większość symbolicznych obrazów Malczewskiego, nierzadko operujących rozbudowaną fantastyką,



Mozaika Józefa Mehoffera w katedrze ormiańskiej we Lwowie. FOT. INSTYTUT POLONIKA



■ takie jak rola artysty i znaczenie sztuki, zagadnienie przemijania i nieuchronność śmierci czy wątki ewangeliczne, realizował w cyklach przez wiele lat, często nawiązując do swoich najwcześniejszych dzieł”.

Z kolei „świat dotykany ręką Wyspiańskiego – pisał Włodzimierz Szturc we wstępie do albumu Wyspiańskiego Marty Romanowskiej, wydany – jakże by inaczej – przez Kluszczyńskiego – zamieniał się w dzieło sztuki, gest twórczy, ten odpowiednik stwarzania, wydobywał z materii jej tylko właściwą formę, modelował jej temperaturę i moc oddziaływania, jej tylko właściwą prawdę. Poprzednikami takiego rozumienia aktu stworzenia byli Michał Anioł, który widział posąg ukryty w blasku marmuru, i Cyprjan Norwid, który wyzwalał słowo z targowiska mowy”.

Włodzimierz Szturc odnosił się do dokonanego przez Czesława Miłosza w „Traktacie poetyckim” połączenia biografii Wyspiańskiego i Josepha Conrada. Miłosz pisał:

***Mała uliczka jest w małym Krakowie.
Dwóch kiedyś chłopców tam obok mieszkało.
Jeżeli jeden szedł z gimnazjum Anny
Widział drugiego jak bawił się w piasku.
Różny im dany los i różna sława.***

„Spotkanie Josepha Conrada i Stanisława Wyspiańskiego było możliwe w piaskownicy – wywodzi Szturc. – Kapitan statku na rzece Kongo spotykał człowieka-dziecko o woli nieprzemiennej, dziecko, które widziało teatr narodu tak, jak widzieli go Grecy. Miłosz twierdzi jednak, że Wyspiański nie zdołał pokonać przeciwności w sposobie widzenia narodu i mówienia o nim, powiada, że nam nie zostawił Wyspiański pomocy. Sądzę, że jest inaczej, że może właśnie dziś pomoc ta jest nam dawana w sposób szczególnie: jest to przecież przekazanie ethosu Artysty, ducha pracy, człowieka rozsądzającego jasno i ostro między fałszem i udaniem a prawdą. Jądro ciemności Josepha Conrada przeciwstawił jasną wizję Wawelu-Akropolis, szaleństwu postawy indywidualistycznej przeciwstawił pokorę pracy i wartość głębokiej zadumy nad sumieniem człowieka”.

Miał Wyspiański głęboko religijny, ba, pod wieloma względami mistyczny, stosunek do życia i śmierci, do świata i do twórczości. A wszystko, czego dotknął, zamieniał – jak pisał Włodzimierz Szturc – w Boże Dzieło Sztuki.

BEZKRES ŻĄDZ ZMYŚLOWYCH

W albumie możemy obejrzeć reprodukcje ponad 100 obrazów Malczewskie-



Projekt rzeźbiarski „Ukrzyżowanie” autorstwa Piotra Wójtowicza na fasadzie kościoła św. Elżbiety we Lwowie FOT. ADOBE STOCK

go i Wyczółkowskiego, niewiele mniej Wyspiańskiego. W sumie 650-stronicowa księga zawiera 1550 zdjęć obiektów polskiego modernizmu. Ile jest tu arcydzieł, to już zależy od tego, kto je zlicza i czy za takie uważa, dajmy na to „Autoportret z kwiatem ostu” Jacka Malczewskiego, „Dziewczynkę przy fortepianie” Konrada Krzyżanowskiego czy „Dziewczynkę z chryzantemami” Olgi Boznańskiej.

Nowoczesność rzucała jednak wyzwania i samo, nawet krystaliczne, piękno zastygłe na płótnie nie zawsze wystarczało. Jak każda prawdziwa sztuka przeciwstawiała się Młoda Polska temu, co było wcześniej, nie stroniąc od prowokacji czy skandalu. Chyba najślawniejszy towarzyszyl jednemu z najbardziej znanych obrazów w dziejach polskiego malarstwa – Szałowi Władysława Podkowińskiego (1894). Jego wystawieniu w warszawskiej Zachęcie towarzyszyło zupełnie niesłychane zainteresowanie publiczności. A gdy artysta zniszczył obraz, co łączono z nieodwzajemnioną miłością Podkowińskiego do Ewy Kotarbińskiej, mówili o nim dosłownie wszyscy. Kazimierz Przerwa-Tetmajer, poeta, przyrodni brat Włodzimierza Tetmajera, też malarza, piewcy folkloru i zwyczajów podkrakowskiej wsi, tak opisywał Szał: „Na rozhukanym, olbrzymim koniu, na jakiejś apokaliptycznej bestii rzuconej w chaos, w zamęt wichrzących się tumanów chmur i mgławic na wpół leży naga kobieta, oplótnięty koniowi kark ramionami, tuląc się doń twarzą, piersią, korpusem, cisnąc mu konwulsyjnie boki nogami. Szalony rumak niesie tę nagą kobietę w dal, w głęb, w bezkres – bezkres pożądań – w bezkres żądz zmysłowych”.

Szał znają wszyscy, akty Wojciecha Weissy niekoniecznie. A były to akty i kobiece, i męskie, a właściwie chłopięce, co – jak się zdaje – znamionuje wzrost popularno-

ści artysty, który swoje najlepsze obrazy namalował przed trzydziestką, czyli na samym przełomie wieków, a dożył roku 1950. Gdy 50 lat wcześniej pojechał do Paryża, w liście do rodziców pisał: „Cyganeria, satanizm, kobieta jako szatan, kobieta ropsovska. Goya. Zaczętem rysować w akwarforie, trzeba w ten sposób przemawiać, szerzyć satanizm wśród tłumów...”. „To w tym czasie – pisał Kluszczyński w innej swojej pracy »Od Malczewskiego do Wyspiańskiego« – powstała znana Kawiarnia paryska (Cafe d'Arcourt) czy wreszcie oddający duszną, niepozbawioną grzechu atmosferę tamtejszych lokali i niekończących się szalonych zabaw Kankan w Moulin Rouge”. Wymowa tego pięknego malarsko przedstawienia miasta – rozwiązłego i pełnego życia – współgra z powstałą wcześniej „Upadłą dziewczyną”.

Z RĘKĄ PODNIESIONĄ KU NIEBU

Od przeglądu ogromnego zestawu malarstwa zgromadzonego w „Sztuce Młodej Polski” nie sposób się oderwać. Mamy tu przecież, poza już wymienionymi, Ferdynanda Ruszczycą i żyjącego zaledwie 30 lat Witolda Wojtkiewiczą, Alfonsa Karpińskiego i Kazimierza Sichulskiego, mamy malarzy wyłamujących się z konwencji modernistycznych, silnie związanych jednak z Młodą Polską, jak m.in. Juliana Fałata, Teodora Axentowicza czy Józefa Chełmońskiego, cudownego artystę, który tak długo czekał na sukces, usilnie na niego pracując, by w końcu osiągnąć go, a wtedy spłynęły na niego zaszczyty, nagrody i odznaczenia, wśród nich złoty medal na Międzynarodowym Festiwalu Sztuki w Paryżu w 1889 r. W kraju jego pozycję i popularność porównywać można było jedynie z Matejką i Wyspiańskim. A Leon Wyczółkowski, sam przecież wybitny malarz, napisał



o nim: „Największy polski talent malarzski, wielki poeta wsłuchany w naturę. My wszyscy przy nim jak galanteria”.

Polecam także pochylić się nad chyba niedocenioną twórczością Edwarda Okunia, zdecydowanie najbardziej secesyjnego polskiego malarza. „Jego twórczość malarzka – pisze we wstępie do »Sztuki Młodej Polski« Kluszczyński – ale też, a może przede wszystkim, twórczość rysunkowa i ilustratorska nie pozostawiają wątpliwości, że założenia secesji – upodobanie do giętkich linii, dekoracyjność stylizowanych elementów roślinnych, rozbudowana ornamentyka – były mu niezwykle bliskie. Tworzone przez niego – subtelną, delikatną kreską – wyszukane, baśniowe, wręcz fantastyczne, a przy tym wyjątkowo dekoracyjne kompozycje [...]”.

Artyści Młodej Polski byli niebywale wszechstronni. Nie tylko Stanisław Wyspiański, bo to w ogóle był geniusz, lecz także inni: malowali obrazy i projektowali witraże, tworzyli pierwsze plakaty i okładki do książek, zajmowali się dekoratorstwem wnętrz. A Wyspiański typografię i grafikę użytkową wydzwignął nieomal na poziom odrębnej dziedziny sztuki. W „Życiu” Stanisława Przybyszewskiego, u którego boku pełnił funkcję kierownika artystycznego, wykreował istne cuda, nadając pismu w pełni nowoczesną szatę graficzną. „Jednym z jego niezrealizowanych zamierzeń – czytamy – było stworzenie nowego typu czcionki o narodowym charakterze, w czym miało mu pomóc, jak wspomina Wincenty Trojanowski, zebranie »możliwie jak największej ilości autografów wybitnych współczesnych naszych pisarzy, artystów i uczonych i z zestawienia charakteru ich pisma wyciągnięcie typu ogólnego, a następnie przekształcenie go na formę liter nadających się do drukowania«”.

W dokonaniach młodopolskiego rzemiosła artystycznego najważniejsze są naturalnie polichromie i witraże. A jeśli witraże, to oczywiście dwaj świetni twórcy, dla innych niedoścignieni: Stanisław Wyspiański i Józef Mehoffer. Ten drugi wstąpił się projektem witraży do kościoła św. Mikołaja w szwajcarskim Fryburgu, polichromią dla wawelskiego skarbcza z sylwetkami dwóch aniołów – Wojny i Pokoju, o których z podziwem pisał Eligiusz Niewiadomski (ten sam): „Nie wiem doprawdy, który piękniejszy, dla mnie chyba ten – wojny i nie dlatego, że ma na twarzy ból anioła, któremu miecz do ręki dano. Ale on jeszcze piękniejszy jest po malarzku – w tej sylwetce wspaniałej,

ruchu rąk, przepysznej – kwiatowo barwnej szacie, skórzanym złotem nabijanym pasie, w płomieniu miecza pojętym jako ornament”. Również dziełem Józefa Mehoffera jest imponująca mozaika Trójca Święta z katedry ormiańskiej we Lwowie.

Wspaniałe witraże Wyspiańskiego znajdują się w prezbiterium kościoła Franciszkanów w Krakowie, ale największy podziw wzbudził jego witraż nad wejściem do tej świątyni, nawiązujący do Sądu Ostatecznego Michała Anioła, a przedstawiający Stwórcę „pełnego majestatu i boskiej potęgi, z ręką podniesioną ku niebu w akcie stworzenia”. Niestety, witraże zaprojektowane przez artystę do katedry wawelskiej i nagrodzone przez Polską Akademię Umiejętności pozostały niezrealizowane. Podobnie jak kard. Puzyra w 1903 r. nakazał wstrzymanie prac na Wawelu nad polichromią Mehoffera, o której była już tutaj mowa.

SEN O PRZESZŁOŚCI

Nie dano nam też podziwiać niezwyklej monumentalnej rzeźby – składającego się z 35 figur Pochodu na Wawel, według projektu sławnego rzeźbiarza swojej epoki Wacława Szymanowskiego, twórcy warszawskiego pomnika Fryderyka Chopina, o którym Gustaw Mahler powiedział, że „to nie jest pomnik Chopina, to jest pomnik muzyki”. Wysoki na 4 m i długi na metry 35 Pochód na Wawel stanąć miał na dziedzińcu zamkowym. „Wyrośla z romantycznej postawy bezkompromisowego artysty koncepcja – pisze Kluszczyński – miała, według jego własnych słów, »opowiadać o wielkości czasów minionych« i »stworzyć artystyczną syntezę poetyckiej wielkości Polski«. Z dzisiejszej perspektywy należy chyba żałować, że to ambitne i kosztowne przedsięwzięcie, będące »fantastycznym snem o wielkiej polskiej przeszłości« nie zostało wykonane. Wydaje się, że argumenty przeciwników jego realizacji, iż będzie ono za bardzo ingerować w jedno z najważniejszych symboli narodowych, tj. zamek wawelski, nie oparły się próbie czasu, tym bardziej że realizacja o wiele bardziej kontrowersyjnych projektów, jak na przykład ustawienie szklanej piramidy na dziedzińcu Luwru, nie budzi już dzisiaj większych sprzeciwów”.

Kłaniała się Młoda Polska cieniem wielkiej narodowej przeszłości, oddawała jej cześć. To poczucie patriotycznego obowiązku artysty przesyciło właściwie całą twórczość, na przykład, Jacka Malczewskiego, podobnie zresztą Stanisława Wyspiańskiego. U Malczewskiego personifikacja Polski pojawia się w 1897 r. w „Widzeniu”. „W pracowni pochłoniętego wizją malarza – zauważa Kluszczyński – obok tłumy Sybiraków znajdujemy ubraną w purpurę, zamyśloną, ale emanującą energią kobietę, której głowa przyozdobiona jest diademem z ostów, a rozkute kajdany i złota korona nie pozostawiają wątpliwości, że mamy do czynienia z przepełnioną pragnieniem czynu alegorią Rzeczypospolitej. Serię tę zamyka obraz z 1918 r., w którym złota korona na głowie siedzącej na schodach dworu Polonii niezawodnie symbolizuje odzyskanie długo wyczekiwanej wolności”. Ale – czytamy w pracy „Od Malczewskiego do Wyspiańskiego”, odwołując się w tym miejscu do przedwojennej jeszcze monografii Malczewskiego pióra Adama Heydela, świetnego ekonomisty (!) zamordowanego przez Niemców w Auschwitz – „być może nie chimery, fauny i Polonie są najistotniejsze w obrazach tego wielkiego malarza poety, ale właśnie niezwykle uczuciowe i liryczne przedstawienia rodzimego pejzażu. I to one zapewne stanowią o tym, że dzisiaj twórczość Malczewskiego jest nam tak bliska i ciągle tak mocno do nas przemawia”.

Czy do wszystkich – można mieć uzasadnione wątpliwości, z pewnością jednak do tych, którzy nie uważają powstających współcześnie „instalacji” za ósmy cud świata i dla których Wyspiański jest – niezależnie od cen uzyskiwanych na aukcjach – ważniejszy od Łempickiej. Dla nich też malarzka Młoda Polska pozostanie bodaj najbardziej wyrazistym i oryginalnym nurtem w dziejach polskiej sztuki.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



RYSZARD JEREMI KLUSZCZYŃSKI
„SZTUKA MŁODEJ POLSKI”
WBC 2020



Tomasz Z. Zapert

Kładł fundamenty pod Teatr TVP. Ekranizacja „Nocy i dni” przyniosła mu nominację do Oscara. W przededniu 91. urodzin Jerzy Antczak opublikował wspomnienia

Właściwie należałoby napisać, że Jerzy Antczak opublikował kontynuację wspomnień, bo przed dekadą wydał pierwszą książkę o tym charakterze. W „Nocach i dniach mojego życia” ciekawie pisał o politycznych aspektach własnej biografii: „Listopad 1971 r. Pracuję [...] nad scenopisem do »Nocy i dni«, kiedy otrzymuję od Frelka telefon, że chciałby się ze mną zobaczyć w pilnej sprawie. [...] Nie pamiętam, czy był już sekretarzem KC do spraw zagranicznych, czy też został nim później. [...] Powiedział, że Gierek chce zmienić radykalnie styl rządzenia i postanowił zaprosić do Komitetu Centralnego różnych ludzi znaczących w swoich zawodach, w tym dwie osoby ze świata sztuki o bezspornym dorobku artystycznym – Tadeusza Łomnickiego i mnie. Ma zamiar zaproponować mi stanowisko zastępcy członka KC. Jest to pozycja bez prawa głosu. [...] Frelek, wspominając również, że Gierek odbył już osobistą rozmowę z Łomnickim, który wyraził zgodę. Podobną rozmowę zamierzał przeprowadzić ze mną [...], zaprasza mnie 27 listopada [...] na obiad. [...] Wracając ze spotkania z Gierkiem, rozmawiałem w myślach ze swoim ojcem. Nie miałem odwagi zadać mu pytania: A co ty, tato, o tym myślisz? Jedyną ulgą była wiara w wyrozumiałość ojca dla mojej próżności”.

Wyjaśnijmy, że ojciec reżysera był w II RP zawodowym wojskowym, a podczas okupacji konspiratorem ZWZ/AK. Aresztowanym po wojnie przez „władzę ludową”.

PRZED I ZA „MUREM”

Z początkiem „dekady sukcesu” Antczak kierował Teatrem Telewizji, czyniąc z niego czołową scenę w kraju. Po spektakularnym sukcesie „Nocy i dni” – w efekcie sporu z telewizyjnym dygnitarzem Januszem Wilhelmem – reżyser przeniósł się do kinematografii

Reżyser i statysta

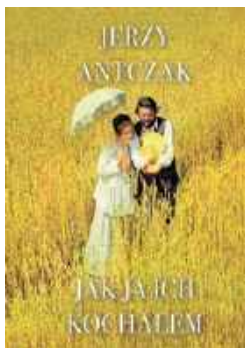
FOT. KRZYSZTOF KUCZYŃSKI/FOCUS

i objął kierownictwo nowo utworzonego zespołu filmowego „Nurt”. De facto funkcjonującego tylko na papierze. Ani „Siekierzada” Edwarda Stachury, o którą to ekranizację zabiegał Daniel Olbrychski, widząc w Antczaku jej reżysera, ani przygotowywana przez Wojciecha J. Hasa adaptacja „Czerwonych tarcz” Jarosława Iwaszkiewicza do produkcji nie zostały skierowane. Na przeszkodzie znów stanął Wilhelmi, w międzyczasie mianowany... przewodniczącym Komitetu ds. Kinematografii. Tym samym zastępca członka KC bez prawa głosu pozostał również w sferze zawodowej. Dlatego poprosił swego protektora Frelka o skie-

rowanie na placówkę zagraniczną w charakterze radcy kulturalnego – a akurat był wakant w USA.

Ambasador Polski w Waszyngtonie Romuald Spasowski przyjął go z otwartymi ramionami. Dzięki nominacji do Oscara swego opus magnum radca kulturalny miał dobre kontakty z filmowcami amerykańskimi. Wydało to plon w postaci fabularnej koprodukcji USA i Polski pt. „Mur” – adaptacji książki Johna Hersya o powstaniu w getcie warszawskim (z Lisą Eichhorn, Dianne Wiest, Tomem Contim i Elim Wallachem w obsadzie).

Jak pisał w „Nocach i dniach mojego życia”: „Zachodnie ośrodki propagandy



nadawały trudnym sprawom polsko-żydowskim często krzywdzące Polaków interpretacje (do dziś niewiele się to zmieniło! – przyp. aut.). W obawie, aby amerykańska strona nie nawtykała nam antypolskich akcentów, Maciej Szczepański (ówczesny prezes Komitetu ds. Radia i Telewizji – przyp. aut.) wystąpił z wnioskiem [...] o oddelegowanie mnie do »Muru« jako jego pełnomocnika i wpadł na pomysł, by otworzyć w Nowym Jorku przedstawicielstwo TVP ds. koprodukcyjnych. Zapropnował, bym stanął na jego czele». Antczak wyraził zgodę.

Zdjęcia realizowano latem 1980 r. w Sosnowcu. »Prezes Szczepański załatwił u generała Jaruzelskiego kilka czołgów T-34, które Masłowski (scenograf – przyp. aut.) przerobił na niemieckie »Tygrysy«. Oczywiście do czołgów były oddelegowane wojskowe załogi. Nie pamiętam, czy był 29, czy 30 sierpnia. Zwróciłam uwagę, że dowódca czołgów jest bardzo zgębiony.

– Coś niedobrego? – zapytałam.

– Tak. Strajki rozszerzają się na całą Polskę. Kończcie, do cholery, ten film, bo w każdej chwili mogą nas odwołać na Wybrzeże».

Po ostatnim klapsie ekipa udała się do Londynu na montaż. Zrazu bez Antczaka, któremu tuż przed odlotem na lotnisku Okęcie „smutny pan” odebrał paszport. Następnego dnia ten sam „mężczyzna o bezkrwistej twarzy” odbył z reżyserem rozmowę w gmachu TVP:

„– Czy pan pozwolił na wzmocnienie (w filmie – przyp. aut.) akcentów antypolskich? Czy pan to potwierdza?

– Nie potwierdzam. Zgodnie z kontraktem polska strona ma prawa wglądu w film na każdym jego etapie. [...]

– Dobrze... Niech pan jedzie do Londynu i robi, co do pana należy. Za trzy dni chcę widzieć pana w tym pokoju.”

Odzyskawszy dokument podróży, Antczak dotarł do stolicy Albionu, skąd rozmawiał telefonicznie z żoną, aktorką Jadwigą Barańską, przebywającą za Atlantykiem:

„»Czy ty nie widzisz, że szukają haka? Że chcą z »Muru« zrobić aferę korupcyjną albo polityczną?« [...] Nie pomyliła się. [...] W niedalekiej przyszłości Szczepański zostaje aresztowany i oskarżony o malwersacje. [...] Mnie, jako jego przedstawiciela [...], bez wątpienia posadzono by na ławie oskarżonych razem z nim [...]. Stałem się

przedmiotem partyjnych rozgrywek.”

Dołączywszy do rodziny w USA, Antczak złożył rezygnację z funkcji przedstawiciela TVP, odesłał do Polski legitymację partyjną (sic!) i wystąpił o azyl, który otrzymał. Od lat mieszka w Los Angeles, gdzie jest cenionym pedagogiem – kształcił m.in. Alexandra Payne’a, laureata Oscara w kategorii Reżyseria. Koronowirus sprawił, że pan Jerzy nie mógł przybyć do ojczyzny, aby promować drugi tom swych memuarów, toteż byłem zdany na konwersację wirtualną.

TOMASZ Z. ZAPERT: „Jak ja ich kochałem”, tytułuje pan bohaterów swych wspomnień, nierzadko ocalając ich od zapomnienia...

Jerzy Antczak: Tak, bardzo pięknie pan to ujął. Pragnieniem moim było właśnie ocalić od zapomnienia tych wszystkich, którzy towarzyszyli mi w mojej długiej i krótkiej wędrówce przez życie.

Wyjątkowy wpływ na ród Antczaków miał pewien Żyd z Włodzimierza Wołyńskiego...

To Icek Pinkwas, syn Sary, prowadzącej w tym mieście mały sklepik pod szyldem „mydło, szydło i powidło”. Moja matka bardzo lubiła ten przybytek i jego niezwykłą atmosferę. Icek po agresji bolszewików na Polskę we wrześniu 1939 r. został komendantem lokalnej milicji. Sara pamiętała serdeczność mej rodzicielki i wymogła na nim opiekę nad naszą rodziną. Dzięki temu nie zostaliśmy wywiezieni na Syberię. A jako bliscy zawodowego wojskowego znajdowaliśmy się na samym szczycie listy przeznaczonych do zsyłki.

W 1946 r. tata – inspektor częstochowskiej placówki Armii Krajowej – został oskarżony o wydanie wyroku śmierci na trzech rosyjskich skoczków spadochronowych. Groziła mu za to kara śmierci. W tym czasie nieoczekiwanie objawił się Pinkwas. Jako Mikołaj Pluta – będąc majorem NKWD – został głównym doradcą Wydziału I (kontrwywiadu), którego celem było ściganie i karanie polskiego podziemia. Zapoznawszy się z aktami sprawy, poczuł zaskoczenie. Odkrył, że obwinionym jest dobrze znany z międzywojnia Władysław Antczak, były chorąży 23. Pułku Piechoty stacjonującego we Włodzimierzu Wołyńskim. W enkawudziście odżyły czułe wspomnienia. Przypomnił sobie mamę, jej sympatie do tajemniczego

świata Żydów, wreszcie szacunek, jakim naszą rodziną, w tym ojciec, okazywali jego rodzicom. Pełen życzliwości znalazł w akcie oskarżenia szyte grubymi nićmi fałszerstwa. Sporządził stosowny raport dla samego ministra spraw wewnętrznych Stanisława Radkiewicza. Z adnotacją, że na skutek nieprawdziwych faktów przedstawionych przez oskarżyciela zaleca umorzenie śledztwa i wypuszczenie podejrzanego na wolność.

Tak w wielkim skrócie wyglądała decyzja przeznaczenia, która za pośrednictwem Icka Pinkwas a vel Mikołaja Pluty uratowała tacie życie. A Sarę Pinkwas sportretowałem w „Nocach i dniach”. Jako Arkuszową!

Zanim został pan reżyserem, próbował sił w plastyce, muzyce i aktorstwie. Te dziedziny przyniosły rozczarowanie?

Rozczarowanie to niewłaściwe słowo. Moje próby w różnych dyscyplinach sztuki skumulowały się, aby wybuchnąć w pełni na ekranie. „Wystrzał”, „Mistrz”, „Epilog norymberski”, „Hrabina Cosel”, „Chopin. Pragnienie miłości”, „Dama Kameliowa” – nie mówiąc o „Nocach i dniach” – czerpały inspiracje z doświadczeń malarskich, muzycznych, jak również kilkuletniego stażu aktorskiego. Jestem przekonany, że wszystkie wydarzenia w życiu każdego z nas mają głęboki sens, jeżeli nawet w danej chwili tego nie zauważamy.

Pańską sytuację odmienił telewizor?

Jak najbardziej! Zauważyłem go zupełnie przypadkowo 10 października 1958 r. na jednej w łódzkich wystaw sklepowych. Ten wytwór najnowszej techniki wzbudzał olbrzymie zainteresowanie przechodniów, a dla mnie stał się wskazówką losu. Dzięki odkryciu telewizji znalazłem się w odpowiednim miejscu w odpowiednim czasie. I potrafiłem tę szansę wykorzystać.

Doświadczenia nabyte w Teatrze Telewizji pomogły na planie filmowym?

Zdecydowanie. Jako pierwszy w polskiej telewizji zastosowałem przy realizacji przedstawień teatralnych dokrętki filmowe, będące dla mnie zacinem przyszłej drogi reżysera filmowego. Pracę w telewizji, początkowo w agendzie łódzkiej, następnie w Warszawie – w roli dyrektora Teatru TVP – uważam za bardzo ważny etap życia.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Jerzy Antczak – reżyser, pedagog, aktor, urodzony 25 grudnia 1929 r. we Włodzimierzu Wołyńskim.



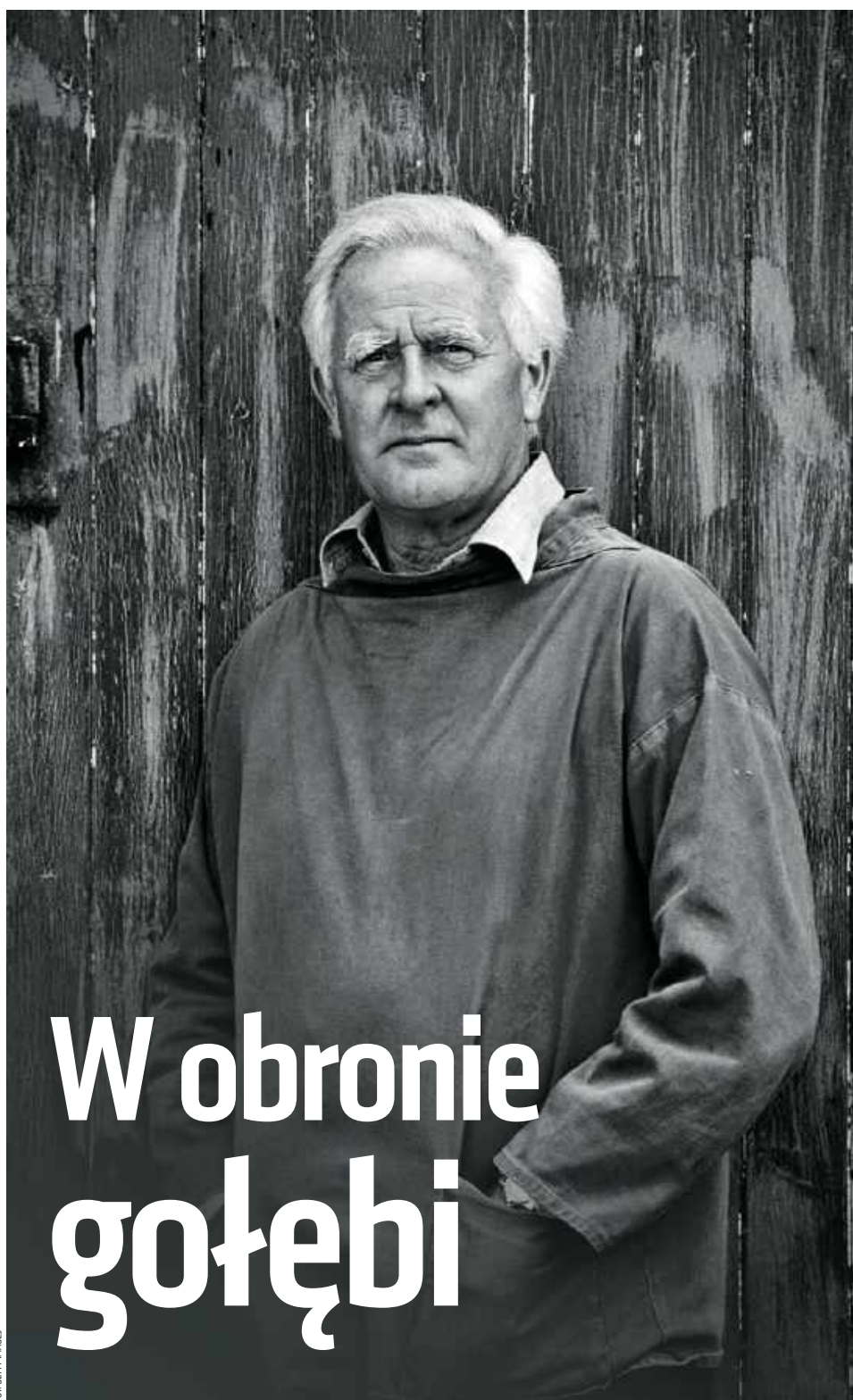
Piotr Gociek

Zmarł John le Carré – jeden z największych brytyjskich pisarzy minionego półwiecza

Zjego wszystkich książek najmocniej w mej pamięci pozostało zdanie, którym zamknął jedną z pierwszych. „Padając, ujrzał mały samochód, zmiażdżony między dwiema wielkimi ciężarówkami, i dzieci machające wesoło z jego okna”. Żegnał w ten sposób głównego bohatera powieści „Ze śmiertelnego zimna”, którego śmierć dosięgła na ostatniej karcie tej szpiegowskiej historii.

Cytat ten jest dla mnie najbardziej zwięzłym podsumowaniem pisarstwa Johna le Carrégo (prawdziwe nazwisko David John Moore Cornwell), który zmarł 12 grudnia, przeżywszy niespełna 90 lat. Le Carré opowiedział mnóstwo fabuł i powołał do życia setki bohaterów, ale ten motyw charakterystyczny jest dla losu wielu z nich: giną lub cierpią pomiędzy ścierającymi się potężnymi siłami, często do końca pozostając nieświadomi, w jak poważną rozgrywkę zostali uwikłani. W wielu książkach owymi siłami były tajne służby zwartych w morderczym uścisku Sowietów i Zachodu, lecz świat sekretnej wojny nigdy nie był wyłącznie dwubiegunowy. Amerykanie, Brytyjczycy, Niemcy (z ówczesnego RFN), Izraelczycy walczyli z komunistycznym zagrożeniem, ale prowadzili osobne intrygi, czasem się wspierając, a czasem bezlitośnie ogrywając.

Po zakończeniu zimnej wojny Le Carré pozostał wiernym ogrodnikiem losów maluczkich wtrąconych między potężnych, tyle że wśród tych ostatnich pojawiły się nowe siły: wielkie korporacje, autorzy międzynarodowych szwindli, skorumpowani przez wielki kapitał politycy. Światy globalizmu, korporacyjnego kapitalizmu, polityki i tajnych służb przenikały się w barwny, niebezpieczny i amoralny sposób, niosąc nieodmiennie przypadkowo wciągniętym w te rozgrywki ludziom smutny koniec. Handlarze bronią w „Pieśni misji”, koncerny farmaceutyczne w „Wiernym ogrodniku”, nadgorliwi amerykańscy machery wojny z terrorem w „Bardzo



FOT. GETTY IMAGES

W obronie gołębi

poszukiwanym człowieku” – wszyscy oni są u Le Carrégo po jednych pieniądzech. Bezlitośni, pozbawieni zasad, goniący za zyskiem lub chwałą, depczący po innych bez mrugnienia okiem.

SZKOLONY NA KŁAMCĘ

Zanim jednak został krytykiem kapitalizmu i zepsucia świata Zachodu, ba, za-

nim jeszcze w ogóle został pisarzem, był John le Carré człowiekiem, który wiódł wielce interesujące życie i przyglądał się ukrytym mechanizmom świata osobiście. „Nie żyje agent Jej Królewskiej Mości, który został pisarzem” – e-mailem o takim tytule o śmierci autora informował jego polski wydawca, Sonia Draga. Krótka biograficzna nota przypominająca dorobek

i znaczenie pisarza zawierała także słowa Le Carrégo, którymi sam siebie charakteryzował: „Jestem kłamcą. Urodziłem się po to, by kłamać. Kształcono mnie na kłamcę i szkolono mnie na kłamcę w środowisku, które kłamanie zarabia na życie. Kłamstwo praktykuję również jako pisarz”. Na temat tego, co zainspirowało go do przybrania akurat pseudonimu John le Carré, też kilkakrotnie kłamał. Jednak w odróżnieniu od wielu postaci z jego powieści był kłamcą z zasadami. Złożonych kiedyś służbowych przysięg i prywatnych przyrzeczeń nie łamał, bardzo niechętnie opowiadając o swej – jak mówił – „krótkiej i mało spektakularnej” karierze w tajnych służbach.

Niedługo po drugiej wojnie światowej dzięki swej znajomości niemieckiego przesłuchiwał dla wywiadu brytyjskiej armii uciekinierów zza żelaznej kurtyny. Gdy kończył studia w Oksfordzie, udawał komunistę, żeby spenetrować środowisko uniwersyteckie i rozgłądać się za sowieckimi agentami (pracował wtedy już dla MI5). Weryfikujący go przełożeni pisali, że ma „talenty powyżej przeciętnej”, „błyskotliwy, wnikliwy umysł i niemałą wyobraźnię”, cechując go urok osobisty i pewność siebie. „Jest ze wszech miar sympatyczną osobą i uważam, że potrafi dogadać się z każdym, z kim będzie miał styczność” – odnotował jego opiekun.

Szybko awansował. Jako oficer MI5 (od 1958 r.) prowadził operacje, przesłuchania i agentów, później (rok 1960) przeszedł do MI6 i pracował na placówkach w Bonn oraz w Hamburgu. Cztery lata później kres jego kariery położyła zdrada Kima Philby’ego, jednego z najcenniejszych sowieckich szpiegów, który przekazał Moskwie bezcenne informacje o brytyjskich tajnych służbach. Pisać zaczął Le Carré już jednak wcześniej, jeszcze jako wywiadowca. „Trzy lata spędzone w Bonn były świadkiem tak olbrzymich zmian w moim życiu, że dziś jest to dla mnie miejsce, w którym zakończyła się cała moja dotychczasowa egzystencja, a rozpoczęła twórczość pisarska” – wspominał po latach. W Bonn czytał w angielskich gazetach recenzje swej pierwszej powieści (napisanej wcześniej) „Budzenie zmarłych” i cieszył się, że postać grubawego okularnika George’a Smileya przypadła do gustu czytelnikom i wydawcy. As brytyjskiego wywiadu Smiley miał z nim pozostać na długie dekady – ostatnią, dziewiątą książką o tym ulubionym bohaterze

Le Carrégo było wydane kilka lat temu „Szpiegowskie dziedzictwo”.

ŻYCIE W DRODZE

Zebrane w latach tajnej wojny doświadczenie stało się paliwem służącym pisarzowi aż do końca kariery. Wyszedł z owych lat pełen wątpliwości: Czy w imię walki ze złem nie sięgamy aby zbyt często po te same metody co wróg? John le Carré nie krył swego głębokiego rozczarowania kierunkiem, w którym sprawy zmierzają, prywatyzacją czy korporatyzacją służb specjalnych, wątpliwymi działaniami polityków (był ostrym krytykiem wojny w Iraku, politykę USA uważał za szaloną, ale równie mocno dokładał Brytyjczykom).

Miał szczęście do ekranizacji. Sidney Lumet nakręcił „Śmiertelną sprawę”, George Roy Hill „Małą doboszkę”, John Boorman „Krawca z Panamy”, Fernando Meirelles „Wiernego ogrodnika”. W „Szpiegu” Tomasa Alfredsona w rolę George’a Smileya wcielił się ze znakomitym rezultatem Gary Oldman, „Bardzo poszukiwany człowiek” Antona Corbijna przyniósł świetną (i ostatnią) rolę Philipa Seymoura Hoffmana. No i adaptacje telewizyjne: od dwóch seriali BBC, w których Smileya grał Alec Guinness („Druciarz, krawiec, żołnierz, szpieg” oraz „Ludzie Smileya”), do seriali z ostatnich lat: „Nocny recepcjonista” i rewelacyjna nowa wersja „Małej doboszki”, za którą odpowiada Park Chan-wook (twórca m.in. „Oldboya” i „Pani zemsty”).

Sam mówił, że spędził życie w drodze, zwłaszcza jego drugą połowę – tę już nietajną. Pchało go tam, gdzie się coś dzieje. Na Bliski Wschód, gdzie rozmawiał (nieraz) z Arafatem. Do Moskwy, gdzie pierwszy raz trafił akurat, kiedy na pl. Czerwonym nielegalnie lądował awionetką niemiecki nastolatek Mathias Rust. W Kambodży był jeszcze przed rządami Czerwonych Khmerów. Długo by wymieniać. Angażował się w akcje charytatywne, wstrząśnięty zwłaszcza tym, co widział w Afryce.

Napisał wiele bardzo dobrych książek, w tym kilka wybitnych. Spośród wczesnych powieści będzie to „Ze śmiertelnego zimna” (znana też jako „Uciec z zimna”), z późniejszych „Szpieg doskonały”, którego bohater wiodący podwójne życie rozsypuje się pod ciężarem kłamstwa. A z tych powstałych po zakończeniu zimnej wojny – wspomniany już „Wierny ogrodnik”. Seria powieści o Smileyu po-

maga zrozumieć realia sekretnej części zimnej wojny.

Szlachetne i wrażliwe serce może się mylić – Le Carré w ostatnich latach mylił się często, kiedy zrównywał Trumpa z Putinem, twierdził, że na Węgrzech i w Polsce podnosi głowę faszyzm czy że niemiecka demokracja lepsza jest od brytyjskiej. Jego ostatnia powieść „Agent Running in the Field” („Agent działający w terenie” – ukaże się w Polsce za kilka miesięcy) to ostra krytyka brexitu i współczesnej brytyjskiej polityki. Mimo to czytają go z zapamiętaniem (i będą) oraz wychwalają odbiorcy od prawa do lewa. Z prostej przyczyny: nawet jeśli mylił się w receptach, to miał rację co do diagnozy – zachodnie demokracje toczy wiele ciężkich chorób, u których źródła leżą głęboka niemoralność i niszcząca wszystko chciwość. Etykietowano go jako autora szpiegowskich thrillerów. To krzywdzące. Był świetnym pisarzem, w którego książkach zmagania skazanych na przegraną pionków były metaforą tego, z czym my wszyscy mierzymy się w życiu rządzonego przez siły, nad którymi nie mamy wpływu.

WCIAŻ TE SAME PUŁAPKI

Kto chce poznać go bliżej, ten powinien sięgnąć po ciekawą biografię pióra Adama Sismana oraz autobiograficzny tom „Tunel z gołębiami. Opowieści z mojego życia”. Obydwie książki ukazały się po polsku. Tytuł tej ostatniej Le Carré tłumaczył tak: zaczęło się od sceny, której był świadkiem za młodu w Monte Carlo, dokąd zabrał go ojciec utracjusz i hochsztapler (materiał na osobną opowieść). Klienci kasyna oddawali się tam „sportowi” polegającemu na strzelaniu do odpowiednio przygotowanego ptactwa.

„W tunelu umieszczano żywe gołębie, hodowane i łapane na dachu kasyna. Ich zadanie było proste – miały przelecieć po omacku całkowicie ciemny tunel i pofrunąć w śródziemnomorskie niebo, żeby najedzeni i napici sportowcy, czyhający na leżąc lub stojąc, mogli sobie do nich postrzelać” – wspominał John le Carré. „Te z ptaków, których nie trafiono albo które tylko lekko zraniono, robiły to, co zawsze robią gołębie – wracały do miejsca swych narodzin na dachu kasyna, gdzie wpadały wciąż w te same pułapki. Czytelnik zapewne lepiej oceni, dlaczego akurat to wspomnienie prześladowa mnie od tak dawna”.



FOT. MATERIAŁ PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Corleone: epilog



★★★★★

REŻ. FRANCIS
FORD COPPOLA„ŚMIERĆ
MICHAELA
CORLEONE”

USA 1990–2020

wyst. Al Pacino,
Diane Keaton, Andy
Garcia

Z okazji 30. rocznicy premiery filmu „Ojciec chrzestny III” dostaliśmy w prezencie nową wersję najślabszej odsłony słynnej sagi o rodzinie Corleone. Francis Ford Coppola najpierw przed laty wydłużył wersję kinową na potrzeby edycji home video, teraz kilka minut usunął, ale co najważniejsze – zdecydował się na nowy początek i nowe zakończenie. Jedno i drugie nie są zupełnie nowe, bo film został jedynie przemontowany oraz cyfrowo ulepszony, ale efekt jest ciekawy. Coppola zdecydował się też na nowy tytuł. Brzmi on teraz: „Ojciec Chrzestny Mario Puzo, Epilog: Śmierć Michaela Corleone”. Jak mówi reżyser, odtwarza w ten sposób oryginalną wizję Maria Puzo i własną sprzed trzech dekad.

Nigdy nie myśleli o tym filmie jako o trzeciej odsłonie sagi, raczej jako epilogu.

„Ojciec chrzestny III” między innymi z tego powodu rozczarowywał: wszyscy oczekiwali epickiego dzieła na miarę pierwszych dwóch filmów, a takie tropy podsuwał dodatkowo oryginalny początek filmu. Teraz Coppola na początek daje od razu scenę rozmowy Michaela Corleone z arcybiskupem szukającym dofinansowania dla Banku Watykańskiego okradzionego z ponad 700 mln dol. Wskakujemy więc w intrygy natychmiast, a kolejna scena – biesiada z okazji przyznania głowie rodu Corleone kościelnemu orderu – nabiera całkiem innego znaczenia. Zdecydowana

większość poprawek jest prawie niezauważalna, ale mocno poprawia płynność narracji, cięcia następują w bardziej odpowiednich miejscach. Coppola rezygnuje ze sceny retrospekcji (zabójstwo Fredo), choć i tak nie mamy wątpliwości, że starzejący się Michael zmagając się z wyrzutami sumienia.

Ogląda się to lepiej od poprzedniej wersji, aczkolwiek nie wszystkie błędy dało się naprawić. Cała intryga kościelna wydaje się wciąż nadmiernie skomplikowana i wydumana, a młoda Sofia Coppola jako Mary Corleone przypomina, że żadna z niej była aktorka – jak to dobrze, że zajęła się pisaniem i reżyserowaniem filmów. Mocniej, niż w greckiej tragedii, wybrzmiewa finał opowieści, także przemontowany. Odnowiony „Ojciec chrzestny III” pokazuje, że detale się liczą, a Coppola talentu nie straciła. Szkoda tylko, że talent wygrywa z decyzjami studia i producentów dopiero po latach, przy edycjach rocznicowych, a nie już przy okazji premiery. @@



NOWE SERIALE: „EKSPANSJA”

Piąty sezon jednego z najlepszych seriali science fiction ostatniej dekady. Ekranizacja serii książek Jamesa Coreya to opowieść o przyszłości, w której napięcia między mieszkańcami Ziemi, Marsa i Pasa Asteroid bledną w obliczu kontaktu z obcą siłą spoza naszego układu słonecznego. Nieznana technologia otwiera ludzkości wrota do

eksploatacji wszechświata, ale to wcale nie prowadzi do ery pokojowej eksploatacji. Świetne efekty specjalne, ciekawa podbudowa naukowa, interesujące postacie – to plusy „Ekspansji”. Minusem są wtórne polityczne wątki fabuły. @@ **Piotr Gociek**
• sezon 5 „The Expanse”; USA 2020, Amazon Prime

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- reż. Roberto Rodriguez, „Będziemy bohaterami” („We Can Be Heroes”), USA 2020
- reż. Niels Arden Oplev, „Daniel” („Ser du månen, Daniel”), Dania 2019
- reż. Will Becher, „Baranek Shaun Film. Farmageddon” („A Shaun the Sheep Movie: Farmageddon”), W. Bryt. 2019



Z jak zuchwalec



Świętujemy podwójny jubileusz! Zorro ma sto lat, a akcja filmu, w którym po raz pierwszy uwolnił Kalifornię od tyrańskich, hiszpańskich rządów, rozgrywa się w roku 1820. Mało który film niemy tak dobrze zniósł próbę czasu. Ekranizacja powieści Johnstona McCulleya stała się wzorcem z Sèvres dla wido-wisk spod znaku płaszcza i szpady oraz wylansowała nową gwiazdę. Douglas Fairbanks był dobrym aktorem i jeszcze lepszym kaskaderem. Stworzył bohatera, który podobnie jak Superman cierpi na rozdwojenie jaźni. Na co dzień don Diego jest bawidamkiem, któremu „krew zamieniła się w wodę”, jednak po założeniu maski zmienia się w mistrza fechtunku,

szpadą wycinającego złym ludziom zetek na czole lub policzku. Gubernator Alvarado za ujęcie zawadiaki obiecuje 10 tys. pesos. Mają na nie chrapkę wredny kpt. Ramon i zwalisty sierż. Gonzales (czasem spasionego Garcii dopiero nadejdą). Galerię barwnych (choć czarno-białych) postaci

uzupełniają nadobna Lolita Pulido, mnich Felipe i niemy Bernardo, który jest, tak jak każdy sługa, Indianinem. Zorro wracał na ekrany mniej więcej co dekadę, na jego legendzie wychowały się pokolenia. Błyskawice z czołówki serialu Disneya rozświetlały mroki PRL. Chodzą słuchy, że pandemię też przetrzyma i znów się pojawi – tym razem z twarzą Gaela Garcii Bernala. ©©

Wiesław Chełmniak



★★★★★

REŻ. FRED NIBLO
„ZNAK ZORRO”
(„THE MARK OF ZORRO”)
USA 1920

wyst. Douglas Fairbanks,
Marguerite de La Motte, Noah Beery



FOT. MATERIAŁY PROSOWE

MOTYLE W GŁOWIE

MOJOKINO.PL

Romantyzm w pełnej krasie, czyli poeta widziany oczami wielbicielek. John Keats – wyśmiewany przez krytykę wierszokleta bez majątku i dochodów (a tym samym bez perspektyw) – zakochuje się w sąsiadce, która też ma talent – do igły i nitki. Martwi to Charlesa, wiernego druha Johna, lecz w tym trójkącie ma on pozycję najsłabszą.



wyst. Abbie Cornish,
Ben Whishaw,
Paul Schneider

★★★★★

REŻ. JANE CAMPION
„JAŚNIEJSZA OD GWIAZD”
(„BRIGHT STAR”)
WIELKA
BRYTANIA/
AUSTRALIA/
FRANCJA 2009

Fanny, zadając się z galopującym suchotnikiem, z jednej strony funduje sobie masę zmartwień, z drugiej dostaje szansę na nieśmiertelność. Jane Campion, która po „Fortepianie” radziła sobie kiepsko, tym razem znalazła odpowiedni ton. Ponoć nawet Tarantino uronił łzę, patrząc, jak młodzieńcza miłość pleni się wśród kwiatów i motyli. Ach, gdzie te czasy, gdy poezja wiodła na pokuszenie lub na barykady, prowokując do czynów szlachetnych i wzniosłych. Dziś życie jest prozaiczne. Ben Whishaw został pomocnikiem Bonda, Abbie Cornish przebarwiła się zaś na blond.

LWICA Z BUKARESZTU



Rok 1919. Maria Koburg, wnuczka królowej Wiktorii i cara Aleksandra II, sfrustrowana niemocą polityków jedzie do Wersalu na konferencję pokojową. „Missy, nie improwizuj!” – zaklina ją małżonek, lecz charakterna kobieta bez ceregieli przypiera do ściany przywódców ententy, sceptycznie nastawionych do rumuńskich postulatów, mimochodem zdobywając miano miss reporterów i salonowej lwicy. Ciekawsze są wątki obyczajowe. Królowa ma kochanka, a najstarszy syn pała do niej szczerą niechęcią. Być może próba wykreowania nowego bohatera narodowego zakończy się powodzeniem, zwłaszcza że Wonder Women są teraz na fali wznoszącej. Przy okazji film odsłania głębię rumuńskich kompleksów. Fajnie jest traktować z góry Francuzów, Brytyjczyków i Amerykanów, nawet jeśli potem trzeba się obudzić. ©© **recenzuje Wiesław Chełmniak**



wyst. Roxana Lupu,
Daniel Plier,
Adrian Titieni

★★★★★

REŻ. ALEXIS CAHILL, BRIGITTE DRODTLOFF
„MARIA, KRÓLOWA RUMUNII”
(„MARIA, REGINA ROMÂNIEI”)
RUMUNIA 2019

GRA TYGODNIA: „CYBERPUNK 2077”

Jak zacząć recenzję gry, na którą czekało się osiem lat i która miała zrewolucjonizować rynek – stając się najbardziej pożądanym polskim produktem w historii? Może od zdania prawdy. „Cyberpunk 2077” po prostu nie był w stanie spełnić tak wygórowanych oczekiwań,

przedwczesna premiera z masą błędów zachwiała giełdą, ale z drugiej strony... nigdy wcześniej nie widziałem tak rozbudowanej i wielowarstwowej wizji przyszłości. Night City zachwyca barwami, tempem życia i paletą możliwych wyborów. To pełnokrwisty PRG z bezprecedensowym potencja-



FOT. MATERIAŁY PROSOWE

łem. Na resztę przyjdzie poczekać do obiecanych usprawnień. ©©

Marcin Makowski

- **Gatunek:** PRG/FPS
- **Platforma:** PC/PS4/PS5/XONE/XXS
- **Producent, dystrybutor:** CD Projekt RED/Cenega
- **PEGI:** 18+



MOJA PÓŁKA

O Szymborskiej ze złudzeniami

KRZYSZTOF
MAŚLÓN

Błyły czasy, gdy Literacka Nagroda Nobla budziła niesłychane emocje, i to nie tylko w sytuacjach, gdy laureatem zostawał rodak lub cudzoziemiec szeroko tłumaczony i ceniony. Dzisiaj wygląda to inaczej, o czym przekonałem się niedawno, przeprowadzając małą sondę telefoniczną, pytając o nazwisko tegorocznej noblistki, a została nią – przypomnę – amerykańska poetka Louise Glück. Przed rokiem sytuacja – oczywiście w Polsce – była zgoła odmienna, bo Akademia Królewska nagrodziła Olę Tokarczuk, i nawet ci, którzy najchętniej czytają porady kulinarne i wiadomości sportowe, kupili opastę „Księgi Jakubowe” i z dumą postawili je na regale.

To, co się działo w Polsce w zeszłym roku wokół Nobla, przypominało atmosferę po przyznaniu w 1996 r. tej najwyższej nagrody literackiej Wisławie Szymborskiej. W przyszłym roku minie ćwierć wieku od tego wydarzenia, ale już teraz dotarła do nas, jak głosi podtytuł książki, „biografia wewnętrzna” Szymborskiej napisana przez Joannę Gromek-Illg, a przez krakowskiego wydawcę nazwana „intymnym portretem poetki”.

Nie jestem pewien, czy osobiste sprawy autorki „Ludzi na moście” są aż tak interesujące, by poświęcić im całe dzieło, choć autorka dokonała żmudnej kwerendy, przeprowadziła wiele rozmów z osobami bliskimi zmarłej w 2012 r. noblistce, dotarła do jej niepublikowanej wcześniej korespondencji. Najciekawiej prezentuje się pierwsza część książki opowiadająca o dzieciństwie Wisławy Szymborskiej i jej młodości. Im dalej jednak, tym gorzej. O ile jeszcze można zaakceptować może nie bałwochwalczy, ale nadto hagiograficzny stosunek biografki do bohaterki jej pracy, o tyle trudno się zgodzić na rozwijanie przez nią parasola ochronnego nad innymi postaciami, ważnymi



FOT. ANDRZEJ HULIMKA/REPORTER

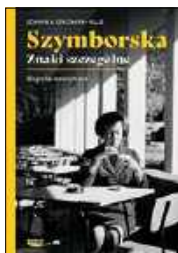
w życiu noblistki, acz niekoniecznie świetlanymi. Ze szczególnym uwzględnieniem męża Szymborskiej – Adama Włodka, z którym rozwiodła się w 1954 r., ale pozostawali w przyjaźni do jego śmierci w roku 1986, a po latach poetka nadała imię eksmęża nagrodzie dla młodych pisarzy przyznawanej ze środków fundacji, którą założyła.

Adam Włodek był w latach 50. nie tylko guru młodych poetów i ich (także swej żony) opiekunem ideologicznym, lecz też donosicielem ubecji. I tu wysiłki autorki, by wyjaśnić osobiste motywy, którymi kierował się Włodek, sporządzając donos na Macieja Słomczyńskiego, było nie było osobistego kolegę i przyjaciela żony, wydają się mocno chybione. Tak samo jak cytowanie epistoły wystosowanej przez Adama Włodkę do partyjnej egzekutywy, kiedy występował w 1957 r. z PZPR i opatrzenie jej komentarzem, jakoby trudno było „o wyrażniejsze świadectwo tamtego czasu – i uczciwości Adama Włodki”. No cóż, prezes Ochódzki w „Misiu”, mawiał: „Znam uczciwszych”.

To zresztą znacznie szerszy problem. Wisława Szymborska, która z partii wystąpiła dziewięć lat po mężu, jeszcze w 1964 r. podpisała kontrlist po Liście 34, w skrócie – wspierający PRL-owską politykę kulturalną i odcinający się od tych kolegów literatów, którzy sygnowali protest przeciw tejsze polityce. Nie-

zależnie od tego, że cała akcja zbierania podpisów pod niesławnym kontrlistem była typowym przykładem komunistycznej manipulacji, warto zacytować ustęp z „Dziennika” Jana Józefa Szczepańskiego (przynaję, przytoczonego przez Joannę Gromek-Illg): „Październik próbował udowodnić, że komunizm może obejść się bez robienia z ludzi szmat. Niestety, to były, jak się zdaje, złudzenia naiwnych intelektualistów”. I jeszcze jedno: Szczepański, oczywiście, kontrlistu nie podpisał, i nie on jeden, bo i Jan Dobraczyński, a z całkiem drugiej strony politycznej i Marian, i Kazimierz Brandysowie, i Tadeusz Konwicki czy Julian Strykowski. Tak jak nie wszyscy Polacy byli w PZPR, ba, większość nigdy czerwonej legitymacji nie miała i nie musiała potem przeżywać moralnych rozterek, czy wystąpić ze znenawidzonej przez zdecydowaną większość narodu partii już dziś, czy dopiero jutro.

Przemilczą autorka głośną sprawę wiersza „Nienawiść” wydrukowanego przez „Gazetę Wyborczą” w czerwcu 1992 r. po odwołaniu rządu Jana Olszewskiego. Można przyjąć, że fakt ten ma się nijak do „biografii wewnętrznej” poetki, ale skoro tak, to trzeba było być konsekwentnym i nie pisać z oburzeniem o krytykach politycznej postawy Szymborskiej, darując też sobie kąśliwe uwagi o „egotyzmie i chęci pozostawania w centrum uwagi” Zbigniewa Herberta i o tym, że noblistka – jakby to miało o czymkolwiek decydować – „wyżej ceniła dowcip lżejszy, bardziej wyrafinowany i nie lubiła, gdy żartowniś wpędzał ją w zażenowanie, a to niewątpliwie często się zdarzało Herbertowi”. Rozumiem, że dla Joanny Gromek-Illg Herbert jest „be”, a Szymborska „cacy”, ale – zdaje się – nie o tym miała traktować jej książka. W sumie ciekawa, ale – jak mawiał Julian Krzyżanowski – nie bardzo. ©



★★★★★
JOANNA
GROMEK-ILLG
„SZYMBORSKA.
ZNAKI
SZCZEGÓLNE”
ZNAK, KRAKÓW
2020



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Mieszanka firmowa

Nowa proza rosyjska, czyli niewielkie okno wystawowe w postaci antologii: dziewięć opowiadań rozmaitych autorów. Maria Galina znana jest w Polsce z trzech tomów fantastyki, Anna Starobiniec również, aczkolwiek pisze prozę lepszą, bardziej wieloznaczną. Parę innych nazwisk znamy z opowiadań lub powieści kryminalnych. Rzecz ukazała się nakładem Centrum Polsko-Rosyjskiego Dialogu i Porozumienia.

Panie przeważają liczebnie i jakościowo. Dwa najlepsze teksty to opowiadania Anny Starobiniec „Po linii matki” oraz Natalii Mieszczaninowej „Życzenie”. To pierwsze łączy groteskę, duchy i bolesną przeszłość, to drugie jest szokującą opowieścią o wykorzystywaniu seksualnym napisaną z punktu widzenia ofiary. Dla polskiego czytelnika szczególnie ciekawy może okazać się hołd złożony Alfredowi Szklarskiemu przez Siergieja Kuzniecowa, aczkolwiek odnotować trzeba, że opowiadanie „1933. Tomek i jądro ciemności” przynosi opowieść daleko bardziej ponurą od oryginalnych, optymistycznych przygód Tomka Wilnowskiego.

Mówiąc o nawiązaniach i literackich grach, dostrzec trzeba dwie zabawy wprost wywiezione z rosyjskich klasyków. Marina Stiepnowa bawi się

motywami z Lwa Tołstoja, a Siergiej Nosow z Dostojewskiego. W opowiadaniu „Próba” Fiodor odwiedza osobnika, któremu winien jest pieniądze, obmyślając jednocześnie sceny, które będą stanowiły potem nieodłączną część „Zbrodni i kary”. Najślabszy tekst to „Zabawa w śnieżki”, ocierająca się o grafomanię proza LGBT.

Galina Józefowicz we wstępie ubolewa, że mało tłumaczy się w świecie utworów rosyjskich pisarek. W Polsce akurat nie wygląda to najgorzej, a Ludmiła Ulicka, przypominę, wymieniana jest od lat jako poważna kandydatka do literackiego Nobla. Martwi się też Józefowicz, że w literaturze rosyjskiej „bohater nie może okazać się gejem czy kosmopolitą”. Jako czytelnik nie czuję się z tego powodu skrzywdzony. A co do kosmopolitów, to przypominam sobie, jak opisywani są w rosyjskich powieściach SF z gatunku liberpunk: jako łotry bez sumienia czyhające na świętą matkę Rosję.

Co znamienne, nie mamy w antologii boksowania się ze współczesną rosyjską polityką, jeśli już, to z przeszłością. Sporo jest zgrywy, czasem niegłupiej: Maria Galina napisała świetną historię o przerażającym Świętym Mikołaju, co odnotowuję skrzętnie w naszym świętecznym wydaniu. ©©



★★★★★
„DZIEWIĘĆ
OPOWIADEK
Z OBŁĘDEM
W TLE”
CPRPDIP 2020

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Drugi tom przygód Williama i zaprzyjaźnionego świątecznego dinozaura Gwiazdkozaura, z którego dowiedzie się, w jaki sposób Święty Mikołaj zdąża w święta na czas z prezentami i co ma to wspólnego z pewną czarownicą.



TOM FLETCHER
„GWIAZDKOZAU
I ZIMOWA
CZAROWNICA”
ZYSK I S-KA

Opowieść fantasy o zwaśnionych krainach elfów i goblinów, szpiegowskiej wyprawie i przygodach strasznych oraz zabawnych. Cudne ilustracje w przewrotny sposób czasem komentują, a czasem podważają fabułę.



M.T. ANDERSON
I E. VELCHIN
„ZABÓJSTWO
BRANGWINA
KĄKOLA”
DWIE SIOSTRY

Kto jest wyrzutkiem w krainie, gdzie wszyscy mają supermoce? Chłopiec, który nie ma żadnej. Norman okaże się jednak niezwykle ważną postacią tego świata i opowieści, która odwraca schematy komiksów o superbohaterach.



KAMEL
BENAOUDA
„NORMAN,
CHŁOPAK BEZ
SUPERMOCE”
POLARNY LIS

Nie są to historie jedynie na czas Adwentu. Ilustrowany zbiór o podtytuł „Czekając na Jezusa” to ciekawa lektura dla dzieci, których rodzice nie zapomnieli, że nadchodzi Boże Narodzenie, a nie jakieś tam winter holidays.

poleca Piotr Gociek

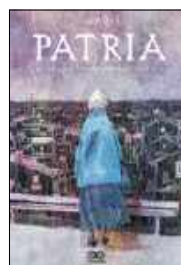


AUTORZY RÓŻNI
„24 OPOWIEŚCI
ADWENTOWE”
BIAŁY KRUK

KOMIKS TYGODNIA:

„PATRIA”

Komiksowa wersja głośnej powieści Fernanda Aramburu, bestsellera zarówno w Polsce, jak i w wielu innych krajach. Powieść stała się w tym roku podstawą jednego z najlepszych seriali HBO. Jej wersja obrazkowa jest nie mniej fascynująca. Autorem szaty graficznej jest utalentowany serbski rysownik Toni Fejzula, znany zarówno z pracy na rynku francuskim, jak i z komiksów o Lobsterze



FERNANDO
ARAMBURU,
TONI FEJZULA
„PATRIA”
NON STOP COMICS
2020

Johnsonie, postaci z uniwersum Hellboya. „Patria” to saga dwóch baskijskich rodzin z wielką polityką, terrorem i religią w tle, poruszająca opowieść o konflikcie, który wstrząsał Hiszpanią i Krajem Basków. ©©

poleca Piotr Gociek



FOT. STACJA7.PL

W hołdzie prymasowi

„Ludzie mówią, że czas to pieniądz, a ja wam mówię – czas to miłość” – te słowa kard. Stefana Wyszyńskiego przypomniał kard. Kazimierz Nycz, rekomendując projekt „Czas to miłość – polscy artyści dla prymasa Wyszyńskiego” zrealizowany przez portal Stacja7 wspólnie z muzykiem Dariuszem Malejoniem, przy wsparciu Narodowego Centrum Kultury. – Chcemy z tego hasła prymasowskiego,

z tych słów „czas to miłość”, uczynić z jednej strony klucz, którym byśmy otwierali dziedzictwo Stefana Wyszyńskiego, ale z drugiej strony klucz, którym byśmy otwierali serca i umysły młodych ludzi na księdza prymasa – powiedział kard. Nycz. I dodał: – Chodzi o to, żeby tym projektem dotrzeć przede wszystkim do młodego pokolenia, które nie ma doświadczenia spotkania z Prymasem Tysiąclecia.

Powstało pięć utworów inspirowanych nauczaniem prymasa. Większość tekstów napisali artyści wykonujący poszczególne piosenki. I tak Bovska w piosence „Zostań” śpiewa o miłości do siebie i do bliźniego, a inspiracją dla artystki były słowa wypowiedziane przez kard. Wyszyńskiego podczas jednej z homilii: „Trzeba widzieć człowieka całego, aby ani myślą, ani sercem, ani pogardą nie odrzucać go od siebie. Trzeba delikatnie chodzić koło każdego człowieka, niemalże na palcach, bo to »punkt«

napełniony przez Stwórcę wszystkimi wartościami, pochodzącymi od Niego”. Kasia Malejonek w piosence o prymasie „Ojcie, poczekaj” śpiewa: „Nauczyłeś nas, że zbyt wiele dać, czasem oznacza zranić. A wystarczy błysk, żeby skrzydła dwa przypiąć komuś do ramion”. „Najmilsza” w wykonaniu Dariusza Malejonia (słowa: Beata Mancel) to z kolei utwór o odpowiedzialności, inspirowany przemówieniem kardynała do kobiet. „Zacznij od nowa” (Natalia Kawalec) traktuje o wytrwałości, a „Przebaczymy i prosimy o wybaczenie” (Marika) powstała nie tylko z inspiracji listem polskich biskupów do biskupów niemieckich z 1965 r., lecz także słowami kard. Wyszyńskiego po aresztowaniu go przez komunistów: „Nie zmuszą mnie niczym do tego, bym ich nienawidził”. Całość do posłuchania w sieci. ©©

Radosław Wojtas



GRZEGORZ BRZOSOWICZ

NA SŁUCH

Magia lat

Pół wieku temu Macca wydał „rozwodowy” album „McCartney”. Nagrał go sam w domu, tak by nie zawierał niczego z patosu jego byłej grupy. „Dwójka” powstała 10 lat później, kiedy przestał istnieć jego zespół Wings. „Trójka” zrealizowana wedle zasady „zrób to sam” nie dokumentuje kolejnego rozstania.

To płyta, na której 78-letni artysta nie spełnia oczekiwań słuchaczy, tylko zmaga się ze sobą. Brak tu przepysanej produkcji nagraniowej charakterystycznej dla poprzedniego albumu „Egypt Station”. Jest skromniej, ale przez to prawdziwiej i bardziej intrygująco. Płytę otwiera szalony blues na akustyczną gitarę „Long Tailed Winter Bird”. Trzy kolejne piosenki są „typowe”, ale uderza w nich głos McCartney,

który jest też producentem albumu, nie udaje, że nie jest starzejącym się mężczyzną. W „Women and Wives” osiąga dzięki temu intensywność znaną z ostatnich albumów Johny’ego Casha. Centralnym utworem jest ponad ośmiominutowy „Deep Deep Feeling” będący wstrząsającym rozważaniem o radzeniu sobie z intensywnymi emocjami, które „płoną w oceanie miłości”. Nastrój niepokoju uwypukla jednostajnie wybijany rytm podkreślony fortépianowymi akordami.

Momentami Macca zapomina, kim jest, i samego siebie zaskakuje pomysłami. Wspaniale wypadają elektryczne bluesy: rozchwiany „Lavatory Lil” i potężny à la Black Keys „Slidin’”. A poza tym jest nostalgicznie, zabawnie, smutno, bujająco... ©©



★★★★★
PAUL MCCARTNEY
„MCCARTNEY III”
CAPITOL



★★★★★
ADAM WALACIŃSKI
„CZTEREJ PANCERNI I PIES”
GAD

54 lata po premierze mamy na CD muzykę do pierwszej części serialu. Otwiera ją i kończy niezapomniana „Ballada o pancernych” w wykonaniu Edmunda Fettinga. Pomiedzy są marszowe, groźne i wesołe instrumentale oraz piosenka „Wołam ciebie” autorstwa Kilara do tekstu Osieckiej.



★★★★★
DAVID BOWIE
„METROBLIST”
PARLOPHONE
Kiedy 49 lat temu Bowie wydał

trzeci album, mało kto się nim zainteresował. Producent, Tony Visconti, ponownie zmiksował płytę i brzmi fantastycznie. Jest na niej klasyk „The Man Who Sold The World”, który rozślawiła 26 lat temu Nirvana. Reszta mocno rockowa. ©©

HISTORIA
DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER OD WTORKU W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!

Wzruszający wywiad
ze 101-letnim Polakiem,
który ratował Żydów

Vesa Nénye – **Cud na Linii Mannerheima**

Piotr Zychowicz – **Polacy na odsiecz Finlandii**

Tomasz Stańczyk – **Triumf fińskiego marszałka**

Rafał Ziemkiewicz – **Jałta '45**

Radosław Golec – **Jak Polacy chcieli zabić Hessa**

Maciej Gablankowski – **Romans Piłsudskiego**

Jacek Bartosiak – **Globalna walka mocarstw**

Sławomir Cenckiewicz – **Pamięci profesora Wieczorkiewicza**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



Kadr z filmu „Swingers” FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Żarty po byku



Krzysztof Masłoń

– Fajny film widziałem...
 – Momenty były?
 – Masz! Już na początku zrobiło się przyjemnie, bo Chodakowska biegła po balkonie w samych majtkach.
 – Chodakowska? Jolanta?
 – No, wdowa po Tomusiu. W „Swingersach”, bo tak się film nazywa, gra bidulę, którą kochanek wyrzucił na balkon, gdyż żona wróciła wcześniej do domu.
 – Mnie też jedna znajoma tak potraktowała, kiedy stary jej z delegacji przyjechał pospiesznym, a nie jak zwykle osobowym. No, ale opowiadasz o tamtej, przeziębiona się pewnie?
 – Trochę tak, ale pomógł jej sąsiad, ten młody Królikowski, który gra teraz wszędzie. Najpierw podał zziębniętej Sylwii...
 – Jakiej Sylwii?
 – No Chodakowskiej, bo ona tak w „Swingersach” się wabi. Dał dziewczynie bolerko ze stroju toreadora, żeby sobie cycki zakryła, a potem pomógł przeleźć przez barierkę, ugościł, nalał kielicha i nawet do łóżka wpuścił.
 – O, to szalenie oryginalne, ale powiedz mi, skąd miał ten garnitur toreadora czy innego matadora.
 – A to skomplikowana sprawa, on tak się ubierał, żeby podniecić...
 – Partnerkę, rozumiem.
 – Nie, partnera. Gangstera, który przeżywa depresję...
 – To, widać, choroba zawodowa. De Niro też z nią walczył...
 – Nie zdążyłem ci jeszcze powiedzieć, że w tym filmie to gra jeszcze Misiek,

ten z „Dnia świra”, co jak mu ojciec zrobił dzióbek, to nie było chuja we wsi.
 – Wesołe chłopisko, ale wiesz, że podobnie zagrał też Edwarda Gierka.
 – Towarzysza Sztęgara? No popatrz tylko, co się wyprawia.
 – Przytył do tej roli 20 kg!
 – To De Niro o siedem kilogramów więcej, kiedy udawał boksera we „Wściekłym byku”. Ale zobacz, ile podobieństw. Coraz lepsze filmy kręcimy.
 – Ale ty mi opowiadasz o gangsterze, bo on coś mi się nie podoba.
 – Bo to regularny gej, jak się okazuje, i Królikowski, jak mdleje ten rodzimy mafioso – zresztą Andrzejek z tego samego serialu, w którym Sylwia owdowiała – to doradza dziewczynie, by go ratowała metodą usta-usta. Pyta go więc: – Co on tam miewa najczęściej? I słyszy: – A zgadnij!
 – No to czysta komedia.
 – I to romantyczna, bo na koniec Misiek się żaręcza i daje swojej dziewczynie z Radomia pierścionek. Ona się cieszy, bo facet w telewizji dużo może, ale łatwego życia to z nim mieć nie będzie. Bo nie wspominałem ci, że na samym początku „Swingersów”, jeszcze zanim Sylwią kochanek wyrzucił na balkon, to Misiek gapi się z wysoka na Warszawę, miasto nasze kochane, i przybiecuje: – Ja was wszystkich wygrzmocę!
 – Nie strasz, nie strasz, bo się...
 – No i ptak się zesrał na niego, a Strasz to pseudo tego aktora z Białegostoku, co zagrał geja zakochanego w toreadorze.
 – Dobrze, że nie w byku.
 – O byku też tam było. Kiedy Królikowski opowiada, jak w Tajlandii uczył się robić pad thai z jader bawoła, to ta Sylwia mówi, że musi tego spróbować. Rozumiesz?

– Co mam nie rozumieć. Śmieszny film, tyle że coś mało w nim seksu.
 – Bo to, widzisz, postępowy film i taki też w nim seks. Najwięcej się o nim gada i Misiek swojej kobiecie wygarnia: – Ja jestem mężczyzną progresywnym i seks na misjonarza mi nie wystarczy.
 – No i co, sprawdza się?
 – O to chodzi, że nie bardzo. Nie wiem zresztą, dlaczego on się z tą swoją panną w końcu chce żenić, skoro ona z Radomia...
 – To nie grzech, tylko wstyd.
 – Naturalnie, no i do tego – jak narzeka Misiek – zafundowała mu nerwicę członka, a ma tylko jednego.
 – A ile by chciał mieć?
 – Nie o to biega, to był żart.
 – Aha. Więcej było takich żartów?
 – Cała masa. A kurw i chujów w powietrzu latało prawie tyle samo co w „Królu”, serialu nadawanym na tym samym Canale Plus, na którym obejrzałem „Swingersów”.
 – A ja myślałem, że ty byłeś w kinie.
 – Przecież zamknięte. A w telewizji obejrzeć można takie progresywne filmy, polskie i nie do końca polskie, bo ten akurat to wcześniej był przebojem na Łotwie, więc nad Wisłą zrobili go jeszcze raz, z tą samą reżyserią i scenariuszem, tylko z innymi aktorami. I Cyfrowy Polsat sobie zarobił.
 – A mówiłeś, że Canal Plus?
 – Dobra, lepiej ci na koniec jeszcze jeden żart sprzedam. Misiek mówi do Lucy, tej z „Rancza”...
 – Boże, to i ona tam gra?
 – A jak! Teraz to seks uprawia się i na emeryturze, a Lucy jeszcze ho, ho... – Twoje piersi są jak akumulatory – powiada jej Misiek. – Takie duże? – odpowiada Lucy zalotnie. – Nie, tak mnie ładują!

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Wyjątkowy rok polskich muzeów

9 i 10 listopada mimo chłodu na warszawskiej Cytaдели praca wre. Na budowę Muzeum Historii Polski, największej muzealnej inwestycji w Polsce, wjeżdżają właśnie pierwsze eksponaty. To ostatnia chwila, żeby w muzealnej bryle zamknąć symboliczne pamiątki wielkiego formatu – szczątki dawnych pomników, relikty pnia tysiącletniego dębu, lokomobile czy wóz opancerzony – pamiątkę ciemnych dni stanu wojennego. W końcu listopada w MHP rozpoczął się montaż dźwigarów dachowych. Do zakończenia budowy

jeszcze blisko dwa lata. Jej ukończenie, otwarcie wyczekiwanego przez lata Muzeum Historii Polski, którego budowa zaczęła się dopiero 12 lat po jego powołaniu, będzie symbolicznym zwieńczeniem obchodów 100-lecia odzyskania przez Polskę niepodległości. Perłą w koronie, która domknie, a jednocześnie będzie fundamentem sieci nowoczesnych polskich muzeów. To jest nasze wiano dla przyszłych pokoleń, budowane w latach jubileuszu Stulecia Odzyskania Niepodległości – mówi o tych inwestycjach wicepremier,

minister kultury i dziedzictwa narodowego prof. Piotr Gliński.

Muzeum Historii Polski to największa inwestycja muzealna w Polsce od wielu lat, ale Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego jest obecnie zaangażowane w rozwój blisko 100 projektów muzealnych na terenie całej Polski oraz poza jej granicami (Przestrzeń Muzealna Witolda Gombrowicza w Vence we Francji, Muzeum Adama Mickiewicza w Stambule). Muzea i projekty związane z polityką pamięci mają różną formę

organizacyjną (instytuty, wystawy) i znajdują się na różnych etapach realizacji – od deklaracji i listów intencyjnych, prac formalnych (powołanie Muzeum – Miejsca Pamięci KL Płaszów), poprzez inwestycje właśnie rozpoczęte – oddziału Narodowego Muzeum Morskiego w Gdańsku, inwestycje zakończone (Muzeum Józefa Piłsudskiego), do modernizacji i nowych galerii w największych polskich muzeach (Galeria Sztuki Starożytnej w Muzeum Narodowym w Warszawie, Muzeum Narodowe w Lublinie).



MUZEA JAK KINA

W 2019 r. polskie muzea odwiedziło 40 mln osób. To prawie tyle, ile wybrało się do kin. Muzealny rok 2020 rozpoczął się tak naprawdę jeszcze w grudniu 2019 r., kiedy to, rok przed deklarowanym terminem, w Krakowie po dwóch latach remontu i po ponad 10 latach od zamknięcia otwarto siedzibę Muzeum Książąt Czartoryskich. Bilety na weekend otwarcia rozeszły się w okamgnieniu, a weekendowe zwiedzanie tej najcenniejszej niegdyś prywatnej kolekcji trzeba było planować z dużym wyprzedzeniem. Muzeum Narodowe w Krakowie, które w 2019 r. odnotowało milion odwiedzających, szykowało się na kolejny frekwencyjny rekord.

Dwa miesiące później, w końcu lutego 2020 r., swoje podwoje dla zwiedzających otworzyło Muzeum Jana Pawła II i Prymasa Wyszyńskiego. W roku Jubileuszu Urodzin św. Jana Pawła II i zapowiadanej na czerwiec beatyfikacji Prymasa Tysiąclecia niezwykła wystawa poświęcona dwóm wybitnym przedstawicielom polskiego Kościoła wydawała się magnesem, który przyciągnie wielu zwiedzających.

Biorąc pod uwagę plany kolejnych instytucji, można się było spodziewać kolejnego rekordowego wzrostu frekwencji.

PRZENOSINY DO SIECI

Niestety, niespełna dwa tygodnie po otwarciu mieszczącego się w Świątyni Opatrzności Bożej muzeum instytucje kultury zostały zamknięte dla zwiedzających. Przez kolejne tygodnie ich zbiory można było podziwiać wyłącznie on-line – w serwisach społecznościowych, na platformach VOD, za pośrednictwem wirtualnych spacerów, webinarów, zdalnie prowadzonych warsztatów, na nowo odkrywanych opowieści. Pandemia, która dotknęła najważniejszej, bezpośredniej relacji z widzami, wyzwoliła niezwykle zasoby kreatywności i sprawiła, że muzea zaczęły na bezprecedensową skalę drugie, wirtualne życie. Co prawda w sieci, która nie zna granic, polskie instytucje musiały się zmierzyć z największymi świata muzealnego, ale statystyki pokazują, że wyszły z tego starcia obronną ręką, wielokrotnie zwiększając swoje wirtualne interakcje z odwiedzającymi.

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, które od początku pandemii rekompensowało muzeom utratę przychodów ze sprzedaży biletów, wspierało również ich działalność w sieci.



Muzeum Książąt Czartoryskich, Oddział MNK

CZAS BUDOWY

Paradoksalnie, rok 2020 obfituje w wydarzenia, które znacząco wzmacniają potencjał polskich muzeów. Od niemal roku Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego współprowadzi i współfinansuje działalność Muzeum Okręgowego w Sandomierzu oraz Muzeum Podlaskiego w Białymstoku. W 2020 r. do grona muzeów narodowych – najważniejszych placówek muzealnych w Polsce – dołączyło Muzeum Lubelskie. Od stycznia 2021 r. Muzeum Narodowe w Lublinie będzie państwową instytucją prowadzoną przez MKiDN. W drugiej połowie roku oficjalnie zakończyła się trwająca ponad 10 lat budowa Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku. Gotowa jest już również wystawa stała w Muzeum – Miejsu Pamięci w Sobiborze – oddziale Państwowego Muzeum w Majdanku. Kończy się kompleksowy remont w Muzeum Narodowym w Lublinie. Za kilka dni gotowa do otwarcia po 10 latach remontu będzie Galeria Sztuki Starożytnej w Muzeum Narodowym w Warszawie. Nowe polskie muzea, nowe galerie i wystawy czekają na moment, kiedy będą mogły zaprosić zwiedzających do swoich siedzib.

MUZEUM KSIĄŻĄT CZARTORYSKICH – ODDZIAŁ MUZEUM NARODOWEGO W KRAKOWIE

W grudniu swoje pierwsze urodziny świętuje odnowione Muzeum Książąt

Czartoryskich – Oddział Muzeum Narodowego w Krakowie. W tym samym czasie kończy się również projekt „Przeszłość przyszłości – remont i wyposażenie Muzeum Książąt Czartoryskich, Muzeum Narodowe w Krakowie w celu udostępnienia unikatowej kolekcji”, w ramach którego przeprowadzono remont, konserwowano i zdigitalizowano zbiory oraz ponownie otwarto muzeum.

Od otwarcia w grudniu 2019 r. Muzeum Książąt Czartoryskich odwiedziło prawie 80 tys. osób. Zwiedzających przyciąga tu nie tylko „Dama z gronostajem” Leonarda da Vinci, lecz także dzieła największych artystów i kolekcja narodowych pamiątek. Ponad 1,3 tys. eksponatów z kolekcji prezentowanych jest, w sposób spełniający standardy nowoczesnego, europejskiego muzealnictwa, w 26 salach odremontowanego pałacu.

Rok w muzeum

Mimo okoliczności niesprzyjających kulturze przez ostatni rok wiele się w Muzeum Książąt Czartoryskich działo. W ramach działań edukacyjnych zaproszono najmłodsze dzieci wraz z rodzicami na dedykowane im specjalnie zajęcia, a grupom szkolnym umożliwiono skorzystanie z oferty tradycyjnych lekcji muzealnych, a także lekcji on-line. W muzeum odbyło się także wiele oprowadzań kuratorskich oraz z przewodnikiem. Specjalna seria spotkań została przygotowana z myślą o seniorach, nie zabrakło też działań skierowanych do osób z niepełnospraw-



nościami, dla których potrzeb przygotowano zarówno przestrzeń muzealną, jak i gabloty z eksponatami. Dla tych, którzy wolą zwiedzać muzeum indywidualnie, udostępniono audioprzewodniki z kilkoma ścieżkami zwiedzania uwzględniające różne poziomy zainteresowania kolekcją oraz aplikację mobilną.

Nowy, niezwykle atrakcyjny dziedzińiec z przeszklonym dachem umożliwił organizację wydarzeń kulturalnych. I nadał im należytą oprawę. Dzięki temu w pałacu odbyły się m.in. Gala Dźwigaczy Kultury czy festiwal Kraków Piano Summer, na którym wystąpili m.in. Keigo Mukawa, Gloria Campaner oraz Leszek Możdżer.

Projekt dobiega końca

Realizacja tych działań nie byłaby możliwa, gdyby nie obejmujący wiele aktywności projekt „Przeszłość przyszłości...”, który zakończy się w grudniu bieżącego roku. W ramach projektu nie tylko przeprowadzono niezbędne prace remontowe czy aranżacyjne, lecz także zakupiono najnowszy sprzęt multimedialny, konserwatorski i digitalizacyjny. Projekt to także ogrom pracy merytorycznej i konserwatorskiej (zespół 55 konserwatorów przeprowadził konserwację ponad 900 obiektów).

Muzeum docenione

Trud włożony w realizację projektu przyniósł rezultaty – Muzeum Książąt Czartoryskich zostało laureatem wielu konkursów i wyróżnień. Przebudowa i aranżacja zostały docenione w konkursie Property Design Award i konkursie SARP 2020. Rozwiązania związane z dostępnością otrzymały nagrodę „Kraków bez barier” oraz „Lider dostępności”. Samo muzeum natomiast zostało nominowane do nagród: Wydarzenie Historyczne Roku, Olsnienia czy MocARTy. Do Muzeum Książąt Czartoryskich trafiła także najbardziej prestiżowa nagroda polskiego muzealnictwa – Grand Prix konkursu Sybilla 2019.

MT 5,14 | MUZEUM JANA PAWŁA II I PRYMASA WYSZYŃSKIEGO

Od końca lutego w pierścieniu pod kopułą Świątyni Opatrzności Bożej w Warszawie działa nowo otwarte Mt 5,14 | Muzeum Jana Pawła II i Prymasa Wyszyńskiego. Usytuowanie muzeum odpowiada wysokości VIII piętra, co przy niewysokiej zabudowie warszawskiego Wilanowa pozwala poczuć się w nim bliżej tej rzeczywistości, do której odkrywania zachęcają patroni instytucji.

Muzealne ekspozycje ukazują losy Jana Pawła II i prymasa Stefana Wyszyńskiego na tle dramatycznych wydarzeń stulecia, w którym przyszło im żyć. Ramy chronologiczne obejmują okres od 1901 r. (rok urodzin Stefana Wyszyńskiego) do 2005 r. (śmierć Jana Pawła II). Wystawa opisuje wpływ obu bohaterów muzeum na losy Kościoła, Polski i świata, ich wkład w zachowanie wiary i tożsamości kulturowej oraz w obalenie komunizmu.

Do zobaczenia są tutaj unikatowe eksponaty, m.in. koralowo-perłowa sukienka Matki Bożej Częstochowskiej z Jasnej Góry, kopia papieskiej kapy milenijnej wykonana przez słynną włoską pracownię X Regio oraz kroplówka podana Janowi Pawłowi II po zamachu w 1981 r. (w przewodach znajduje się papieska krew, co czyni z niej relikwię pierwszego stopnia). Wielkoformatowe projekcje, muzyka Michała Lorenca i liczne pamiątki związane z bohaterami muzeum zapewniają wyjątkowe emocje. Artefaktom towarzyszą wysmakowane dzieła sztuki, a prace Tadeusza Boruty, Stefana Gierowskiego, Jerzego Kaliny, Aldony Mickiewicz, Piotra Młodożeńca czy Doroty Zemły czynią Mt 5,14 miejscem wyjątkowym.

Muzeum zostało otwarte dla zwiedzających 29 lutego. Mimo wielu przeciwności stale i konsekwentnie zwiększa rozpoznawalność i poszerza swoją ofertę edukacyjno-kulturalną. Obok nieustającej pracy nad rozwijaniem wystawy stałą instytucją przygotowuje wystawy czasowe. Wśród nich znalazły się m.in. wystawa „Na styku trzech epok. Kraków 1939–1945 w obiektywie Pawła Bielca”,

przedstawiająca Kraków w latach 1939–1945 (fotograf utrwalił trzy epoki: koniec międzywojnia, okres okupacji niemieckiej i czas tzw. wyzwolenia Krakowa przez sowiecką Armię Czerwoną); oraz dwujęzyczna wystawa „Przebaczenie drogą do wolności”, poświęcona 55. rocznicy listu biskupów polskich do niemieckich.

W oddziale muzeum przy pl. Bankowym pokazana została monumentalna wystawa „Willmann encore. Męczeństwa apostołów”, prezentująca 18 wielkich płócien ze słynnego cyklu „śląskiego Rembrandta”.

Nakładem muzeum ukazało się wiele wartościowych publikacji, a także gra planszowa „Ojcowie Wolności”, której bohaterami są papież Jana Paweł II i prymas Stefan Wyszyński. Muzeum jest również producentem serialu animowanego „Karol”, inspirowanego życiem Karola Wojtyły. Tematem każdego odcinka są krótkie historie lub zdarzenia z życia przyszłego papieża Jana Pawła II – od czasów dzieciństwa aż do lat pontyfikatu.

MUZEUM JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO W SULEJÓWKU – NIEZWYKŁY POMNIK POLSKIEJ HISTORII

Sulejówkę, niewielką podwarszawska miejscowość, jest nierozdzielnie związany z osobą marszałka Józefa Piłsudskiego, jednego z twórców niepodległej Polski. Piłsudski mieszkał bowiem w Sulejówku wraz z żoną i córkami w willi Milusin w latach 1923–1926. Dom ten ufundowali Marszałkowi jego żołnierze. Dlatego właśnie w Sulejówku, w sąsiedztwie zabytkowego dworku, zbudowano



Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku



■ Muzeum Józefa Piłsudskiego. Oficjalne otwarcie muzeum odbyło się w sierpniu 2020 r., w przededniu 100. rocznicy Bitwy Warszawskiej, niespełna cztery lata po wmurowaniu kamienia węgielnego.

Autorzy koncepcji architektonicznej, Krzysztof Jaraczewski i Radosław Kacprzak, skryli większość kubatury nowoczesnego gmachu muzealno-edukacyjnego pod ziemią, by jego bryła nie zdominowała zabytkowego dworku Milusin i otoczenia. Cały muzealny kompleks – także od sierpnia tego roku wpisany na listę Pomników Historii – znajduje się na terenie zalesionym. Piłsudski, miłośnik przyrody, nie pozwolił przekształcić lasu otaczającego dworek w park. Powstał jednak ogród, niedawno pieczołowicie otworzony.

Wystawa stała muzeum pt. „Józef Piłsudski dla Rzeczypospolitej. 1867–1935” dzieli się na galerie przedstawiające kolejne etapy życia Marszałka – młodego „Ziuka”, konspiracyjnego działacza niepodległościowej Polskiej Partii Socjalistycznej „Wiktor” i wreszcie „Komendanta” – autora koncepcji zbrojnej walki o niepodległość i dowódcę I Brygady Legionów Polskich. Piłsudski stanął na czele odrodzonego państwa polskiego i był zwycięskim wodzem w wojnie z bolszewicką Rosją w 1920 r., dlatego kolejne galerie noszą nazwy „Naczelnik” i „Marszałek”. Ostatnia galeria – „Symbol” – ukazuje dziedzictwo Piłsudskiego.

Muzeum Józefa Piłsudskiego oferuje audioprzewodniki w pięciu językach (polski, polski migowy, angielski, niemiecki, rosyjski) oraz możliwość zwiedzania z przewodnikiem. Muzeum prowadzi także warsztaty muzealne dla uczniów na wszystkich poziomach nauczania, zarówno na wystawie (gdzie istnieje ścieżka rodzinna), w salach edukacyjnych, jak i on-line.

Muzeum Józefa Piłsudskiego jest instytucją kultury współprowadzoną przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Fundację Rodziny Józefa Piłsudskiego.

MUZEUM I MIEJSCE PAMIĘCI W SOBIBORZE

29 października 2020 r. Państwowe Muzeum na Majdanku otworzyło w swoim oddziale w Sobiborze wystawę stałą „SS-Sonderkommando Sobibor. Niemiecki obóz zagłady 1942–1943”. Ekspozycja powstała w nowoczesnym pawilonie muzealnym, będącym częścią nowej aranżacji przestrzennej sobiborskiego miejsca pamięci.



Wystawa unaocznia i przybliża realia funkcjonowania niemieckiego obozu zagłady w Sobiborze jako części zakrojonego na szeroką skalę planu eksterminacji ludności żydowskiej w okupowanej przez III Rzeszę Europie. Na 16 panelach tematycznych omówione zostały kluczowe zagadnienia historii Zagłady – od założeń nazistowskiej polityki rasowej i planów eksterminacji Żydów pod kryptonimem Einsatz Reinhardt, poprzez organizację wysiedleń i deportacji, do szczegółowych kwestii dotyczących działalności obozu oraz powstania, które wybuchło tu 14 października 1943 r.

Centralną część ekspozycji zajmuje 25-metrowa gablota, w której zgromadzone ponad 700 obiektów odnalezionych podczas prac archeologicznych. Ponadto na wystawie prezentowana jest niemal setka zdjęć i dokumentów, które ukazują topografię obozu, wygląd znajdujących się na jego terenie zabudowań, utrwalają dramat deportacji i transportu żydowskich rodzin, pokazują twarze sprawców zbrodni i ich ofiar. W minimalistycznej przestrzeni zestawiono obiekty muzealne, planse informacyjne i multimedialne projekcje, umożliwiające odbiorcom interakcję z materiałami dokumentalnymi i własne poszukiwania.

W 2021 r. w Sobiborze rozpocznie się ostatni etap robót budowlanych, w którego ramach powstanie kilkusetmetrowa ściana pamięci, usytuowana wzdłuż dawnej drogi do komór gazowych i wokół polany mogił masowych. Zabezpieczone i częściowo wyeksponowane przeszkleniami zostaną fundamenty

komór gazowych. Zakończenie budowy całego upamiętnienia planowane jest najpóźniej na drugi kwartał 2022 r.

Budowę pawilonu muzealnego w Sobiborze sfinansowano z dotacji Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, a koszty realizacji wystawy – ze środków przekazanych przez Republikę Federalną Niemiec.

MUZEUM NARODOWE W LUBLINIE

W Lublinie dobiega końca realizowany przez muzeum projekt „Muzeum Lubelskie – ochrona dziedzictwa przeszłości i nowe wyzwania przyszłości: edukacja, nauka, innowacyjność, promocja regionu, turystyka”. Projekt obejmował roboty budowlane, prace konserwatorskie i zakup wyposażenia dla dwóch obiektów należących do muzeum: głównej siedziby na Zamku Lubelskim w Lublinie oraz Muzeum XXIV Pułku Ułanów im. Hetmana Wielkiego Koronnego Stanisława Żółkiewskiego – Filii Oddziału Regionalnego w Kraśniku.

Realizowane w obiektach objętych projektem prace miały na celu zmodernizowanie i powiększenie przestrzeni ekspozycyjnej, poprawę komfortu zwiedzania i pracy w muzeum oraz powiązanie tematyczne poszczególnych obiektów i stworzenie logicznego ciągu zwiedzania wystaw. W ramach przebudowy, na bazie nowo zaaranżowanych wystaw w obu obiektach, powstała nowa przestrzeń do prowadzenia działalności kulturalnej i edukacyjnej.



Zakres prac na Zamku Lubelskim objął gruntowną przebudowę skrzydła północnego, a także roboty modernizacyjne w częściach skrzydła południowego i zachodniego. Dzięki modernizacji muzeum pozyska nową przestrzeń o powierzchni blisko 300 mkw., która będzie przeznaczona na prezentację wystaw czasowych. Nad nią znajduje się powstała po przebudowie skrzydła północnego Zamku i Galerii Malarstwa Polskiego – Galeria Malarstwa Polskiego XIX i XX w. (z ekspozycją m.in. słynnego obrazu Jana Matejki „Unia lubelska”). Nowo powstałe ekspozycje są nowoczesne i wykorzystują multimedia, które pozwalają na pełniejszy odbiór wrażeń przez zwiedzających.

W filii w Kraśniku przeprowadzono kompleksową modernizację istniejącego budynku włącznie z dobudową nowego skrzydła. Powstały ekspozycje: „24. Pułk Ułanów. Historia i tradycja”, wystawa archeologiczno-etnograficzna „Od prehistorycznego garnka do etnograficznego dzbanka” oraz wystawa planszowa dotycząca historii Kraśnika „Kraśnik na starej fotografii”.

Od stycznia 2021 r. Muzeum Narodowe w Lublinie będzie instytucją kultury prowadzoną przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego. To efekt przeprowadzonego w 2020 r. przekształcenia Muzeum Lubelskiego ze współprowadzonej z Województwem Lubelskim instytucji samorządowej – w państwową, a jednocześnie wyraz uznania dla zbiorów i znaczenia lubelskiego muzeum. Muzeum Lubelskie, założone w 1906 r., to jedno z największych muzeów na wschodzie Polski. Od 1957 r. jego siedzibą główną jest Zamek Lubelski z unikalnym w skali Europy zabytkiem sztuki średniowiecznej – Kaplicą Trójcy Świętej. Od czasu uzyskania obecnej nazwy i nowego statutu Muzeum Narodowe w Lublinie ma także nowy oddział – Muzeum Ziemi Wschodnich Dawnej Rzeczypospolitej, które uzyska siedzibę i wystawę stałą w pałacu Lubomirskich zakupionym na ten cel z dotacji MKiDN.

GALERIA SZTUKI STAROŻYTNEJ W MUZEUM NARODOWYM W WARSZAWIE

Na zakończenie 2020 r. Muzeum Narodowe w Warszawie przygotowało wyjątkową atrakcję. Po blisko 10 latach przerwy sztuka starożytna powróci na stałe do sal wystawowych muzeum. Tym

samym końca dobiegnie projektu rearanżacji Galerii Sztuki Starożytnej. Nowa galeria będzie dostępna dla zwiedzających po ponownym otwarciu muzeum, prawdopodobnie w styczniu 2021 r.

Tradycje kolekcjonowania pamiątek antyku w Warszawie sięgają czasów króla Władysława IV, a ich prawdziwy rozkwit to XVIII i XIX w. Pierwotnie znaczna kolekcja zabytków antycznych znajdowała się w powołanym w 1862 r. Muzeum Sztuk Pięknych, przekształconym później w Muzeum Narodowe w Warszawie. Z czasem kolekcja starożytności warszawskiego muzeum coraz bardziej się powiększała, m.in. dzięki wybitnym archeologom Uniwersytetu Warszawskiego współpracujących z MNW. Z Galerią Sztuki Starożytnej związane są największe sławy polskiej archeologii, profesorowie: Kazimierz Michałowski, Jadwiga Lipińska, Witold Dobrowolski i Maria Ludwika Bernhard.

Warto zwrócić uwagę, że wszystkie eksponaty składające się na kolekcję starożytności Muzeum Narodowego w Warszawie, zostały pozyskane w sposób zupełnie legalny, często przekazywane jako wyraz wdzięczności za pracę polskich naukowców.

Stała galeria poświęcona sztuce starożytnej powstała w Muzeum Narodowym w Warszawie w 1938 r., tuż po otwarciu nowo wybudowanego gmachu w Al. Jerozolimskich. Z wyjątkiem okresu drugiej wojny światowej, gdy – jak większość polskich zbiorów – warszawska kolekcja poniosła dotkliwe starty, galeria starożytna działała nieprzerwanie do 2011 r. Wówczas, biorąc pod uwagę zarówno nieaktualną formę prezentacji zabytków, jak i stan wnętrza muzealnych, ówczesna dyrekcja muzeum podjęła decyzję o remoncie galerii i rearanżacji ekspozycji. Intensywne prace, sfinansowane przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz w ramach unijnego programu „Infrastruktura i Środowisko”, ruszyły w roku 2017 i objęły dziewięć sal o łącznej powierzchni 716 mkw.

W nowej galerii znajdzie się ok. 1,8 tys. uporządkowanych chronologicznie

zabytków starożytnych cywilizacji Egiptu, Bliskiego Wschodu, Grecji i Rzymu. Prezentowane zabytki zostały poddane niezwykle starannej i gruntownej konserwacji, dzięki czemu odzyskały one swój starożytny blask. W nowej Galerii Sztuki Starożytnej będzie można odbyć wyjątkową podróż w głąb czasu, do starożytnych kultur Egiptu, Bliskiego Wschodu, Grecji i Rzymu. Na wystawie można będzie zobaczyć m.in. tajemniczy sarkofag, skrywający w sobie mumię nieznaną kobiety. Zaprezentowany zostanie także niemal 10-metrowy, zapisany

hieroglifami i ilustrowany papyrus z Księgą Umarłych.

Będzie też można spojrzeć w oczy szakalogłowego boga Anubisa, który – jak wierzyli Egipcjanie – pełnił rolę strażnika zaświatów. Będzie można podziwiać bogatą ekspozycję greckich waz, które opatrzone przedstawieniami z mitologii i życia codziennego. Wiele z prezentowanych obiektów powstało, by uwiecznić przemijające piękno (np. rzeźba Antinousa, ukochanego cesarza Hadriana) lub upamiętnić pielgrzymki do

świętych miejsc. Wzruszają też dzieła poświęcone zmarłym, jak np. sarkofag ze sceną wyścigów rydwanów, który nieznani nam rzymscy rodzice ufundowali swojemu zmarłemu dziecku oraz piękna twarz chłopca na portrecie trumienym, pierwotnie przytwierdzonym do zabandażowanej mumii, a pochodzącym zapewne z oazy Fajum w Egipcie.

Charakter nowej Galerii Sztuki Starożytnej współtworzy gra światła i cieni. Jasna kolorystyka ścian przywołuje obraz pustynnego piasku i egipskiego słońca. Rozświetlone przestrzenie sąsiadują z mrokiem sal przypominających wnętrza antycznych grobowców i rzymskich katakumb. Jedno z pomieszczeń w całości pokrywają hieroglify, inne przypomina wnętrza rzymskiego domu. Nowa Galeria Sztuki Starożytnej to także szlachetność materiałów wykorzystanych do jej budowy, m.in. naturalnego malachitu czy marmuru. Zwiedzający będą też mogli skorzystać z urządzeń multimedialnych. Ekspozycja jest w pełni dostosowana do potrzeb osób z niepełnosprawnościami.



Po blisko 10 latach przerwy sztuka starożytna wraca na stałe do sal wystawowych Muzeum Narodowego w Warszawie

PIOTR WŁOCZYK: Czy autor słynnego zdania „religia jest opium ludu” faktycznie w nic nie wierzył? Przywołane w pańskiej książce przykłady mniej znanych „dzieł” Karola Marksa mogą u niektórych czytelników wywoływać dreszcze...

PROF. PAUL KENGOR: Karol Marks został ochrzczony w wieku pięciu lat. Jako dziecko był raczej wierzący, ale w czasie studiów odszedł od wiary. Stało się tak głównie pod wpływem prof. Brunona Bauera, ateisty, który nauczał na temat... religii. To trochę tak jak dziś w USA, gdzie wielu wykładowców teologii to kompletnie niewierzący ludzie. Wraz z Bauerem Marks założył pismo ateistyczne „Archiv des Atheismus” („Archiwum Ateizmu”). Marks stał się wojującym ateistą. „Religia jest westchnieniem uciśnionego stworzenia, sercem nieczułego świata, jest duszą bezdusznych stosunków. Religia jest opium ludu” – napisał Marks. Uważał, że religia to narkotyk, który ma sprawić, że ludzie będą się czuć lepiej ze swoją niedolą.

Marks negował istnienie Boga. A co myślał na temat diabła?

Wielu ateistów twierdzi, że w nic nie wierzy, ale jednak często widać u nich fascynację ponadnaturalnymi, ciemnymi mocami. Dobro do nich nie przemawia, ale zło ich fascynuje. Marks miał dziwny stosunek do szatana. Na pewno był on dla niego symbolem rebelii, nienawiści do Boga, stwórcy naturalnego porządku. We wczesnej twórczości Marksa nie brakuje bardzo niepokojących myśli. W 1837 r. Marks napisał wiersz „Błada dziewczyna”:

[...]

*A zatem niebo utraciłem,
Wiem to dobrze.
Moja dusza niegdyś wierna Bogu
Została wybrana do piekła.*

Z kolei w wierszu „Gracz” (1841) Marks napisał:

*Widzisz ten miecz?
Książkę ciemności
sprzedał mi go.*

[...]

*Z Szatanem zawarłem pakt.
On me nuty kreśli i wybija takt,
Ja gromko wygrywam śmierci marsz.*

Co tak naprawdę siedziało w głowie Marksa?
To dobre pytanie. Na ile Marks tylko pisał o diable, a na ile w niego wierzył?



**Z prof. Paulem Kengorem, autorem książki „Diabeł i Karol Marks”
rozmawia Piotr Włoczyk**

FOT. ADBESTOCK

Marsz Marksa

Nie ma dowodów na to, że brał udział w „mszach” satanistycznych, ale nie brakuje bardzo niepokojących doniesień na ten temat. Weźmy choćby bardzo szanowanego biografą Marksa, prof. Roberta Payne’a. W rozdziale „Demon” Payne pisze: „Były momenty, gdy Marks zdawał się być opętany przez demony. Miał diabelski ogłód świata i czasem

zdawało się, że sam Marks wiedział, iż wykonuje złą pracę”. Nie da się powiedzieć, że Marks zawarł „pakt” z diabłem, bo nie jesteśmy mu w stanie zajrzeć do głowy. Pokazuję jednak w swojej książce wszystkie bardzo niepokojące sygnały, momenty w życiu Marksa, które mogą jeżyć włosy na głowie. Marks wierzył w zniszczenie, pisał o diable, fascynował



zniszczenia, które przyniosło światu wdrażanie w życie idei Marksa. Zainteresowanie diabłem, piekłem to wspólny mianownik dla wielu rewolucjonistów. W książce podaję takie przykłady. Weźmy choćby Michaiła Bakunina, słynnego rosyjskiego anarchistrę. Byli z Marksem dobrymi znajomymi aż do momentu, gdy się znienawidzili (śmiech). To zresztą stała cecha charakteru Marksa – koniec końców z każdym się pokłócił. Bakunin był zafascynowany diabłem. Nazywał go „wspaniałym buntownikiem”. Z kolei na amerykańskiej lewicy bardzo popularną postacią jest Saul Alinsky. Swoje „Zasady dla radykałów” („Rules for Radicals”) zaczyna od wyrazów uznania dla diabła. Chwali Lucyfera jako pierwszego buntownika. Czy to znaczy, że był wyznawcą diabła? Ciężko powiedzieć. Jeżeli jednak ktoś publicznie składa wyrazy uznania dla diabła, to my, chrześcijanie, nie powinniśmy na to po prostu machać ręką.

W swojej książce zwraca pan uwagę na ogromną popularność, jaką w środowisku satanistycznym cieszy się „Oulanem” – sztuka napisana przez Marksa.

Słyszałem o tej sztuce już jakieś 30 lat temu, ale to było przed erą internetu. Kiedy przygotowywałem się do napisania tej książki, wrzuciłem hasło „Oulanem” do Internetu. Nie radzę wyszukiwać tego hasła w samotności i po ciemku. Wyniki wyglądają przerażająco.

„Oulanem” to anagram imienia „Emanuel”, które oznacza „Bóg z nami”. „Oulanem” to po prostu „my bez Boga”... Słynny rumuński pastor Richard Wurmbrand w swojej książce „Marks i szatan” napisał wprost, że już sama ta sztuka pokazuje, iż Marks był wyznawcą diabła.

Ale powiedzmy też, że Richard Wurmbrand miał wszelkie powody, by skrajnie krytycznie oceniać komunizm.

Oczywiście. Wurmbrand był w koszmarny sposób torturowany przez komunistów. W swoich wspomnieniach pisał, że w więzieniu Pitești, gdzie był przez wiele lat więziony, funkcjonariusze reżimu przeprowadzali udawane krzyżowanie osadzonych, zmuszali księży, by „przeistaczali” ludzkie ekskrementy. Następnie ci zwyrodnialcy wsadzali te obrzydliwości więźniom do ust. Wurmbrand mówił, że rzeczy były tak diaboliczne, iż nie zdecydował się opisać wszystkiego w swojej książce „Torturowani z powodu Chrystusa”. Wurmbrand

pokazywał, że nie był to jedynie lokalny przypadek, lecz śledząc nić tej czystej nienawiści do Boga, dojdziemy do Lenina i wreszcie do samego Marksa.

Na pewno odbył pan wiele rozmów z ideowymi marksistami, którzy mówili panu, że Marksowi zależało przede wszystkim na losie biednych. Chciał zabrać wyzyskiwaczom i oddać całe to bogactwo wyzyskiwanym.

U niego nie było pozytywnego programu, tylko zniszczenie. Nie powinniśmy postrzegać „Manifestu komunistycznego” jako programu gospodarczego, tylko jako przepis na rozsądzenie cywilizacji. Marks i Engels napisali, że całą komunistyczną teorię można streścić w jednym zdaniu: „zniesienie własności prywatnej”. Obaj teoretycy pisali również o zniesieniu religii i moralności. Ale, o czym większość ludzi kompletnie nie ma pojęcia, wysunęli także postulat: „Zniesienie rodziny!”. Użyli przy tym wykrzyknika! Na pewno każdy pamięta hasła o jednoczeniu się robotników, zręczaniu kajdan, ale na końcu manifestu mamy zdanie: „Komuniści popierają wszędzie wszelki ruch rewolucyjny przeciw istniejącym stosunkom społecznym i politycznym”. I dalej: „Komuniści uważają za niegodne ukrywanie swych poglądów i zamiarów. Oświadczają oni otwarcie, że cele ich mogą być osiągnięte jedynie przez obalenie przemocą całego dotychczasowego ustroju społecznego”. Przemocą! I mówią to w kontekście całego ustroju społecznego! To nie jest żaden postęp. To czysty totalitaryzm. Marks wyobrażał siebie samego stojącego w zgłiszczach domu z wyciągniętą pięścią i krzyczącego: „Teraz jesteśmy gotowi budować nowy świat”. On chciał przede wszystkim niszczyć.

„Nigdy nie mieliśmy prawdziwego komunizmu. Wszystkie dotychczasowe próby budowy komunizmu były tak naprawdę wypaczeniem idei Marksa” – usłyszałem niedawno od młodego polskiego komunisty.

Tak, oni cały czas to powtarzają. „Gdybyśmy to my byli przy władzy i mieli szansę wdrożyć myśl Karola Marksa – na pewno zrobilibyśmy to właściwie!”. Na chłopski rozum wydawałoby się, że spośród wszystkich krajów, w których rządzą komuniści, przynajmniej w jednym wdrażanie myśli Marksa przyniosłoby pozytywne efekty. Nie mówię tu o państwie idealnym, bo takich nigdzie nie ma, ale takim, gdzie życie byłoby po prostu OK. Tymczasem w całej historii światowej

się nim, a jego spuścizna jest przerażająca. Bliscy Marksa wspominali, że jego ulubionym fragmentem było zdanie z „Fausta”: „Wszystko, co istnieje, zasługuje na śmierć”. To nie jest przypadek. Ten człowiek fascynował się niszczeniem, obaleniem, wywracaniem świata do góry nogami.

Rozumiem jednak, że nie stawia pan tej sprawy w sposób jednoznaczny.

Jako historyk muszę być bardzo ostrożny. Nie mogę mieć pewności na temat tego, co naprawdę Marks myślał o diable, ale to, co wiemy o jego podejściu do tego tematu, jest bardzo niepokojące. Szczególnie w kontekście całego



Dwego komunizmu nie ma ani jednego takiego przykładu! Pod każdą szerokością geograficzną komunizm kończył się tak samo – totalną zapaścią i stosami trupów. Może więc czas już przyznać, że w komunizmie jest coś takiego, co sprawia, że wdrażanie tej ideologii przynosi tylko śmierć i zniszczenie?

„Niedorzecznością jest winienie Marksa za Gułag. Zmarł 40 lat przed powstaniem sowieckich obozów pracy niewolniczej” – to kolejny argument z arsenału obrońców Marksa.

Ależ oczywiście, że można – a nawet trzeba – winić Marksa za Gułag! Jeżeli cały program tego człowieka można streścić zdaniem: „Zniesienie własności prywatnej”, to chyba oczywiste jest, jakie będą tego konsekwencje. Do odebrania ludziom ich własności potrzebne są polica polityczna i Gułag. W „Manifestie komunistycznym” mowa jest też o zniesieniu prawa do dziedziczenia i konieczność dokonania wielkiego przemieszczenia ludności między miastami i wsiami. Przecież to oczywiste, że wdrożenie tego planu wymaga użycia brutalnej siły. Marks i Engels doskonale sobie z tego zdawali sprawę, ponieważ napisali: „Początkowo może to się oczywiście dokonać tylko za pomocą despotycznych wtargnięć”.

„Nazizm to czysta nienawiść” – często można usłyszeć od tak hołubionych dziś przez mainstreamowe media „antyfaszystów”. Wiele z nich twierdzi, że w komunizmie nie ma niczego takiego. Czyżby? Fundamentem komunizmu jest przecież nienawiść klasowa. Pierwszym pytaniem czekistów było: „Do jakiej klasy należysz?”. Esesmani pytali z kolei: „Do jakiej rasy należysz?”. Czy to wielka różnica? Nawiasem mówiąc, Marks był też rasistą i antysemitą. Twierdził m.in.: „Wiara izraelska jest dla mnie odpychająca”. To wyjątkowo niewygodny temat dla piewców komunizmu. Czarnych porównywał z kolei do małp. Swojego zięcia, który był częściowo Kubańczykiem, nazywał „gorylem”.

Czy on, człowiek, który deklarował chęć zbawienia ludzkości, lubił w ogóle ludzi?

Tutaj nie ma żadnych wątpliwości – Marks nie lubił ludzi, nawet w stosunku do najbliższych był paskudny. Prawie nikt nie mógł z nim wytrzymać. Jego własna matka, ojciec i żona narzekali, że Karol mógłby w końcu zarobić jakiś kapitał, zamiast tylko o nim pisać. Marks odmawiał podjęcia pracy. Zamiast tego

wolał wysysać pieniądze od swojej rodziny. Gdy zmarł jego ojciec, brał pieniądze od matki. Gdy ona go odcięła od kapitału, zmuszał żonę, by brała pieniądze od swoich rodziców. Gdy i oni zaczęli mieć tego dość, pojawił się Engels, który zaczął utrzymywać Marksa. Teraz najlepsze: Engels miał pieniądze dzięki spadkowi po swoim ojcu. To już był szczyt hipokryzji, bo obaj przecież obstawali za zniesieniem prawa do dziedziczenia! Marks i Engels umarliby z głodu bez tego spadku! Chyba nikogo nie zdziwi fakt, że Marks nie płacił swojej gosposi, a gdy zaszła z nim w ciążę, wyparł się ojcostwa?

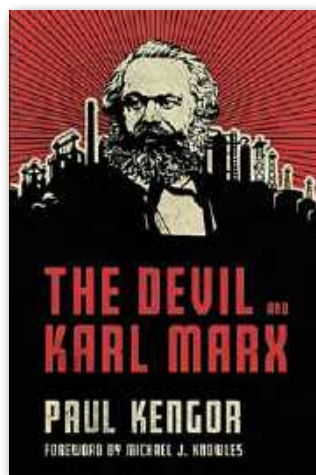
Prawica na całym świecie powtarza, że socjalizm po prostu nie działa, ale z pańskiej książki wynika coś innego. Socjalizm działa wręcz idealnie.

Jeżeli szukalibyśmy najlepszej maszyny do niszczenia świata, to socjalizm byłby najlepszym rozwiązaniem. I tak to sobie wyobrażał Marks. Ten system jest zły nie tylko pod kątem gospodarczym i społecznym. To jest też w sensie dosłownym na wskroś zła ideologia, która atakuje również duszę.

A jednak bardzo wielu młodym Amerykanom socjalizm kojarzy się bardzo pozytywnie. Z badania Instytutu Gallupa z 2019 r. wynika, że 20- i 30-latkowie dzielą się niemal równo po połowie, jeżeli chodzi o pozytywną ocenę socjalizmu i kapitalizmu.

To bardzo niepokojące. Do statusu gwiazdy urosła u nas młoda członkini Izby Reprezentantów Alexandria Ocasio-Cortez – znana pod skrótem AOC – która sama siebie nazywa „demokratyczną socjalistką”. Jej konikiem jest „Nowy Zielony Deal”. To wezwanie do niezwykle kosztownej rewolucji energetycznej zaprojektowanej przez zielonych ideologów.

Młodzi lewicowcy nie czytają „Manifestu komunistycznego”. Nasłuchali się na swoich uniwersytetach, że socjalizm to po prostu dzielenie się. I to widać w badaniach społecznych. Sposób myślenia AOC to produkt naszych strasznych szkół publicznych i uniwersytetów. 90 proc. wykładowców to lewicowcy! I jak tu się dziwić, że ludzie tacy jak AOC nie mają się gdzie nauczyć prawdy o wymysłach



Marksa? Niestety, pokutuje u nas myślenie, że o ile komunizm jest zły, o tyle jednak socjalizm jest dobry.

Tymczasem „chrześcijanie idą do nieba, a socjaliści idą do komunizmu”.

Dokładnie. To słowa Mariona Smitha, szefa Fundacji Pamięci Ofiar Komunizmu, który stara się edukować młodych Amerykanów.

Ludzie nie rozumieją, że socjalizm to etap przed komunizmem.

AOC pokazuje Szwecję czy Danię jako przykłady socjalizmu, do którego powinna dążyć Ameryka.

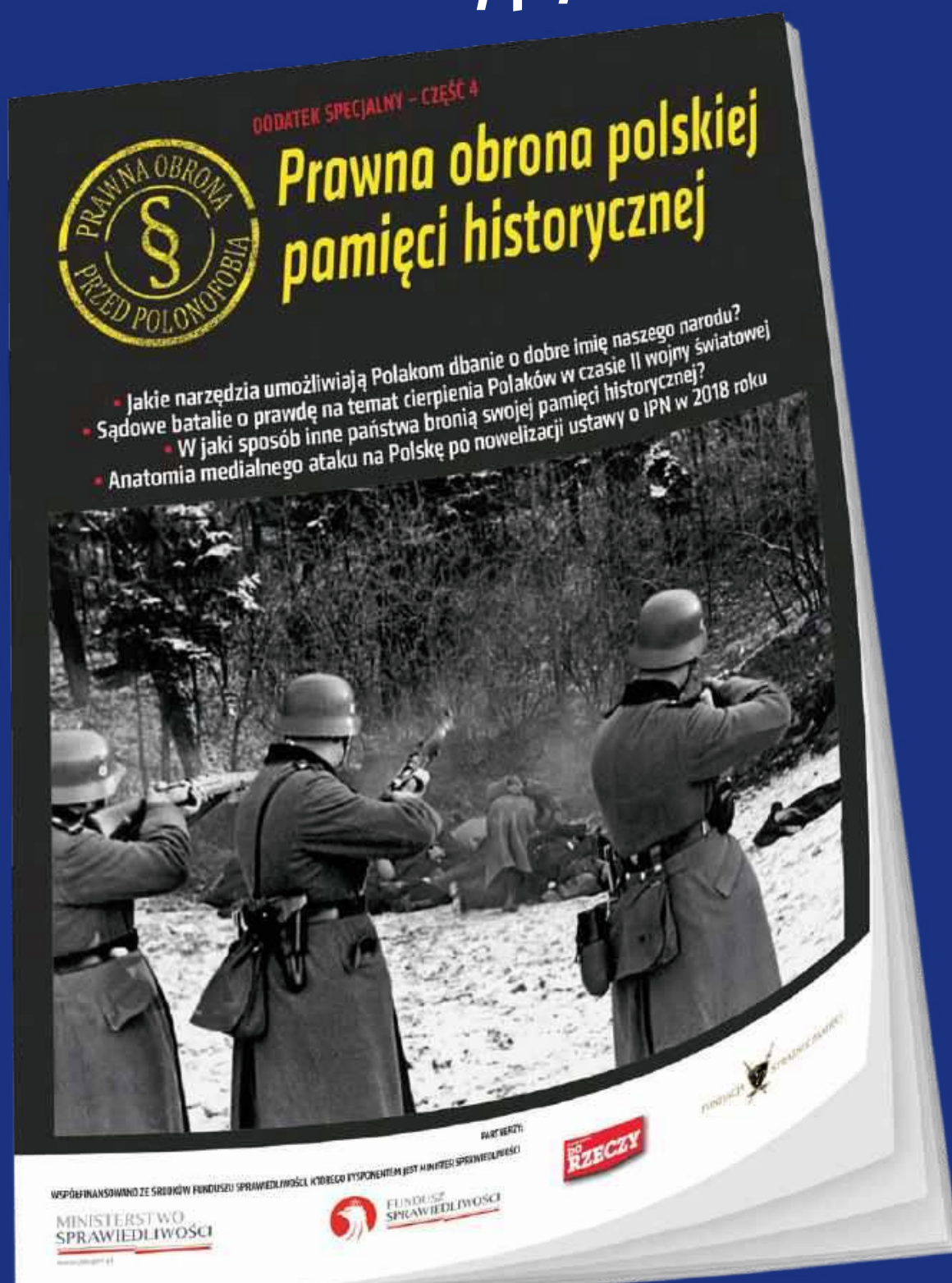
Problem w tym, że to nie są kraje socjalistyczne! Tam nie ma „społecznej własności środków produkcji”. Przecież chyba każdy wie, że w Szwecji mają IKEA – prywatną firmę! AOC powinna raczej pokazywać Wenezuelę czy Kubę jako przykłady krajów socjalistycznych. Dzisiaj jednak zachodni wyznawcy Marksa nie opowiadają już tyle o sprawach gospodarczych i poprawie losu klasy pracującej. Ci ludzie generalnie rozumieją już, że socjalizm – rozumiany jako narzędzie do polepszenia bytu społeczeństwa – nie działa. Dzisiaj główny nacisk kładziony jest więc na marksizm seksualny i marksizm genderowy. To jednak wciąż sprowadza się do tego samego. Od Karola Marksa przez szkołę frankfurcką do dzisiejszych seksualno-genderowych marksistów wspólnym mianownikiem jest krytyka, obalanie porządku, ateizm i zaprzeczenie tradycji judeochrześcijańskiej. Marksizm pokazuje nam się w nowych odstonach, ale fundamenty pozostają te same.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



prof. Paul Kengor – jest amerykańskim historykiem, wykładowcą na Grove City College w Pensylwanii. W USA ukazała się właśnie jego najnowsza książka pt. „Diabeł i Karol Marks” („The Devil and Karl Marx”). W Polsce opublikowane zostały jego poprzednie książki, m.in. „Ronald Reagan i obalenie komunizmu” oraz „Papież i prezydent”.

Pobierz i czytaj za darmo dodatek w wersji elektronicznej!
www.dorzeczy.pl/dodatki



WSPÓŁFINANSOWANE ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONETEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI



William Pitt młodszy został premierem Wielkiej Brytanii, gdy miał 24 lata

FOT. DOMENA PUBLICZNA

William Pitt młodszy został premierem Wielkiej Brytanii w roku 1783, gdy miał zaledwie 24 lata. Pełnił tę funkcję aż do roku 1806, z przerwą w latach 1801–1804. Był najmłodszym w historii premierem Wielkiej Brytanii i do dzisiaj, gdy ktoś wysuwa przeciwko komuś argument młodości, bywa podawany jako kontrprzykład: wiek nie ma w istocie znaczenia, liczą się umiejętności i kompetencje.

Tyle że to nie do końca prawda. Przy takim rozumowaniu popełniamy błąd anachronizmu, czyli przykładamy do dzisiejszych sytuacji dawne standardy. W czasach Pitta młodszego ludzie dojrzewali znacznie szybciej niż dzisiaj i szyb-

Cesarstwa Rzymskiego, które miał ambicję odbudować do dawnej potęgi – mając lat 16. Był już wtedy władcą w pełni świadomym i wydającym samodzielne, aczkolwiek nie zawsze szczęśliwe decyzje. Teodor Parnicki w swoich znakomitych „Srebrnych orłach” przedstawia go – chyba nie bez racji – jako nieco infantylnego marzyciela i sugeruje, że młody wiek miał tutaj duże znaczenie. Zwłaszcza gdy zestawia go ze znakomicie wykształconym, wtedy już ponad 50-letnim papieżem Sylwestrem II.

Jak to więc jest? Młodość jest argumentem przeciwko powierzaniu urzędów czy wpływu na bieg zdarzeń czy też nie? Średnia długość życia w Europie w czasach



Łukasz Warzecha

Współczesny Zachód wśród swoich licznych patologii ma też upodobanie do pajdokracji. Przekonuje się nas, że wartościami samymi w sobie są zerwanie ze stereotypami, młodzieńcza śmiałość i brak pokory

Młokosi kontra dziadersi



Święta Jadwiga Andegaweńska została królową Polski w wieku 11 lat

FOT. DOMENA PUBLICZNA

ciej bywali zmuszeni stanąć na własnych nogach. To był zresztą przypadek Pitta, który po śmierci swojego ojca w roku 1778 (przyszły premier miał wówczas 19 lat) musiał zacząć na siebie zarabiać i podjąć się praktyki prawniczej.

Jeśli sięgniemy jeszcze dalej w przeszłość, to anachronizm stanie się jeszcze bardziej widoczny. Święta Jadwiga Andegaweńska, zostając królową Polski, miała jedynie 11 lat. Oczywiście nie rządziła samodzielnie, ale też nie mogła pozostawiać dzieckiem w dzisiejszym rozumieniu. Żoną Jagiełły, czyli Władysława Jagiełły, została w wieku zaledwie 13 lat.

Otton III, którego uznaniem i przyjaźnią cieszył się prawdopodobnie Bolesław Chrobry, królem Niemiec został, mając ledwo trzy latka, a cesarzem Świętego

Ottona III szacowana jest na ok. 45 lat, i to w przypadku przedstawicieli wyższych klas czy duchowieństwa. Przeżywszy zatem lat 16, cesarz miał już za sobą ponad 35 proc. oczekiwanej długości życia (zmarł zresztą bardzo młodo, mając zaledwie 22 lata). Przy dzisiejszej średniej długości życia w Niemczech, wynoszącej ponad 80 lat, wiek lat 16 odpowiadałby 28 latom. Wciąż niewiele, ale przecież jest to znaczna różnica. I więcej, niż miał Pitt młodszy, obejmując urząd premiera.

Poza tym we wszystkich tych przypadkach mówimy o ludziach, którzy byli w jakiś sposób do podjęcia odpowiedzialnej, trudnej roli przygotowywani, niezależnie od realiów życia w tamtych czasach, wymuszających wczesne dojrzewanie. Nie tylko mało było czasu na



klasyczną dziecięcą beztroskę, lecz także na hodowanie czczych resentymentów. To przywilej młodych ludzi w czasach pokoju i dostatku – tak naprawdę dopiero w XX w. po drugiej wojnie światowej.

PAJDOKRACJA

Istnieje termin greckiego pochodzenia: pajdokracja. Paidí to po grecku dziecko, w dopełniaczu: paidós. Pajdokracja oznacza zatem rządy dzieci i nie jest to określenie afirmatywne. To sytuacja, w której rządzią niedoświadczeni młokosi. Nie jest bowiem prawdą, że młody wiek nie stanowi przeszkody w sprawowaniu odpowiedzialnych stanowisk. Owszem – może w pojedynczych przypadkach osób wyjątkowo genialnych tak nie jest. Jednak prócz inteligencji, błyskotliwości, zdolności, także wiedzy (którą można nabyć już w młodym wieku) swoją wartość ma również doświadczenie życiowe – i nic nie jest w stanie go zastąpić. Znaczenie tego czynnika ma swoje odbicie choćby w przypadku takich zawodów jak sędzia. Posiadanie doświadczenia życiowego jest prawnym warunkiem podjęcia orzekania w pełnym zakresie. Na sędzięgo sądu rejonowego (a więc najniższego szczebla) można zostać powołanym dopiero w wieku 29 lat. Powszechnym zarzutem wysuwany wobec asesorów sądowych (którzy mogą orzekać w młodszych wiekach w określonych kategoriach spraw) był właśnie brak doświadczenia życiowego. Co asesor – pytano nie bez racji – który nie założył jeszcze rodziny i ledwo dwa lata wcześniej rozpoczął sędziowską aplikację, może wiedzieć o życiu, orzekając w skomplikowanej sprawie rozwodowej małżeństwa z kilkunastoletnim stażem, majątkiem do podziału i trojgiem dzieci?

Trzeba też przypomnieć, że w Polsce bierne prawo wyborcze w wyborach prezydenckich zyskuje się dopiero w wieku 35 lat.

Tymczasem współczesny Zachód wśród swoich licznych patologii ma też upodobanie do pajdokracji. Przekonuje się nas, że wartościami samymi w sobie są zerwanie ze stereotypami, młodzieżcza śmiałość i brak pokory oraz że tylko te cechy mogą dać cokolwiek wartościowego. Europejska tożsamość oparta na rozważaniach „dziadersów” takich jak Platon, św. Tomasz, Szekspir czy Kant, ma zostać przewalczona przez młodych, którzy wszystkim tym zgredom zakrzykną gromko: „Wy.....łać!”. Paradoks polega na tym, że ci młodzi niepokorni, rzekomo

wybierający własną drogę i nieprzejmujący się „dziaderskimi” stereotypami, w istocie są bardziej podatni na kształtowanie, unifikację i manipulację niż ludzie starsi i bardziej doświadczeni.

Modelowym niemal pod każdym względem przypadkiem jest kasus Grety Thunberg. Mamy tutaj wyniesienie do rangi niemalże prorokini nastolatki, której doświadczenie życiowe jest równe zeru, która nie skończyła nawet edukacji na poziomie szkoły średniej, a której „mądrość” kończy się na powtarzaniu nacechowanych maksymalnymi emocjami fraz, które przygotował jej ktoś starszy i realizujący swoje własne cele. Przypadek Thunberg jest o tyle reprezentatywny, że wokół Szwedki, klepiącej bezrefleksyjne formułki o zagładzie świata, wyrosła obszerna narracja, będąca pochwałą mitycznej młodości. O ludziach z Młodzieżowego Strajku Klimatycznego lewicowa propaganda – dla której motyw młodości burzącej stare porządki jest jednym z kluczowych – mówiła, że „ratują świat”, podczas gdy ich pokrzykiwania nie niosły w sobie żadnej treści, a oni sami nie mieli żadnych sensownych propozycji. Gdyby zrealizować ich postulaty, miliony ludzi w Polsce straciłyby pracę, kolejne miliony popadłyby w ubóstwo, a cała Polska upadłaby gospodarczo.

EMOCJOKRACJA

Przepychanie młodości jako atutu samego w sobie doskonale zgrywa się z radykalnym w ostatnim czasie wzrostem znaczenia emocji w życiu publicznym. To nie jest nowa tendencja, ale z różnych powodów ostatnie kilkadziesiąt miesięcy to gigantyczne pogorszenie sytuacji. Emocja staje się wszystkim, jakakolwiek racjonalna dyskusja jest spychana na margines albo traktowana jako podważanie dogmatów. Młodość ma zaś to do siebie, że również przez brak doświadczenia ma tendencję do kierowania się właśnie emocjami. Dojrzewanie polega między innymi na tym, że emocje przestają być głównym czynnikiem. Ale też emocjami najłatwiej się manipuluje. Dorzućmy do tego coraz bardziej żenujący poziom szkolnictwa, w tym wyższego, gdzie triumfy święcą pseudonauki, w sporej części oparte na oburzeniu na stary świat białych „dziadersów” – i mamy receptę na katastrofę. A może raczej na świat ulegający tłumowi rozemocjonowanych młodych, w istocie zaś zarządzany przez grupy interesów, doświadczony w sterowaniu uczuciami niedojrzałego tłumu.

Młodzieżowe towarzystwo ze Strajku Klimatycznego czy lewackiego kolektywu takiego lub owakiego zapewne uznałoby Gombrowicza za jednego z „dziadersów”. Spieszę zatem z przykrością donieść, że choć Gombro zafascynowany był młodością jako materiałem, który się dopiero formuje, to jednak wykpił ją zarazem skrajnie bezlitośnie w najbardziej znanym swoim dziele „Ferdydurce” (sam autor odmieniał w ten właśnie sposób tytuł „Ferdydurke”). Pensjonarka Zuta Młodzikówna i jej bezgranicznie pretensjonalni nowocześni rodzice pokazują idealnie, do czego prowadzi ubóstwienie młodości.

Przy obiedzie podochocony Młodziak woła do córki:

„– Pewnie, nic w tym złego! Zuta, jeżeli chcesz mieć dziecko nieślubne, bardzo proszę! A cóż w tym złego! Kult dziewictwa usta! My, inżynierowie konstruktorzy nowej rzeczywistości społecznej, nie uznajemy kultu dziewictwa dawnych hreczkosiejów!

Wychylił haust wody i urwał, czując, że może nieco się zagalopował. Wtedy jednak Młodzikowa podchwyciła wątek i pośrednio, ogólnikowo zaczęła namawiać córkę do nieślubnego dziecka, dawała wyraz swemu liberalizmowi, opowiadała o stosunkach w Ameryce, cytowała Lindseya, podkreślała niezwykłą łatwość pod tym względem współczesnej młodzieży itd., itd.”

Takich Młodziaków też jest dziś wielu – to ci, którzy nie chcą zostać z tyłu jako „dziadersi” (podobnie jak rodzice Zuty w „Ferdydurce”) i gotowi są poświęcić przymioty dojrzałości, byle załapać się na marsz młodości.

William Pitt młodszy rządziłby zapewne dłużej, gdyby w 1806 r. nie zmarł na zapalenie wątroby. Liczył sobie wówczas już 46 lat. Pozostawił po sobie okazałe długi (40 tys. funtów), ale w uznaniu zasług dla imperium zostały one spłacone przez parlament. Wyznaczony na premiera przez króla Jerzego III 23 lata wcześniej, potwierdził wkrótce swoją niezależność i siłę polityczną wygranymi wyborami w 1784 r. To on stworzył zasady nowoczesnego urzędu premiera brytyjskiego imperium. Do dziś jest uznawany za jednego z najlepszych szefów rządów w historii Wielkiej Brytanii – ale ta ocena nie bierze się z jego młodego wieku w chwili obejmowania urzędu, lecz z dokonania w czasie 20 lat kierowania państwem. Warto o tym pamiętać.



Prymas w stanie wojennym

Arcybiskup Bronisław Dąbrowski i prymas Polski kard. Józef Glemp podczas spotkania z gen. Wojciechem Jaruzelskim, 17 lipca 1981 r. FOT. HENRYK ROSIAK/CAE/PAP



Rafał Łatka

Prymas Józef Glemp miał negatywny stosunek zarówno do manifestacji kontestujących ustrój, jak i działań władz, które pacyfikowały protesty

Rola społeczna Kościoła katolickiego i Episkopatu Polski znacząco wzrosła po 13 grudnia 1981 r. W związku z wprowadzeniem stanu wojennego przed prymasem Józefem Glemem i biskupami stanęły istotne wyzwania, przede wszystkim materialna i duchowa opieka nad aresztowanymi oraz internowanymi działaczami Solidarności oraz wszelkimi osobami represjonowanymi. Musieli oni także wypracować strategię w stosunku do władz i podziemia politycznego.

Wraz z biegiem czasu abp Józef Glemp stawał się coraz bardziej krytyczny wobec aktywności opozycyjnej, a jego zdanie podzielała znaczna część najważniejszych polskich hierarchów. Prymas miał negatywny stosunek zarówno do

manifestacji kontestujących ustrój, jak i działań władz, które bezwzględnie pacyfikowały wszelkie protesty. W poniższej analizie przybliżę jego podejście do podziemia solidarnościowego w okresie stanu wojennego. Będzie to swego rodzaju kontynuacja tekstu opublikowanego w 41. numerze „Do Rzeczy”, gdzie opisano, jak prymas oceniał Solidarność w latach 1980–1981.

SKĄD TAKIE PODEJŚCIE?

Stosunek prymasa Glempa do opozycji politycznej był zdystansowany i krytyczny. Jego pogląd na działalność Solidarności i wywodzącego się z niej podziemia wynikał z kilku zasadniczych czynników. Na pierwszy plan wysuwała się wola kontynuacji podejścia jego wielkiego poprzednika kard. Wyszyńskiego, który aktywność opozycyjną oceniał z dystansem, ze szczególnym uwzględnieniem dążeń niektórych jej działaczy do zmiany systemu politycznego panującego w PRL. Arcybiskup Glemp nie miał jednakże równie silnie ukształtowanego wycucia politycznego i elastyczności w działaniu, które cechowały jego wielkiego poprzednika. W przeciwieństwie do Prymasa Tysiąclecia jego następcy zdarzało się krytykować Solidarność nie tylko w zamkniętym gronie osób, lecz także publicz-

nie. Drugim istotnym powodem, który zaważył na krytycznym podejściu prymasa do opozycji, była jego wizja aktywności społecznej Kościoła, oznaczająca zdystansowanie się od kwestii politycznych. W 1982 r. (i później) abp Glemp uważał, że istnienie Solidarności wcale nie jest niezbędne do zawarcia porozumienia społecznego oraz że głównym zadaniem Kościoła jest zadbanie o to, by nie doszło do rozlewu krwi i wybuchu niepokojów społecznych na większą skalę.

Trzecim ważnym czynnikiem wpływającym na stosunek prymasa do opozycji było krytyczne nastawienie do wielu jej liderów, szczególnie tych kojarzonych z jej radykalnym skrzydłem. Nie oznacza to jednakże, że wypowiadał się i oceniał pozytywnie aktywność umiarkowanej części Solidarności na czele z Lechem Wałęsą. Wręcz przeciwnie. Uważał, że historyczny lider ruchu społecznego nie nadawał się na przywódcę związku i nie potrafił zapanować nad radykalizmem jej działaczy. Wraz z biegiem czasu abp. Glemp utwierdzał się w przekonaniu, że ma rację.

Wspomnieć w tym miejscu należy, że krytyczny stosunek prymasa do działalności opozycyjnej wpływał również bezpośrednio na jego podejście do duchownych zaangażowanych w aktywność

podziemną czy służących wsparciem działaczom opozycji wykraczającym poza opiekę duszpasterską i pomoc charytatywną. Arcybiskup Glemp uważał, że księża nie powinni w żadnym razie angażować się w działalność o charakterze politycznym.

PRIORYTETY PRYMASA

Wprowadzenie stanu wojennego stanowiło zaskoczenie dla polskiego Kościoła i spotkało się z jego dość wyraźnym akcentowanym sprzeciwem. Główną troską prymasa w tamtym czasie było zapobiegnięcie rozlewowi krwi i wybuchowi niekontrolowanych niepokojów społecznych. Arcybiskup Glemp czytelnie wyraził to w pierwszej homilii wygłoszonej 13 grudnia na Jasnej Górze: „W ratowaniu życia i zapobieganiu rozlewowi krwi Kościół będzie bezwzględny. To nic, że ktoś może oskarżyć Kościół o tchórzstwo, o kunktatorstwo, o rozładowywanie radykalnych sprzeczności. Kościół broni każdego życia ludzkiego, a więc w stanie wojennym będzie wołał, gdzie tylko może o spokój, o zaniechanie gwałtów, o zażegnanie bratobójczych walk. Nie ma większej wartości niż życie ludzkie”.

Z tego typu poglądu wynikało podejście prymasa do zasadniczych kwestii społeczno-politycznych, w tym stosunku do opozycji. Wiele krytycznych słów na temat działalności Solidarności w okresie 1980–1981 padło już na posiedzeniu Rady Głównej 15 grudnia 1981 r. Sam abp Glemp wskazywał już wtedy bardzo wyraźnie, że: „Kościół nie zawsze musi mówić to, co jest oczekiwane. Trzeba mówić prawdę, ale nie to, na co czekają [...]”. Bronimy Solidarności w tej części, która jest słuszna, tj. w aspekcie zawodowym i narodowo-społecznym, a nie politycznym”. Stanowiło to dość czytelną zapowiedź dystansowania się Kościoła wobec Solidarności, tym bardziej że przewodniczący Episkopatu nie był zwolennikiem działalności podziemnej, w obawie, iż może się ona przyczynić do wzrostu napięcia społecznego.

POGŁĘBIAJĄCA SIĘ KRYTYKA OPOZYCJI

Z czasem krytyczne spojrzenie prymasa na rolę i działalność opozycji jeszcze się pogłębiło i utwardziło. Było to szczególnie widoczne już w czasie posiedzenia RG z lutego 1982 r., gdy nastąpiło wyraźne odcięcie się abp. Glempa od Solidarności, nie tylko jako siły politycz-

nej, lecz także jako ruchu społecznego. Jak wynika z protokołu obrad, prymas „oświadczył, że w rozmowie z Ojcem Świętym mówił o różnej optyce na Solidarność. Zachód patrzy na Solidarność w ramach idealizacji. Mówi się, że Solidarność była gotowa do beatyfikacji, a nawet, jak ktoś złośliwie zauważył – nie wiadomo, czy Solidarność miała grzech pierworodny. W oczach Zachodu Solidarność widzi się w kategoriach symbolu, jakim jest Wałęsa, a mnie – powiedział ksiądz prymas – Solidarność kojarzy się z Rulewskim, Kuroniem, Modzelewskim. Stąd ta różnica optyki”.

Pośrednim potwierdzeniem stanowiska abp. Glempa były rozkolportowane w kwietniu 1982 r. „Tezy Prymasowskiej Rady Społecznej”, które winą za taki, a nie inny rozwój sytuacji społeczno-politycznej po równo obciążały zarówno władze, jak i Solidarność. Prymas uważał, że ich opracowanie stanowiło istotny krok na drodze do zbudowania porozumienia społecznego. Podkreślał to w jednoznaczny sposób w swoim liście do wszystkich polskich biskupów: „Opracowanie to zasługuje na bardzo uważne przemyślenie, tym bardziej że swoim tenorem odbiega od propozycji odnowy bądź reformy opracowanych przez osoby lub instytucje z innych ośrodków. Jest to dokument nie tylko inspirowany nauką Kościoła katolickiego, lecz także oddający zapatrywanie bardzo szerokich kręgów społecznych, które są związane z Kościołem [...]”.

Ze względu na daleko idącą polaryzację społeczeństwa wspomniana inicjatywa okazała się jednak całkowicie nieskuteczna i nieprzekonująca zarówno dla władz, jak i dla podziemia. Był to jednak kolejny wyraźny sygnał, że prymas nie widzi Solidarności jako elementu niezbędnego i koniecznego do zawarcia ugody społecznej. Ostatecznie jakiegokolwiek złudzenia co do możliwości jej reaktywacji abp Glemp miał stracić po spotkaniu z Wojciechem Jaruzelskim odbytym 25 kwietnia. Potwierdziło się to już kilkanaście dni później, gdyż w komunikacie z Konferencji Planarnej Episkopatu Polski obradującej w dniach 3–4 maja w dalszym ciągu znajdowało się wezwanie do ugody społecznej, ale nazwa „Solidarność” już się w nim nie pojawiła.

NIEUPRAWNIONA SYMETRIA

Pomimo krytycznego podejścia do niektórych deklaracji władz prymas zde-

cydowanie wskazywał, że mimo wszystko dialog ze stroną partyjną jest możliwy i potrzebny. Wskazywał, iż: „Ekstrema Solidarności chce w dalszym ciągu Kościół zinstrumentalizować w swojej służbie: doprowadzić do biedy, nie wierzyć nikomu, dać parasol nad kulturą. Ekstrema rządowa nasila walkę ideologiczną, głosząc, że Kościół ciągle jest uprzywilejowany: za Gierka zyskiwał, za Solidarności zyskiwał, za stanu wojennego też zyskuje, bo nic złego na Kościół nie wolno powiedzieć. Grupy ateistyczne zbierają siły. A więc: Kościół musi trzymać się postępowania etycznego. To powinno skupić przy nim siły umiarkowane”. Tego typu stwierdzenia pokazywały, że prymas winą za taki, a nie inny obrót sytuacji politycznej po równo obciążał radykalną część opozycji oraz władze (ale tylko ich „ekstremalne” skrzydło). Wydaje się, że abp Glemp chciał wierzyć w dobre intencje Wojciecha Jaruzelskiego, o czym świadczy przebieg jego kolejnych spotkań z I sekretarzem PZPR (w kwietniu i listopadzie 1982 r.). Innym powodem krytycznego spojrzenia przywódcy polskiego Kościoła na podziemną Solidarność były regularnie organizowane manifestacje, które w przekonaniu prymasa niepotrzebnie podgrzewały emocje społeczne.

Prymas nabierał coraz wyraźniejszego przekonania, że Solidarność nie jest niezbędnym składnikiem polskiej rzeczywistości społecznej. Wyraził to dobitnie w czasie obrad Konferencji Plenarnej z 8 czerwca 1982 r., gdy stwierdził, że Solidarność „jest żywa jako idea, ale rozbita jako organizacja”. Arcybiskup Glemp tego typu stanowisko potwierdził w czasie tradycyjnej sierpniowej homilii na Jasnej Górze. W czasie swojego wystąpienia z 26 sierpnia, wzywając władze do zwolnienia internowanych i Lecha Wałęsę oraz o apelując o wprowadzenie amnestii dla więźniów politycznych, nie wspominał nawet słowem o przywróceniu możliwości działania Solidarności.

NIEPRZEMYŚLANE WYPOWIEDZI

Prymasowi zdarzały się w pierwszym roku trwania stanu wojennego również nieprzemyślane publiczne wypowiedzi. W jednej z nich poparł działalność Obywatelskich Komitetów Odrodzenia Narodowego, fasadowej organizacji stworzonej przez władze. Jaruzelski skomentował to w następujący sposób: „Myśmy mogli przecież tego Glempa



■ utopić, bo [...] faktycznie on się wypowiadzał pozytywnie o OKON-ach". Tego typu postawa prymasa była krytykowana zarówno przez biskupów, jak i księży. Najbardziej znanym przykładem zwrócenia uwagi abp. Glempowi była wypowiedź jednego z księży uczestniczących w grudniu 1982 r. w spotkaniu prymasa z duchowieństwem archidiecezji warszawskiej. Nieznany z nazwiska ksiądz pytał: „W maju ksiądz prymas powiedział, że »kamienie nie są argumentami«, a ludzie szukali przeciwwagi, że argumentem nie są pałki również. Wypowiedzi prymasa manipuluję się. Po co ksiądz prymas daje wywiady? (oklaski) Wywiady i tak będą wykorzystywane. Wygląda to tak, jak by Kościół umówił się z Jaruzelskim i jedną linię z nim prowadził. To nie myśmy (księża) ponieśli klęskę, ale nie potrafiliśmy podtrzymać ludzi, którzy klęskę ponieśli. Oceny moralne, do których jesteśmy powołani, są niejednoznaczne i zakamufłowane. Ludzie mają za złe prymasowi kilka wypowiedzi. Ludzie nie szukają winnych, ale szukają oparcia [...]”.

REAKCJA NA DELEGALIZACJĘ

Takie podejście prymasa poskutkowało także wstrząsającą reakcją Kościoła na oficjalną delegalizację Solidarności w październiku 1982 r. Prymas był również krytykowany za wybór daty swojego spotkania z Jaruzelskim, które odbyło się w przededniu zaplanowanych przez podziemie manifestacji protestujących przeciwko ustawie o związkach zawodowych. Arcybiskup Glemp nie przejmował się jednak tego typu krytyką, tym bardziej że w czasie spotkania z I sekretarzem KC PZPR uzyskał zgodę władz na przyjazd Jana Pawła II do ojczyzny w 1983 r. Mówił o tym w czasie posiedzenia Episkopatu w dniach 1–2 grudnia 1982 r.: „Krytykowano wybór daty mojego spotkania z generałem, że przed zapowiedzianymi demonstracjami, że osłabiło ostrze... Jeśli dzięki niemu udało się uniknąć zdarzeń gwałtownych i dalszych krzywd, jeśli udało się uniknąć gorszego, to dziękuję Bogu”.

Wspomnieć w tym miejscu należy, że jednym z głównych czynników wpływających na zgodę episkopatu na przesunięcie pielgrzymki papieskiej na 1983 r. (pierwotnie papież miał przybyć rok wcześniej) była obawa związana z aktywnością opozycji. „Przesunięcie terminu będzie korzystne dla przygotowania duszpasterskiego. Ekstrema Solidarności

Jaruzelski kilkakrotnie starał się przekonać abp. Glempa, by nakłonił lidera Solidarności do rezygnacji z rozmowy z papieżem

może pod koniec sierpnia wywołać zamieszki” – podkreślał w czerwcu 1982 r. abp Glemp. Ponadto prymas uważał, że Episkopat powinien zadbać o wyciszenie opozycyjnego zaangażowania duchowieństwa w okresie bezpośredniego poprzedzającego wizytę Ojca Świętego i w czasie samej pielgrzymki.

PIELGRZYMKA NAJWAŻNIEJSZA

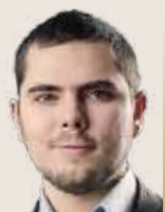
Kluczową kwestią, na której koncentrowali się kard. Glemp i cały polski Kościół w pierwszej połowie 1983 r., była druga pielgrzymka Jana Pawła II do ojczyzny. Zasadniczym celem Episkopatu było zadbanie o jej religijny, niezakłócony przebieg. Zachodziła pod tym względem pewnego rodzaju wspólnota interesów z władzami PRL, które liczyły na to, że uda się wykorzystać przyjazd papieża do realizacji własnych interesów (na czele z wyjściem z izolacji międzynarodowej). Z tego też względu kard. Glemp w swoich zainteresowaniach społecznych działalność opozycji traktował jako kwestię marginalną, ale mogącą zakłócać właściwy – duszpasterski wymiar wizyty Ojca Świętego. W czasie posiedzenia Rady Głównej z 23 kwietnia 1983 r. prymas bardzo krytycznie ocenił działalność podziemia i Wałęsy. Wskazywał, że lider Solidarności „nie jest przywódcą narodowym”, oraz, iż cechuje go w znacznej mierze egoizm w działaniu.

Równocześnie Episkopat pamiętał o prześladowanych i stale domagał się amnestii dla więźniów politycznych. Prymas podjął ten temat w czasie rozmowy z Wojciechem Jaruzelskim 9 marca 1983 r. Nie osiągnął jednak sukcesu, jeśli chodzi o uwolnienie działaczy opozycji. Wspomniane dążenie znalazło swój wyraz również w odpowiedzi Jana Pawła II na list przewodniczącego Rady Państwa Henryka Jabłońskiego z zaproszeniem do Polski. Ojciec Święty zwrócił się w nim z prośbą o uwolnienie wszystkich sądzonych i skazanych na mocy dekretu o wprowadzeniu stanu wojennego. Rzą-

dający zareagowali irytacją i powiadomili Ojca Świętego i Episkopat, że zniesienie stanu wojennego będzie możliwe tylko wtedy, gdy wizyta okaże się udana.

Jednym z najważniejszych elementów spornych w negocjacjach było spotkanie Jana Pawła II z Lechem Wałęsą. Wojciech Jaruzelski kilkakrotnie starał się przekonać abp. Glempa, by nakłonił lidera Solidarności do rezygnacji z rozmowy z papieżem. Zabiegi te nie przyniosły jednak efektu, gdyż Jan Paweł II nie miał zamiaru się godzić na tego typu ograniczenia. Jak słusznie zauważył kard. Dziwisz: „Przeciwny spotkaniu papieża z Wałęsą był osobiście gen. Jaruzelski. Papież jednak stanowczo podkreślił, że bez spotkania z Wałęsą nie będzie żadnej pielgrzymki”. Nie wiadomo, czy prymas przy pomocy współpracowników próbował wpłynąć na Wałęsę, ale w liście do Ojca Świętego wprost stwierdził: „Z Lechem Wałęsą trudna sprawa. Każde spotkanie może wywołać sensację i oddalić na drugi plan religijny charakter pielgrzymki. Aresztowanie Wałęsy także może wywołać większe zgrzyty. Moim zdaniem p. Lech Wałęsa powinien sam zrezygnować ze spotkania i ograniczyć się do przesłania Ojcu Świętemu jakiegoś adresu. Myślę, że zrozumie sytuację”. Jak widać, kard. Glemp przyjął argumentację I sekretarza KC PZPR, choć kierował się rzeczą jasną zupełnie innymi przesłankami. Jan Paweł II nie wziął jednak pod uwagę tych zastrzeżeń, a władze musiały ostatecznie zaakceptować ten punkt wizyty.

Stosunek abp. Glempa do opozycji i podziemia politycznego był zdystansowany i krytyczny. Prymas był przekonany, że działacze opozycji nie liczą się z realiami geopolitycznymi, a ich nieprze-myślana działalność może doprowadzić do tragicznych efektów i kolejnych ofiar stanu wojennego. Podkreślał także dość regularnie w swoich wypowiedziach na forum Episkopatu, że Solidarność nie jest elementem koniecznym do zawarcia porozumienia społecznego. Jego stanowisko trafnie oddawały „Tezy Prymasowskiej Rady Społecznej”, które winą za sytuację obciążały zarówno władze PRL, jak i opozycję. Większość biskupów milcząco podzielała stanowisko abp. Glempa, tylko nieliczni, tacy jak bp Ignacy Tokarczuk, się z nim nie zgadzali i konsekwentnie wspierali działalność podziemia. © Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Wojna w liczbach

Profesor Piotr M. Majewski – na którego zajęcia ze statystyki chodziłem blisko 20 lat temu – zawsze powtarza, że czytając książki historyczne, nie wolno pomijać tabel statystycznych. Nie wolno też pomijać map. Wielka polityka i będąca jej kontynuacją wojna są bowiem warunkowane przez dwa główne czynniki: 1. Potencjał państwa; 2. Geografię. Wszystkie inne czynniki – na czele z hartem ducha, patriotyzmem czy ze słusnością sprawy – nie mają zaś oczywiście żadnego znaczenia. Polacy przekonali się o tym w swoich tragicznych dziejach w sposób bolesny. Zatem – czytajcie table statystyczne, studiujcie mapy! Bez tego nie da się prowadzić polityki i zrozumieć przeszłości.

Z takiego założenia wyszli autorzy pięknie wydanego albumu „II wojna światowa. Info-grafiki”. W środku znalazło się 357 map i diagramów, które w szczegółowy sposób obrazują każdy aspekt ostatniego globalnego konfliktu.

Przed wszystkim potęgę biorących w nim udział państw. Siłę armii, przemysłu i gospodarki. Liczebność wojska, liczbę posiadanych czołgów,

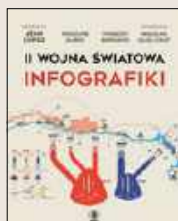
samolotów i okrętów. Dostępność surowców, innowacyjność. Wymieniać by tak można jeszcze długo.

Gdyby Adolf Hitler mógł przeczytać tę książkę, nigdy nie zdecydowałby się na wojnę. Na diagramach widać bowiem wyraźnie, że przewaga aliantów nad państwami Osi w kluczowych aspektach – choćby ilości ropy czy skali produkcji zbrojeniowej – była miażdżąca.

W momencie, gdy Wehrmachtowi nie udało się rozstrzygnąć konfliktu kilkoma szybkimi uderzeniami, wynik wojny był przesądzony. III Rzesza mogła walczyć dłużej lub krócej, ale jej upadek był nieunikniony. Momentem zwrotnym – zdaniem piszącego te słowa – był koniec 1941 r., gdy Niemcy przegrali bitwę o Moskwę.

Niemal każda kluczowa kampania drugiej wojny została w książce zobrazowana na osobnej infografice. Możemy zobaczyć szlaki atlantyckich konwojów,

sposób działania artylerii, okrętów podwodnych czy lotniskowców. Skalę kolaboracji i eksploatacji gospodarczej Europy przez państwa Osi. Na końcu zaś najsmutniejsza część – horrendalny bilans strat, jakie poniosła ludzkość w największej rzezi w dziejach planety Ziemi. ©©



★★★★★
**JEAN LOPEZ
(Z ZESPOŁEM)**
„II WOJNA
ŚWIATOWA.
INFOGRAFIKI”
REBIS 2020



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Niespotykanie spokojny człowiek

Choć władze PRL deklarowały ateistyczny światopogląd, to zdawano sobie sprawę, że tradycja świąteczna była mocno zakorzeniona w polskim społeczeństwie. Z tego też powodu w epoce Edwarda Gierka zaprzestano ignorowania Bożego Narodzenia w programie telewizyjnym i na szklanym ekranie pojawiały się elementy świąteczne. W połowie dekady zdecydowano się nawet nakręcić film mający za tło tradycję bożonarodzeniową i postawiono na lekką komedię z optymistycznym zakończeniem. Na reżysera wybrano Stanisława Bareję, który nie mógł odmówić, jeżeli chciał uzyskać zgodę na realizację innych projektów. W efekcie powstał film (premiera: 24 grudnia 1975 r.), o którym mówi się, że jest w nim „najmniej Barei w Barei”.

Obraz przypomina produkcję Sylwestra Chęcińskiego; akcja toczy się na tzw. Ziemiach Odzyskanych, a tytułowy bohater, Stanisław Włodek (Janusz Kłosiński), przywędrował zza Bugu. Jego marzeniem było przekazanie gospodarki synowi, ale chłopak podczas służby wojskowej zakochał się w pracownicy fabryki z miasta i postanowił się ożenić. Ojciec, podejrzewając, że nie będzie chciał wrócić do rodzinnej wsi, zdecydował się za wszelką cenę nie dopuścić do małżeństwa.

Główny bohater przypominał Kazimiera Pawlaka z fil-

mów Chęcińskiego. Porywczy, nerwowy, miał zwyczaj działać, a dopiero potem myśleć. Wszystkim jednak wmawiał: „Ja jestem człowiek spokojny, ale do czasu, aż się zdenerwuję”, co otoczenie przyjmowało z wyrozumiałością.

Akcja rozgrywała się tuż przed świętami, a w scenariuszu nie brakowało różnego rodzaju zawirowań. Choleryczny ojciec uknuł bowiem intrygę, by poróżnić syna z narzeczoną. Jak jednak przysłało na świąteczną produkcję, nerwowy rodzic ostatecznie pogodził się zarówno z synem, jak i jego wybranką, szczególnie gdy okazało się, że dziewczyna marzyła, by osiedlić się na wsi. W tej sytuacji zarządzono natychmiastowy ślub i aby znaleźć gości weselnych, „niespotykanie spokojny człowiek” porwał autobus PKS. Nikt z „uprowadzonych” pasażerów zresztą nie narzekał, że zamiast do domu na święta trafił na doraźnie zorganizowane wesele. Tylko kierowca „będący na służbie” prosił o „straszenie” scyzorykiem, tak pił alkohol „pod przymusem”.

Sprawca całego zamieszania po świętach stanął przed Kolegium Orzekającym oskarżony o „ograniczenie wolności” 40 osób. Poprosił o najwyższy wymiar kary, nie zamierzał bowiem oszczędzać na „szczęściu syna”. Czy Kolegium przychyliło się do jego sugestii, nie wiadomo, gdyż film kończy się w chwili wygłaszania tej prośby. ©©



Pierwszy karzeł w historii Europy, Bertoldo, urodzony pod koniec V w. koło Werony, w 503 r. przedstawiony został Albinowi, królowi Longobardów. Bożena Fabiani w pracy „Niziołki, łokietki, karlikowie” podaje anegdotyczną opowieść o nim. Otóż człowiek ten był wyjątkowo brzydki, ale niezwykle inteligentny, przy ok. 120 cm wzrostu miał pokaźny garb. Kiedy pojawił się przed majestatem, wybuchła wrzawa – dworzanie ryknęły śmiechem, kobiety zaczęły rzucać w niego resztkami jadła, mężczyźni szczuli psami. „Myślałem, że król jest nieco mądrzejszy” – powiedział wówczas Bertoldo i chciał wyjść. Albin jednak wpadł w złość, kazał schwytać go i powiesić. Karzeł poprosił wówczas, aby pozwolił mu wybrać drzewo, na którym miałby zawisnąć. Wówczas wskazał ledwo wyrośniętą sosenkę, która i tak nie utrzymałaby jego ciężaru. Wtedy król roześmiał się i darował mu życie, mianując nadwornym karłem i błaznem zarazem.

W tym krótkim przekazie zawiera się tragiczny los ludzi cierpiących na różne rodzaje niedoboru wzrostu. Przez całe lata, począwszy od starożytności, a skończywszy na wieku XX, byli cennym nabytkiem na dworach bogaczy. Oglądani jak osobliwości, a jednocześnie nagradzani, ubierani we wspiane stroje, a jednocześnie traktowani niczym żywe lalki lub wieczne dzieci. Jeśli się buntowali, to surowo ich karano albo wyrzucano na ulicę – tak jak Józefa Boruwłaskiego. Gdy godzili się na swój los, byli rozpieszczani, głaskani i całowani niczym sławni Bebe czy Muszka. Niektórzy okazywali się na tyle sprytni, aby zdobyć łaskę panów, tak jak Krasowski. Czasem stawiali się złośliwymi albo – jak Bebe – niebezpiecznymi faworyta-



Hrabia Józef Boruwłaski

FOT. DOMENA PUBLICZNA



Jacek Komuda

Mali ludzie od zawsze wzbudzali fascynację, która w XVI w. przerodziła się w szaleństwo. Każdy władca chciał mieć własnego karła. Ten zniewolony człowiek, zwany w Polsce niziołkiem lub łokietkiem, stawał się – w zależności od kaprysu Fortuny i pana – zabaweczką, wiernym sługą lub faworytem dworu

Polowanie na niziołki

mi książąt i monarchów. „Jak wzrostem i inteligencją, tak też różnią się między sobą karzełki charakterem” – pisała o nich Bożena Fabiani. „Przeważnie są to istoty nerwowe, bardzo drażliwe na swoim punkcie. Wybuchają zbyt łatwo, są zmienne, rozedrgane, często złośliwe i mściwe”.

Moda na karły i najróżniejsze osobliwości ludzkie i zwierzęce pojawiła się pod koniec XV w., razem z gabinetami osobliwości. W Polsce pierwszy niziołek odnotowany jest w źródłach w 1518 r., na dworze Zygmunta Starego, który w ogóle był miłośnikiem błaznów, kuglarzy i różnych cudaków. Później władca miał już dwóch łokietków – jeden zwał się Okuliński, a drugi Sebastian Guzman. Przywieziono go z Hiszpanii i długi czas pełnił również funkcję błazna, otrzymując roczną pensję 100 florenów, a dodatkowo sukna i adamaszki na stroje.

MAŁI LUDZIE U BOKU KRÓLÓW

Losy karłów splecione były aż do samego końca z dynastią ostatnich Jagiellonów. Żona Zygmunta Starego, Bona, przyjęła na dwór karliczkę Marynę, która żyła jeszcze w czasach Stefana Batorego. Jej dzieci miały własnych niziołków. Zygmunt August i jego żona Barbara Radziwiłłówna utrzymywali na dworze wspomnianego Okulińskiego, który przeżył swego patrona – starego króla. Wkrótce zastęp karzełków Augusta powiększył się jeszcze bardziej. W 1562 r. Zygmunt August miał aż cztery łokietki: Dorotę, Baśkę, Maćka i Siemionka. Królewska siostra Katarzyna Jagiellonka, wydana za Jana Wazę, księcia Finlandii, zabrała ze sobą do Szwecji ukochane karlice – Dosię i Basię. Obydwie podzieliły los swej pani, kiedy Eryk XIV uwięził swego brata i żonę na zamku Gripsholm w 1563 r. Dosia

zdobyła łaski pani do tego stopnia, że stała się jej powiernicą – pisała w jej imieniu listy do siostry – księżniczki Zofii, żony Henryka księcia Brunszwickiego, podpisując się „niegodna służka Dośka karliczka”.

Dosia wychowywała dzieci Katarzyny i Jana Wazy, zajmowała się przyszłym królem Zygmuntem III Wazą, a kiedy dorósł, została jego żywą lalką. Mały Zygmunt bowiem dokuczał jej i ją dręczył. „Kiedy mnie dogoni, tedy mnie zmoże, ale ja mam fortel na królewicza JM, kiedy mnie goni, tedy ja mu zaraz na ziemi usiądę, wtedy nie może nic mi uczynić” – pisała w listach.

O ile Stefan Batory nie miał upodobania w utrzymywaniu karłów ani błaznów, o tyle jego następca Zygmunt III Waza poszedł za przykładem najpotężniejszego pod koniec XVI w. dworu hiszpańskiego. Utrzymywał na dworze całe zastępy niziołków – osiem karłat: mężczyzn i kobiet; także jego żona Anna Austriaczka miała karlika. Ich syn Władysław IV utrzymywał na dworze czterech karłów. Jednym z nich był Karpicki, którego podarował mu nadworny lekarz króla – Maciej Vorbek-Lettow – „bardzo mały – jak pisano – kształtny, dowcipny”. Kolejne dwa karzełki to Bartelek, Karl i Pawełek. Swoją karliczkę, uwiecznioną na trumnie królowej, miała także pierwsza żona Władysława – Cecylia Renata.

Jan Kazimierz Waza odziedziczył po bracie nie tylko jego drugą żonę – Ludwikę Marię Gonzagę – lecz także wspomnianego Bartelka. Ponadto miał jeszcze Januszkę, dwóch karłów – braci Kuczkwskich, zwanych Kuczkusiami. Królowa miała za faworytów karlicę Renię i karła Bonarowskiego. Los tego ostatniego był wyjątkowo przykry. Stanowił bowiem

wraz z perskim dywanem i piękną biżuterią podarek, jaki królowa polska wysłała swej siostrzenicy – Annie Bawarskiej. Na miejscu obchodzono się z nim brutalnie. Bonarowski nie znał francuskiego i drażniło go, kiedy ktoś mówi w tym języku. Specjalnie zatem zwracano się tak do niego, co doprowadzało karzełka do wściekłości. Niemiecki dwór znajdował dziwne upodobanie w dręczeniu tego człowieka; cieszyły go zwłaszcza jego wybuchy furii, kiedy Bonarowski ubrany w strój polski chwytął za swoją szabelkę i atakował, kogo się dało.

Moda na karły i najróżniejsze osobliwości ludzkie i zwierzęce pojawiła się pod koniec XV w., razem z gabinetami osobliwości

Jan Sobieski, nim został królem Polski, miał karła – niejakiego Muszkę. Nie grzeszył on inteligencją, ale sprawiał miłe wrażenie rozpieszczonego dziecka. Sobieski pożyczył go ukochanej Marysieńce, która była jeszcze wówczas żoną Jana Sobiepana Zamoyskiego. „Waszmości Muszka to przemiłe stworzenie – pisała do przyszłego męża. – Płaczę często, chce WM służyć, a potem już nie. Jest on u mnie na wysokich prawach – przeto będę miała o nim staranie i zwrócę go zdrowego i całego”. Jak widać, karzeł traktowany był niczym żywy inwentarz albo lalka.

Jednak nie tylko królowie Polski mieli na dworze karzełki i karlice. Najwięksi magnaci, a nawet zwykli szlachcice wręcz wyrwali sobie łokietki, aby nawet w skromnym ziemiańskim dworku trzymać je ku zadziwieniu sąsiadów. Wojewoda trocki, Stefan Zbaraski, miał

karła znanego z pięknej brody i wąsów. Janusz Radziwiłł wysłał kiedyś z podarunkami karła tatarskiego, który budził prawdziwą sensację na dworze w Warszawie. Sto lat później Michał Kazimierz Radziwiłł „Rybeńko” utrzymywał Jacka Wiszniewskiego, słynnego z ciętego języka.

W ZŁOTEJ KLATCE

W XVII stuleciu karzeł był istotą poszukiwaną; ledwie gdzieś w chłopskiej czy drobnoszlacheckiej rodzinie urodziło się dziecko upośledzone na wzroście, natychmiast zyskiwało możnych protektorów i było przyjmowane na

służbę, a jeśli Fortuna okazała się łaskawa, to mogło trafić na księżycy albo królewski dwór. Los jego był dwojaki. Z jednej strony miało zapewnić doskonałe utrzymanie, pensję, stroje, czasem nawet i służbę. Z drugiej – karzeł był zdany na kaprysy pana i jego rodziny. Pozostawał w specyficznej niewoli, można by rzec – w złotej klatce. Często budowano dla niego otoczenie, aby jeszcze bardziej zadziwić gości.

Adam Kazanowski, marszałek nadworny koronny, który w XVII w. pozował na większego magnata, niż był, utrzymywał cały zastęp karliczek, do których dobierał zwierzęta – malutkie pieski, niewiele większe od myszy i szczurów, garderobę i klejnoty dopasowane wielkością do dworu niziołków. Anna Elżbieta Potocka z Tulczyna kazała zbudować dla swoich karzełków cały apartament – jak domek dla lalek. Podobnie



Anna Humiecka urządziła w pałacu w Warszawie dla swego ukochanego króla Józefa Boruńskiego pokój, ustawiając małą kanapę, stoliki, stołeczki, krzesła, a nawet bilard dla liliputów.

O karłów zajeżdżano się i bito, porywano ich wbrew woli, wszczynając wojny; niziołek był na przykład, jak podaje Władysław Łoziński, jedną z wielu przyczyn długiej i krwawej wojny między Stanisławem Stadnickim, zwanym Diabłem Łańcuckim, a Łukaszem Opalińskim. „Zdarzył się w jednej z włości karlik, syn chłopski, Opaliński wziął go i dał na wychowanie niejakiemu Sojeckiemu, szlachcicowi. Stadnickiemu zachciało się tego karzełka, napadł na dwór lachowiecki, Sojeckiego mało nie zastrzelił, króla gwałtownie porwał, w Łańcucie zatrzymał i już nie wydał” – pisze Łoziński.

O karłów zajeżdżano się i bito.

Niziołek był jedną z wielu przyczyn krwawej wojny między Stanisławem Stadnickim, zwanym Diabłem Łańcuckim, a Łukaszem Opalińskim

Jak widać, w karły także inwestowano – kazano uczyć je czytać, pisać, obcych języków, muzyki, śpiewu, sztuczek. Dla zabawy aranżowano małżeństwa, sprawiano śluby, wesela i pogrzeby, czasem szokujące dla dzisiejszych ludzi. W 1643 r. świadkiem ślubu króla z królową był Albrycht Stanisław Radziwiłł, a cała rzecz odbywała się na dworze hetmana Stanisława Koniecpolskiego. „W czasie tej uroczystości odbyły się przy nas pokładziny [...]. Co potem odbywało się między nami, śmiech przeszkadza pisać”.

W XVIII w. Hieronim Florian Radziwiłł, okrutnik i dziwak, używał króla do

szpiegowania swej żony Magdaleny. Przebywał stale przy jej boku, pilnie baczył, co je, gdzie bywa i z kim się spotyka – a o wszystkim informował króla w szczegółowych raportach.

Na dworach największą popularnością cieszyły się karły i karliczki mające pochodzenie orientalne. Dlatego pod koniec XVI w. stały się one – można by rzec – dobrem eksportowym Rzeczypospolitej, przy czym wiele z nich trafiło na dworskie komnaty ze Żmudzi. Zwykle trafiały do Francji i Niemiec. Na przykład król Karol IX otrzymał czterech karzełków od Zygmunta Augusta, a cesarz Maksymilian Habsburg – trzech pochodzących z Polski. Katarzyna Medycejska miała aż siedmiu karłów z Polski, w tym Krasowskiego, który zrobił potem wielką karierę. Nawet cesarz Karol V

otrzymał od królowej Bony karzełka w darze.

Zapotrzebowanie na małych ludzi sprawiło, że próbowano tworzyć karły ze zdrowych dzieci. Głodzono je, bandażowano, aby nie rosły, dawano gorzałkę i kąpiono w niej, aby wywołać skurcz mięśni i kończyn. Jak podaje Mirosław Słowiński, dzieci zamykano w skrzyni nazwanej gloottokoma, przetrzymywano w niej całe lata, aby zachować mały wzrost. Najczęściej jednak efektem tych przerażających praktyk były garbate kaleki.

W Hiszpanii celowało w tym towarzystwo com-praguentos, zajmujące się poszukiwaniem, wykupywa-

Nicolas Ferry (Bebe) – nadworny błazen króla Stanisława Leszczyńskiego

FOT. DOMENA PUBLICZNA



niem, a czasem i porywaniem karzełków.

CZAROWNIK KRASOWSKI

Pochodzącym z Polski karłem, któremu udało się zrobić ogromną karierę na dworze francuskiej królowej Katarzyny Medycejskiej, był Jan Krasowski, zwany Domino, który został zaufanym powiernikiem królowej. Jego pochodzenie jest niejasne – sam twierdził, że urodził się jako kasztelan podlaski i został porwany z Polski z uwagi na mały wzrost, a potem wywieziony do Francji. W 1571 r. wysłano go do Polski, aby przyczynił

się do zdobycia dla Henryka de Valois tronu i ręki Anny Jagiellonki. Z pozoru jego misja miała być prywatna – wybierał się, aby odwiedzić rzekomą rodzinę. W rzeczywistości, korzystając z pozycji króla, nawiązał potajemne kontakty z Wawrzyńcem Twardowskim i Wawrzyńcem Gradowskim, dwoma magami mającymi wielki wpływ na schorowanego Zygmunta Augusta. Karzeł i czarownicy to naprawdę ciekawe zestawienie; obaj wymienieni przebywali wówczas w Knyshynie, u boku króla, zajmując się między innymi przywoływaniem dla Zygmunta ducha Barbary Radziwiłłówny.

Dodatkowo Krasowski działał na rzecz zakończenia wojny polsko-moskiewskiej, szkodliwej dla kupców francuskich. Przede wszystkim jednak pozyskał dla sprawy osadzenia na tronie księcia Henryka ród Zborowskich, który dzięki niemu zaczął odgrywać coraz większą rolę. Poza tym karzeł, który jako czarownik był odwiedzany przez wielu magnatów, działał po prostu jako szpieg, dostarczając Katarzynie Medycejskiej i jej synowi informacji o aktualnej sytuacji politycznej w Rzeczypospolitej i o jej tajemnicach. W Polsce też zastała go śmierć króla Zygmunta Augusta. Rok później odegrał ważną rolę w elekcji księcia Henryka na tron, stał się jego szarą eminencją, niestety nie bardzo wiadomo, co działo się z nim dalej – czy po ucieczce króla wrócił do Francji, gdzie zgromadził znaczny majątek, czy też pozostał do końca życia w Polsce.

Innym ze sławnych karłów był Nicolas Ferry, zwany Bebe, urodzony w 1741 r., a przebywający na dworze wygnanego króla Polski Stanisława Leszczyńskiego, który z łaski swego zięcia został księciem Lotaryngii. Bebe był bardzo mały – liczył ledwie 81 cm, żył zaledwie 23 lata, a jego szkielet przechowywany jest dziś w Muzeum Człowieka w Paryżu. Był to jednak wyjątkowo nikczemny i zły niziołek, chorobliwie zazdrosny o swą pozycję na dworze. Takim pokazują go źródła, nie wiadomo jednak, czy trapiąca go choroba nie sprawiła, że był po prostu opóźniony w rozwoju i miał umysł dziecka. Pewnego razu doszło w obecności Leszczyńskiego do swoich sławnych karłem – Józefem Boruwłaskim zwanym Joujou z Polski, którego inteligencja oczarowała króla. „Widzisz, Bebe – powiedział Leszczyń-

ski – różnicę między Joujou a tobą. On jest miły, wesoły, umie zabawić i jest wykształcony, podczas gdy ty to tylko maszynka”. Bebe nie zapomniał tej zniewagi i usiłował pozbyć się konkurenta, gdy tylko zostali sami. „Ujawszy mnie znienacka i silnie za nogi, chciał wrzucić w palący się ogień na kominie” – pisał o tym potem Boruwłaski. Na szczęście Polak uchwycił się żelaza przy kominku, a jego krzyki spowodowały Leszczyńskiego, który rozdzielił zwaśnionych, a złośliwego karła kazał wychłostać.

STAŃCZYK POŚRÓD KARŁÓW

Historia zanotowała dwóch karłów o formacie światowym. Krasowskiego, o którym wspominaliśmy, i Józefa Boruwłaskiego, urodzonego w 1739 r. na Pokuciu, niedaleko od Halicza, w rodzinie biednego szlachcica. Tym, czym stał się Stańczyk pośród błaznów, tym był Boruwłaski wśród karłów. Jest rzeczą niezwykłą, że urodził się w częściowej rodzinie niziołków, bohater miał bowiem dwoje rodzeństwa łokietków – siostrę Anastazję i brata. „Cała trójka Boruwłaskich była nie tylko malutka, ale też bardzo ładna, proporcjonalnie zbudowana, bez żadnych, jakże częstych u karłów deformacji czy ułomności” – pisała o nim Anna Grześkowiak-Krwawicz. Nic dziwnego, że wszyscy znaleźli opiekunów – losem Józefa zajęła się starościna Helena Tarnowska, a następnie Anna Humięcka, z którą zwiedził cały świat, stając się ulubieńcem królów i książąt. Boruwłaski budził zachwyt, gdyż był przepięknym liliputem, to znaczy miniaturowym człowieczkiem, zachowującym wszystkie proporcje zdrowego mężczyzny. A przy tym wszystkim był niesamowicie zdolny i inteligentny, dawał

koncerty, potrafił swobodnie konwersować z damami i arystokratkami. Swoje życiowe kłopoty i dramaty opisał zaś w pamiętniku wydanym drukiem. Chociaż urodził się w epoce oświecenia, to jednak zaznał goryczy poniżenia. Przez całe życie czuł, że nie traktowano go jak człowieka. „Byłem modny jak nowe suknie właśnie sprowadzone dla dam” – pisał z goryczą. Innym razem wspominał, jak w trakcie koncertu hrabianka Thierheim zachwyciła się nim do tego stopnia, że „pobiegła do ojca i rzuciwszy mu się na szyję, prosiła go usilnie, aby zechciał kupić jej tego małego człowieczka. Z wielkim trudem wytłumaczono jej, że nie można go kupić tak jak lalkę”. „Mam być zawsze igraszką losu, bawidełkiem pospólstwa, niewolnikiem obecnej potrzeby?” – pytał człowiek, którego przez całe życie zwano Joujou – zabaweczką.

Kiedy ożenił się z aktorką – Izalimą Barboutan – jego pani wyrzuciła go na bruk, nikt nie chciał go przyjąć na służbę, na szczęście król Stanisław August Poniatowski przyznał mu niewielką pensję. Aby zarobić na rodzinę, jeździł po Europie i pokazywał się za pieniądze. Kłopoty finansowe i nieporozumienia z Izalimą doprowadziły do rozstania; Józef ostatecznie osiedlił się w Anglii, tak jak wielu Polaków dzisiaj, a żona i córki wróciły do Polski. Najmniejszy i najinteligentniejszy Polak zmarł w Durham, w 1837 r., w wieku 98 lat. Przez całe życie z nostalgią wspominał swoje polskie pochodzenie, szlachectwo i ojczyznę. Jak sam napisał we własnym epitafium: „Polska była moją kolebką, Anglia jest moim gniazdem”. Oby w Niebie Bóg obdarzył go za to godną posturą i wzrostem.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Już w księgarniach

Lee Edwards
Rewolucja konserwatywna
Rzecz o ruchu, który odmienił Amerykę

Trump. Życie po prezydenturze



Marcin Makowski

Już oficjalnie – Donald Trump przegrywa wybory w Stanach Zjednoczonych. Nie ma jednak zamiaru składać broni, już teraz sugerują mu start w kampanii w roku 2024. Czy ma szansę ją wygrać?

84

Z poniedziałku na wtorek polskiego czasu Kolegium Elektorów oficjalnie zagłosowało za kandydaturą Joe Bidena jako 46. prezydenta Stanów Zjednoczonych. Stosunkiem 306 do 232 głosów – bez ani jednego elektora, który wyłamałby się spod obowiązującej w USA tradycji respektowania decyzji całego stanu – rozpoczął się proces zmiany kierunku amerykańskiej polityki, zarówno na szczeblu krajowym, jak i zagranicznym.

Jaki los czeka byłego, a być może również przyszłego prezydenta USA? Czym zajmie się Donald Trump na – według

jego zwolenników – przedwczesnej i niezasłużonej emeryturze?

TRUMP 2024

Z wielu ścieżek, które po pożegnaniu się z Białym Domem może wybrać Donald Trump, najbardziej prawdopodobna wydaje się ta, która raz jeszcze zaprowadzi go na Pennsylvania Avenue. Mowa oczywiście o reelekcji i kampanii 2024 r., do której on, jak również część Partii Republikańskiej – na razie bez realnego kontrkandydata we własnych szeregach – są potencjalnie gotowi. Przeciwwskazań nie ma również od



FOT. AL DRAGO/GETTY IMAGES

strony prawnej. 22. poprawka do Konstytucji Stanów Zjednoczonych w dziale pierwszym mówi wyraźnie, że „nikt nie może być wybrany na urząd prezydenta więcej niż dwa razy” – ale nie zaznacza, że muszą to być kadencje następujące po sobie. Precedens miał już miejsce w historii USA, a politykiem, który tego dokonał, był przedstawiciel konserwatywnego skrzydła Partii Demokratycznej – Stephen Grover Cleveland. Był on 22. (1885–1889) oraz 24. (1893–1897) prezydentem Stanów Zjednoczonych.

Powrót na szczyt ułatwia Trumpowi posiadanie wiernej bazy wyborców (71,5

mln głosów – rekord wśród przegranych kandydatów) oraz ponad 200 mln dol. zebranych na fundusz, który może pokryć koszty przyszłego wyścigu. Jak twierdzi „The New York Times”, Donald Trump od kilku tygodni kontaktuje się intensywnie ze swoimi sojusznikami w partii oraz rozpytuje byłych współpracowników o możliwości startu w 2024 r. Równocześnie prezydent ma sugerować, że jeżeli nie uda mu się pozyskać dodatkowych funduszy oraz nie będzie miał realnych szans na zwycięstwo w ciągu dwóch nadchodzących lat – to oficjalnie nie weźmie udziału w wyścigu o nomi-

nację republikanów. Wszystko po to, aby uniknąć drugiej porażki, której nie mógłby przedstawić jako wynik „fałszerstw wyborczych”, a która zostawiłaby niemożliwą do zatarcia rysę na wizerunku milionera, który zawsze stawia na swoim. Wśród osób, do których z pytaniem o szansę na drugie zwycięstwo miał się zwrócić Donald Trump, według serwisu Politico, znajdują się m.in. Rick Grenell – były ambasador USA w Niemczech, Sean Hannity – dziennikarz Fox News, były dyrektor komunikacji Białego Domu Bill Shine oraz jeden z szefów kampanii Trumpa – Corey Lewandowski. Jedna z pogłosek potwierdzanych w źródłach bliskich obecnemu prezydentowi mówi, że poważnie rozważa on ogłoszenie swojej kandydatury 20 stycznia – w dniu inauguracji Joe Bidena. Wszystko po to, aby „przyćmić” uroczystość, którą uważa za wynik największego oszustwa wyborczego w historii Ameryki.

– Jeśli Trump zdecyduje się oficjalnie rozpocząć kampanię, na co ma jeszcze dwa lata do początku prawyborów u republikanów, to nie będzie to wyścig w kategoriach partyjnych, które znaliśmy do tej pory. Donald Trump mówi i pisze bez ogródek o masowym oszustwie, które podważa wiarę w samą istotę systemu demokratycznego w USA. W tym układzie byłby on nie tyle kandydatem konkretnej partii, ile liderem szerszego ruchu sprzeciwu wobec „ukradzionych wyborów” 2020 r. – mówi „Do Rzeczy” jeden z polskich dyplomatów pracujący w Stanach Zjednoczonych. Jednocześnie zaznacza, że prawdopodobieństwo powrotu do Białego Domu uważa w przypadku Trumpa za trudne do przewidzenia. – Czas może działać na jego korzyść. Biden wchodzi w swoją prezydenturę w momencie kryzysu zdrowotnego oraz ekonomicznego na niespotykaną skalę. Jeśli nie udźwignie tego wyzwania, to wrócą wspomnienia za „starymi dobrymi czasami” Trumpa. Z drugiej strony, jeśli amerykańska gospodarka nagle się nie zawali, a Trumpowi zostaną gniewne tweety oraz brak realnego znaczenia politycznego, to łatwo będzie go zmarginalizować jako nieobliczalnego lunatyka, który stanowił potknięcie systemu – słyszę.

KIERUNEK: WŁASNE MEDIA

Osobne pytanie, coraz częściej stawiane w środowisku umiarkowanych republikanów, brzmi jednak nie tyle:

■ Kiedy prezydent ogłosił start swojej nowej kampanii?, ile: Czy Donald Trump w ogóle powinien startować raz jeszcze? W 2024 r. będzie miał on przecież 78 lat – tyle co obecnie najstarszy w historii Ameryki prezydent elekt Joe Biden. Jeśli jego wiek uznawany był w obecnym cyklu wyborczym za wadę, to jak argumentować będzie sztab Trumpa? Dodatkowo, choć zmonopolizował on przekaz i kształt partii w ciągu ostatnich kilku lat, to wyścig o prezydenturę jest za porządnym towarem wizerunkowym, aby młodsze pokolenie republikanów chciało go oddać bez walki. Już teraz mówi się o aspiracjach polityków, takich jak senatorzy Marco Rubio, Rick Scott czy gubernator Ron DeSantis. Trump ma jednak nad nimi wszystkimi – przynajmniej w tej chwili – poważną przewagę w postaci organicznego ruchu zwolenników, którzy głosują nie tyle zgodnie z afiliacjami partyjnymi, ile bardziej na markę osobistą Trumpa, który przyszedł do Waszyngtonu „osuszyć bagno”.

Tyczy się to również republikańskiego establishmentu, który najtwardsi medialni zwolennicy prezydenta (np. Laura Ingraham z Fox News) posądzili o zdradę i dezercję w walce z „fałszerstwami wyborczymi”. Nie wiadomo jednak, jak zareagują wyborcy, jeśli w walce o nominację naprzeciwko Donalda Trumpa stanie polityk, który bazując na jego retoryce, będzie w stanie sięgnąć również po część głosów wahających się wyborców swing states. W sondażu pracowni Morning Consult przeprowadzonym pod koniec listopada 53 proc. zarejestrowanych republikanów potwierdziło chęć głosowania na obecnego prezydenta w prawyborach partyjnych. To dużo i mało jednocześnie, zwłaszcza że w tak dynamicznych czasach cztery lata to prawdziwa epoka.

Najbardziej prawdopodobną wersją wydarzeń wydaje się zatem ta, w której Donald Trump bazując na osiągniętej popularności – choćby w stanie Ohio o 8 proc. wyprzedził on Joe Bidena, stając się najpopularniejszym republikaninem od czasu Ronalda Reagana – przez najbliższe 24 miesiące będzie nieustannie podsyłał zainteresowanie mediów i podtrzymywał przy życiu informacje o swoim nieuchronnym powrocie, z ogłoszeniem i zarejestrowaniem się jako oficjalny kandydat, czekając do ostatniej chwili.

Już teraz, dzięki założonej niedawno organizacji Save America, Trump może

zbierać fundusze od swoich zwolenników, nie księgując ich na konto przyszłej kampanii.

Walka o uwagę mediów nie będzie jednak łatwa, zwłaszcza po zmianie podejścia stacji Fox News, która podobnie jak CNN przerwała jedną z konferencji prezydenta, zarzucając mu kłamstwo odnośnie do nieprawidłowości w procesie wyborczym. Donald Trump, do tej pory komplementujący biznes Ruperta Mur-

Najbardziej prawdopodobne wydaje się, że Trump przez dwa lata będzie podsyłał zainteresowanie mediów, czekając z zarejestrowaniem się jako oficjalny kandydat do ostatniej chwili

docha, od pewnego czasu krytykował jednak widoczną utratę „sympatii” stacji, w serii tweetów zarzucając jej odejście od bazy swoich wiernych widzów oraz przejście na stronę mediów „fake-newsowych”. Do ulubionych kanałów, które nawet nie próbują udawać, że reprezentują jego agendę polityczną, zaliczył natomiast dwie znacznie bardziej niszowe stacje – One American News Network (OANN) oraz Newsmax. Szef tej drugiej telewizji – biznesmen Christopher Ruddy – należy zresztą do grona nieformalnych doradców Donalda Trumpa.

EMERYTURA NA FLORYDZIE?

Właśnie z tego powodu oraz mając na uwadze medialną przeszłość Donalda Trumpa, który prowadził słynną serię reality show „The Apprentice”, w Waszyngtonie oraz Nowym Jorku zupełnie otwarcie spekuluje się o możliwym wejściu Trumpa na rynek medialny, ze zbudowaniem własnej sieci telewizyjnej lub portalu włącznie. Klasyczną dla byłych prezydentów aktywnością – również z powodzeniem wykonywaną wcześniej przez milionera – jest również wydawanie własnych książek, wspomnień oraz podróżowanie po Ameryce i świecie z serią dobrze płatnych wykładów. O ile w przypadku obecnych emerytowanych głów państwa aktywność ta ma charakter jedynie wizerunkowy, o tyle był

prezydent USA, który zakłada możliwość ponownego startu w wyborach, byłby zupełnie nową jakością na arenie międzynarodowej, co mogłoby powodować liczne napięcia w relacjach międzynarodowych z administracją Joe Bidena.

Jednym z kierunków, które mogą być zdaniem „The Washington Post” często uczęszczane przez Trumpa, będzie Bliski Wschód, a zwłaszcza Izrael. Prezydenta namawiać ma do tego jego zięć Jared Kushner, zaangażowany z w proces pokojowy w regionie.

Oczywiście poza utrzymaniem aktywności biznesowo-politycznej istnieje jeszcze inny – dla wielu najbardziej rozczerwawiający kierunek. Mowa o politycznej emeryturze w Mar-a-Lago – letniej rezydencji Donalda Trumpa na Florydzie. Trump, jak wszyscy współcześni byli prezydenci, będzie się cieszył do końca życia wynoszącą ok. 200 tys. dol. roczną pensją, ochroną Secret Service, dostępem do cyklicznych raportów służb specjalnych, benefitami zdrowotnymi, środkami na prowadzenie własnego biura, wydatkami na podróże oraz możliwością ufundowania tzw. biblioteki prezydenckiej swojego imienia. Ten czas może poświęcić również na ratowanie podupadającego przez pandemię koronawirusa prowadzonego na rynku nieruchomości biznesu („The New York Times” szacuje bezpośrednie straty na poziomie 400 mln dol.).

Sam zainteresowany nie wyklucza podobnego rozwoju wypadków. Podczas wiecu wyborczego na rzecz dwóch kandydatów do Senatu w Georgii – już po odrzuceniu protestów wyborczych przez Sąd Najwyższy, ale przed głosowaniem Kolegium Elektorskiego – Trump powiedział swoim wyborcom wprost: „Jeśli przegram, to powiem: »Przegrałem« i polecę na Florydę. Przyjmę to na spokojnie, spacerując w przekonaniu, że wykonałem dobrą robotę”.

Dzień później Trump tweetował już jednak o dalszej walce i prezydenturze Joe Bidena oraz „spisku”, bez którego kandydat demokratów nigdy nie wygrałby uczciwie wyborów. Bez względu na przebieg wypadków w ciągu najbliższych kilkunastu miesięcy Trump z pewnością zrobi wszystko, co w jego mocy, aby nie zapisać się na kartach historii jako „błąd amerykańskiej demokracji”, ale jako ktoś, kto po „spisku elit” wraca na białym koniu, aby ją ratować.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



NIELEGALNY MIKOŁAJ PRZYNIÓSŁ ZARAŻĘ

W Belgii niezbyt miła świąteczna „niespodzianka”. Syn jednego z podopiecznych domu opieki społecznej w Mol (Antwerpia) przebrał się za Mikołaja i złożył pensjonariuszom nieoficjalną wizytę (oficjalnej zgody na coś takiego by nie otrzymał). Kilka dni później poczuł się źle i zrobił sobie test – wyszedł pozytywny. Efekt wizyty w domu opieki społecznej? Co najmniej 118 pensjonariuszy zarażonych COVID-19.

FOT. ADOBE STOCK

ŚPIEWANIE KOŁĘD ZAKAZANE

Tuż przed świętami niemieckie ministerstwo spraw wewnętrznych i kościoły uzgodniły zasady dotyczące nabożeństw w Wigilię i Boże Narodzenie. Kościoły będą działać, ale pod pewnymi warunkami. Wierni będą musieli przychodzić w maseczkach. Zbiorowe śpiewy będą zabronione. Razem kołęd śpiewać nie będzie można.

SZWEDZKA KORONALOTERIA

Szwedzka prasa ujawniła, że urzędnicy Kasy Ubezpieczenia Społecznego w Gävle prowadzili nieformalne zakłady w pracy o to, ile osób danego dnia umrze na koronawirusa. Stawiali na to pieniądze, a kto był najbliższy, zgarniał pulę. Podczas przerwy na kawę spotykali się w sali z telewizorem i oglądali konferencje prasowe, na których podawane są statystyki. Zapowiedziano oficjalne dochodzenie w tej sprawie. Urzędnicy mają zostać przeszkoleni z „etyki pracownika państwowego”.

PARYTET MA DWA KOŃCE

Od 2012 r. we Francji obowiązuje rządowy dekret, który przewiduje karę za nieuwzględnianie min. 40 proc. parytetu dla każdej płci w administracji rządowej. Oczywiście chodziło głównie o zatrudnianie większej liczby kobiet. Jednak w Paryżu poszło to za daleko w drugą stronę. Mer Anne Hidalgo na dyrektorskie stolki powołała 11 kobiet i pięciu mężczyzn. Miasto zostało więc ukarane grzywną w wysokości 90 tys. euro.

PRZECIWNIK OBOSTRZEŃ W SZPITALU

W Niemczech działa grupa Querdenker, która sprzeciwia się obostrzeniom wprowadzanym w kraju z powodu pandemii. W ubiegłym tygodniu poinformowano, że tydzień po demonstracji do szpitala trafił jeden z liderów Querdenker. Jest zakażony koronawirusem. Został podłączony do respiratora. ©©

Łukasz Zboralski



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Cyberkompromitacja

Ogromne rozczarowanie. To najłagodniejsze określenie premiery najważniejszej polskiej gry ostatnich lat: „Cyberpunk 2077”. Po trzykrotnym przekładaniu terminu debiutu inwestorzy i gracze z całego świata spodziewali się produktu niemal perfekcyjnego. Dostali zaś grę, która w wersji przed poprawkami zawierała tyle błędów, że zdaniem wielu nie powinna w ogóle ujrzeć światła dziennego.

Średnia ocen wystawionych przez graczy w pierwszych dniach na portalu Metacritic dla wersji na PlayStation4 wyniosła 1,8 pkt na 10 możliwych, dla Xbox One – 2,1 pkt, a na PC – 6,5 pkt

w 10-stopniowej skali. W końcu Sony straciło cierpliwość i wycofało ją ze sprzedaży. Gra lepiej radzi sobie na platformie Steam, ale i tam pozytywnych ocen jest dużo mniej, niż spodziewali się gracze oraz inwestorzy.

Fatalna była także początkowa reakcja szefów CD Projekt. W skrócie: studio stwierdziło, że błędy zdarzają się w każdej grze, i zapowiedziało, że pracownicy i tak dostaną premię mimo fatalnego przyjęcia ich dzieła przez zdecydowaną większość graczy. Na premię nie mogli niestety liczyć inwestorzy – cena akcji spółki w ciągu kilku dni od premiery „cyberwypadki” stopniała bowiem

o kilkadziesiąt proc., a jej wartość zmniejszyła się o miliardy (sic!) złotych. Spółka stała się też kulą u nogi indeksu WIG20.

Tak mocne rozczarowanie graczy to problem, mimo że w wyniku marketingu i dzięki dobrej renomie grę tylko przed premierą kupiło aż 8 mln osób, co jest fantastycznym wynikiem. Sprzedaż zapewne jeszcze wzrośnie, a „łatki” rozwiążą kwestię błędów. Odzyskanie nadwyreżowanego zaufania graczy i inwestorów będzie jednak o wiele trudniejsze. Jak bowiem zauważył Warren Buffet, „potrzeba 20 lat, żeby zbudować dobrą reputację, a tylko 5 min, żeby ją zrujnować”. ©©



Gabriel Michalik

Ulubioną rozrywką moskiewskiej inteligencji stało się zgadywanie, z kim żyje Putin i jak długo jeszcze

FOT. ALEXEI DRUZHININ/TASS/GETTY IMAGES

Słodkie tajemnice Władimira Władimirowicza

Na przekór płomiennej zaciekleści, z którą Dmitrij Pieskow, rzecznik prasowy prezydenta Federacji Rosyjskiej, dementuje doniesienia o straszliwych chorobach toczących ciało i duszę jego zwierzchnika, Rosjanie coraz bardziej wątpią w dobry stan zdrowia Władimira Putina. Kroplówkę z jadem w postaci informacji na temat schorzeń przywódcy sączy do rosyjskich i światowych mediów prof. Walerij Sołowiej, z wykształcenia historyk – na krótkiej ławce kadrowej moskiewskiej opozycji zajmujący już od miesięcy nieformalny urząd specjalisty w zakresie (braku) zdrowia Putina.

KATARZYNA TRZECIA

Jeśli wierzyć prof. Sołowiejowi, to prezydent Rosji cierpi co najmniej na par-

kinsonizm i na raka (Pieskow dementuje), a w związku z tą drugą chorobą przeszedł niedawno poważną operację w okolicach jamy brzusznej (Pieskow dementuje ze zdwojoną siłą). Pytany o szczegóły, Sołowiej zastrzega się brakiem wiedzy medycznej, wskazuje jednak, że sam Putin jest świadomy swego marnego stanu i patrzy – jeśli nie na księżą oborę, to co najmniej w stronę zasłużonej emerytury, szykuje sobie bowiem miękkie lądowanie w postaci przepisu zapewniającego mu po opuszczeniu Kremla dożywotni immunitet i fotel senatora Federacji (Pieskow macha ręką).

Mało tego, wśród potencjalnych następców Putina sam zainteresowany oraz część jego dworu mają – wciąż zdaniem Sołowieja – poważnie rozważać kandydaturę młodszej z dwóch córek

prezydenta, urodzonej w 1986 r. Jekateriny Tichonowej (co do której notabene nikt dotąd autorytatywnie nie orzekł, że istotnie jest córką Putina). Sołowiej zastrzega, że z przekonaniem się do Putinówny największy problem mają szefowie resortów siłowych. Czy źródłem wątpliwości w zmaskulinizowanym środowisku „siłowików” jest niechęć do podporządkowania się damskiej władzy, czy też przeszkadzają jakieś mniej oczywiste przymioty córki Putina, Sołowiej nie podaje. Wskazuje jednak, że to właśnie szefowie armii, policji i FSB zagrozić mają realizacji wymarzonego rzekomo przez Putina projektu, który historyk nazywa „intronizacją Katarzyny III”.

Dla tych, którzy martwią się o stan zdrowia Putina, pocieszeniem będzie fakt, że kasandryczny prof. Sołowiej cie-



szy się w Rosji podobną renomą jak u nas prof. Jadwiga Staniszkis – jego przepowiednie okazywały się zawsze niesłychanie trafne, ale tylko o tyle, o ile przyjmowano je à rebours. Jednak jak z nimi postępować w odniesieniu do kwestii niebinarnych, do których przecież należy wskazanie osoby następcy prezydenta – trudno powiedzieć. Dochodzi jeszcze ta drażniąca wątpliwość, czy Tichonowa jest córką Putina, czy nie jest. No bo jeśli jest, to pół biedy, ale jeśli nie, to co – smuta, Dymitriady i Polacy na Kremlu?!

MIĘDZY BIARRITZ A RUBLOWKĄ

Co do samej ewentualnej przyszłej pani prezydent Rosji koktajl wiadomości, pochodzących z plotek i dziennikarskich śledztw (te dwa narzędzia komunikacji społecznej przechodzą płynnie jedna w drugą, niezauważenie dla nadawców i odbiorców), obejmuje informację o małżeństwie Jekateriny z Kirilem Szamałowem, synem wieloletniego przyjaciela Putina. Domniemany zięć, wkrótce po ślubie, do którego doszło podobno w 2012 r., awansował z milionera na miliardera, a jedną z jego szczególnie udanych inwestycji był zakup za 100 dol. (!) pakietu akcji holdingu naftowego Sibur o wartości 400 mln dol. Kupił potem jeszcze okazyjnie to i owo, i wkrótce już jego majątek szacowano na 2,5 mld dol.

Państwo Szamałowowie jedną nogą mieszkali w przepyszej rezydencji w podmoskiewskiej Rublowce, gdzie sąsiedowali z Władimirem Władimirowiczem, drugą zaś we własnym zamku w Biarritz, po sąsiedzku z Ludmiłą i Arturem, małżonkami Oczeretnij, sympatyczną parą Rosjan, tym może szczególną, że pani Ludmiła starsza jest od pana Artura o lat 20, no i tym jeszcze, że we wcześniejszym życiu znana była jako Ludmiła Putin, pierwsza dama Federacji Rosyjskiej, a może jeszcze i tym, że nazwisko „Oczeretnij” to lekko zdeformowany rosyjski przymiotnik „очередной” – „następny”.

Szamałowowie żyli na dwa domy – ot, takie rozdarcie typowe dla rodziny patchworkowej... A może nawet rozdarcie jest jeszcze większe i to ono uzasadnia użyty wyżej czas przeszły – podobno bowiem małżeństwo Szamałowich nie wytrzymało próby czasu i od 2018 r. Jekaterina jest znów panną do wzięcia. Wiercie, jeśli chcecie, ewentualny rozwód Szamałowych został zrekonstruowany przez dziennikarzy wyłącznie

na podstawie dziwacznych przesunięć w akcjonariacie wspomnianego holdingu Sibur, wskutek których Szamałow z miliardera stał się obecnie znów szeregowym milionerem.

Starszej córce Putina, za którą media uważają lekarzkę specjalizującą się w endokrynologii, urodzoną w roku 1985 Marię Woroncową-Faassen (Kreml nigdy oficjalnie nie potwierdził również i jej tożsamości), nikt na razie nie wróży prezydenckiego fotela. Głośno było o niej w roku 2014 po zestrzeleniu nad Donbasem samolotu pasażerskiego, lecącego z Amsterdamu do Kuala Lumpur. Wówczas to pani Faassen w pośpiechu opuściła mieszkanie na przedmieściach Hagi. Podobno w obawie przed linczem; większość ofiar zbrodni, o którą międzynarodowa opinia publiczna oskarżyła Putina, stanowili obywatele Holandii. W ostatnich latach o pani Faassen słychać czasem w kontekście państwowych inwestycji w placówki medyczne, których ma być współwłaścicielką, ale w zasadzie lekarka dba o to, by było wokół niej jak najmniej hałasu.

Podobnej próby spekulacje, których nie powstydziliby się bywalcy magla parowego, angażują moskiewskich inteligentów nie tylko z powodu przyrodzonej niemal każdemu człowiekowi skłonności do paplania, lecz także dlatego, że o zdrowiu i życiu prywatnym Władimira Putina, jak na starego czekistę przystało, nie wiadomo absolutnie nic pewnego. I właśnie to zjawisko, mgła otaczająca wszystko, co dotyczy ludzkiego oblicza urzędującego prezydenta największego kraju świata, jest o wiele wdzięczniejszym przedmiotem zainteresowania niż jałowa weryfikacja twierdzeń na temat tego, co za mgłą. Bo choć w naszych czasach publiczny wizerunek niemal każdego polityka składa się przede wszystkim z niedyskrecji na temat jego ludzkich przewag i słabości, to w przypadku Putina trzeba ciągle używać niewygodnych przymiotników „domniemany”, „rzekomy”, „prawdopodobny”. Właśnie taką domniemaną, rzekomą i prawdopodobną drugą żoną Putina i matką najmłodszych putiniątek jest śliczna sportsmenka Alina Kabajewa, choć od kilku tygodni, wskutek kolejnego dziennikarskiego śledztwa, dzieli godność prasowej first lady z niejaką Swietłaną Kriwonogich, sprzątaczką o powierzchowności anioła, która podobno żyje z Putinem jeszcze od czasów przedprezydenckich.

Jak doszło do tego, że tajemnica stała się sytuacją społecznie pożądaną?

NIE CIESZY, GDY JEST

W wiek XX Imperium Rosyjskie wkroczyło z rodziną carską, która owszem, wierząc François de La Rochefoucauld, że występki winien jest cnocie swój hołd, ukrywała pewne wstydlive sekrety – małżeńskie niewierności panujących, swary, intrygi, ale – w odróżnieniu od swych bolszewickich następców – za przejaw troski o rację stanu uważała ukazywanie poddanym udanego życia rodzinnego imperatorstwa i to wbrew dekadencji coraz powszechniejszej wówczas wśród elit zarówno rosyjskich, jak i europejskich. Carski dwór funkcjonował jako wzorcowy dla wszystkich Rosjan model rodziny, a głęboka więź łącząca Mikołaja II, Aleksandrę Fiodorównę i ich dzieci, której przyglądać się dzisiaj można nie tylko na podstawie publicznych deklaracji cara i carowej, lecz także poprzez lekturę ich prywatnej korespondencji, była bodaj czy nie najjaśniejszym punktem tragicznego w przebiegu i w skutkach panowania ostatniego imperatora.

Przezwrot bolszewicki i ukonstytuowanie się władzy komisarzy przyniosło z początku rozpad rodzin na rzecz „wolnej miłości”. Jedni pojmowali ją jako zrównanie praw kobiet i mężczyzn, inni – jako bilet do raju lubieżników. Do centralnego komitetu partii bolszewickiej w latach 20. napływały z komórek terenowych żądania wsparcia państwowym aparatem represji egzekucji przyjętych lokalnie przepisów o „uspołecznieniu kobiet”. Wskazywano na trudności wynikające zarówno z oporu samych towarzyszek, jak i odradzającej się wśród części wyżej postawionych towarzyszy skłonności do korupcji, „tej plagi społeczeństwa burżuazyjnego”.

Propaganda „wolnej miłości”, a w ślad za nią i przyzwolenie na promiskuityzm, skończyła się równie szybko, jak się zaczęła. Rok 1924 zapoczątkował kampanię pruderyjnego państwowego asekswalizmu. A że rodzina, jak każda grupa społeczna, stanowiła dla totalitarnego państwa groźną konkurencję, poddano ją formalnym i propagandowym szykanom. Wprawdzie w połowie lat 30. Stalin, w ramach ideologicznej konkurencji z Hitlerem, formalnie wziął rodziny sowieckie pod opiekę – zakazał aborcji, propagował macierzyństwo, lecz ide-



W alnym środowiskiem wychowawczym człowieka radzieckiego pozostawał kolektyw. Podejrzliwość wobec rodziny, jako instytucji, która z racji niekontrolowanej bliskości jej uczestników może pozwolić sobie na samodzielność, spędzała sen z powiek rządców sowieckiego imperium. Kolejni przywódcy własnym przykładem wskazywali poddanym, że życie rodzinne to żaden cymes: niejasne związki Lenina z Krupską i Inessą Armand, psychopatyczne relacje Stalina z kobietami, nieobecne małżonki genseków – Breżniewa, Andropowa, Czernienki. Wyjątkiem była Nina Chruszczowa, która zaistniała na światowych salonach w okresie, gdy Sowiety pod wodzą jej męża szukały zbliżenia z Zachodem. Czasy postsowieckie przyniosły pewną liczbę biografii i autobiografii dzieci dostojników minionego reżimu. Większość z nich opowiada o rodzinnych tragediach, alkoholizmie i samotności. Próżno w nich szukać atmosfery miłości obecnej w carskich listach.

Wskutek tych zabiegów powstał model władcy samotnika. Posiadanie rodziny dyskwalifikowało sowieckiego wodza w takim stopniu, w jakim – nie przysięgając – w innych tradycjach politycznych dyskwalifikuje go nieumiejętność zachowania się przy stole.

CZY NADCZŁOWIEK TO NIE CZŁOWIEK?

Profesor Andriej Zubow, współautor i redaktor monumentalnej „Historii Rosji. XX wiek”, zwraca uwagę, że przyjęty przez bolszewickich liderów model życia rodzinnego nie jest osobliwością charakterystyczną tylko dla Rosji.

– Podobnie wyglądały relacje Hitlera z Ewą Braun i w ogóle z kobietami. Nie inaczej było w przypadku Mussoliniego i Mao Zedonga. Mamy tu do czynienia z ogólnoludzkim zjawiskiem związanym z władzą bezprawną, pozbawioną legitymizacji, bandycką, skierowaną przeciw Bogu, przeciw człowiekowi, więc i przeciw rodzinie. Totalitarni przywódcy niezależnie od szerokości geograficznej zachowują się podobnie.

O tym, jak bardzo w czasach sowieckich ucierpiała instytucja rodziny, świadczy, zdaniem prof. Zubowa, reakcje na obecność w życiu publicznym Raisy Gorbaczowej, żony ostatniego genseka i pierwszego (a zarazem jedyngo) prezydenta ZSRS.

– Bliskość Raisy i Michaiła Gorbaczowów, czułość, jaką wielokrotnie

małżonkowie sobie okazywali, budziła zawiść i złość. Rosjanie, sami pozbawieni szczęśliwych, kochających się rodzin, nie mogli na to patrzeć. Do Raisy Gorbaczowej odnosili się wrogo, choć niczym sobie na to nie zasługiwała.

Gorbaczowowie drażnili czułością, Jelcynowie nepotyzmem (choć, Bogiem a prawdą, wartość majątku przywłaszczonego przez rodzinę i „Rodzinę” Jelcyna, nie wystarczyłaby drużynie Putina na napiwki). Nieliczni badacze rosyjskiego modelu prezydenta samotnego wojownika w publicystycznych raczej niż naukowych artykułach wskazują na tradycje tataro-mongolskie, próbują przypisywać Putinowi autokreację na władcę typu sakralnego, w końcu porównują go do rycerza, dowódcy wojskowego lub herszta zbrojeckiej szajki. Dla prof. Zubowa Putin, zaślubiony nie jakiejś tam pierwszej damie, ale po prostu – Rosji, jest wyjątkiem przejawem sowieckiego dziedzictwa.

– Nie doszło do jednoznacznego, świadomego zerwania z tragiczną i zbrodniczą przeszłością. Gdy teraz otacza się wciąż KGB i odbudowuje się pomniki Stalina (to w czasach rządów Putina stanęło ich już w całym kraju ponad sto, za Jelcyna nie było ani jednego), restauracja obejmuje również figurę władcy. Ma on być enigmą, może nawet nie tyle kimś nadludzkim, co raczej nieludzkim, antyludzkim. A zarazem, sam Putin, rekonstruktor sowieckiego świata, jest też i tego świata ofiarą. Nie udało mu się stworzyć trwałej rodziny. Życie najwyższych kręgów kremlofskich, na ile jest mi znane, wygląda ponuro. Nie ma tam prawdziwych rodzin; elita żyje na sposób nuklearny, bez głębokich związków międzyludzkich.

Zdaniem prof. Zubowa tajemnica, którą otacza się stan zdrowia Putina, trudna do wyobrażenia w demokratycznym państwie, ma podobne, posttotalitarne korzenie.

– Chodzi o utrzymanie tego nieludzkiego statusu, ale oczywiście dodatkową rolę grają też względy bezpieczeństwa. W odróżnieniu od życia rodzinnego ta sfera rzeczywiście budzi powszechne zainteresowanie, a Putin nie chce, aby wiadano, że coś mu dolega. Zawiera się w tym jednak paradoks, bo przecież statusowi Putina zagrażają nie obywatele, którzy mogliby się dowiedzieć, że cierpi na jakąś chorobę, ale ludzie z jego

najbliższego otoczenia, którzy i tak doskonale znają stan jego zdrowia.

ŚMIESZY, TUMANI, PRZESTRASZA

W rozważaniach nad przyczynami tajemnicy otaczającej prywatność Putina warto nie tracić z oczu dwóch okoliczności.

Po pierwsze, publicznie pokazywane żony i dzieci oraz informacje o zdrowiu i udanym życiu osobistym przydają się politykom przede wszystkim w kampaniach wyborczych, a takie sensu stricto w Rosji się nie odbywają. Bo i po co?

Po drugie zaś, wielką pasją prezydenta Rosji jest wyskakiwanie z szokującymi gestami na podobieństwo diabełka z pudełka. Tak było w przypadku aneksji Krymu (a zwłaszcza w przypadku spowiedzi z organizacji aneksji, gdy Putin niesłychanie szczerze opisywał, co, kiedy i komu skłamał), tak było z niespodziewanym zerowaniem licznika kadencji prezydenckich przed kilkoma miesiącami z pomocą sprytnego konstytucyjnego tricku, który daje Putinowi możliwość sprawowania władzy do roku 2036. Nawet rozwód z Ludmiłą prezydent ogłosił w sposób najmniej spodziewany – w antrakcie baletu „Esmeralda”, na który wybrał się wraz z zainteresowaną, a o rozwiązaniu 30 lat trwającego małżeństwa oboje państwo mówili takim tonem, jakby szło o wybór tartinki w teatralnym bufecie. Czy więc z mroków tajemnicy, spowijającej życie rosyjskiego przywódcy, nie dojdzie wkrótce do uszu Rosjan pogodny okrzyk: „Jutro odchodzę, a wami, drodzy rodacy, zajmie się Katia”. Na miejscu Putina rozważyłbym taki kawał, już choćby po to, by zamknąć usta niedowiarkom, którzy nie traktują poważnie prorocत्व profesora historii Walerija Sołowiewa i wsluchanych w nie analityków politycznych od Moskwy do Los Angeles. Profesor Sołowiej otóż – i niech to posłuży za puentę naszych rozważań – zanim zaczął specjalizować się w komunikowaniu rychłego zgonu Putina, sporo mówił o tym, że istnieje coś na kształt rządu światowego, a on, Sołowiej, sprawuje w owym gabinecie niepoślednią funkcję. Był też przewodniczącym nacjonalistycznego ugrupowania Nowa Siła i głównym ideologiem w sztabie opozycyjnej partii Rost (Wzrost), co do której złe języki dość szybko orzekły, że powstała na zlecenie Kremla, by odciągnąć elektorat od ugrupowań autentycznie opozycyjnych. Należy więc przyjąć, że choć pewnie Sołowiej nie zawsze mówi to, co wie, ale za to z całą pewnością wie, co mówi.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Koncert Koleń w Telewizji Republika



Zapraszamy do oglądania
koncertu kolęd

Joszek Brody z rodziną

**24 grudnia 2020 r., o godz. 21:30
na antenie Telewizji Republika**

*Spędźmy razem
ten niezapomniany wieczór!*

SPONSORZY





Jakub Wozinski

Klaus Schwab jest na ustach całego świata, a wiele osób widzi w nim głównego architekta nowego, postpandemicznego ładu

Wizjoner Wielkiego Resetu



Ekonomista urodzony w 1938 r. w niemieckim Ravensburgu spełniał do tej pory wszelkie kryteria, aby stać się symbolem globalistycznych elit na równi z George'em Sorse'em czy Billem Gatesem, lecz mimo to pozostawał nieco w cieniu. Jako gospodarz corocznego Światowego Forum Ekonomicznego w Davos i autor tłumaczonych na wiele języków książek już dawno dał się poznać jako zwolennik kształtowania zasadniczych celów światowej polityki ponad wolą poszczególnych państw. W świecie wielkiej polityki odgrywa od lat niepoślednią rolę i zna się osobiście z większością głów państw. Wyobraźni mas nie rozpałił dotąd prawdopodobnie głównie dlatego, że nie jest właścicielem bajecznej fortuny.

GOSPODARZ MOŻNYCH

Początki kariery Schwaba przebiegały dość prozaicznie. Jako że jego matka pochodziła z Zurychu, rodzina zdecydowała

się zamieszkać w Szwajcarii. Tam Schwab zdobywał wykształcenie ekonomiczne i inżynierskie, m.in. na Uniwersytecie we Fryburgu i w Federalnym Szwajcarskim Instytucie Technologicznym w Zurychu. Do końca życia byłby zapewne zwykłym pracownikiem uniwersyteckim, gdyby nie wyjazd na Harvard. Tam poznał osobiście Johna Kennetha Galbraitha oraz samego Henry'ego Kissingera. Nawiązawszy bezpośredni kontakt z osobami, które miały ogromny wpływ na kształtowanie



Klaus Schwab zna się osobiście z większością głów państw
FOT. FABRICE COFFRINI/AFP/EAST NEWS



z premierem Izraela Benjaminem Netanjahu, prezydentem Turcji Recepem Tayyipem Erdoğanem i sekretarzem stanu Stolicy Apostolskiej kard. Pietro Parolinem. Przebywając w siedzibie Światowego Forum Ekonomicznego w Coligny pod Genewą, Schwab praktycznie nieustannie przyjmuje najbardziej wpływowych polityków i biznesmenów z całego świata lub prowadzi z nimi liczne rozmowy telefoniczne.

Klaus Schwab pomimo 82 lat jest wciąż wysportowany i słynie z talentu do tańca. Jest także członkiem honorowym najstarszego niemieckiego klubu piłkarskiego Bayern Monachium. Uchodzi za prawdziwego tyta pracy, który jednocześnie ma wielki dar do tworzenia odpowiedniej atmosfery w czasie spotkań głów państw, prezesów banków i międzynarodowych organizacji. Skrętnie notuje daty urodzin, a później zadaje sobie trud, aby osobiście złożyć życzenia. Dzięki temu ma świetne relacje z najważniejszymi i najbardziej wpływowymi osobami na świecie. Po szczególności członkowie globalnej elity mogą nie do końca znać siebie nawzajem, ale wszyscy wiedzą, kim jest Klaus Schwab.

WSTĘP OD MILIARDA DOLARÓW

Początkowo niewiele wskazywało na to, że to właśnie niemiecki ekonomista zostanie „gospodarzem możliwych”. W 1969 r. zaplanował dwutygodniowe sympozjum na temat wyzwań stojących przed europejskim biznesem na światowych rynkach. Jako miejsce dla całego wydarzenia wybrał szwajcarskie Davos, do którego już w 1971 r. przybyło blisko pół tysiąca uczestników. Wkrótce powstała fundacja przemianowana w 1987 r. na Światowe Forum Ekonomiczne, a do alpejskiego kurortu zaczęli przybywać najbardziej wpływowi przedstawiciele świata polityki i finansów.

W ciągu półwiecza impreza w Davos stała się na tyle prestiżowa, że wstęp na nią jest wyróżnieniem. Klaus Schwab ustalił limit, że na coroczne spotkanie może przyjechać co najwyżej 1000 przedstawicieli świata biznesu, reszta miejsc zarezerwowana jest dla polityków i przedstawicieli różnorodnych organizacji. Dodatkowo do Davos prawo wstępu daje obrót w wysokości przynajmniej miliarda dolarów rocznie, a koszty uczestnictwa idą w setki tysięcy dolarów. Na Światowym Forum Gospodarczym nie pojawia się dzięki temu nikt przypadkowy.

Klaus Schwab od początku spotkań w Davos nie ograniczał się do pełnienia

funkcji inicjatora spotkań dla wielkich tego świata. Przez wiele lat pozostawał czynnym pracownikiem naukowym Uniwersytetu w Genewie, poświęcając sporo uwagi koncepcji tzw. kapitalizmu interesariuszy (terminu po raz pierwszy użyto już w 1971 r.). Zgodnie z nią każda spółka ma zobowiązania nie tylko wobec udziałowców, lecz także względem całego społeczeństwa i planety. Schwab kapitalizm interesariuszy przeciwstawia kapitalizmowi akcjonariuszy, czyli jego zdaniem zawodnemu modelowi, opartemu na rozliczaniu zarządów wyłącznie z osiągniętego zysku. Do podstawowych zobowiązań każdej korporacji niemiecki ekonomista zalicza m.in. konieczność dbania o środowisko naturalne, sprawiedliwość społeczną czy równość szans.

Schwab przekonuje, że koronawirus pokazał, iż nadszedł wreszcie kres neoliberalizmu

Jak nietrudno zauważyć, koncepcja Schwaba nie lokuje go pośród zwolenników zbyt daleko posuniętej swobody gospodarczej. Wyraz takim poglądom dał po raz kolejny w wydanej w tym roku książce „COVID-19. Wielki Reset”. Schwab przekonuje w niej m.in., że koronawirus pokazał, iż nadszedł wreszcie kres neoliberalizmu, czyli „zespołu idei przedkładających konkurencję ponad solidarność, kreatywną destrukcję ponad interwencję rządu oraz gospodarczy wzrost ponad społeczny dobrobyt”. Jakby tego było mało, gospodarz spotkań z Davos przekonuje, że powinniśmy raz na zawsze rozstać się z „tyranią wzrostu PKB” i porzucić nieokiełznaną niczym konkurencję na rzecz rozbudowanego rządu (big government). Wielu osobom fakt, że przyjaciel szefów wielkich korporacji i bankierów żywi tego rodzaju przekonania względem gospodarki, może wydawać się dość dziwny. W rzeczywistości poglądy Schwaba są znane od bardzo dawna, a tworzony pod jego nadzorem od 2004 r. coroczny Globalny Raport Konkurencyjności oparty jest na przekonaniu, że równie ważne co PKB są odpowiednie instytucje czy zasady sprawiedliwości społecznej.

polityki międzynarodowej, zapragnął wejść do elitarnego grona, choć początkowo był nikomu nieznanym szwajcarskim ekonomistą.

W wydanej kilka lat temu książce pt. „Gastgeber der Mächtigen” („Gospodarz możliwych”), poświęconej sylwetce Klause Schwaba, opublikowano zapis typowego dnia z jego życia. Możemy się w ten sposób dowiedzieć, że 21 września 2016 r. pomysłodawca „Wielkiego Resetu” bawił w Nowym Jorku, gdzie spotkał się m.in.



■ W opinii Schwaba o wiele ważniejsze od „pogoni za PKB” jest dbanie o „szczęśliwość”, które przejawia się m.in. w zapewnieniu odpowiedniej opieki zdrowotnej czy poszanowaniu środowiska naturalnego. W ten sposób szef Światowego Forum Gospodarczego przechodzi do jednej z najbardziej kontrowersyjnych części swoich teorii, w ramach której zachęca do „odrozwój” (ang. degrowth), czyli koncepcji stopniowego wyhamowywania światowej gospodarki w celu realizacji rzekomo szczególnie ważnych celów. Krytykując wszechobecny konsumpcjonizm, Klaus Schwab zachęca do tego, aby świadomie i celowo zmniejszyć gospodarkę, ograniczyć m.in. liczbę lotów i konsumpcję (m.in. mięsa) i dzięki temu zapobiec jeszcze większym kłopotom, które miałyby jego zdaniem spotkać całą ludzkość w razie, gdyby nie podjęto żadnych działań.

Idee głoszone przez Klausa Schwaba są w ostatnim czasie zaskakująco zbieżne z tymi, które głosi papież Franciszek

Zalecenia Schwaba wykraczają w tym aspekcie zdecydowanie poza standardowy zestaw zaleceń zwolenników idei zrównoważonego rozwoju. O ile bowiem do tej pory od lat mówiło się o konieczności zaprzestania fetyszyzowania rozwoju w rozumieniu ściśle ekonomicznym, o tyle mało kto wzywał do świadomego i planowego działania na rzecz skurczenia gospodarki. A już na pewno nie mówił o tym wprost i otwarcie ktoś tak wpływowy jak Klaus Schwab.

W wydanej w 2016 r. książce „Czwarta rewolucja przemysłowa” gospodarz spotkań w Davos przedstawiał się jako wielki entuzjasta nowoczesnych technologii informatycznych i biotechnologicznych. Zapewne mało kto domyślał się wówczas, że idee stworzenia „ekosystemu innowacji” w służbie równości, sprawiedliwości i ekologii znajdą kontynuację w idei „Wielkiego Resetu”. Dzisiaj wiadomo już, że proponowany przez Schwaba etap świadomego „kurczenia” gospodarki ma być przeprowadzony przy wykorzystaniu narzędzi, których dostarczyła w ostatnich latach czwarta rewolucja

przemysłowa. Systemy rozpoznawania głosu i twarzy, sztuczna inteligencja czy zaawansowane systemy robotyczne zapewniły narzędzia umożliwiające nowy rodzaj zarządzania społeczeństwem. Etap „odchudzania” gospodarki w imię bardziej zrównoważonego rozwoju i specyficznie rozumianego szczęścia ludzkości ma więc przebiegać przy użyciu najbardziej nowoczesnych technik.

WYNAJMOWANE SZCZĘŚCIE

Dowodzone przez Schwaba Światowe Forum Ekonomiczne zszokowało cztery lata temu opinię publiczną na całym świecie, publikując krótki materiał na temat tego, jak może wyglądać życie w 2030 r. Znalazło się w nim stwierdzenie: „Nie będziesz miał nic i będziesz szczęśliwy”. Wiele osób odczytało to wręcz jako zapowiedź wprowadzenia komunizmu. W rzeczywistości autorem przyświecała bardziej myśl, że w nieodległej przyszłości coraz większa część zasobów będzie wynajmowana do użytku, a nie posiadana przez bezpośrednich użytkowników. Jest to w pełni zgodne z głoszoną przez Klausa Schwaba od pół wieku koncepcją „kapitalizmu interesariuszy”. Nie przewiduje ona zwalczania globalnych korporacji, lecz raczej nakładanie na nie licznych zobowiązań związanych z ochroną środowiska czy kwestiami społecznymi. Jak można domniemywać, wielkim wygranym planowanego przez Klausa Schwaba „Wielkiego Resetu” mają być właśnie międzynarodowe spółki. Podobny sygnał dał niedawno również sekretarz generalny Międzynarodowego Funduszu Walutowego Kristalina Georgiewa, która entuzjastycznie wypowiada się na temat „nowego Bretton Woods”. Jej zdaniem świat po wielkich reformach ma przynieść zdecydowanie większe dywidendy udziałowcom przy jednoczesnym uwzględnieniu potrzeb środowiska i wcielaniu w życie lewicowo-liberalnych wartości.

Uwagę zwraca bez wątpienia to, że idee głoszone przez Klausa Schwaba są w ostatnim czasie zaskakująco zbieżne z tymi, które głosi papież Franciszek. W wydanej właśnie książce pt. „Powróćmy do marzeń” Ojciec Święty rekomenduje prace Marianny Mazzucato, która w ostatnich tygodniach jest jednym z głównych apostołów idei „Wielkiego Resetu” (pisała o tym m.in. w magazynie „Time”) i osobą chętnie cytowaną przez gospodarza spotkań w Davos. Wiele uderzających podobieństw do tez Schwaba

zdradza także forsowana przez papieża tzw. ekonomia Franciszka, która na każdym kroku epatuje narracją o konieczności dokonania wielkich i epokowych zmian zgodnie z wytycznymi idei zrównoważonego rozwoju. Z okazji ostatniego spotkania w szwajcarskim kurorcie Franciszek wystosował nawet do Schwaba i uczestników specjalny list, w którym stwierdzał, że „temat spotkania »Interesariusze na rzecz spójnego i zrównoważonego świata« wskazuje na potrzebę odniesienia się do wielu kwestii, przed którymi stoi ludzkość”. Idea „kapitalizmu interesariuszy” jest obecnemu sternikowi Watykanu wyjątkowo bliska.

WIELKI ARCHITEKT CZY MARZYCIEL?

Czy Klausa Schwaba można uznać za głównego zakulisowego architekta wielkich zmian dokonujących się w światowej gospodarce? O wiele bardziej prawdopodobna wydaje się teza, że wpływowy ekonomista zwyczajnie anonsuje szerszej publiczności to, o czym mówi się w kulisach światowych salonów władzy. Należy pamiętać, że Schwab już od blisko pół wieku zapowiada wielkie i przełomowe zmiany, nie kryjąc ekscytacji, że dokonują się nierzadko w jego obecności. O prawdziwej rewolucji i epokowym przełomie mówił m.in. przy okazji Światowego Forum Ekonomicznego w 1997 r., gdy świat wkraczał w epokę Internetu. Schwab wypowiadał się wówczas o „budowie społeczeństwa sieciowego”, a Billa Gatesa określał mianem „rewolucjonisty”. W pewnym sensie więc narracja o nowej rewolucji i konieczności reformy świata wpisana jest w działalność Schwaba, który jako gospodarz najbardziej prestiżowego spotkania na świecie musi nieustannie roztaczać aureę dokonujących się właśnie epokowych zmian.

Klaus Schwab odgrywał rolę gospodarza możliwych i zawodowego wizjonera już od wielu lat. Nigdy jednak dotąd jego wizje i prognozy nie były tak radykalne jak w ostatnich miesiącach. Czy tę nagłą zmianę należy odczytywać jako zapowiedź prawdziwego „Wielkiego Resetu” czy raczej wyłącznie efekt ekscytacji wpływowego ekonomisty w związku ze zmianami, których wprowadzenie umożliwił koronawirus? Pełnej odpowiedzi na to pytanie jeszcze nie znamy, choć wcielenie w życie projektów, o których marzy Schwab, byłoby pod wieloma względami dystopijnym koszmarem.

© 2020 Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYCZAKIEM

Next Generation – dzieci wybaczą?

Długów – jak uczą postępowcy – nigdy dość. Idąc za ich głosem, nasz rząd, po odniesieniu w 2020 r. wielkiego sukcesu, polegającego na zadłużeniu Polski na setki miliardów złotych (wciąż trwa rachowanie – na 300?, na 500?), które złożyły się na sfinansowanie NAJWIĘKSZEJ według MFW antykryzysowej tarczy w Europie w relacji do PKB, w 2021 r. oprócz dalszego zwyczajowego zadłużania kraju planuje odnieść na tym polu także inny sukces – przyłączając się do całkiem nowego, dodatkowego długu, zaciąganego tym razem pod flagą UE.

Ten nowy wehikuł zadłużania państw UE, w Polsce znany jako Fundusz Odbudowy – odbudowy po zamrożeniu, w reakcji na COVID-19, gospodarek przez rządy – politycy rządzący krajami członkowskimi Unii nazwali dla niepoznaki Next Generation EU. Nazwali go tak, by stworzyć wrażenie, że chodzi im o rozwój krajów Unii, w trosce o przyszłe pokolenia – o ich dobro i jeszcze lepszą przyszłość. A przecież szykowany na naszych oczach skok na kasę (750 mld euro) z przyszłymi pokoleniami wspólne ma tylko to, że bez pytania ich o zgodę zadłuża je na potęgę. Po pierwsze bowiem, choć opinię publiczną mami się, że dług „zaciąga Unia”, to przecież spłacić go będą musieli nie kto inny, jak obywatele-podatkownicy państw UE, w tym obywatele-podatkownicy Polski. I po drugie, zaciąganych dziś – „na rachunek UE” – setek miliardów euro żadną miarą nie dadzą rady spłacić

dziś aktywne zawodowo pokolenia obywateli-podatkowników państw Unii, więc jeszcze sporo do spłacenia pozostanie „w spadku” dla naszych dzieci i wnuków.

Na domiar złego wciąż nie jest do końca jasne, ile z tych 750 mld euro będą musieli spłacić Polacy – a kwota ta wcale nie musi być mała, zważywszy na to, że z ogólnej sumy przypada nam 60 mld euro, czyli 250 mld zł (część w pożyczkach, część w dotacjach). Zwłaszcza gdyby miało się okazać, że któryś z krajów z południa Europy zbankrutowałby, a nie jest to przecież niemożliwe, i na podatników z pozostałych państw spadłby obowiązek spłacenia przypadającej nań części długu.

Tak czy owak do – wkrótce, bo już w 2021 r. – niemal 1,5 bln zł własnego długu do spłacenia (jeszcze w 2019 r. mieliśmy go „tylko” 1 bln zł), dojdzie część z owych 250 mld zł długu zaciągniętego „na rachunek UE”. Po zsumowaniu obu kwot gołym okiem widać, że coraz mniej dzieli nas od 2,25 bln zł, a tyle mniej więcej wynosi roczny PKB Polski. No i teraz ciekawe, czy Polska w tym korkociągu zadłużania się – teraz już „z pomocą UE”, a jakże – zdoła osiągnąć pułap 100 proc. PKB, czy nie zdoła, bo wcześniej zbankrutuje?

PS Na dodatek, gdyby komuś przyszedł do głowy polexit – choćby dlatego, by uwolnić się od unijnego przymusu zadłużania się – powinien pamiętać, że z powodu uwikłania się we wspólny dług UE (na razie do 2058 r.) wyjście z Unii jest dziś jeszcze mniej możliwe, niż było wczoraj. ©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

„Yes, yes, yes!” wersja 2020

Dostaniemy ponad 770 mld zł” – to hasło ma pokazywać, jak wielka jest skala zwycięstwa Polski w negocjacjach o unijne pieniądze. Warto więc może przypomnieć, że UE nie robi nam przelewu na jakieś konto i po czym nie stwierdza: „Macie, zróbcie sobie z tym, co chcecie”. Te pieniądze są ściśle znaczone i niekoniecznie mają iść na to, co jest nam akurat najbardziej potrzebne.

W przypadku Polski większość przypadającej nam sumy z Funduszu Odbudowy,

planów w negocjacjach o Fundusz na rzecz Sprawiedliwej Transformacji, mający wspomagać przekształcanie gospodarki pod Europejski Zielony Ład. Przy czym tutaj dysproporcja w stosunku do potrzeb jest wprost druzgocąca. Szacunki kosztu wprowadzenia neutralności klimatycznej w Polsce do 2050 r. wahają się od 240 mld euro (Komisja Europejska) do aż 850 mld euro (firma McKinsey), podczas gdy w tej perspektywie budżetowej z funduszu przypadnie nam... 3,5 mld euro.

Dostaniemy natomiast spore pieniądze z Funduszu Spójności – blisko 67 mld euro – oraz w ramach Wspólnej Polityki Rolnej – 28,5 mld euro. Tylko czy po dramatycznym kryzysie, spowodowanym pandemią, najbardziej akurat potrzebujemy dopłat do rolnictwa?

Z kolejnymi budżetami unijnymi jest zawsze tak samo: rządy triumfują, jak niegdyś Kazimierz Marcinkiewicz wykrzykujący: „Yes, yes, yes!” albo Donald Tusk krojący siedem lat temu wielki tort z euro, nikt natomiast nie przedstawia całościowych bilansów zysków i strat. Nawet po zakończeniu budżetowej perspektywy. Przy czym tym razem po raz pierwszy mamy do czynienia z sytuacją, gdy UE narzuca nam realne, olbrzymie koszty w postaci swojej polityki klimatycznej oraz wpręga nas w mechanizm wspólnych kredytów. Zamiast tryumfalizmu przydałyby się rzetelne rachunki. ©

Z kolejnymi budżetami UE jest zawsze tak samo: rządy triumfują, nikt natomiast nie przedstawia bilansu zysków i strat

mającego rozruszać gospodarkę po pandemii, to nie dotacje (23 mld euro), tylko pożyczki (34 mld euro), które trzeba będzie spłacić. Te pożyczki są zresztą przez rząd wliczane do owych „770 mld zł”, choć uczciwie byłoby je odjąć od tej sumy, a wtedy mielibyśmy o ok. 150 mld zł mniej. Proporcja pożyczek do grantów w Funduszu Odbudowy to zwycięstwo unijnych skąpców, bo pierwotnie tych pierwszych miało być mniej niż tych drugich.

Straciliśmy też wiele w stosunku do pierwszych



Świat bez turystów



Jacek Przybylski

Koronawirus wypłoszył miliony podróżników z najbardziej obleganych miast i regionów świata. Część mieszkańców znalazła sobie nowe zajęcia i po zakończeniu pandemii nie chce powrotu hord turystów. Są też miejsca, które jeszcze niedawno chciały mocno ograniczyć ruch turystyczny, a teraz marzą o powrocie bogatych gości



W roku 2020 jednym z modnych kierunków ogromnych wycieczkowców z różnych regionów świata stał się turecki prom „Aliaga”. W tutejszej stoczni są one przerabiane z wymarzonej przez dekady atrakcji wielu turystów na setki ton złomu. Wielkie firmy żeglugowe, sprzedając swoje statki na żyletki, próbują uciec przed widmem bankructwa. Skala pozbywania się modnych do niedawna jednostek jest

tak duża, że w stoczniach rozbiórkowych zaczyna brakować miejsca.

Pandemia i radykalne ograniczenie ruchu pasażerskiego sprawiły także, że niemal wszystkie linie lotnicze zaczęły przerabiać swoje starsze maszyny – od boeingów 767 do wielkich airbusów – na frachtowce, którymi przewożą już wyłącznie towary.

Koronawirus odmienił nie tylko światowe porty czy lotniska, lecz także

najchętniej odwiedzane miejsca na ziemi. Najbardziej znane miasto na wodzie – które przed wybuchem pandemii odwiedzało rocznie grubo ponad 20 mln turystów – w wyniku koronawirusa straciło większość odwiedzających i... błyskawicznie odżyło. Już po tygodniu bez tłumów i gigantycznych wycieczkowców weneckie kanały na tyle się oczyściły, że znów zaczęły w nich pływać ławice ryb oraz kaczki i łabędzie. Po kilku tygo-



popyt z strony przyjezdnych, przez co łatwiej było na wyspie kupić karnawałową maskę niż bochenek chleba. Wielu właścicieli opustoszałych restauracji tęskni za to za wpływami z turystyki. W fatalnej sytuacji są też hotelarze oraz gondolierzy, którzy narzekają, że nawet po ponownym otwarciu granic w czerwcu tego roku i zniesieniu części ograniczeń ich zarobki spadły do ok. 10–15 proc. tego, co mieli przed rokiem. To spory problem, bo z turystyki żyje ponad 65 proc. weneccjan.

Władze Wenecji zdecydowały więc, że w roku 2021 spróbują jeszcze ściągnąć jak najwięcej bogatych gości, ale już od 1 stycznia 2022 r. wstęp do miasta będzie biletowany. Wysokość opłaty – od 3 do 8 euro – ma zależeć od sezonu. Zgromadzone w ten sposób pieniądze mają zaś być przeznaczone na utrzymanie kanałów i ulic w należytej czystości.

Jednocześnie w mieście przybywa osób, które nie chcą powrotu do masowej turystyki. Architekt Giovanni Leone, przewodniczący inicjatywy DOVE, przekonuje, że Wenecja to nie tylko kanały i słynne na cały świat zabytki, lecz także np. rozbudowana sieć bardzo szybkiego Internetu. Leone marzy więc o tym, aby zamiast rzeszy turystów przyciągnąć do miasta na wodzie młodych ludzi, którzy zostaną w nim na dłużej i z północnych Włoch będą pracować w sektorze nowoczesnych technologii.

Wielu weneccjan – miasto liczy obecnie ok. 50 tys. stałych mieszkańców – nie chce powrotu 15–16 mln turystów rocznie, którzy wpadają do miasta tylko z kilkugodzinną wizytą. Zwolennicy inicjatywy DOVE propagują więc rozwój zjawiska określanego mianem „slow tourism”, czyli trendu w turystyce, który zdaniem specjalistów może być kluczowy dla tej branży w XXI w. Podobnie jak w innych rzeczach „slow” (np. slow food) nacisk stawiany jest nie na ilość, ale na jakość. Zwolennicy mody na slow travel chcieliby, aby turyści w Wenecji zostawali dłużej, mogli rozmawiać z mieszkańcami miasta, a także uczyć się tajników typowego dla tego regionu rzemiosła, np. wytwarzania wyrobów ze szkła.

Do masowej turystyki z czasów przed koronawirusem nie chcą wracać również mieszkańcy wielu innych miast i państw. Podobne cuda natury co weneccjanie podczas pandemii zaczęli obserwować również stali mieszkańcy innych najbardziej znanych zakątków globu.

W Cagliari – stolicy Sardynii – wiosną ludzie przecierali oczy ze zdumienia, bo w pobliżu portu pojawiło się wiele chętnych do zabawy delfinów. W hiszpańskiej Barcelonie podczas lockdownu po wydłubionych ulicach zaczęły krążyć dziki, a w opuszczonym przez stada turystów San Francisco dostrzeżono kojota.

BEDUINI WŚRÓD MIGDAŁÓW

Nagle ograniczenie ruchu podróżnych przylatujących do Egiptu – który według wstępnych szacunków na COVID-owym zamknięciu granic stracił ponad miliard dolarów miesięcznie – mocno odmieniło też życie Beduinów. Jak pisał egipski „The National Post”, po potężnym ciosie, jaki koronawirus zadał branży turystycznej, wielu Beduinów nie mogło już zarabiać na życie, zapraszając żadnych wrażeń gości do swych wiosek (niektóre z nich często od początku do końca zbudowane były wyłącznie w celach turystycznych). COVID-owe restrykcje sprawiły więc, że setki Beduinów przestały odgrywać rolę małą w cyрку i wróciły do tradycyjnych form zarabiania na przetrwanie, czyli uprawy warzyw i owoców (m.in. migdałów) oraz hodowli kóz. – Prowadzę wymarzone życie. Odżywiam się zdrowo, piję czystą wodę ze studni i zarabiam, sprzedając produkty z własnych upraw. Czy potrzeba mi czegoś więcej? – przekonywał reporter Reutersa Farhan, który przed wybuchem pandemii pracował jako przewodnik oprowadzający turystów po górze Synaj, a obecnie uprawia winogrona, miód, migdały i warzywa i ani myśli wracać do starej branży. Tradycyjna forma zarabkowania przynosi bowiem o wiele pewniejsze dochody niż turystyka, w której po boomie w każdej chwili może przyjść nagła zapaść.

Wielu Beduinów nadal marzy jednak o powrocie zamożnych zagranicznych gości, zarabianiu na sprzedaży pamiątek czy oferowaniu krótszych i dłuższych przejażdżek wielbłądami. We wrześniu – po poluzowaniu restrykcji – wrócili też do swej ukochanej tradycji, czyli organizacji wielkich wyścigów wielbłądów. Dla właścicieli tych zwierząt brak turystów to koszmar, bo ich przychody dramatycznie spadły, a za utrzymanie wielbłądów wciąż muszą płacić.

REWOLUCJA NA WYSPACH

O tym, jak niebezpieczne jest uzależnienie gospodarki od pieniędzy, które

dniach surowych COVID-owych obostrzeń mieszkańcy miasta zakochanych zobaczyli, jak nad przejrzystymi wodami krążą kormorany i kolorowe perkozy.

BILET DO WENECJI?

Weneccjanie z pewnością nie tęsknią za głośnymi statkami, z których wylewają się ropa i olej, hordami podróżnych rozdeptujących miasto ani sklepami, w których asortyment podyktowany był



■ przywożą zagraniczni turyści, przekonano się też wiele państw wyspiarskich.

Rządzący na Bali – słynnej indonezyjskiej wyspie, w której przed pandemią ponad połowę PKB stanowiły przychody z turystyki – zdecydowali więc, że aby zabezpieczyć kraj przed kolejnymi okresami wielkiej biedy wywołanej brakiem zagranicznych gości, zaczną rozwijać eksport produktów rolnych (np. ukochanego przez Chińczyków mangostanu), a także zainwestują w rozwój przemysłu rzemieślniczego.

Do korzeni musieli wrócić również mieszkańcy wymarzonych przez wielu turystów Karaibów. Gdy wyspy zamknęły się na przyjezdnych, lokalna ludność, aby zarobić na życie, zajęła się m.in. hodowlą kurczaków, rybołówstwem i uprawą leczniczych ziół.

– To okres, w którym możemy spojrzeć w głąb siebie i żyć tak, jak nauczyli nas nasi przodkowie – zauważa Uwahnie Martinez, przedstawicielka ludu Garifuna, czyli potomków rdzennych mieszkańców wysp oraz rozbitek ze statków wiozących afrykańskich niewolników na plantacje w Ameryce. Cytowana przez portal TravelWorld.com Martinez podkreśla, że nie chciałaby powrotu do masowej turystyki. Wolałaby bardziej świadomych gości, którzy chcieliby lepiej poznać lokalną kulturę. Tymczasem dotychczas wszelkie „programy artystyczne” ograniczały się do robienia z rdzennych mieszkańców „cyrkowych klaunów”. Jak przekonuje, powrót do korzeni wzmacnia społeczność rdzennych ludów i zmniejsza ich ekonomiczną zależność od wielkich kurortów.

WAKACJE W ŻŁOTYCH KLATKACH

Według raportów Światowej Organizacji Turystycznej wciąż ok. 40 proc. kierunków turystycznych jest zamkniętych dla zagranicznych gości. Część rządów liczy jednak na powrót turystów, ale już nie wszystkich. Władze Tajlandii zdecydowały, że nie chcą otwierać granic dla tysięcy backpackersów, wyruszających na zwiedzanie Azji ze 100 dol. w kieszeni. Tajowie nie chcą już dłużej być celem masowej turystyki i kojarzyć się z tanim wypoczynkiem oraz brudnymi, zatłoczonymi plażami. Zamiast tego skupiają się na przyciągnięciu do kraju zdrowych, bogatych turystów, korzystających głównie z pięciogwiazdkowych kurortów, a także na promowaniu turystyki medycznej. Jak tłumaczył na łamach „Bangkok Post” mi-



Pandemia sprawiła, że Wenecja opustoszała

FOT. ADOBE STOCK

nister turystyki Tajlandii Phiphat Ratchakitprakarn, rząd opracował szczegółowy plan odbudowy branży turystycznej. Władze obliczyły, że jedna osoba w najlepszym hotelu spokojnie wyda więcej niż pięciu biedniejszych turystów. A brak tłumów pozwala odbudować się rafom koralowym, zwiększyć populację żółwi, które rozmnażają się, składając jaja na plażach, oraz zachęci menty do powrotu do wybrzeży kraju.

Po otwarciu granic w październiku zagraniczni turyści mogą liczyć na długie luksusowe wakacje ze wspaniałym jedzeniem, z basenami do wyłącznej dyspozycji i romantycznymi widokami, których nie przysyłają hordy obdartych podróżników. W zamian za ogromne pieniądze – na dwutygodniowy pakiet dla dwóch osób trzeba wydać ok. 40 tys. zł – można w komfortowych warunkach spędzić w jednym ze wskazanych luksusowych kurortów obowiązkową 14-dniową kwarantannę (pamiętając jednocześnie, że próba opuszczenia komfortowej willi z basenem skutkuje interwencją policji, która na przyjazd do niepokornego turysty ma do 15 min). Dopiero po kwarantannie można udać się do innego wybranego i opłaconego hotelu (położenie turystów śledzi specjalna aplikacja lub elektroniczna opaska na rękę).

Minimalny okres wakacji w tajskiej złotej klatce w ramach specjalnej wizy STV wynosi 30 dni, choć władze najmiłszym okiem patrzą na tym, którzy chcą spędzić w luksusowym kurorcie dni 90. Do wniosku wizowego należy dołączyć potwierdzenie opłaconego noclegu na cały długi pobyt, potwierdzenie posia-

dania ubezpieczenia zdrowotnego na 100 tys. dol. oraz wynik testu wykonanego 72 godz. przed wylotem. W zamian Tajowie obiecują wakacje z dala od tłumów – rząd kraju, w którym przed wybuchem pandemii spodziewano się 40 mln turystów, liczy początkowo na zaledwie 1,2 tys. turystów miesięcznie.

Dzięki temu bogaci mogą liczyć na wakacje z niewielkim ryzykiem zarażenia się koronawirusem. Kraj nieźle radzi sobie bowiem z walką z pandemią, w hotelach podczas kwarantanny dwa razy dziennie mierzona jest temperatura, a osoby, u których stwierdzono infekcję, leczone są w dobrych miejscowych szpitalach.

Na bogatych turystów liczą też modne do niedawna kraje europejskie, takie jak choćby Islandia, która jesienią przyciągała zawsze tłumy żądne obejrzeć nie tylko groźne wulkany, lecz także przepiękną zorzę polarną. W tym roku władze wyspy chcą jednak przyciągnąć na długie wakacje tylko najbogatszych turystów. A za najbogatszych – jak poinformował Bloomberg – uważają tych, którzy rocznie zarabiają milion islandzkich koron (czyli ok. 300 tys. zł). Na przyciągnięcie bogaczy liczą też władze Bermudów czy Kajmanów.

Kiedy państwom, których gospodarka w dużej mierze zależy od turystyki, uda się znów zarabiać na zagranicznych gościach na skalę sprzed pandemii? Tego wciąż nie wiadomo. Eksperci branży lotniczej szacują, że powrót ruchu pasażerskiego do poziomu z 2019 r. potrwać może aż do roku 2024. Zmiany w tej branży są więc przesądzone.

© All rights reserved

TEST „DO RZECZY”: GREEN CELL POWER PLAY ULTRA

Pojemność wynosząca aż 26 800 mAh, nowoczesny design oraz możliwość ładowania nie tylko tabletów czy smartfonów, lecz także nawet laptopów – to największe zalety modelu Power Play Ultra 2, najnowszego powerbanku krakowskiej firmy Green Cell.

Wykonany z aluminium Power Play Ultra ma pojemność 26 800 mAh, czyli najwięcej, ile może liczyć powerbank, aby można go było wziąć ze sobą na pokład samolotu. Dzięki czterem portom o łącznej mocy 128 W – dwóm USB-C i dwóm USB-A – umożliwia jednocześnie ładowanie z maksymalną mocą czterech różnych urządzeń. Jedno USB-C Power Delivery o mocy aż 65 W umożliwia ładowanie laptopów, drugie USB-C Power Delivery o mocy 27 W zasila energią tablety, a pozostałe dwa USB-A Ultra Charge 18 W powinny w miarę szybko przywrócić pełnię życia podłączonym smartfonom (czas ładowania zależy rzecz jasna nie tylko od możliwości powerbanku, lecz także od modelu podłączonego telefonu).

Testowany model może być też ratunkiem w sytuacji, gdy w danym miejscu jest za mało gniazdek elektrycznych. Dzięki funkcji Pass-Through umożliwia bowiem jednocześnie ładowanie powerbanku oraz wszystkich urządzeń, które są do niego podłączone. Plusem jest także możliwość naładowania do pełna samego powerbanku w mniej niż dwie godziny. Na pochwałę zasługują również jakość wykonania oraz minimalistyczne wzornictwo, a zwłaszcza ukośny, świecący na zielono pasek LED, który po

dwukrotnym stuknięciu w obudowę pokazuje poziom naładowania baterii. Powerbank o wymiarach 18,61 x 8,09 x 2,26 cm ma możliwość pracy w zakresie od -10 do +50 st. C. Według producenta urządzenie na bieżąco monitoruje parametry pracy, takie jak np. temperaturę, na bieżąco dopasowuje napięcie wejściowe i wyjściowe oraz oferuje zarówno ochronę przed zwarceniem, jak i głębokim rozładowaniem.

Wady? Power Play Ultra 2 waży ponad pół kilograma (dokładnie 590,3 g) – w plecaku na wycieczkę będzie go więc trochę czuć. Biorąc pod uwagę moc i pojemność, nie ma jednak powodów do narzekania. Druga wada: brakuje możliwości ładowania przez USB-A. Trzeci minus to wysoka cena, która wynosi obecnie aż 549 zł (to dużo nawet jak na możliwości tego urządzenia).

Ci, którzy woleliby coś tańszego, lżejszego i mniejszego, mogą wybrać inny produkt krakowskiej firmy: PowerPlay 20. Model, który spokojnie można zaklasyfikować do TOP 10 powerbanków

dostępnych na rynku, ma 20 000 mAh pojemności, waży 341 g i kosztuje ok. 150 zł. Ma też funkcję Pass-Through, dzięki której może działać jak ładowarka wieloportowa, a także funkcje, które umożliwiają zabranie go na pokład samolotu: od ochrony



przed zwarcieniem do monitorowania temperatury. Od droższego brata różni go poza pojemnością głównie brak portu o mocy 65 W. Mniejszy model nadal jest jednak w stanie naładować tablet oraz dwa smartfony (przy użyciu dwóch USB-A wyposażonych w technologię Ultra Charge). Szkoda również, że jeden port USB-C można w tym modelu wykorzystać jedynie do ładowania samego powerbanku. I że do dodawania mu energii nie można wykorzystać któregoś z portów USB-A. ©©

Jacek Przybylski

REWOLUCJA W TV?

Samsung wprowadził do sprzedaży telewizor o przekątnej 110" wykonany w technologii MicroLED, reklamowanej jako pogromca OLED-ów. Najnowszy produkt południowokoreańskiego producenta wyświetla treści o rozdzielczości 4K. Ramki w nim zostały niemal całkowicie usunięte, dzięki czemu wyświetlacz zajmuje aż 99,9 proc. przedniej powierzchni telewizora. W razie potrzeby gigantyczny ekran, składający się z 8 mln pikseli, można podzielić na cztery mniejsze i na każdym oglądać inne treści. O ten prezent Mikołaja mogą prosić tylko najbogatsi czytelnicy – gadżet kosztuje bowiem w przeliczeniu na złotówki aż 575 tys.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

INTELIGENTNY KARMNIK

Za oknami coraz zimniej, warto więc pamiętać o głodnych i zmarzniętych ptaszkach. Pomóc może w tym Bird Buddy – karmnik typu smart, który wyposażony jest w kamerę z mikrofonem, dzięki czemu nie tylko powiadamia o nowych gościach na drzewie, lecz także umożliwia wykonanie zdjęcia. Co więcej, dzięki użyciu sztucznej inteligencji Bird Buddy jest ponoć w stanie zidentyfikować, co to za ptak (według producenta rozpozna ponad tysiąc gatunków). Aby nie było problemu z zasilaniem, producent oferuje także model z panelem słonecznym. Cena wariantu standardowego: 139 dol., czyli równowartość 515 zł. ©©

Jacek Przybylski

Skutki oglądania seriali



Serial „The Crown” obejrzało już ponad 73 mln widzów FOT. NETFLIX



Joanna Bojańczyk

Kolekcja z królewską rekomendacją, najmodniejsze i nieprawdopodobne stroje genialnej szachistki, french touch po amerykańsku, czyli sprzedać można wszystko

Dzięki serialowi „The Crown” księcia Karola poznaliśmy ostatnio z nie najlepszej strony. Osobiście mam o nim dobre zdanie, ale prawdziwej prawdy dowiedzą się dopiero następne pokolenia – być może. Do tej pory książę znany był jako niezbyt skory do zwierzeń elegancki, dystyngowany dżentelmen, miłośnik dwurzędowych garniturów, walki z hałasem oraz ekologicznej marchewki hodowanej na własnej plantacji. Całkiem nowe oblicze książę ujawnił 6 grudnia, już po tym, jak

„The Crown” zdążyło obejrzyć kilkanaście milionów widzów.

Nowe oblicze – to moda. Ruch ze strony takiej osoby nieoczekiwany. Widział kto, żeby rodzina królewska zajmowała się takimi bzdetami? Oni mogli być najwyższej niemymi ikonami mody – jak Edward VIII, księżna Diana, jak Kate Middleton czy Meghan. Pozwalać się milcząco podziwiać i naśladować – to jeszcze ujdzie. Ale brać się za projektowanie – to już zejście do samych nizin biznesu i show-biznesu, a tym royalsi się nie zajmują. Projektować mogą celebryci, Rihanna, Madonna, Fenty czy im podobni, moda to przecież niezły show.

A jednak. Ale tu sprawa nie jest tak jednoznaczna, jakby się mogło wydawać. To, że książę Karol firmuje królewskim nazwiskiem kolekcję ubrań męskich i damskich, ma drugie dno. Poza ściskaniem dłoni, doglądaniem ekologicznych upraw i grą w polo książę zajmuje się również ratowaniem angielskiego przemysłu tekstylnego. Czy też raczej rzemiosła, gdyż to – niegdyś słynne angielskie garnitury, szkockie swetry, pledy, kaszmiry – w ciągu

ostatnich kilkunastu lat dało się zdystansować globalnym korporacjom oraz masowej produkcji. Brytyjskie tkalnie, przędzalnie pozamykały się – ręczna praca okazała za droga na masowy zbyt. Książęca inicjatywa jest właśnie próbą ratowania branży. Czy się uda? Nie wiadomo, próbować trzeba.

Przewagą księcia jest to, że na swoich produktach nie musi zarabiać. Ma z czego żyć, a jego nazwisko wystarczy za reklamę. Na początek, działając wspólnie z firmą The Campaign for Wool, „wpuścił” serię wełnianych szali – zysk przeznaczono na cel charytatywny. Cena 220 funtów nie odstraszyła klientów – szale w trzech kolorach projektu firmy Mother of Pearl wyprodukowane w szkockiej tkalni Johnstons of Elgin sprzedały się w jeden dzień.

Teraz mamy więcej: kolekcję tzw. kapsułową, 10 ubrań damskich i osiem męskich. Dwurzędowa kaszmirowa marynarka w kratkę prince de galles, bluzka z jedwabiu biologicznego (jedwabniki odżywione liśćmi morwy rosnącej bez pestycydów, w czystym ekologicznie środowisku, nici jedwabiu są dłuższe i mocniejsze), płaszcz



z wełny merynosów. Klasyka very British. Ze złotego tria materiałów: wełny, jedwabiu i kaszmiru. Ceny: sweter 425 euro, płaszcz – 1325 euro. Nie jest tanio, ale tyle kosztują rzeczy z wysokiej półki; a tutaj jakość z pewnością doskonała, w odróżnieniu od tamtej, często „luksusowej” tandety znanych marek. Kolekcja księcia Karola powstała we współpracy jego fundacji The Prince's Foundation ze sklepem internetowym Yoox Net-A-Porter. Zaprojektowali ją studenci Politechniki w Mediolanie, a uszyła firma Dumfries House.

TELEWIZYJNE GADŻETY

Seriale to gigantyczna i wszechmocna trampolina dla popularyzacji mody. Nawet seriale historyczne, w których specjalizują się Brytyjczycy – nikt nie robi tego lepiej od nich. Mimo że strojów nie da się dzisiaj zastosować, zawsze jakiś wpływ zostaje. O zasięgach seriali może marzyć każdy projektant mody opłacający setkami tysięcy różnych walut reklamy w mediach.

„Downton Abbey” obejrzało 120 mln widzów, „The Crown” – 73 mln, „Gambit królowej” – 62. Każda z tych produkcji wygenerowała też ogromną sferę gadżetową. Fan page „Downton...” na Facebooku miał 70 tys. fanów, T-shirty i linia luksusowych produktów sprzedawały się jak świeże bułki. Podobnie „The Crown” – poduszki, plakaty, kubki, torby, T-shirty. Nie ma turystów w Londynie, można chociaż zmonetyzować telewizję.

Każdy odcinek serialu jest paradą wspańnych strojów, wiele z nich to wierne kopie ubrań rodziny królewskiej z tamtych lat. Nie ma tu żadnej namiastki, żadnego oszustwa. Nad samą suknią ślubną Elżbiety przez tydzień pracował sześciuosobowy zespół hafciarzy. Kosztowała 30 tys. funtów – o ironio, wielokrotnie więcej niż oryginał z roku 1947, którego koszt pokryto w części powojennymi kartkami, przysługującymi także rodzinie królewskiej... Podobnie wierna co do najmniejszego szczegółu jest suknia ślubna Diany.

Jeśli jednak twórcy telewizyjnych kostiumów naśladują życie, to w pewnym momencie życie zaczyna naśladować telewizję. Za kreacjami Diany rzucili się do sklepów fani serialu: za bluzkami z kryżką, sweterkami w owieczki, sukienkami liberty, nawet za okropnymi marynarkami z lat 80. z wywatowanymi ramionami... Brzydka moda lat 80. dzięki czwartemu sezonowi dostała swój moment. Dziennikarze wywyszli także sekret kostiumografki serialu, Amy Roberts. Jest nim londyński second-

-hand, prowadzony przez Chiare Menage, była producentką filmową. Ten sklep stał się dla ekipy kostiumów prawdziwą jaskinią odkryć strojów z lat 70., 80. i 90.

Czy kostium może zrobić krzywdę bohaterowi? Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że ekipa kostiumów „Crown” świadomie niegodziwie potraktowała Margaret Thatcher (w tej roli brawurowa Gillian Anderson). Pani premier, świeżo intronizowana, zaproszona jest przez królową do zamku Balmoral w Szkocji. Thatcherowie przyjeżdżają po południu, lekko onieśmieni, bo w końcu pierwszy raz są z wizytą u Jej Wysokości. W sypialni znajdują bryk: rodzaj podręcznej etykiety i plan pobytu. Na początek: o godz. 18 kolacja. Obowiązuje strój wieczorowy. Margaret i Dennis – ona w sukni do ziemi, on w smokingu punktualnie o 18 meldują się na dole. I cóż zastają? Rozbawioną rodzinę królewską odzianą w swetry i całkowicie zaskoczona niespodziewaną wizytą. Faux pas! Królowa próbuje załagodzić sytuację, nakazując służbie podanie wcześniejszej kolacji, Windsorowie udają się przebrać.

Faux pas. Ale z czyjej winy? Sprawa zostaje załagodzona. Nazajutrz polowanie. Jak to w Szkocji, leje deszcz, królewska ekipa jest w kaloszach i nieprzemakalnych kurtkach Barbour. Wtedy z otchłani zamkowych wyłania się pani premier w pantofelkach na obcasie i eleganckiej sukni. I znowu królowa służy odsieczą, czyli swoimi solidnym półbutami, które ma w bagażniku jeepa. Okazuje się, że z Margaret mają taki sam numer butów.

Nie wiem, czy scenarzyści serialu świadomie zrobili z Margaret Thatcher idiotkę, Gillian Anderson nie ma w tym żadnego udziału, ale jej fryzura – owszem. Miała pani premier rzeczywiście wytapirowaną i wylakierowaną głowę, ale na miłosierdzie boskie – nie aż tak. Trudno mi sobie wyobrazić, żeby Thatcher nie wiedziała, że na polowanie w ulewny deszcz nie idzie się w wizytowej sukience.

IQ I OKO DO MODY

Dzięki serialowi „Gambit królowej” na krótką chwilę szachy, trochę zapomniana i niezbyt widowiskowa gra, stały się



Główna bohaterka serialu „Gambit królowej” – Anya Taylor-Joy – ma oko do mody i figurę do pozazdrosczenia FOT. NETFLIX



Kadr z serialu „Emily w Paryżu”

FOT. NETFLIX

hitem sezonu. 62 mln widzów na całym świecie, wysokie notowania krytyków. Historia Beth Harmon, sieroty i genialnej szachistki wspinającej się po szczeblach kariery w męskim, nudnym świecie graczy. Jaką rolę mogą tu mieć ubrania? Okazuje się, że mogą. Główna bohaterka, w tej roli Anya Taylor-Joy, ma nie tylko wysokie IQ i spojrzenie rannej sarny, także oko do mody i figurę do pozadzroszczenia. W roli prezenterki całego wachlarza kostiumów z lat 50. i 60. odnajduje się doskonale. Serial, jak to na Netflixie, porządnie zrobiony, kostiumy, jak to się mówi: doszyte do ostatniej nitki przez kostiumografkę Gabriele Binder. I tu okazuje się, że serial, którego scenarią są wypadki sprzed pół wieku, może z „historycznych” kostiumów zrobić współczesne hity. Pierre Cardin, Andre Courreges, Balenciaga, sukienki uszyte według amerykańskich katalogów z lat 50. i według modeli Bibi, najmodniejszego sklepu „swingującego Londynu”.

Mimo tych wysiłków i sporego budżetu „Gambit...” pozostaje rąbką serialową, porządnie zrobioną, miłą w oglądaniu, ale toporną. Takie są i kostiumy, odrobione, wyszukane, najmodniejsze i kompletnie nieprawdopodobne. Na czele z ostatnim białym zestawem, w którym Beth defiluje po Moskwie. Tak sobie kostiumografka i reżyser zapewne wyobrażają tę sytuację: skrzyżowanie „Jeziora Łabędziego” z „Królową Śnieżką” – efektowne i bez sensu.

Nad serialem „Emily w Paryżu” nie warto byłoby się pochylić, gdyż jest to składanka stereotypów, głupawych gagów i drewnianego aktorstwa. Czytaj: przepis na przebój. Może nie w gronie widzów najbardziej intelektualnych, ale jednak... Serial już doczekał się własnych parodii.

Można byłoby go sobie darować, ale ciuchy... Może nie tyle dla samych ciuchów, ile dla efektu rażenia, jaki wywołały. Bo autorką kostiumów w tej bajeczce jest słynna Patricia Field, która ubrała bohaterki serialu „Sex & City”. Tym, którzy nie pamiętają, czym był on na początku nowego tysiąclecia, przypomnę, że na co najmniej jedną dekadę zmusił miliony kobiet na całym świecie do noszenia zawrotnie wysokich szpilek, a dzięki niemu szewc Manolo Blahnik stał się artystą i celebrytą.

Tutaj młoda i piękna Emily Copper z Nowego Jorku (w tej roli śliczna Lily Allen), specjalistka od marketingu, przyjeżdża do Paryża wydelegowana do firmy zajmującej się reklamą branży kosmetycznej. Pracują w niej Francuzi, którzy tzw. french touch mają oczywiście we krwi. Wiedzą, jak się zachować, co jeść, czym pachnieć i przede wszystkim, jak się ubierać. Przy okazji mogą być zwykłymi chamami i głupkami, ale mniejsza o to, liczy się, że są french. W ten sposób w rękach twórców serialu znalazła się owa zmistyfikowana La Parisienne, do której nieustannie i bezskutecznie aspirują dziewczyny w stanie

Wisconsin i Yutah... A teraz dołącza do nich Emily. „To młoda i optymistyczna dziewczyna, której nadarzyła się szczególnie okazja pracy w Paryżu i która próbuje naśladować francuski szyk, zachowując jednocześnie tożsamość amerykańską” – opisuje swoją bohaterkę Patricia Field w dzienniku „New York Post”. Czytaj: jeśli to umiejętnie skomercjalizować, to Emily Copper może nosić wszystko. W ten sposób obrandowana od góry do dołu bohaterka staje się chodzącym lokowaniem produktu. Głównie dla trzech marek: Chanel, Kangol (nakrycia głowy) i Marc Jacobs.

Lyst, platforma badawcza branży mody, ustaliła, że w dniach po premierze serialu wyszukiwanie w sieci czapek, kapeluszy i беретów zanotowało trzycifrową podwyżkę. Portal badawczy Stylight odnotował 35-procentową podwyżkę sprzedaży marki Chanel. Mała różowa torebka marki Aldo sprzedała całą jej produkcję w ciągu paru dni. Wyszukiwania jej wzrosły o 64 proc. Podobnie torebka „caméra” marki Marc Jacobs, którą Emily nosi w siódmym odcinku (wzrost o 92 proc.), i torebka marki Kate Spade. Ślicznej Emily udaje się też przekonać kobiety, żeby powróciły do mini. Krótkie spódniczki marki Gani odnotowują wzrost o 300 proc., modele Chiary Ferragni – o 60 proc.

Netflix nie podał jeszcze wyników oglądalności serialu, ale dał do zrozumienia, że był on dużym sukcesem. Trudno w to nie wierzyć.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Pieniądze z Unii nie zastąpią reform

Po grudniowym szczycie Rady Europejskiej wciąż pozostaje wiele znaków zapytania, związanych ze słynnym już rozporządzeniem ws. warunkowości wypłat. Konkluzje szczytu dają nadzieję na to, że owo rozporządzenie będzie stosowane w sposób umiarkowany i nie stanie się narzędziem poli-

re będą stosować rozporządzenie ws. warunkowości wypłat. Zwłaszcza że zastosuje się do nich Komisja Europejska. To jednak wcale nie jest pewne. Komisja od wielu lat nie daje Polsce spokoju, zarzucając naszemu krajowi łamanie praworządności. Zatem dlaczego teraz miałyby nie skorzystać z okazji, jaką są to rozporządzenie i na-

źródłem tego odbicia będą przede wszystkim warunki, jakie państwo stworzy przedsiębiorcom. W Polakach drzemie ogromny potencjał, jesteśmy narodem przedsiębiorczym i zaradnym. Ten potencjał trzeba umieć wyzwolić. Idźmy zatem wzorem takich krajów jak Estonia, w której postawiono na proste rozwiązania dotyczące np. prawa podatkowego. Efekt jest taki, że ten nadbałtycki kraj od lat plasuje się w czołówce rankingów gospodarczych. I to jest clou rozwoju. Znoszenie barier, przystępne w stosowaniu prawo, szybko i sprawnie działające urzędy – to powinny być najważniejsze tematy w dyskusji o gospodarce. Pieniądze z Unii mogą pomóc, ale nie zastąpią prawdziwych reform. A to od nich w długiej perspektywie będzie zależało, jak szybko będziemy się rozwijać i jakie znaczenie w świecie będą miały polskie przedsiębiorstwa.

Potrzebujemy zatem dyskusji o systemie podatkowym, który będzie zachęcał do inwestycji i innowacji. Musimy pomyśleć o tym, jak zmniejszać inne bariery inwestycyjne i obciążenia regulacyjne. Takich tematów wciąż brakuje w debacie publicznej. Pojawiają się, owszem, ale wciąż mówi się o tych sprawach za mało. Bieżące pieniądze z Unii, ustalenia kolejnego szczytu to być może sprawy ważne, ale z punktu widzenia naszego rozwoju są kwestie istotniejsze. Takie, które wymagają strategicznego przekierowania naszych działań na rzecz wsparcia polskiej przedsiębiorczości.

*Autor jest prezesem
Rady Gospodarczej Strefy Wolnego Słowa
www.radagospodarcza-sws.pl
www.fpg24.pl*



Piotr Hofman, prezes Rady
Gospodarczej Strefy Wolnego Słowa

tycznego szantażu wobec takich krajów jak Polska. Trzeba jednak zachować czujność – eurokraci już nieraz pokazali, że nie zamierzają odpuścić tym, którzy nie chcą płynąć w głównym nurcie integracji. A nurt ów prowadzi nieuchronnie do państwa federalnego, z silną rolą centrum decyzyjnego i coraz mniejszym znaczeniem państw narodowych.

Nie chcę wchodzić w dyskusję, czy konkluzje po szczycie Rady Europejskiej są prawnie wiążące czy nie. Wydaje się, że powinny być przynajmniej poważnie brane pod uwagę przez instytucje unijne, któ-

re zdają, które daje. A pamiętajmy, że jednym z nich jest możliwość powstrzymania wypłat z funduszy unijnych. To prawdziwy test na dobrą wolę – jeśli Komisja ją wykaże i będzie respektować ustalenia ze szczytu, to nie powinniśmy mieć się czego obawiać. Jeśli nie, to najpewniej czeka nas kolejna prawniczopolityczna telenowela, z wcale nie tak pewnym happy endem.

Dla naszego kraju zaś najważniejsze jest pokryzysowe odbicie, czyli powrót polskiej gospodarki na ścieżkę szybkiego i stabilnego wzrostu. Tutaj pieniądze z Unii rzeczywiście by się przydały. Niemniej

Zielona

Z pewnością polska energetyka za 20 lat będzie wyglądała inaczej. Według projektu „Polityki energetycznej Polski do roku 2040” ponad połowę mocy zainstalowanych mają stanowić źródła nisko- i zeroemisyjne, a nie jak obecnie – węglowe.

Nic dziwnego, że wielkie koncerny energetyczne modyfikują swoje strategie. Na przykład PGE Polska Grupa Energetyczna, która jest największym producentem energii elektrycznej w kraju, postawiła sobie za cel osiągnięcie neutralności klimatycznej do 2050 r.

ZAMIEŃĆ CZARNE I BRUNATNE NA ZIELONE

Mimo że w planach transformacji energetycznej jest jeszcze wiele niewiadomych, wiadomo z pewnością jedno: na tę transformację potrzeba pieniędzy. Naprawdę wielkich.

– Nie da się zrobić transformacji energetycznej i sprawiedliwej transformacji bez środków UE. To niewykonalne – podkreśla Piotr Woźny, prezes ZE PAK.

– W Brukseli jest zrozumienie dla skali wyzwań, które stoją przed Polską. Dla transformacji, która musi być przeprowadzona szybko, ale też odpowiedzialnie i racjonalnie. Umożliwiając przy tym wzrost gospodarczy, zapewniając miejsca pracy i stałe dostawy prądu w rozsądnych cenach – ocenia wiceminister klimatu i środowiska Adam Guibourgé-Czetwertyński.

Polska na transformację energetyczną ma zagwarantowane ponad 29 mld euro z różnych mechanizmów europejskich. Jak mówi wiceprezes NFOŚiGW Artur Lorkowski, finansowanie będzie kaskadowo rosło: – W perspektywie dwóch-trzech lat możemy mówić o wzroście dostępnych środków do poziomu 18 mld zł rocznie.

Tyle że unijny Fundusz Modernizacyjny to – w opinii prezesa PGE Wojciecha Dąbrowskiego – ograniczone środki, które nie wystarczą na transformację polskiej energetyki. – Liczymy na utworzenie odpowiedniego programu dla wielkoskalowej energetyki w ramach Funduszu Modernizacyjnego. Oczekiwalibyśmy też utworzenia krajowego funduszu celowego, który będzie zasilany przychodami ze sprzedaży uprawnień. Instrumenty te powinny wspierać inwestycje w OZE w wielkoskalowej energetyce – mówi prezes zarządu PGE.

Polska stoi przed koniecznością zbudowania nowego systemu energetycznego w najbliższym 20-leciu. Konieczne są inwestycje w OZE. Wielkim wyzwaniem będzie dekarbonizacja. Jak ją przeprowadzić? Jak sprawić, żeby skutki tej transformacji w jak najmniejszym stopniu odczuły lokalne społeczności? – zastanawiali się uczestnicy debaty „Ku neutralności klimatycznej: jak wesprzeć transformację energetyki i regionów górniczych” zorganizowanej przez redakcję „Polityka Insight”

Bo to jest naprawdę niezbędne. – Aby przyspieszyć przechodzenie z węgla na OZE, potrzeba przede wszystkim zwiększyć inwestycje w odnawialne źródła wytwarzania. W najbliższej dekadzie mamy zamiar wydać na zielone inwestycje 75 mld zł – deklaruje prezes Wojciech Dąbrowski.

Na razie jednak spółki energetyczne są obciążone wysokimi kosztami związanymi m.in. z opłatami emisyjnymi. Jak podliczył prezes ZE PAK, firma w ciągu czterech lat (z 2020 r. włącznie) zapłaci w sumie 2,3 mld zł podatku emisyjnego.

– Skoro spółka ponosi takie koszty swojego funkcjonowania, to nie bardzo

ma skąd wziąć środki na przeprowadzenie transformacji energetycznej – mówił Piotr Woźny.

Koszty te są znacznie wyższe u elektroenergetycznego giganta, który obecnie ponad 80 proc. sprzedawanej energii wytwarza z węgla. – PGE za rok 2020 zapłaci za uprawnienia do emisji 6 mld zł – mówi prezes Dąbrowski. – Te środki do nas nie wracają. Wyprowadzana jest z Grupy ogromna kwota, która mogłaby być inwestowana w OZE – dodaje.

KWADRATURA WĘGLA

Jednym z elementów planu odchodzenia od węgla i przechodzenia na OZE



ewolucja



jest pomysł uprządkowania struktury przemysłu energetycznego, czyli wydzielania aktywów węglowych do osobnego podmiotu. O powstaniu Narodowej Agencji Bezpieczeństwa Energetycznego na bazie PGE GiEK mówi się już od kilku miesięcy.

– Dla grup energetycznych wydzielenie elektrowni węglowych będzie oznaczać możliwość pozyskiwania kapitału na inwestycje na znacznie korzystniejszych warunkach. Dziś problemem jest uzyskanie finansowania OZE, jeśli się posiada w portfolio źródła węglowe. Te możliwości pozyskania finansowania są znacznie gorsze aniżeli w przypadku firm, które są oczyszczone z aktywów węglowych – podkreśla prezes Wojciech Dąbrowski.

Kiedy miałyby się odbyć taka swoista „dekarbonizacja” grup energetycznych? Zdaniem prezesa Wojciecha Dąbrowskiego dobrym terminem jest przyszły rok. Trzeba przy tym pamiętać, że aktywa węglowe – mimo niesprzyjającego otoczenia regulacyjnego – generują znaczne przychody i ich pozostawienie po 2025

r. jest konieczne w celu zapewnienia bezpieczeństwa dostaw energii w kraju. Docelowo – tłumaczy prezes PGE – tę wielkoskalową energetykę opartą na węglu kamiennym i brunatnym mają zastąpić siłownie jądrowe.

Na razie węgiel pokrywa ok. 75 proc. zapotrzebowania polskiej elektroenergetyki. Z tego ponad 25 proc. przypada na węgiel brunatny.

Właśnie węgiel brunatny jest spalany w elektrowniach ZE PAK, a także w największej na świecie siłowni wytwarzającej energię z tego surowca – należącej do PGE Elektrowni Bełchatów (o mocy 5 GW), która zaspokaja prawie 20 proc. krajowego zapotrzebowania na energię elektryczną. Złoża, z których jest zasilana, za ok. 10 lat zaczną się wyczerpywać, co postawi pod znakiem zapytania jej dalsze funkcjonowanie w obecnym kształcie. Jednocześnie wiadomo również, że ZE PAK planuje zaprzestać produkcji energii w swoich jednostkach węglowych do roku 2030 (już wyłącza elektrownię Adamów). Jak tłumaczy prezes ZE PAK SA, decyzja o wyłączeniu

elektrowni była wynikiem kalkulacji biznesowej. Produkcja energii z węgla brunatnego przy wysokich, sięgających 30 euro, cenach uprawnień do emisji przestaje być opłacalna.

PROJEKT SPOŁECZNY

Zarówno elektrownia Bełchatów (ok. 8 tys. pracowników), jak i ZE PAK (zatrudnia we wschodniej Wielkopolsce 4,5 tys. osób) to na lokalnym rynku największy pracodawcy, a płacone przez nich podatki są poważnym źródłem zasilałym budżety samorządów. Nic dziwnego, że transformacja energetyczna, w tym również zapowiedzi wydzielenia elektrowni węglowych PGE do osobnego podmiotu, budzi jednak obawy w lokalnych społecznościach. Jak je wesprzeć?

Potrzebne są połączone działania – państwa, samorządów, spółek energetycznych wsparte odpowiednimi funduszami.

– O transformacji myślimy jako o wielkim projekcie społecznym, który chcemy zrealizować dla ludzi, dla naszych pracowników, przy udziale lokalnych społeczności – mówi prezes PGE, który jednocześnie rozwiewa obawy przed utworzeniem nowego podmiotu skupiającego aktywa węglowe, deklarując, że zmiany nie zajdą bez dialogu społecznego. – Bez naszych pracowników nie przeprowadzimy żadnej transformacji, bez ich zgody to się nie odbędzie – mówi prezes Wojciech Dąbrowski.

Prezes PGE podkreśla, że proces dochodzenia do neutralności klimatycznej będzie trwał ok. 30 lat, bo przecież radykalna transformacja z dnia na dzień nie jest niemożliwa ze względów społecznych, technicznych i ekonomicznych.

– PGE nie pozostawi regionów bez konkretnych rozwiązań – zapowiada prezes Dąbrowski.

To nie tylko słowa, lecz także konkrety. Dla samego Bełchatowa Grupa PGE zamierza powołać w przyszłym roku centrum kształcenia, które będzie pomagało w przekwalifikowaniu się mieszkańców regionu i pracowników firmy. Będzie można tam zdobyć kwalifikacje do wykonywania zawodów związanych z OZE i IT. Aż 2,5 mld zł przeznaczy Grupa PGE na inwestycje w regionie bełchatowskim – powstanie tam zakład przekształcania odpadów z odzyskiem energii, farmy wiatrowe i fotowoltaiczne. Strona rządowa analizuje również budowę elektrowni jądrowej właśnie w tym regionie.

(Nie)wydolne serca Polaków

pacjentom, jak i systemowi ochrony zdrowia – dodaje dr Kałużna-Oleksy.

SKĄD TA EPIDEMIA?

Dlaczego serce jest niewydolne? Niewydolność serca to konsekwencja wielu innych schorzeń, np. nieleczzonego lub niewłaściwie leczonego nadciśnienia tętniczego, choroby wieńcowej, ale także zawału serca czy powikłań kardiologicznych po grypie, a czasem niektórych wad wrodzonych. Niewydolne serce nie dostarcza do komórek wystarczającej ilości odpowiednio natlenowanej krwi, stąd objawy: szybkie męczenie się, duszność, początkowo po dużym wysiłku, potem po coraz mniejszym, obrzęki, zwłaszcza kostek.

– Już co 30. Polak ma niewydolność serca. Między 2014 a 2018 r. liczba osób z NS w Polsce wzrosła o 65 tys. Dziś jest to już 1,24 mln osób, a jeszcze trzy-cztery lata temu było to poniżej miliona. NS to dziś największa bezpośrednia przyczyna zgonów w Polsce. Co roku umiera z tego powodu 41 tys. osób – podkreśla dr Kałużna-Oleksy.

Pacjenci z niewydolnością serca mają gorsze rokowanie niż chorujący na najbardziej rozpowszechnione nowotwory: 40,6 proc. pacjentów nie przeżywa pięciu lat życia od zdiagnozowania niewydolności serca.

CIERPIENIE PACJENTA I KOSZTY DLA BUDŻETU

Ogromnym problemem jest niedostateczne leczenie. Dochodzi wówczas do zaostrzenia choroby, co często kończy się koniecznością pobytu w szpitalu. W Polsce liczba hospitalizacji 2,5-krotnie przewyższa średnią dla krajów OECD, co pokazuje, jak wiele trzeba zmienić. Każda hospitalizacja (a ściślej mówiąc zaostrzenie choroby, które powoduje konieczność hospitalizacji) pogarsza rokowanie chorego: średni czas przeżycia pacjenta po jednej hospitalizacji wynosi 2,5 roku, a po czterech hospitalizacjach spada aż do 0,9 roku. – Wiemy, że na niewydolność serca umierają głównie osoby starsze, z wielochorobowością. Jednak nie tylko. Bardzo poważnym czynnikiem ryzyka zgonu jest liczba hospitalizacji, ponieważ każda z nich wiąże się z zaostrzeniem choroby – potwierdza prof. Przemysław Leszek, przewodniczący Asocjacji Niewydolności Serca PTK.

Niewydolność serca pogarsza jakość życia, skraca je i prowadzi do wcześniejszego



Katarzyna Pinkosz

Epidemia COVID-19 będzie wygasać, jeśli jednak nic nie zmienimy, to nadal będzie trwała epidemia niewydolności serca. Niewiele osób zdaje sobie sprawę, że to właśnie ta choroba jest pierwszą przyczyną zgonów w Polsce – podkreślali eksperci w trakcie debaty „Do Rzeczy”

Chociaż ten rok zapisze się w historii z powodu epidemii COVID-19, to mimo trudnej sytuacji z tym związanej cały system ochrony zdrowia nie może być nastawiony tylko na leczenie tej choroby. Co to może spowodować, widać było w ostatnich miesiącach roku, gdy dramatycznie wzrosła liczba zgonów w Polsce. Większość z nich nie była spowodowana bezpośrednio infekcją SARS-CoV-2, tylko niedostatecznym leczeniem innych chorób, o których „zapomniano” w czasie epidemii. Jedną z nich jest niewydolność serca.

Jeszcze przed okresem COVID-19 sytuacja tej grupy pacjentów była trudna.

– Chcieliśmy wiedzieć, jak ona realnie wygląda, dlatego zainicjowaliśmy stworzenie raportu „Niewydolność serca w Polsce”. Powstał on z braku akceptacji dla otaczającej nas rzeczywistości. Sytuacja pacjentów z niewydolnością serca w ostatnich latach bardzo się pogorszyła – mówi Agnieszka Wołczenko, prezes stowarzyszenia Eco-Serce i inicjatorka powstania Porozumienia Organizacji Kardiologicznych. Nad raportem pracowali eksperci zajmujący się leczeniem niewydolności serca oraz z dziedziny farmakoekonomiki, analizując dane o zachorowalności, liczbie pacjentów, liczbie zgonów i kosztów choroby. – Wiedzieliśmy, że niewydolność serca jest epidemią XXI w., jednak dane, które uzyskaliśmy po szczegółowej analizie problemu, są jeszcze bardziej zatrważające – mówi dr Maria Kałużna-Oleksy, kardiolog i prezes Polskiego Stowarzyszenia Osób z Niewydolnością Serca.

Z raportu wynika, że dziś na niewydolność serca w Polsce choruje nawet 1,2 mln osób, a 16 osób z tego powodu co godzina umiera. Jeszcze przed epidemią COVID-19 Polska zajmowała niechlubne pierwsze miejsce wśród wszystkich krajów OECD pod względem liczby hospitalizacji z tego powodu. – Mamy jednak pewne sugestie, jakie rozwiązania należy wprowadzić, by przyniosły dużą korzyść zarówno

FOT. ADAMSTOCK



zgonu, ale oprócz cierpienia pacjentów i ich rodzin oznacza też ogromne koszty dla systemu ochrony zdrowia. Koszty leczenia szpitalnego są dużo wyższe, niż gdyby chorzy byli dobrze „zaopiekowani” wcześniej i nie dochodziło u nich do zaostżeń, konieczności hospitalizacji i bardzo skomplikowanego leczenia. – Koszty niewydolności serca w Polsce są olbrzymie. Same koszty bezpośrednie, związane z leczeniem pacjenta, sięgają 1,7 mld zł, z czego 1,6 mld zł to koszty hospitalizacji. Jeszcze większe są koszty pośrednie, społeczne, związane ze skróceniem życia, zmniejszoną produktywnością – to ok. 4,4 mld. W dodatku one nadal rosną, gdyż nasze społeczeństwo się starzeje – podkreśla prof. Marcin Czech, prezes elekt Polskiego Towarzystwa Farmakoekonomicznego. Zaznacza jednak, że są możliwe oszczędności – dzięki poprawie opieki nad pacjentem.

POTRZEBNA LEPSZA OPIEKA...

– Raport mówi sam za siebie, wnioski są przygnębiające, zarówno jeśli chodzi o umieralność, która jest dramatyczna, jak i wzrost kosztów bezpośrednich i pośrednich. Najgorsze jest jednak to, że mimo iż ponosimy tak wysokie koszty niewydolności serca, to śmiertelność wcale się nie zmniejsza – podkreśla prof. Adam Witkowski, prezes Polskiego Towarzystwa Kardiologicznego. Eksperti mówili o rozwiązaniach, które są w stanie zmienić aktualną sytuację. Dwa filary to poprawa organizacji opieki nad chorymi oraz lepszy dostęp do farmakoterapii.

W 2016 r. PTK zaproponowało wdrożenie w Polsce unikalnego w skali świata programu KONS, czyli koordynowanej opieki nad pacjentem z niewydolnością serca. W listopadzie 2018 r. ogłoszono nawet jego inaugurację i zapowiadano wejście w formie pilotażu, jednak do tej pory to się nie stało. – Wiemy, że pandemia pokrzyżowała szyki, powinniśmy jednak program wprowadzić, ponieważ zawiera on rozwiązania, które świetnie sprawdziłyby się też w czasie pandemii, kiedy konieczne jest ograniczenie konieczności hospitalizacji. Mam nadzieję, że uda się doprowadzić do rzeczywistego wdrożenia programu, bo inaczej pandemia koronawirusa zacznie w końcu wygasać, a epidemia niewydolności serca będzie się nadal rozwijać, co będzie pochłaniało ludzkie życie i zasoby budżetu, czyli nasze – zaznacza prof. Witkowski.

Profesor Jarosław Kaźmierczak, konsultant krajowy w dziedzinie kardiologii, ■



prof. Adam Witkowski, prezes Polskiego Towarzystwa Kardiologicznego

Opieka powinna być kompleksowa, ponieważ same leki nie rozwiążą problemu, jednak również samo przesunięcie ciężaru opieki nad pacjentem na lekarzy POZ i AOS go nie rozwiąże. To muszą być działania komplementarne i zązębiające się: koordynowana opieka, refundacja leków o udokumentowanej wartości, możliwość hospitalizacji pacjentów w trybie jednego dnia, telemonitoring urządzeń wszczepialnych. Muszą być spełnione wszystkie te wymagania. Na pewno konieczne jest też dołożenie środków na leczenie, jednak w kolejnych latach pieniędzy na ochronę zdrowia powinno być więcej, dlatego więcej powinno być też zarówno na leki, jak i na KONS. Nie traktujmy tego jako wydatek, tylko jako inwestycję w zdrowie. Dzięki temu części osób damy szansę na powrót do normalnego funkcjonowania. To absurd, że obecnie w Polsce z powodu niewydolności serca umiera rocznie 5 tys. osób w wieku produkcyjnym.



prof. Jarosław Kaźmierczak, konsultant krajowy w dziedzinie kardiologii

Koordynowana opieka nad pacjentem z niewydolnością serca (KONS) i nowoczesna farmakoterapia – to dwa filary, które mogą zmienić obraz leczenia niewydolności serca w Polsce. Sama poprawa farmakoterapii nie rozwiąże problemu, jednak sama poprawa organizacji leczenia, bez nowoczesnych terapii, również nie poprawi sytuacji pacjentów. Leki, o których mówimy, za kilka lat staną się tanie, jednak nie możemy tracić tych lat, bo stracone lata to pacjenci, którzy tracą życie. Uważam, że refundacja floszyn w tym wskazaniu jest pilna, i liczymy, że do niej dojdzie. Nie musi ona obejmować wszystkich pacjentów, nie wszyscy przecież tych leków wymagają.



prof. Przemysław Leszek, przewodniczący Asocjacji Niewydolności Serca PTK

Oprócz poprawy opieki koordynowanej nad pacjentem z niewydolnością serca oraz dostępu do skuteczniejszej farmakoterapii bardzo ważna jest też edukacja pacjenta. Liczymy na programy edukacyjne skierowane do społeczeństwa, by eliminować czynniki ryzyka niewydolności serca, jak również skierowane do pacjentów. Nasze analizy pokazały też, że bardzo ważna jest rehabilitacja pacjenta z niewydolnością serca. Już samo jej włączenie poprawia rokowanie. Pokazuje to, że jeśli zajmijmy się pacjentem kompleksowo, to osiągniemy najlepszy efekt.



Agnieszka Wołczenko, prezes Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Pacjentów ze Schorzeniami Serca i Naczyń „Eco-Serce”, inicjatorka Porozumienia Organizacji Kardiologicznych

Aktualna sytuacja pokazała, jak istotne jest zaopiekowanie się pacjentami z niewydolnością serca. Te dwa filary – KONS plus farmakoterapia dla pacjentów najgorzej rokujących, którzy nie reagują na inne leki – to fundament postępowania. Minister Łukasz Szumowski w trakcie kongresu PTK w ubiegłym roku sugerował, że konieczne są zmiany w obszarze opieki nad pacjentem z niewydolnością serca oraz że jeśli będą rekomendacje dotyczące leków poprawiających rokowanie i zmniejszających częstość hospitalizacji z powodu niewydolności serca, to ministerstwo będzie je chciało włączyć do list refundacyjnych. Czekamy na zmiany.



■ również podkreśla konieczność poprawy organizacji opieki nad pacjentami. – To, jak jest ona ważna, widzimy po efektach programu KOS, koordynowanej opieki nad pacjentem po zawale serca. Program, polegający na lepszej, koordynowanej opiece nad pacjentem, edukowaniu go i rehabilitacji, już przyczynił się do zmniejszenia śmiertelności w tej grupie chorych – dodaje prof. Kaźmierczak.

Z konieczności poprawy opieki zdaje sobie sprawę Ministerstwo Zdrowia. – Widzieliśmy, że opieka ambulatoryjna w Polsce jest za słaba, że najbardziej kuleją podstawowa opieka zdrowotna i współpraca z lekarzem specjalistą. Gdy ta współpraca jest dobra, pacjenci mogą być prowadzeni bardzo długo bez ryzyka zaostrzenia stanu zdrowia i konieczności hospitalizacji – podkreśla wiceminister zdrowia Maciej Miłkowski.

... I LEPSZA FARMAKOTERAPIA

W leczeniu niewydolności serca są stosowane leki z różnych grup (większość jest w Polsce refundowana), jednak w ostatnich latach pojawiły się dwa przełomy, których możliwość zastosowania może znacznie zmienić rokowanie części chorych. Pierwszy to lek sakubitryl/walsartan, o który już od dawna występowali eksperci – spowalnia on proces postępowania niewydolności serca. Drugim przełomem są floszyny – leki stosowane już u pewnej grupy chorych na cukrzycę typu 2, którzy są jednocześnie obciążeni problemami kardiologicznymi. Niedawno pojawiły się jednak wyniki badań floszyn świadczące o tym, że te leki są też skuteczne w niewydolności serca bez towarzyszącej cukrzycy.

Stosowanie floszyn poprawia wydolność serca, pacjenci mają mniejszą duszność; jeśli mieli obrzęki kończyn dolnych, to one się zmniejszają. Z badań klinicznych wynika, że dzięki zastosowaniu leków z grupy floszyn zmniejsza się liczba hospitalizacji spowodowanych niewydolnością serca i wydłuża się życie. – Z uwagi na to, jeszcze zanim pierwszy lek z tej grupy został zarejestrowany w tym wskazaniu w Europie, złożyłem do ministerstwa wniosek o jego refundację – zaznacza prof. Kaźmierczak. W listopadzie Europejska Agencja Leków zatwierdziła dapagliflozynę: pierwszy lek z grupy floszyn do leczenia niewydolności serca u pacjentów bez towarzyszącej cukrzycy.

LIST PACJENTÓW I EKSPERTÓW

Dziewięć organizacji pacjentów skupionych w Porozumieniu Organizacji



dr Marta Kałużna-Oleksy, kardiolog, prezes Polskiego Stowarzyszenia Osób z Niewydolnością Serca

Z punktu widzenia lekarza opiekującego się pacjentami z niewydolnością serca i będąc prezesem stowarzyszenia, które powstało, by pomóc pacjentom zagubionym w systemie ochrony zdrowia, widzę, że niewydolność serca to tragiczna w skutkach choroba. Tą grupą chorych musimy się zająć. Opieka nad pacjentami jest niedostateczna, jednak dla osiągnięcia dobrych efektów konieczna jest skuteczna farmakoterapia. To dwa filary, na których musimy się oprzeć.



wiceminister zdrowia Maciej Miłkowski

Jako obywatel całkowicie zgadzam się z takimi apelami i je popieram, mamy jednak problem kosztów, gdyż często koszt leków przekracza koszty hospitalizacji. Spośród floszyn tylko dapagliflozyna ma na razie wskazania w niewydolności serca bez towarzyszącej cukrzycy. Wniosek o objęcie refundacją został przedstawiony w listopadzie. Może być jednak problem ze sfinansowaniem terapii dla 150–200 tys. pacjentów; być może będziemy musieli szukać takiej populacji, dla której ten lek jest najbardziej istotny. Nie należy zapominać, że podstawą jest dobrze funkcjonująca podstawowa opieka zdrowotna i ambulatoryjna opieka specjalistyczna; i to musimy pacjentom zapewnić. Zgadzam się z intencją listu, jednak nie zawsze wszystkie oczekiwania od razu możemy spełnić.



prof. Marcin Czech, prezes elekt Polskiego Towarzystwa Farmakoekonomicznego, wiceminister zdrowia w latach 2017–2019

Solidaryzuję się z panem wiceministrem Maciejem Miłkowskim, jeśli chodzi o trudność i złożoność podjęcia decyzji dla tak dużej populacji pacjentów. Pamiętamy jednak, że zdrowie to inwestycja, a nie koszt, ponieważ gospodarka zależy od zdrowia. Dynamika dochodzenia do 6 proc. PKB na zdrowie i przeznaczanie 16–16,5 proc. budżetu NFZ na leki powinny uruchomić pewne rezerwy finansowe. Ważne jest też, że nasz system pozwala na bardzo skuteczne negocjacje cen dzięki wszystkim instrumentom dzielenia ryzyka. Mamy wachlarz możliwości, powinniśmy rozmawiać o rozwiązaniach, aż będzie to do zaakceptowania przez budżet.

Kardiologicznych 30 listopada napisał list otwarty do ministra zdrowia Adama Niedzielskiego z prośbą o interwencję i poprawę leczenia: „Pacjenci z niewydolnością serca to jedna z niewielu grup chorych, która w ciągu ostatnich ośmiu lat nie otrzymała szansy na ograniczenie częstości hospitalizacji, poprawę jakości życia i rokowania. Sytuacja chorych z niewydolnością serca w okresie epidemii COVID-19 znacznie się pogorszyła. Polscy pacjenci, którzy z powodu braku dostępu do optymalnej terapii często mają zaostrzenia choroby, wymagają częstych hospitalizacji, które teraz są trudno dostępne” – piszą sygnatariusze listu, prosząc o szybkie wdrożenie programu KONS oraz nowych terapii

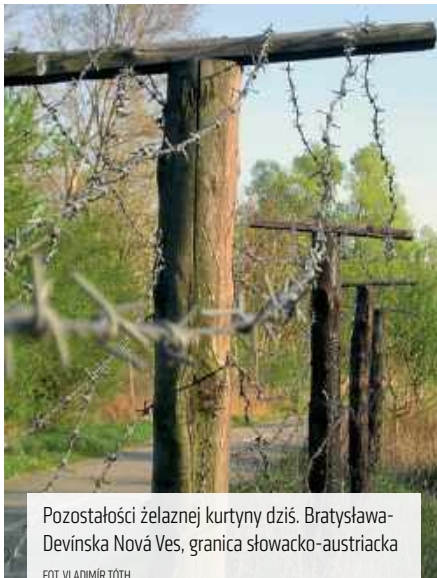
farmakologicznych dla pacjentów z tą chorobą. – Nie jesteśmy ekspertami medycznymi, jesteśmy jednak ekspertami z dziedziny życia z tą chorobą. Przez ostatnie osiem lat pacjenci kardiologiczni byli na szarym końcu rozwiązań refundacyjnych, nie otrzymali nowych leków. Stąd nasz gorący apel, krzyk z prośbą do decydentów o pochylenie się nad naszymi problemami – mówi Agnieszka Wołczyńska.

Pod listem podpisali się zarówno prof. Adam Witkowski, prezes PTK, jak i prof. Jarosław Kaźmierczak, konsultant krajowy w dziedzinie kardiologii. Czekają na odpowiedź ministra, a przede wszystkim na realną poprawę sytuacji pacjentów.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Pamięć o ofiarach żelaznej kurtyny w czasach Schengen



Pozostałości żelaznej kurtyny dziś. Bratislava-Devínska Nová Ves, granica słowacko-austriacka

FOT. VLADIMIR TÓTH

Platforma Europejskiej Pamięci i Sumienia oraz Ośrodek Pamięć i Przyszłość chcą zachować pamięć o tych ludziach i pomóc im oraz ich rodzinom dochodzić swoich praw. Chcemy zwrócić uwagę na to, że komunizm krzywdził ludzi na wiele różnych sposobów, w tym także poprzez ograniczanie swobody poruszania się. Nasza współpraca zaowocowała projektem bazy danych on-line dokumentującej ofiary żelaznej kurtyny – Victims of the Iron Curtain. Baza dostarcza informacji o osobach, które z różnych przyczyn próbowały przekroczyć granice państw. Na podstawie badań archiwalnych przedstawiamy podstawowe informacje o ofiarach, których próba ucieczki nie skończyła się powodzeniem.

Obecnie baza liczy ponad 1800 spraw i ciągle jest rozbudowywana. Baza dostępna jest pod adresem www.ofiary.eu. Wierzmy, że może ona być wstępem do uzyskania prawnej rehabilitacji i odszkodowania w Czechach oraz na Słowacji dla ofiar represji.

Gorąco również zachęcamy do kontaktu Świadków Historii, którzy chcieliby się z nami podzielić swoją historią



Pas śmierci muru berlińskiego, 1977 rok. Widoczne zasieki, przeciwczołgowy jeź i wieża strażnicza

FOT. GEORGE GARRIGUES

związaną z przekraczaniem granicy albo ucieczką na Zachód.

Odwiedź stronę projektu, aby dowiedzieć się więcej: www.memoryandconscience.eu

Dzisiaj, aby przekroczyć granicę Polski z jej sąsiadami w Unii Europejskiej, wystarczy mieć przy sobie dowód osobisty. W czasach PRL taka wyprawa bez zgody władz była jednak zabroniona. Wolność poruszania się i poszukiwania swojego miejsca poza granicami państwa była bardzo skutecznie ograniczona, zezwalano na to jedynie wybranym

Ofiarami takiej polityki byli ci, którzy w czasach panowania partii komunistycznych w naszej części Europy próbowali uciec ze swoich krajów. Jedną możliwością dla nich było opuszczenie ojczyzny nielegalnie. Symboliczna jest historia Hartmута Tautza, który pragnął tylko studiować w konserwatorium muzycznym, czego odmawiano mu w jego ojczyźnie, a został zabity w trakcie przekraczania granicy w pogoni za swoim marzeniem. Również polscy studenci, tzw. taternicy, spotkali się z represjami wyłącznie dlatego, że przenieśli przez granicę PRL książki niewygodne dla władzy. Ucierpieć mógł każdy, kto przekroczył granicę bez pozwolenia, a takich osób były tysiące.



Straż Graniczna NRD (Grenztruppen) z owczarkiem niemieckim

FOT. BUNDESARCHIV, BILD 183-42998-0006



JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Car w Gostyninie

Zamek w Gostyninie, którego pierwsze mury wznosił książę mazowiecki Siemowit IV, przez kolejne wieki był zdobywany, rabowany i niszczony: w czasie potopu szwedzkiego, wielkiej wojny północnej, konfederacji barskiej, wreszcie po trzecim rozbiórce rozebrany przez Prusaków. Obecnie na jego miejscu znajduje się hotel, który nie ma nic wspólnego z dawną budowlą.

Miejsce związane jest z uwięzieniem cara Moskwy Wasyla IV

kowa, a potem pojawił się kolejny, wspierany przez Polaków pretendent do tronu – Dymitr Samozwaniec II, podający się za cudownie ocalonego poprzednika. Wreszcie w 1609 r. Rzeczpospolita uderzyła na Smoleńsk. Hetman Stanisław Żółkiewski rozbił pod Kłuszynem armię moskiewsko-szwedzką i podszedł pod stolicę. Szujskiego zrzucano wówczas z tronu, ogolono mu głowę i zesłano do monasteru, a bojarzy wybrali na władcę królewicza Władysława, późniejszego króla Polski. Upokorzony car zabrany został do Warszawy, gdzie 29 października 1611 r. złożył hołd pruski przed królem Zygmuntem III Wazą. Następnie w grudniu został zesłany jako jeńiec do zamku w Gostyninie. Razem z nim przybyli jego bracia – Dymitr z żoną Katarzyną i najmłodszy – Iwan.

Gostynin był wówczas silnym zamkiem, jednocześnie niepozbawionym podstawowych wygód. Niewola Szujskiego nie wyglądała tragicznie, zwłaszcza porównując ją z późniejszym uwięzieniem ostatniego króla Polski Stanisława Augusta Poniatowskiego. Szujscy, jak podaje Zygmunt Librowicz, „byli oddani w zamek pod straż honorową i luźną [...], wedle kronikarzy obchodzono się z nimi po królewsku”. Oznaczało to, że chociaż carskiej rodziny pilnowało na początku 40 strażników, jednak mieli oni swobodę poruszania się po twierdzy i okolicy. Dymitr Cwietajew pisze, że car mieszkał w murowanej izbie nad bramą, zamykanej na zamek i zasuwę. Pomieszczenie miało cztery okna, podłogę z cegły, piec, kominek i szafę w ścianie. Carskiego brata Dymitra i jego żonę trzymano w komnacie na parterze w głównych pomieszczeniach zamkowych. Dowódcą straży odpowiedzialnym za uwięzienie cara był starosta gostyniński Jerzy Garwaski, bezpośrednio zaś pilno-

wał go Zbigniew Bobrowski. Car korzystał z własnej służby, a jego wydatki pokrywała Rzeczpospolita. Co miesiąc na utrzymanie dworu wydawano 228 zł i 20 gr, co stanowiło odpowiednik rocznego dochodu szlachcica z jednej małej wioski.

Pomimo w miarę ludzkich warunków car przeżył w Gostyninie tylko kilka miesięcy. Jeńcy, jak podaje Marian Chudzyński, zaczęli szybko chudnąć z żalu za utraconą ojczyzną i władzą; wkrótce poumierali. Wasyl Szujski przeżył w Gostyninie według jednych źródeł do 26 lutego 1612 r. albo do 22 września. Zmarł w swojej izbie, w obecności braci, w wieku 60 lat. Dosłownie kilka dni później – 27 września – umarł średni brat – Dymitr Szujski, niesławny dowódca wojsk moskiewskich i szwedzkich pod Kłuszynem w 1610 r. Wkrótce potem odeszła jego żona Katarzyna – 25 listopada, w obecności ostatniego członka rodziny – carskiego brata Iwana. Tak niespodziewane zgony już u współczesnych sprowokowały pytanie, czy nie zostali otruci. Nic o tym nie wiadomo, być może stali się ofiarami epidemii lub choroby; historycy podejrzewali, że car zmarł na ciężkie zapalenie płuc. Najmłodszy z Szujskich – Iwan Szujski – uważał, że zgony braci spowodowane były „wołą boską”. Jako jedyny został też wkrótce uwolniony przez Zygmunta III Wazę, być może w związku z faktem, że zdecydował się podjąć służbę u jego syna – królewicza Władysława. Służył u niego siedem lat i w 1619 r., po zawarciu rozejmu, odmówił powrotu do Moskwy.

Cara Wasyla i jego brata Dymitra pochowano w kaplicy w Warszawie, w okolicach dzisiejszego pałacu Staszica przy Nowym Świecie. Stała się ona w latach późniejszych przedmiotem zacieklej sporów między Rzeczpospolitą i Moskwą. ©



FOT. DOMINA PIŁBECZNA



Gostynin

I RZECZYPOSPOLITA

Szujskiego i jego rodziny. Był to jedyny przypadek w historii Rosji, aby koronowany wład-

ca zakończył życie jako jeńiec wojenny. Szujski, pochodzący z rodu Rurykowiczów, potomek księcia włodzimierskiego Andrzeja Jarosławowicza, był człowiekiem bezwzględny, marzącym o czapce Monomacha. Kiedy w 1605 r. runęło panowanie cara Borysa Godunowa, przyłączył się do zwolenników popieranego przez Polaków Dymitra Samozwańca. W 1606 r. stanął na czele spisku, w wyniku którego wybuchł bunt w Moskwie, wspierający cara Polacy zostali wymordowani, a władca zabity. Carem obwołano Szujskiego, który rządzić miał jako Wasyl IV. Wkrótce jednak rozpoczęło się powstanie Bołotni-

MAKA, WODA I... DUŻO MODLITWY

– Produkcja opłatków zaczyna się u nas od modlitwy, a następnie posiania pszenicy na części pola obok klasztoru – opowiada „Do Rzeczy” s. Teresa z klasztoru Mniszek Benedyktynek w Drohiczyźnie, w którym działa opłatkarnia zajmująca się wypiekiem komunikantów, hostii oraz opłatków. – Po zbiorach pszenica odwożona jest do młyna i wraca w postaci mąki pierwszego gatunku. Następnie zaczyna się proces wypieku, na początku którego także jest modlitwa. Ciasto składa się wyłącznie z mąki i wody wymieszanych w odpowiednich proporcjach – opowiada s. Teresa.

W całym procesie powstawania opłatków dużą rolę odgrywa pogoda i to nie tylko wtedy, gdy ziarno dopiero wschodzi z ziemi czy dojrzewa w kłosach. – Jeśli nie jest deszczowo, nie jest burzowo, to piecze się bardzo dobrze i placek za plackiem, ładne, gładkie, białe schodzą z maszyny. Jeśli natomiast aura nie sprzyja, to zdarza się, że placki pękają – wyjaśnia mniszka. – Później placki trafiają do pomieszczenia, gdzie są nawilżane zimną parą. Następnie wycina się z nich opłatki i komunikanty. Opłatki wycinamy ręcznie, do wycinania komunikantów i hostii mamy specjalne maszyny – mówi s. Teresa.

Opłatki trafiają na wigilijne stoły w karnetach. Na każdy składają się trzy duże i dwa

małe opłatki oraz wydrukowany obrzęd wigilijny z fragmentem Ewangelii i modlitwami.

– Opłatkarnia powstała na potrzeby naszej diecezji drohiczyńskiej, ale odkąd mamy sklepik internetowy, zamówienia spływają z całej Polski. Jedną z fundacji zamówiła niedawno dużą liczbę opłatków, które będą dołączane do posiłków wydawanych w okresie świątecznym osobom bezdomnym – mówi s. Teresa.

Modlitwą rozpoczął się cykl produkcyjny, modlitwą wszystko się kończy. – W momencie wieczery wigilijnej, kiedy łamiemy się opłatkiem w klasztorze, łączymy się w modlitwie i modlimy się w intencji wszystkich tych, do których nasz opłatek dotarł – mówi s. Teresa. Chociaż opłatkarnia nie jest duża, to każdego roku opłatek omodlony przez benedyktynki z Drohiczyzny trafia na dziesiątki tysięcy stołów. – W 2017 r. podjęliśmy się trudu odbudowy wschodniego skrzydła, gdzie dzięki ofiarności darczyńców udało nam się zainstalować nowoczesną, zmodernizowaną opłatkarnię. Jest to nasze główne źródło utrzymania, bo – jak mówi św. Benedykt – „mnich, mniszka musi utrzymać się z pracy rąk własnych”. Wypiek opłatków to jedno z niewielu zajęć, które możemy wykonywać w klauzurze – kończy s. Teresa. ©

oprac. raw



FOT. ARCH. KLASZTORU MNISZKI BENEDYKTYNEK



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Ekranu czar

Drugi rok z rzędu omija mnie feeria przedświątecznych bałwanek, pędzących sań i sztucznie padających śnieżek. Drugi rok, czyli tyle, ile jesteśmy odłączeni od telewizji. Ale telewizor mamy. Więcej – nawet mamy telewizor całkiem nowy, z dużym ekranem i dobrymi pikselami. Do oglądania filmów, zwłaszcza teraz, kiedy jest to poza lekturą i spacerami jedyna rozrywka.

Związana z kupnem telewizora wizyta w sklepie ze sprzętem AGD nastroiła mnie refleksyjnie. Widok migających ze wszystkich stron ogromnych ekranów przedstawiających porażające dokładnością wizje alpejskich stoków, kry na Grenlandii, surferów zawieszonych na czubku 10-metrowej fali... Wszystko tak dokładne, jakby się tam było.

Czy można dziś żyć bez telewizji? My dajemy radę i znam paru podobnych. Ale takich, którzy w ogóle nie korzystają z przyjemności ekranów, nie znam wcale. Wokół telewizji w jakiejś mierze zawiązuje się wspólnota ponadnarodowa. 70 mln ludzi na świecie oglądało serial „The Crown”, 62 mln – „Gambit królowej”. Rozmowa o hitach platform streamingowych jest tematem zastępczym, który pozwala obejść plemienny konflikt. Nigdy wcześniej obraz nie zajmował tyle miejsca w życiu ludzi. Wygenerował całą sferę wokół siebie, jego bohaterami, jego życiem żywią się dogory-

wające media papierowe, portale plotkarskie, nawet radio. Z niżej podpisana wyłącznie.

Nasz pierwszy odbiornik – telewizor Belweder – miał drewnianą obudowę, ekran wielkości pięści i białe gałki do pokręcania. „Zrób kontrast” – mówiła mama do ojca. Albo: „Rozjaśnij”. Aparat stał przykryty flanelowym pokrowcem, nie wiadomo, czy po to, żeby chronić go przed nami, czy nas przed jego nieznanym, ale na pewno złowrogim wpływem.

W swojej fazie początkowej telewizja nie była żadnym ważnym składnikiem życia. Jeden program, parę godzin, o dwunastej w nocy hymn, obraz kontrolny i koniec. „Miś z okienka”, Edyta Wojtczak, teatr Kobra w czwartek, Teatr Telewizji w poniedziałek. Wyścig pokoju, mecz piłkarski. „Brychczy, strzelaj!” – krzyczał tata, pochylając się do ekranu, jakby chciał piłkarzowi sam wepchnąć piłkę do bramki. Żadnych programów śniadaniowych, rolników szukających żony i Magd Gessler rzucających talerzami.

Telewizja uczy, bawi, informuje. Ale nie należy jej wierzyć. Żeby tylko plusy dodatnie nie przesłoniły nam jej minusów (tak jak było u Tyma i Barei). ©



FOT. ADRIAN STOK



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Plotkuję, więc jestem

Jakiś czas temu pisałem tutaj o nieoczekiwanej popularności, jaką mogłem zdobyć dzięki chorobie COVID-19, którą przeszedłem. Gdybym przyjmował zaproszenia do wszystkich programów i wywiadów, mógłbym być znany prawie tak jak Radek Majdan. Niestety, zaproszenia odrzucałem, a co gorsza – rosnąca liczba zakażonych spowodowała, że straciłem swój medialny powab. We wrześniu byłem łakomym kąskiem, a dziś... ech.

Korzyści z bycia ozdrowieńcem wciąż jednak są. Otóż stałem się pożądanym uczestnikiem życia towarzyskiego, które nieśmiało tu i ówdzie kiełkuje. Co prawda nie trafiłem jeszcze do podziemnych restauracji, które podobno działają w Warszawie na podobieństwo prohibicyjnych barów w USA. Za to pewna grupa zacnych osób zaprasza mnie tu i ówdzie na drinka czy pogawędkę nie ze względu na moje nietuzinkowe i niewątpliwie walory towarzyskie, ale dlatego, że już przeszedłem COVID-19. Czyli nie zarażam. Czyli można się ze mną bezpiecznie spotkać, napić i ponarzekać na rzeczywistość. I poplotkować.

Każda okazja, żeby w tych smutnych czasach spotkać się z kimś twarzą w twarz, jest cenna i nie odrzucam żadnych zaproszeń, choć moja wątroba – tak wspaniale zregenerowana w okresie rekonwalescencji po koronie – zaczyna wydawać pomruki niezadowolenia. I to chyba jedyny mój narząd, który

tęsknie wspomina czasy choroby. Nie można jednak tkwić w przeszłości. Poza tym dbanie o relacje to jednak coś, co czyni z nas ludzi. Podobno język powstał nie po to, żeby sprawnie organizować polowania czy wymieniać informacje o technice obróbki rzemienia, ale żeby plotkować o członkach społeczności. Tak przynajmniej twierdzi w swych arcyciekawych książkach (takich jak „Człowiek: biografia”) antropolog i biolog Robin Dunbar. Czyli obrabianie innym tyłka to niejako kwintesencja człowieczeństwa.

Ciekawym doświadczeniem było dla mnie też ostatnio spotkanie z dwoma innymi ozdrowieńcami. To było jak zlot weteranów wojny w Wietnamie. Każdy opowiedział o swych COVID-owych przejściach, zrelacjonował, co go bolało, jak bardzo nie miał siły i snuł domysły, od kogo i kiedy się zaraził. I kogo sam zaraził.

Ale ile można gadać o chorobach? Owszem, im jestem starszy, tym więcej, ale jednak nie da się nimi wypełnić całej konwersacji trzech mężczyzn w średnim wieku. Może po sześćdziesiątce tak się da, ale jeszcze nie teraz. Kiedy już zatem opowiedzieliśmy sobie absolutnie wszystko o naszych COVID-owych przejściach, skoncentrowaliśmy się na naszym człowieczeństwie. Czyli na plotkach. Dobrze, że sobie poczytałem tego Dunbara – teraz, obgadując innych, nie mam już poczucia, że robię coś niewłaściwego. Wręcz przeciwnie. ©©



MARCIN MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Koniec symetryzmu?

To już niemal pewne, że rząd po świętach zaostrzy rygory sanitarne, z zamknięciem stoków narciarskich i hoteli włącznie. Przegrała logika biznesu, który nie przetrwa braku sezonu, na nic zdały się konsultacje wicepremiera Jarosława Gowina z właścicielami wyciągów. Na dłuższą metę bezowocne okazały się również słynne już telefony prezydenta Andrzeja Dudy. Premier Mateusz Morawiecki, a wiem to z wiarygodnych źródeł, uważa, że jeżeli nie ograniczymy aktywności społecznej w okresie ferii oraz planowanej pierwszej fali szczepień, to czeka nas trzecia fala pandemii, która może potrwać aż do marca. Równocześnie w KPRM panuje przekonanie, że działaliśmy do tej pory „zbyt miękko”, gdy kraje regionu, zwłaszcza Niemcy, postawiły sprawę jasno – twardy lockdown, godzina policyjna i żadnych dyskusji.

Na ich tle Polska postanowiła pójść drogą środka, która przy nieustannych zmianach kryteriów zamrażania branż, niemożliwości wyegzekwowania prawa na zalanych protestami ulicach oraz niekonsekwentnej strategii komunikacyjnej okazała się kwintesencją narodowej szkoły myśli politycznej. Zamiast uczyć się na cudzych błędach, wymyślamy własne. Nie czerpiemy bowiem zysków ani z częściowego otwarcia gospodarki kosztem powiększenia ryzyka sanitarnego, ani z czasowego wygaszenia życia społecznego, w zamian

za potencjalnie szybsze uporanie się z pandemią. Trwamy w permanentnym zawieszaniu między stanem wyjątkowym a udawaniem, że „koronawirus jest w odwrocie”.

Nie jest i jeszcze przez długi czas nie będzie, dlatego zamiast pozostawiać brak lockdownu przy równoczesnym ograniczaniu aktywności społecznej, może warto byłoby rozważyć pożegnanie się z koronawirusowym symetryzmem? Jeśli masowe szczepienia, które według najoptimistyczniejszego wariantu rozpoczną się od końca grudnia, mają przynieść jakiejkolwiek efekty, to muszą być przeprowadzone jak operacja wojskowa. Dyscyplina w podawaniu dwóch dawek na masową skalę jest kluczem do ich skuteczności – inaczej nie zdobędziemy odporności populacyjnej, nie będziemy w stanie wrócić do możliwie szybkiego i pełnego restartowania gospodarki.

Największe państwa na świecie rozumieją, że gra toczy się w tej chwili nie o to, jak spędzimy zimę, ale o to, kto pierwszy wróci do gry na wiosnę i lato – zyskując przy tym przewagę nad sąsiadami. Polacy oraz polski biznes – jeśli ma znowu przykręcić śrubę – zasługują, aby te priorytety zakomunikowano im jasno. Przekonano, że obecne wyrzeczenia nie pójdą na marne, ponieważ w kluczowym momencie rządzącym zabrakło odwagi do podjęcia niepopularnych decyzji. W Berlinie czy Londynie takich dylematów nie mają. ©©



WOJCIECH
ROSZKOWSKI

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Kicz „apostazji”

Wiara” jest dziś słowem mało popularnym. Najczęściej spotykanym podejściem do rzeczywistości jest nieufność. Boimy się wyznaczyć nadzieję czy wiarę, bo może nas spotkać rozczarowanie, ironia lub wykluczenie. A jednak wikłając się w rozmaite konflikty, zapominamy, że u podłoża większości różnic poglądów leży wiara. Pytanie tylko, w co kto wierzy.

Istnieje wiele postaw wobec Boga. Postawa pierwsza wynika z przekonania, że Bóg istnieje oraz że wiara w Niego powinna umacniać osobowy stosunek do Niego, a przez to pozwalać praktykować cnoty stawiane za wzór w Ewangelii. Doskonałość w tym względzie osiągnęli święci, ale każdy jest zaproszony do udziału

Boga jako ważny element swojego światopoglądu, ale bez większych konsekwencji osobistych. Dolną granicę tego rodzaju postawy stanowi deizm, czyli przekonanie, że Bóg wprowadził istnienie, ale nie ma to większego związku z tym światem. Ludzie przyjmujący taką postawę w zasadzie zdają sobie sprawę z tego, że nie wiedzą, ale wierzą i przyjmują to ze spokojem, choć z wiary tej nie wyciągają większych konsekwencji, także w codziennym postępowaniu.

Postawa trzecia polega na unikaniu: nie wiem, więc ani wierzę, ani nie wierzę. Unik polega na uchyleniu się od odpowiedzi na pytanie, czy Bóg istnieje, czy nie. Trzeciego wyjścia bowiem nie ma: albo jest, albo Go nie ma. Dowodzenie, że nawet gdyby Boga nie było, należałoby Go wymyślić, bo jest ludziom potrzebny, bliski, jak sądzę, dużej części tzw. intelektualistów, nie ma podstaw logicznych. Jak można bowiem poważnie wierzyć w coś, o czym ma się przekonanie, że nie istnieje? Traktuje się tu wiarę nie w kategoriach poznawczych, jako konieczne założenie, ale w kategoriach czysto terapeutycznych. Postawa ta jest częsta nie tylko wśród intelektualistów, którzy wierzą, że wiele wiedzą, lecz także wśród rzeszy ludzi niechętnych zajmować się sprawami, których nie są pewni. Tymczasem świat istnieje i mamy Ewangelie, a one stawiają zasadnicze pytania: Co z tego wynika?

Postawa czwarta jest postawą rezygnacji, ale i zakłamania: nie wierzę w Boga, ale nie przyznam, że coś na ten temat wiem. Jest to więc nie tyle niewiara, ile wiara w nieistnienie Boga, ale skrywana przez niezbyt uczciwe przekonanie o swojej wiedzy. Dowodzenie, że Boga nie ma, jest – racjonalnie rzecz biorąc – absurdał, gdyż dowodu takiego nie można zdobyć. Ludzka wiedza przekracza stale nowe granice, ale

postęp naukowy rodzi raczej więcej nowych pytań, niż daje odpowiedzi. Twierdzenie, że nauka dowiodła nieistnienia Boga, jest szalbierstwem. Postawa taka sprowadza się więc albo do wojującego ateizmu, albo do smutnej obojętności na podstawowe pytanie, jakie człowiek winien sobie zadać: Kim jestem i jaki jest sens mojego życia?

Wreszcie najdziwniejsza jest postawa piąta, typowa dla wojujących ateistów. Do tego stopnia wierzą oni w nieistnienie Boga, że gotowi są wierzących w Niego krytykować, wyśmiewać, a nawet przesyłować. Gotowi są manifestować swoją rzekomą apostazję, choć do Kościoła nigdy nie należeli. Jak na manifest polityczny to dość żałosne. Zdumiewać może gorliwość tych ludzi, którzy ze swojej wiary usiłują robić wiedzę. W kwestii istnienia lub nieistnienia Boga nie wiedzą oni jednak ani trochę więcej niż ludzie w Niego wierzący. Źródłem tego rodzaju postawy szukać należy raczej w zawirowaniach emocjonalnych niż w rzetelnej analizie swojej egzystencji.

Warto, by utkwił nam w pamięci obraz Andrei Bocerlego stojącego samotnie przed katedrą w Mediolanie i śpiewającego do pustego placu „Amazing Grace”, pieśń o łasce zadziwienia człowieka nad światem, nad sobą i swoim sumieniem, łasce odbieranej tylko w perspektywie nieskończoności. Gdzie się wówczas podzieli ci wszyscy, którzy nie mają wątpliwości co do nowoczesności, wolności i potęgi ludzkiego umysłu? Tak czy inaczej dziś sprawdzają się genialnie proste słowa Jana Pawła II, że bez Boga człowiek jest sam (Jan Paweł II, „Pamięć i tożsamość”, s. 19). Człowiekowi wierzącemu wiara w Boga daje nadzieję, człowiekowi wierzącemu, że Go nie ma, grozi samoubóstwieniem lub rozpacz. ©

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE



tu w tego rodzaju życiu. Człowiek tak wierzący ma świadomość swej ograniczoności i wie, że wierzy, bo wiedza mu nie wystarcza do zrozumienia siebie i świata, a co więcej – traktuje wspomniane wzory poważnie i bierze je do siebie. Wierząc w Kościół, wie, że tworzą go nie tylko święci, lecz także grzesznicy.

Postawa druga polega na wierze, że Bóg istnieje i jest doskonałym Absolutem, lecz człowiek w swej słabości żyje w tym świecie i siłą rzeczy musi się liczyć z jego prawdami, a przez to traktuje



Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Gdy władza coś mówi – sprawdzam. Gdy podają jakiegokolwiek dane – sprawdzam. Do sprawdzania stosuję kartkę, ołówek i kalkulator. Notuję, co powiedzieli wczoraj, a co mówią dziś. Sprawdzam, co na ten sam temat mówili miesiąc temu lub rok. SPRAWDZAM to zagranie pokerowe – bo oni nas próbują ograć z naszych pieniędzy. Władza nie ma nigdy żadnych pieniędzy własnych – wyłącznie nasze, Twoje, więc sprawdzaj. Z kalkulatorem w ręku.

Posłuchajcie, co mówili na temat szczepionek:

30 listopada – POLSAT:

2 mln szczepień do 30 stycznia, w każdym województwie jeden punkt szczepień. W pierwszym rzucie rząd planuje zaszczepić 16 mln osób.

2 grudnia – TVP1: Ma być jeden punkt szczepień w każdej gminie. Mobilny zespół do szczepień w domu. Latem możemy liczyć na powrót do normalności.

Najpierw jeden punkt szczepień w każdym województwie, a trzy dni później mówią, że jeden w każdej gminie? Zmienili zdanie aż tak radykalnie? Województw jest tylko 16, a gmin 2477 (dane GUS). W ciągu trzech dni doszli do wniosku, że są w stanie zwiększyć liczbę punktów 155 razy. To by znaczyło, że 30 listopada byli kompletnymi dyletantami bez orientacji w terenie lub 2 grudnia kłamią, że dadzą radę uruchomić 2477 punktów w całym kraju, ze specjalnymi lodówkami (szczepionka wymaga transportu i przechowywania w temperaturach -70-80 st. C). Mamy tyle specjalistycznych lodówek i przeszkolony personel do ich obsługi? Bo to nie są zwyczajne

FOT. W. CEROŃSKI, LUDŹ. MARZÓŃSKI



SPRAWDZAM

lodówki, do których sięga się gołą ręką, jak w kuchni.

Sprawa była dla mnie podejrzana. Po pięciu dniach się potwierdziło:

7 grudnia – POLSAT:

10 mln szczepień powinniśmy wykonać do wakacji. Potrzeba po 36 szczepiących w każdym punkcie. Nie mamy takiej liczby pracowników.

Toż to było oczywiste od początku, że nie da rady zorganizować 2477 punktów z obsadą i ze sprzętem. Po co więc było gadać głupoty? Propaganda grubą nicią szyta. Bezczelna. Premier liczył na to, że ja nie mam kalkulatora i ołówka? Mam!

7 grudnia – TVP1: Kilka-set przychodni zgłosiło się do przeprowadzenia szczepień. Trwają konsultacje rządu z samorządami, ze środowiskami medycznymi.

Ha! Dopiero teraz trwają jakieś konsultacje? Nic nie czeka gotowe? Powinno czekać od marca, gdy zaczęliśmy unijne przygotowania do szczepionki na COVID-19. Jak to się ma do informacji z 2 grudnia, że będzie jeden punkt w każdej gminie? Wniosek mój jest taki, że te opowieści o każdej gminie to były pomysły ogólnikowe, a gdy chłopcy wzięli się za konkretniejsze organizowanie tego przedsięwzięcia, to im wyszło, że nie mają dość personelu ani odpowiedniej liczby miejsc, gdzie da się tę operację przeprowadzić, i z liczby 2477 punktów zrobiło się „kilka-

set przychodni” i nerwowe konsultacje, co z tym fantem. Dnia następnego chłopcy z rządu powinni się podać do zbiorowej dymisji, gdy padło coś takiego.

8 grudnia – TVP1: Szczepienia będą tylko w tych szpitalach, gdzie będą odpowiednie warunki przechowywania szczepionek.

Ha, ha, ha! Najpierw (w zasadzie uczciwie mówili) zapewnią „jeden punkt na województwo”, potem łgali, że 2477 punktów w najdalszych zakątkach kraju, a teraz kończą na „niektórych szpitalach”. Komuś, kto tak gada, nie należy wierzyć NIGDY w żadne jego słowo.

2 grudnia – POLSAT:

Premier przedstawia plan szczepień – będą dobrowolne, bezpłatne, początek od lutego. Zakupiono 45 mln szczepionek dla 22 mln osób. A 50,2 proc. Polaków mówi „NIE szczepieniom”.

Połowa Polaków nie chce, a przymusu nie będzie, czyli zakupili dla tej drugiej chętniej połowy z lekką górką na wypadek, gdyby ktoś zmienił zdanie – dobrze i po gospodarsku.

2 grudnia – TVP1: Szczepienia w Polsce może dopiero za dwa miesiące. Ostateczną decyzję ma wydać Europejska Agencja Leków. Aby uzyskać pożądaną efekt, zaszczepić się musi 70 proc. obywateli.

Aaa, czyli decyzje w sprawie szczepienia Polaków nie zależą

od Polaków i premier tylko się chwali, a decyzje podejmuje unijna Agencja Leków. A żeby przestali nam robić lockdown, to zaszczepić się musi (ich zdaniem) 70 proc. społeczeństwa... NIEPRAWDA. Wystarczy zaszczepić 5 proc. starców, a resztę – ludzi odporniejszych, zdrowszych – od ręki możemy uwolnić od restrykcji. 80 proc. ludzi przechodzi przecież COVID bezobjawowo, więc tych szczepić nie trzeba i nie warto – uzyskają odporność bez szczepionki.

8 grudnia – POLSAT: Jest Narodowa Strategia Szczepień. Mamy zamówione 60 mln dawek od sześciu światowych producentów. Każdego miesiąca 1 mln szczepień. Będzie kampania informacyjna w mediach. Zachęty dla tych, którzy w odstępie trzech tygodni przyjmą dwie dawki szczepień. Nie wiadomo, czy będą zwolnieni z noszenia masek.

9 grudnia – POLSAT: Szczepienie 15 mln Polaków może potrwać półtora roku.

To kiedy powrót do normalności?

2 grudnia rząd informował, że na powrót do normalności możemy liczyć latem. Nie podali roku, więc może i latem, ale z informacji wypisanych powyżej nijak nie wychodzi lato 2021 r. Bo aby oni nam pozwolili na normalne życie, to najpierw wymagają zaszczepienia 70 proc. społeczeństwa, a połowa Polaków szczepić się nie chce, a nawet gdyby chciała, to szczepienie pierwszych 15 mln potrwa półtora roku, a zaczniemy szczepić w lutym 2021 r. 70 proc. społeczeństwa to 27 mln osób, a na zaszczepienie 27 mln potrzeba według danych powyższych prawie trzech lat, czyli, jeżeli w ogóle pozwoli na normalne życie, to gadamy o roku 2024, gdy Trump będzie kandydował na drugą kadencję.

© ©

TYGODNIK LISKIENGO

**DO
RZECZY**

**OFERTA
ŚWIĄTECZNA**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

**TYGODNIKA „DO RZECZY” ORAZ
MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”**



**W PREZENCJI
KSIĄŻKA**

MACIEJ ROSALAK
„WIELKIE ZARYSY LUDZKOŚCI”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

193,00 zł

OSZCZĘDNOŚĆ 116 zł

~~309 zł~~

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACJI?

- Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
- Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
- W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPLATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmgp.pl TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

eprasa.pl 54ce54e65d

ROZGRZEJ SIĘ PROMOCJĄ*

Korzystaj z kuponów w aplikacji **ORLEN VITAY**
i zyskuj więcej punktów!

CLUB
VITAY

stop.
cafe



Pobierz aplikację wyszukując w swoim sklepie „**ORLEN VITAY**”



*Promocja trwa od 10.12.2020 r. do 31.01.2021 r. Szczegóły w regulaminie „Akcja Kuponowa” na vitay.pl
eprasa.pl 54ce54e65d

12 Inwestycje w kulturę
i sztukę w czasie pandemii

16 Kto rządzi Unią Europejską
i na Unii zarabia?

20 Czy w Polsce rozpoczęła się już
transformacja energetyczna?

Konserwatywny magazyn ekonomiczno-społeczny



Forum Polskiej gospodarki

Nr 7 (7) grudzień 2020

22 Estoński CIT
w polskiej wersji,
czyli co nam
zafundował
polski rząd?

30 Cud wigilijny
roku 1914
a sprawa polska

Felietony:
Gniadek SVD
Palutkiewicz
Goral

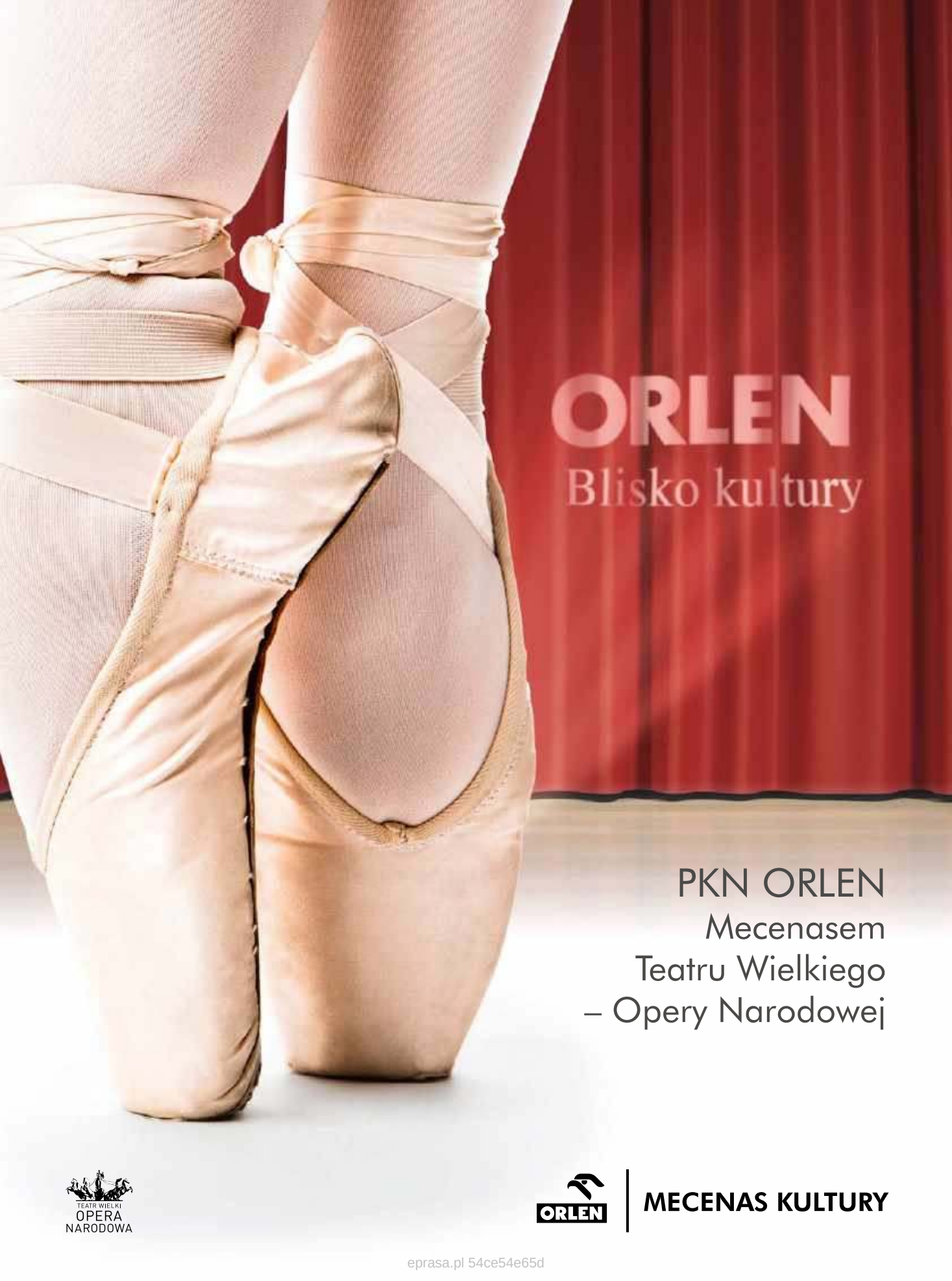


30 Dzika
prywatyzacja
banków
wciąż pogrąża
naszą gospodarkę

6 Polskę stać na finansową niezależność!

Zdrowych i radosnych Świąt Bożego Narodzenia
oraz samych sukcesów w Nowym Roku
wszystkim naszym Czytelnikom
oraz Partnerom Biznesowym
życzą
Wydawca i Redakcja "Forum Polskiej Gospodarki"





ORLEN
Blisko kultury

PKN ORLEN
Mecenasem
Teatru Wielkiego
– Opery Narodowej



06

06 POLSKĘ STAĆ NA FINANSOWĄ NIEZALEŻNOŚĆ!

Na pieniądzech z Brukseli świat się nie kończy. Tym bardziej że ceną za te pieniądze może być początek końca naszej suwerenności i niezależności.

12 INWESTYCJE W KULTURĘ I SZTUKĘ

Finansowe wspieranie kultury to coś więcej niż biznes. To misja i odpowiedź na wyzwanie, jakie społeczna odpowiedzialność biznesu stawia przed takimi firmami jak PKN ORLEN.

15 KTO RZĄDZI UNIĄ EUROPEJSKĄ I NA UNII ZARABIA?

Od wejścia Polski do Unii Europejskiej, której Niemcy są politycznym kierownikiem, w Polsce i w innych krajach Europy Środkowej realizowany jest niemiecki projekt Mitteleuropa.



20

20 CZY W POLSCE ROZPOCZĘŁA SIĘ JUŻ TRANSFORMACJA ENERGETYCZNA?

Unijna polityka klimatyczna to szansa dla polskiej gospodarki na rozwój i wkroczenie na tory innowacyjności czy może zamach na jej konkurencyjność?

22 ESTOŃSKI CIT W WERSJI POLSKIEJ

Od 1 stycznia 2021 roku spółki z o.o. i akcyjne będą mogły korzystać z ryczałtu od dochodów spółek kapitałowych (tzw. estoński CIT).

30 DZIKA PRYWATYZACJA BANKÓW WCIAŻ POGRĄŻA NASZĄ GOSPODARKĘ

Nieprzejrzysta oraz nigdy nierozliczona prywatyzacja polskich banków na przestrzeni ostatnich 30 lat to jeden z pomijanych kosztów naszej akcesji do UE.



34

34 STRATEGIA KGHM NA PÓŁMETKU

Nowe projekty, zmiany w systemie zarządzania, inwestycje, testowanie alternatywnych rozwiązań – jak wygląda realizacja Strategii KGHM Polska Miedź S.A. 2019–2023 na półmetku?

38 ROSNĄ LIMITY, ROSNĄ KARY

Nowe przepisy podatkowe podniosły limity pozwalające na korzystanie z 9 proc. CIT. Od nowego roku wzrosną także kary dla podatników.

40 CUD WIGILIJNY ROKU 1914 A SPRAWA POLSKA

Mało znanym faktem są cuda wigilijne na froncie wschodnim podczas wielkiej wojny...



Forum Polskiej
gospodarki

Wydawca:

Forum Polskiej
Gospodarki Sp. z o.o.
ul. Srebrna 16 lok. 18
00-810 Warszawa
REGON: 386-226-015
NIP: 527-292-86-29
KRS: 0000844719

Redaktor naczelny:

Krzysztof Budka

Zespół redakcyjny:

Robert Azembski,
Tomasz Cukiernik,
Piotr Hofman,
Marek Kutarba,
Jarosław Mańka

Felietoniści:

ks. Jacek Gniadek SVD
Piotr Palutkiewicz
(Związek
Przedsiębiorców
i Pracodawców)
Kamil Goral

Skład i opracowanie graficzne:

Przemysław Banasiewicz

Korekta:

Anna Zakrzewska

Reklama:

reklama@fpg24.pl

Redakcja Forum Polskiej
Gospodarki nie ponosi
odpowiedzialności za treść
reklam i ogłoszeń.



Ostatni zgasi światło

Kończy się bardzo dziwny, ale też przede wszystkim bardzo trudny rok dla olbrzymiej części polskich przedsiębiorców. Gdyby 12 miesięcy temu ktoś powiedział nam, że drugą dekadę XXI wieku zamknijemy deficytem zapisanym w ustawie budżetowej na poziomie blisko 110 mld zł (a przypominam, że miał być budżet zbilansowany), że wiele firm z sektora MSP stanie na skraju bankructwa, że grozić nam będzie potężna fala bezrobocia (na razie odłożonego w czasie), pewnie uznalibyśmy go za wyjątkowo czarną kreaturę, która życzy Polsce samego najgorszego.

Któż mógł wtedy przewidzieć, że za chwilę cały świat dotknie panika związana z nową odmianą koronawirusa i rządy poszczególnych krajów wyłączać będą poszczególne branże z życia gospodarczego dokładnie tak, jak wyłącza się światło w poszczególnych pomieszczeniach biurowych przed wyjściem z pracy do domu (jak to się mówi, ostatni gasi światło). Abstrahując od uzasadnienia tych wszystkich panicznych ruchów, trudno nie dojść do wniosku, że finansowy świat wygląda na taki, który przygotowuje się na gospodarczy reset i nowe rozdanie. Rządy wielu państw zachowują się, jakby kości zostały rzucone.

Dla Polski gra toczyć się będzie w przyszłym roku o to, czy uda nam się wrócić na tory szybkiego wzrostu gospodarczego, jakim mogliśmy się poszczycić przed pandemią. Będą o tym decydować przede

wszystkim decyzje w odniesieniu do polityki gospodarczej, w szczególności zaś te związane z systemem podatkowym i inwestycjami publicznymi. I jak mantrę po raz kolejny trzeba powtórzyć, że kluczowe w tych okolicznościach są działania, które nie będą się wiązały z nakładaniem nowych obciążeń fiskalnych i administracyjnych ani na przedsiębiorców, ani na konsumentów oraz skutecznie skierują strumień środków wydawanych w ramach systemu zamówień publicznych do polskich firm z polskim kapitałem. Pod tym względem sami musimy sobie pomóc, nie czekając ani na nowe unijne regulacje, które – jeśli się pojawią – z całą pewnością dobiją naszą konkurencyjność, ani na pieniądze pożyczone od Komisji Europejskiej na koszt wszystkich państw członkowskich.

Dobrze by było, gdyby polski rząd przedstawił dostosowany do aktualnej sytuacji plan ekonomiczny dla naszej gospodarki na najbliższe lata, ze szczególnym uwzględnieniem potrzeb rozwojowych przedsiębiorstw z sektora MŚP, gdzie głównie akumulowany jest i nadal będzie polski kapitał. Pierwszy punkt takiego planu powinien brzmieć tak: „Przedsiębiorcy, by przetrwać ten niestychanie trudny czas, potrzebują spokoju legislacyjnego”. To jest warunek, od którego odbudowę gospodarki po pandemii należy rozpocząć.

Krzysztof Budka

Polskę stać na finansową niezależność!

Pieniądze są tu jedynie pretekstem. Spór o tzw. praworządność dotyczy tak naprawdę zakresu kontroli i władzy Komisji Europejskiej nad rządami państw członkowskich. Media za naszą zachodnią granicą wcale tego nie ukrywają, pisząc o tym otwarcie. To spór o zakres suwerenności i o to, czym w niedalekiej przyszłości Unia Europejska ma się stać. A według brukselskich decydentów i niemieckich przywódców ma się stać państwem federalnym. Pytanie więc jest takie, czy my do takiego państwa chcemy należeć, czy wręcz przeciwnie - wciąż chcemy być obywatelami suwerennej Polski.

Piotr Hofman

Przez lata unijna propaganda wmawiała Polakom, że z Brukseli płyną do nas same dobrodziejstwa w postaci darmowych środków finansowych, pożytecznych regulacji prawnych oraz dostępu do potężnego rynku, dzięki czemu możemy wreszcie poczuć się jak pełnowartościowi Europejczycy. Wiele w tym wszystkim było zwykłego politycznego PR-u. I nie chodzi o to, by teraz przynależność Polski do Unii Europejskiej dyskredytować, ale by chłodno, bez żadnych ideologicznych uprzedzeń i bez wcześniejszych kompleksów spojrzeć prawdzie w oczy i do końca bilansu zysków i strat.

Nie wierzymy więc w narrację, którą od pewnego czasu bombarduje się polską opinię publiczną, powtarzając jak mantrę, że „Unia chce nam dać tyle pieniędzy, domagając się w zamian jedynie przestrzegania prawa”. To typowa propaganda. Unia nic nam nie daje za darmo. I nie o przestrzeganie prawa jej chodzi.

Bilans netto

Gdybyśmy zadali proste pytanie, czy pod względem gospodarczym Unia nam pomaga, czy szkodzi, bardzo trudno byłoby dziś jednoznacznie na nie odpowiedzieć. Z jednej strony wielkim dobrodziejstwem dla polskich firm jest dostęp do rynku ponad 400 mln konsumentów i na tym nasza gospodarka od lat bardzo korzysta. Zresztą sam bilans netto, jeśli chodzi o przepływ składek, wynosi dla Polski na plus 130 mld euro (około 600 mld zł po aktualnym kursie). To oczywiście pieniądze nie do pogardzenia i argument, który trudno przeczyć.



Z drugiej jednak strony to tylko pewien wycinek rzeczywistości. Całą jej resztę bardzo często się pomija, z różnych zresztą względów. Tym bardziej warto zdać sobie spr-

wę, że to nie polskie, ale zagraniczne firmy od samego początku naszego członkostwa w UE są tego członkostwa największym beneficjentem. Z dużą łatwością zdominowały one polski rynek handlu detalicznego oraz od lat wygrywają kluczowe przetargi publiczne. Ci, którzy na każdym kroku powtarzają, że dzięki funduszom unijnym Polska „rozwija się i jest w budowie”, zapominają dodać, że tę budowę prowadzą z reguły zagraniczne firmy, do których trafia lwia część pieniędzy pozyskanych z UE.

Krótko mówiąc, unijne finanse wracają tam, skąd do nas przysły. Wystarczy prześledzić dane Eurostatu, by szybko dojść do wniosku, że kluczowym beneficjentem rynku wewnętrznego (i całej strefy euro) są przede wszyst-

Zagraniczne firmy od samego początku naszego członkostwa w UE są tego członkostwa największym beneficjentem.

kim Niemcy. Wchodząc do Unii, bezwarunkowo otworzyliśmy swój rynek dla silnych zachodnich firm, pozbawiając szans na realną konkurencję wiele polskich przedsiębiorstw. I te zachodnie firmy – czemu trudno się dziwić – bezlitośnie to wykorzystwały.

To nie przypadek

Być może to przypadek, że kryzys spowodowany pandemią COVID-19 przyspieszył proces przeobrażania się Unii Europejskiej, nie zmienia to jednak faktu, że takie przyspieszenie właśnie nastąpiło. Zresztą – jak mawiają mądrzy ludzie – nie ma przypadków, są tylko znaki. Warto więc te znaki umieć odpowiednio odczytywać.

Spór o unijny budżet i tzw. praworządność to idealny pretekst do tego, by zwolennicy federalizacji Unii Europejskiej sprawdzili, jakie nastroje panują w poszczególnych państwach członkowskich, a tym krajom, gdzie jest społeczny opór wobec tego typu rozwiązań, zwyczajnie pogrozili brakiem partycypowania w środkach z kolejnej perspektywy budżetowej i Funduszu Odbudowy. Szczególnie teraz, gdy widmo gospodarczego krachu zajrzało niemal wszystkim państwom członkowskim w oczy. Moment jest więc doskonały. Należało to tylko zgrabnie ubrać w odpowiednie szaty, a praworządność jako hasło nadaje się do tego idealnie.

Efekt jednak jest taki, że z jednej strony znaleźliśmy się w bardzo niebezpiecznym momencie dla przyszłości Unii Europejskiej jako całości, ale jeszcze bardziej niebezpiecznym dla funkcjo-



fot. PAP / Adam Wierzawa

nowania państw członkowskich, w tym dla naszej niezależności i suwerenności. Jeśli rządy wszystkich państw za fundusze z unijnego budżetu „kupią” narrację dotyczącą praworządności, proces federalizacji jeszcze bardziej przyspieszy. Można być pewnym, że na „przestrzeganiu praworządności” się nie skończy. To tylko wstęp do większej całości.

Co mówią źródła?

By rozumieć „spór o praworządność”, warto sięgnąć do źródeł, a są nimi przede wszystkim traktaty europejskie, stanowiące fundament procesu inte-

gracji. Najważniejsze z nich to Traktat o Unii Europejskiej (TUE) oraz Traktat o Funkcjonowaniu Unii Europejskiej (TFUE). Instytucje Unii Europejskiej działają na podstawie zasady kompetencji powierzonych, która polega na tym, że Unia może być aktywna w tych obszarach, które zostały jej przekazane przez państwa członkowskie w prawie traktatowym. W artykule 5 TUE czytamy: „Zgodnie z zasadą przyznania Unia działa wyłącznie w granicach kompetencji przyznanych jej przez Państwa Członkowskie w Traktatach do osiągnięcia określonych w nich celów. Wszelkie kompetencje nieprzyznane Unii w Trakta-

W żadnym prawnie wiążącym dokumencie europejskim praworządność nigdy nie została zdefiniowana.

tach należą do Państw Członkowskich”.

I to w zasadzie powinno zamknąć cały ten spór raz na zawsze. Przepis ten chroni bowiem poszczególne państwa członkowskie przed samowolą unijnych instytucji i decydentów. Oczywistym jest, że zasada ta wpisana została w TUE nie bez przyczyny. Problem polega na tym, że eurokraci od pewnego czasu próbują zaniegować ten artykuł metodą faktów dokonanych, wprowadzając kolejne precedensy i licząc na to, że nikt się nie zorientuje. Od lat w Unii obowiązuje przecież doktryna mówiąca, że prawo unijne ma pierwszeństwo przed prawem państw członkowskich, czyli de facto traktaty są ważniejsze niż konstytucje poszczególnych krajów. Już sam ten fakt stawia suwerenność państw członkowskich pod ogromnym znakiem zapytania. I choć z poglądem tym jakiś czas temu rozprawił się m.in. Federalny Trybunał Konstytucyjny w Karlsruhe oraz nasz Trybunał Konstytucyjny, to jako ripostę mogliśmy od eurokratów usłyszeć jedynie, że w Polsce... łamana jest praworządność. Ma to być oczywiście element politycznego nacisku na nasz rząd.

Termin praworządności pojawia się co prawda w dokumentach europejskich i w traktatach, jest on jednak wymieniany jako jedna z wielu zasad, które powinny obowiązywać. Natomiast w żadnym prawnie wiążącym dokumencie europejskim owa praworządność nigdy nie została zdefiniowana. W rezultacie każde państwo członkowskie taką praworządność ma po prostu inaczej zorganizowaną. I to jest jeden z elementów niezależności tych państw.

Cena praworządności

Teraz jednak eurokraci zamierzają tę praworządność poddać ścisłej kontroli. Jeśli

rządy państw członkowskich zgodzą się na wejście w życie tego rozwiązania (pokusą mają być środki z kolejnej unijnej perspektywy budżetowej oraz Funduszu Odbudowy – łącznie ponad 1,75 bln euro do podziału), ulegną najzwyklejszemu w świecie szantażowi. Praworządność według Komisji Europejskiej miałaby bowiem obejmować nie tylko wymiar sprawiedliwości, nie tylko aspekt finansowy, lecz także kwestie społeczne, polityczne i obyczajowe (np. zgoda na powszechny dostęp do aborcji czy eutanazji, prawo do adopcji dzieci przez pary homoseksualne



itp.). W rezultacie KE, czyli ciało polityczne bez legitymacji demokratycznej w powszechnych wyborach, zyskałoby potężne narzędzie nadzoru nad rządami poszczególnych państw. Nie trudno wyobrazić sobie sytuację, w której KE blokuje środki z unijnych funduszy, czym powoduje paraliż w funkcjonowaniu demokratycznie wybranego rządu w państwie członkowskim. Na skutek tego rząd w takim państwie nie może normalnie funkcjonować ani realizować programów, na które dostał przyzwolenie od większości obywateli. W ten oto sposób tzw. kontrola praworządności ma stać się skutecznym narzędziem narzucania politycznej woli.

Plan alternatywny

I o to tak naprawdę toczy się batalia. Nie o pieniądze, ale

o prawo suwerennych państw do samostanowienia.

Tym bardziej warto więc, abstrahując od tego całego sporu, przygotować plan B, który dotyczyć będzie polskiej wizji odbudowy naszej gospodarki, niezależnie od wsparcia w postaci unijnych środków. Należy rozpocząć dyskusję na ten temat bez partyjnego zacietrzewienia i ponad politycznymi podziałami. W pierwszej kolejności należałoby odregulować gospodarkę, uprościć przepisy podatkowe i zastanowić się, jak skutecznie zagospodarować 1,3 bln zł. Tyle bowiem wynosi dziś oszczędności prywatne Polaków na różnych bankowych kontach i funduszach. Warto, by państwo stworzyło swoim obywatelom możliwość zainwestowania tych środków w krajowe projekty o strategicznym znaczeniu dla regionu, jak budowa CPK,

inwestycje dotyczące Trójmorza czy przekopu Mierzei Wiślanej. Równocześnie rozwijając i wspierając też mniejsze, lokalne inwestycje związane chociażby z budownictwem mieszkaniowym. Dobrym przykładem jest działanie Orlenu w kwestii wykupienia z niemieckich rąk lokalnych polskich mediów. To ruch w kierunku odbudowy naszej własności w obszarach gospodarki, które niestety prawie w całości zostały przejęte przez obcy kapitał.

Jestem przekonany, że w naszym regionie mamy wystarczający potencjał, aby samodzielnie stworzyć nowy „plan Marshalla” dla Europy Środkowo-Wschodniej na trzecią dekadę XXI wieku. Na pieniądzu z Brukseli świat się nie kończy. Tym bardziej że ceną za te pieniądze może być początek końca naszej niezależności.





Jacek **Gniadek SVD**

Braterstwo pod przymusem

Niedawno na Twitterze znalazłem zdjęcie Jana Pawła II, który stoi przed ogromnym tłumem wiernych z uniesionymi rękoma, a pod nim podpis: „Polacy, co się z nami stało?”. Podałem dalej z komentarzem: „Nic nie dzieje się samo. Każde pokolenie musi walczyć o swoją wolność”.

Pokolenie moich rodziców potrzebowało czasu, by zdefiniować wroga wolności i mu się przeciwstawić. Wróg miał jeden cel. Było nim budowanie społeczeństwa bezklasowego, a do tego niezbędne było obalenie kapitalistycznej własności i zastąpienie jej własnością społeczną.

Dzisiaj młodzi ludzie nie mają łatwo. Tracą wolność, ale większość tego jeszcze nie zauważa. Socjalizm zmienił oblicze i środki produkcji nie są już własnością publiczną. Według Hansa Hermana Hoppego, niemieckiego wolnorynkowego ekonomisty, podstawowa cecha socjalizmu polega na instytucjonalnym naruszaniu prawa własności. Współczesne państwo osiąga ten cel poprzez nakładanie coraz to nowych obciążeń fiskalnych na swoich obywateli, pozbywając ich owoców pracy.

Dzisiaj własność prywatna jest znowu zagrożona. Światowe Forum Ekonomiczne wypuściło film, w którym przedstawia osiem prognoz na rok 2030. Pierwsza z nich brzmi: „Nie będziesz posiadał niczego i będziesz szczęśliwy”. W tym samym czasie papież Franciszek wydaje encyklikę „Fratelli tutti”, w której pisze, że „prawo do własności prywatnej może być uznane jedynie za wtórne prawo naturalne i wywodzi się z zasady powszechnego przeznaczenia dóbr stworzonych”.

Franciszek ma rację. Z teologicznego punktu widzenia powszechne przeznaczenie dóbr jest celem nadrzędnym. Błędem byłoby jednak twierdzenie, że państwo będzie gwarantem sprawiedliwego podziału bogactwa. Bez prawa własności nie będzie w świecie porządku i pokoju. Tak nauczał św. Tomasz z Akwinu, a szkoła austriacka ekonomii dodaje, że własność prywatna jest podstawowym elementem kalkulacji ekonomicznej, bez której nie zbudujemy prawdziwego systemu cen.

Pokusa zbudowania idealnego świata, w którym ludzie nie będą kierować się zyskiem, jest jednak silniejsza. Kiedyś John

Lennon w piosence „Imagine” śpiewał o świecie bez własności. Dzisiaj o takim świecie marzą młodzi ekonomiści zaproszeni przez Franciszka do Asyżu. Podczas konferencji „Ekonomia Franciszka”, która z powodu pandemii odbyła się w listopadzie w formacie online, słuchali wykładu między innymi Kate Raworth. Ta brytyjska ekonomistka, która została okrzyknięta Johnem Keynesem XXI w., mówiła im o zrównoważonym rozwoju, ale tym narzuconym i centralnie zaplanowanym przez państwo.

Ten nowy sposób przemycania socjalistycznych idei w ekonomii prowadzi młodych ludzi na manowce. Nie pomagają w tym również prasa katolicka głównego nurtu. Kiedy zaglądam do artykułów opisujących kryzys ekonomiczny w Wenezueli, nigdy nie pada tam słowo socjalizm.

Wolność nie jest nigdy dana raz na zawsze. Nowe pokolenie musi o nią walczyć. Jan Paweł II we Wrocławiu w 1987 r. mówił: „Prawdziwa wolność zawsze kosztuje! Każdy z nas musi ciągle od nowa ten trud podejmować”. Wiele wskazuje na to, że nadchodzący rok nie będzie pod tym względem łatwiejszy.



Inwestycje w kulturę i sztukę

Finansowe wspieranie kultury to więcej niż biznes. Sponsoring oraz mecenat instytucji i wydarzeń związanych z naszym dziedzictwem narodowym to misja i odpowiedź na wyzwanie, jakie społeczna odpowiedzialność biznesu stawia przed takimi firmami jak PKN ORLEN.



PKN ORLEN od wielu lat angażuje się w inicjatywy związane z propagowaniem sztuki filmowej, teatru, muzyki, literatury, malarstwa i rzeźby. Również teraz, kiedy skutki pandemii odczuwają zarówno twórcy, jak i odbiorcy kultury.

Chopin, czyli światowa marka

Któż nie słyszał o Chopinie? Muzyka najwybitniejszego polskiego kompozytora stanowi nieodłączny element tożsamości i kultury narodowej oraz jest wizytówką naszego kraju. Fryderyk Chopin to już

nie tylko imię i nazwisko wielkiego Polaka. To marka znana i szanowana na całym świecie.

W sierpniu, w wyjątkowej formule, bo po raz pierwszy także z publicznością śledzącą wydarzenie on-line, odbyło się 27 koncertów w ramach 16. edycji Międzynarodowego Festiwalu „Chopin i jego Europa”. To jeden z najważniejszych światowych projektów muzycznych przybliżających twórczość kompozytora. W tym roku zadbali o to wybitni artyści, wśród których znaleźli się m.in. zwycięzcy i laureaci Konkursu Chopinowskiego, a także młodzi,

polscy muzycy. Przed publicznością zaprezentowali się m.in.: Europa Galante pod dyktando Fabia Biondiego, Belcea Quartet, Christoph Prégardien, Yulianna Avdeeva, Nelson Goerner, Jan Lisiecki, Kevin Kenner i Ivo Pogorelić.

Festiwal odbył się w Filharmonii Narodowej i Teatrze Wielkim – Operze Narodowej. Większość koncertów była transmitowana na kanale YouTube, profilu Facebook Narodowego Instytutu Fryderyka Chopina oraz na antenie Programu 2 Polskiego Radia.

PKN ORLEN został również mecenasem XVIII Międzyna-

rodowego Konkursu Pianistycznego im. Fryderyka Chopina, jednego z najstarszych i najbardziej prestiżowych konkursów muzycznych na świecie, odbywającego się co pięć lat. Konkurs Chopinowski został zainicjowany niemal 100 lat temu (w 1927 rok) przez polskiego pianistę, prof. Jerzego Żurawlewa. Od tego czasu odbyło się 17 edycji, a jego historia dowiodła, że laureaci mają gwarancję występów w największych salach koncertowych oraz nagrań autorskich płyt w renomowanych wytwórniach płytowych.

Tegoroczna, 18. edycja z powodu pandemii została przeniesiona na przyszły rok. Odbędzie się w dniach 2–23 października 2021 roku w Filharmonii Narodowej w Warszawie.

PKN ORLEN od dawna jest związany z popularyzacją twórczości i osoby Chopina. Historia współpracy koncernu z Narodowym Instytutem Fryderyka Chopina sięga 2. i 3. edycji wspomnianego festiwalu „Chopin i jego Europa”, koncertów urodzinowych i koncertów w rocznicę śmierci kompozytora. Piętnaście lat temu PKN ORLEN sponorsował 15. edycję Konkursu Chopinowskiego i ufundował stypendium dla jego zwycięzcy Rafała Blechacza. Jak podkreślają przedstawiciele koncernu, obowiązkiem takiej firmy jest pielęgnowanie pamięci o wielkim kompozytorze i popularyzowanie jego dzieł. Dzięki temu firma konsekwentnie wzmacnia swoją markę i pozycję za granicą.

Od czterech lat koncern jest wyłącznym mecenasem wspomnianego instytutu. Sfinansował w tym czasie m.in.

zakup rękopisów kompozytora i rekonstrukcję historycznych fortepianów oraz wspiera Muzeum Fryderyka Chopina w Żelazowej Woli i w Warszawie. Wsparł też produkcję filmu w technologii VR o kompozytorze. W ramach współpracy PKN ORLEN przyczynił się do wzbogacenia muzeum w Warszawie o cenne eksponaty. Dofinansował zakup rękopisów Ballady g-moll, pieśni Wiosna oraz cennych listów kompozytora. W listopadzie tego roku koncern współfinansował pozyskanie kolejnych czterech listów na aukcji w Paryżu. Wspieranie zakupu wielkich dzieł, by mogły być one powszechnie dostępne, jest istotnym elementem działań sponsoringowych.

Pierwsza taka platforma VOD

Jak radzić sobie w trudnej sytuacji pandemicznej, pokazuje Teatr Wielki – Opera Narodowa w Warszawie. Po marcowym lockdownie teatr był zmuszony przenieść dwie premiery z wiosny na jesień. Udało się je zrealizować

przy ograniczonej liczbie publiczności i zapewnieniu widzom maksymalnych środków bezpieczeństwa jeszcze przed wprowadzeniem kolejnych obostrzeń. Premierę „Korsara” przesunięto z marca na wrzesień, a premierę „Werthera” z maja na październik.

Po ponownym otwarciu teatru dla widzów wprowadzono szereg wewnętrznych procedur mających zapewnić komfort odwiedzających. Do przestrzeni widowni, foyer oraz kuluarów teatru stale dostarczano w stu procentach zewnętrzne, świeże, oczyszczone powietrze. Dla widzów spektakli i koncertów uruchomiono możliwość złożenia on-line oświadczenia o stanie zdrowia nie wcześniej niż na 48 godzin przed rozpoczęciem wydarzenia.

Teatr Wielki – Opera Narodowa w Warszawie od września ubiegłego roku wspierany jest przez PKN ORLEN. Koncern został mecenasem tej największej sceny operowej w Europie i drugiej na świecie. TW–ON jest jedną z czołowych instytucji kultury na Starym Kontynencie.



XVI Międzynarodowy Festiwal Muzyczny Chopin i Jego Europa, fot. archiwum NIFC



Wystawa czasowa „Polska. Sita obrazu”, Muzeum Narodowe w Warszawie. Fot. 3DMaster i e-panoramy

nencie. Miejscem czerpiącym ze swej bogatej historii i tradycji, a jednocześnie nowoczesnym, otwartym, realizującym z powodzeniem szeroko zakrojoną współpracę z wiodącymi scenami europejskimi, jak również z innymi instytucjami i fundacjami w ramach międzynarodowych programów edukacyjnych. Poprzez repertuar obejmujący dzieła mistrzów gatunku – kompozytorów włoskich, francuskich, niemieckich – eksponuje i pielęgnuje europejskie dziedzictwo kulturowe.

Zakres współpracy objął wsparcie przez PKN ORLEN wszystkich wydarzeń w sezonach artystycznych 2019/20 oraz 2020/21. Objęcie mecenatem polskich dóbr narodowych, które rozstawiają kraj na arenie międzynarodowej, to przykład nowoczesnego patriotyzmu. To także sposób dotarcia do coraz szerszej grupy odbiorców, zarówno w kraju, jak i za granicą.

Wiosną, w związku z ogłoszeniem obostrzeń i zamknięciem teatrów podczas pierwszej fali pandemii, TW-ON z inicjatywy dyrektora Waldemara Dąbrowskiego zaprosił

szereg polskich instytucji kultury do prezentacji na platformie vod.teatr Wielki.pl swoich materiałów, co pozwoliło stworzyć bogatą bibliotekę treści. TWON Platform to pierwsza w Polsce platforma do strumieniowania oraz odtwarzania na żądanie spektakli operowych i baletowych w Internecie. W tym trudnym czasie cieszyła się – i cieszy nadal – wyjątkową popularnością: zaobserwowano już wzrost liczby użytkowników o 5 tys. procent! Materiały dostępne bezpłatnie na VOD przyciągnęły setki tysięcy widzów, a nagrania Teatru wyświetlono łącznie niemal 1 mln razy.

Co można zobaczyć na platformie? Dla fanów opery przygotowano m.in. „Halke”, „Parię” i „Straszny dwór” Moniuszki, „Fausta” Gounoda, „Czarodziejski flet” Mozarta czy „Rigoletto” Verdiego. Można też obejrzeć spektakle baletowe „Na kwaterunku” oraz „Trojana”, a także kilkanaście koncertów. Są również dostępne przedstawienia dla dzieci (m.in. „Operowy zawrót głowy”, „Czajkowski/Prokofiew dla najmłodszych”, „Dziad i Baba”, „Bajko, gdzie jesteś?”), a tak-

że wirtualne spacer po Teatrze Wielkim oraz wystawach w Galerii Opera. To bogactwo tytułów jest również efektem współpracy z innymi instytucjami operowymi w Polsce.

Warto również dodać, że w ramach mecenatu nad Teatrem Wielkim – Operą Narodową PKN ORLEN udziela wsparcia Akademii Operowej. Partnerstwo z Akademią pozwala na wsparcie rozwoju artystycznego młodych, utalentowanych adeptów sztuki operowej. Umożliwia im także doskonalenie umiejętności pod kierunkiem najlepszych pedagogów oraz zdobywanie bezcennego doświadczenia zawodowego. Wychowankowie Akademii są wysoko cenieni nie tylko w Polsce – zdobywają laury na konkursach, są angażowani przez znaczące teatry operowe i przyjmowani przez najlepsze na świecie studia operowe.

Wirtualny spacer po muzeum

W wirtualny świat zaprasza swoich gości również inna wielka instytucja polskiej kultury, której mecenasem jest PKN ORLEN, czyli Muzeum

Narodowe w Warszawie. Zbiory jednego z najstarszych muzeów w Polsce liczą ok. 830 tys. dzieł sztuki polskiej i światowej, od antyku do współczesności, i obejmują malarstwo, rzeźbę, rysunki oraz ryciny, fotografie, numizmaty, a także przedmioty sztuki użytkowej i wzornictwo. PKN ORLEN wspiera Muzeum Narodowe w Warszawie, współpraca obejmuje patronat nad szeregiem wystaw stałych i czasowych oraz wydarzeń, projektów specjalnych i edukacyjnych.

Pomimo zamknięcia muzeum na skutek pandemii, można korzystać z bogatej oferty on-line placówki. Dzięki postępującej cyfryzacji i najnowszym technologiom sztuka staje się dostępna dla każdego, niezależnie od miejsca zamieszkania, warunków życia i poziomu wykształcenia. W tym roku uruchomiono muzeum cyfrowe i zwiedzanie wirtualne wystaw stałych i czasowych. Muzeum Narodowe zachęca więc do korzystania m.in. z kursu historii sztuki on-line, lekcji muzealnych on-line, podcastów i filmów. Od 5 listopada można także wziąć udział w wyjątkowym wirtualnym spacerze po wystawie „Polska. Siła obrazu”. Zaprezentowano na niej dzieła najwybitniejszych polskich artystów XIX wieku, m.in. Stanisława Wyspiańskiego, Aleksandra i Maksymiliana Gierzyńskich, Jana Matejki, Leona Wyczółkowskiego, Józefa Mehoffera, Olgi Boznańskiej, Józefa Brandta, Józefa Chełmońskiego, Jacka Malczewskiego, Juliusza i Wojciecha Kossaków, Artura Grottgera, Józefa Simmlera, Juliana Fałata. Każde z tych dzieł zeskanowano i udostępniono na

stronie internetowej muzeum w formie wirtualnego space'ru, połączonego z oprowadzaniem kuratorskim. Przy tym rozwiązaniu skorzystano z najnowszej technologii 3D i elementów grafiki stosowanych powszechnie np. w grach komputerowych.

Przedstawiciele Muzeum Narodowego podkreślają, że rola technologii w upowszechnianiu dziedzictwa kulturowego jest nieoceniona. Innowacyjne rozwiązania cyfrowe stwarzają dziś zupełnie nowe możliwości kontaktu z publicznością, z których warto korzystać.

250. rocznica urodzin mistrza

Wyjątkowy był w tym roku również Wielkanocny Festiwal Ludwiga van Beethovena, którego – w ramach współpracy ze Stowarzyszeniem im. Ludwiga van Beethovena – mecenasem jest PKN ORLEN. Po pierwsze, 24. edycja tego międzynarodowego wydarzenia muzycznego została przeniesiona z kwietnia na październik. Z uwagi na pandemię odbyły się również transmisje na żywo w internecie wszystkich koncertów symfonicznych, co było wielką gratką dla fanów wspaniałego kompozytora.

Tegoroczne hasło programowe festiwalu brzmiało „Beethoven – wielki inspirator”. Było to nawiązanie do 250. rocznicy urodzin mistrza z Bonn. Osią programową festiwalu były wielkie dzieła Beethovena: II i VII Symfonia, koncerty fortepianowe c-moll, G-dur i Es-dur, kwartety smyczkowe (f-moll op. 95 i Grosse Fuge B-dur op. 133) w wersji na orkiestrę smyczkową oraz Sonata „Księżycowa”. Na tym tle zabrzmiały pierw-

sze symfonie Felixa Mendelssohna i Johannesa Brahmsa, obie w beethovenowskiej tonacji c-moll, i VI Symfonia C-dur Franza Schuberta, kompozytorów zafascynowanych Beethovenem i deklarujących głębokie przywiązanie do jego muzycznych idei.

W programie koncertów ważne miejsce zajęły także utwory Krzysztofa Pendereckiego, których przypomnienie było rodzajem hołdu dla zmarłego w tym roku mistrza. Przypomniano sześć utworów wirtuoza, skomponowanych lub opracowanych na orkiestrę smyczkową.

Festiwal gościł także wybitnych polskich pianistów młodego pokolenia (Szymona Nehringa, Łukasza Krupińskiego, Andrzeja Wiercińskiego, Krzysztofa Książka, Pawła Wojciechowskiego, Tymoteusza Biesa i Adama Goździewskiego) oraz najlepsze polskie orkiestry: Orkiestrę Filharmonii Narodowej pod batutą Andrzeja Boreyki i Jerzego Maksymiuka, Orkiestrę Sinfonia Varsovia pod dykcją Macieja Tworka, Polską Orkiestrę Sinfonia Iuventus pod dykcją Dawida Runtza, Orkiestrę Filharmonii Poznańskiej pod dykcją Łukasza Borowicza i Sinfonietta Cracovia.

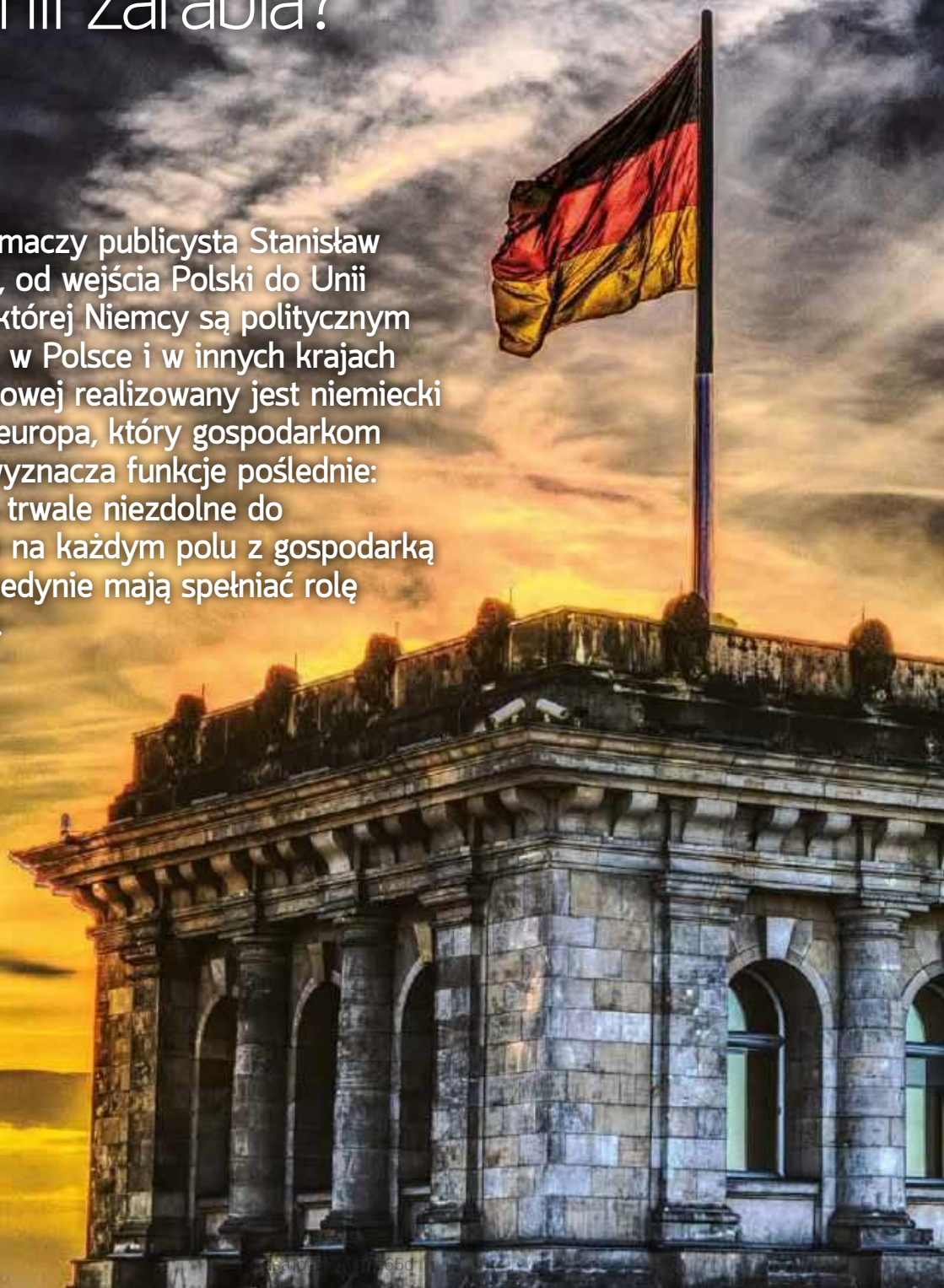
Wydarzeniem towarzyszącym była natomiast Wystawa Manuskryptów Muzycznych „Beethoven – wielki inspirator” w Bibliotece Jagiellońskiej w Krakowie, na której można było zobaczyć m.in. szkicowniki i czystopisy dzieł mistrza z Bonn, pochodzące ze zbiorów dawnej Pruskiej Biblioteki Państwowej.

MATERIAŁ PRZYGOTOWANY WE WSPÓŁPRACY Z PKN ORLEN

Kto rządzi Unią i na Unii zarabia?

Jak często tłumaczy publicysta Stanisław Michalkiewicz, od wejścia Polski do Unii Europejskiej, której Niemcy są politycznym kierownikiem, w Polsce i w innych krajach Europy Środkowej realizowany jest niemiecki projekt Mitteleuropa, który gospodarkom tych krajów wyznacza funkcje pośrednie: mają być one trwale niezdolne do konkurowania na każdym polu z gospodarką niemiecką, a jedynie mają spełniać rolę uzupełniającą.

Tomasz Cukiernik



Dla przypomnienia – Mitteleuropa to polityczny program Cesarstwa Niemieckiego z czasów I wojny światowej, w ramach którego Berlin miał zdominować kraje Europy Środkowej, podporządkować je państwu niemieckiemu, by eksploatować je gospodarczo w celu uzyskania pozycji mocarstwa światowego. Czy ta koncepcja nie przypomina Unii Europejskiej?

Trafnie podsumował ją w Sejmie poseł Konfederacji Dobromir Sośnierz (były eurodeputowany), mówiąc: – Unia jest skonstruowana właśnie w ten sposób, żebyśmy nie mieli tam nic do powiedzenia, żebyśmy byli prowincją, w której zarządców i lokalnych gubernatorów przekupuje się paciorkami. Paciorki te rozdawane są obywatelom, ale koszty całej tej zabawy już się przed tymi obywatelami ukrywa.

Wspólny rynek

Według oficjalnych danych Komisji Europejskiej sprzed roku w latach 2021–2027 zysk Niemiec z funkcjonowania wspólnego unijnego rynku wyniesie 5,22 proc. PKB, czyli 208,02 mld euro średniorocznie. Na podium krajów członkowskich najwięcej zyskujących na członkostwie są jeszcze Francja (124,42 mld euro) oraz Holandia (84,02 mld euro). Korzyść Polski ma być znacznie mniejsza, bo tylko 43,83 mld euro (choć w porównaniu z Niemcami większa w relacji do PKB – 7,1 proc.). To prawie pięć razy mniej, no ale Niemcy są po pierwsze znacznie większe, a po drugie – znacznie bogatsze.

Inne opracowanie Komisji Europejskiej sygnowane przez



Jana in't Velda z Dyrekcji Generalnej ds. Gospodarczych i Finansowych pt. „The economic benefits of the EU Single Market in goods and services” podaje, że makroekonomiczne korzyści ze wspólnego rynku dla Niemiec wynoszą 7,9 proc. PKB, a dla Polski – 10,6 proc. PKB.

A jak wygląda druga strona medalu, czyli składki członkowskie? Niemcy, jako największe państwo UE z największą gospodarką, w latach 2021–2027 będą płacić oczywiście nominalnie najwyższą składkę w wysokości 32,76 mld euro średniorocznie. Dla porównania Polska – 5,68 mld euro.

Jednak w relacji do PKB poza Holandią (0,83 proc. PKB), Szwecją (0,85 proc. PKB) i Włochami (0,87 proc. PKB) to Niemcy będą płaciły najniższą składkę – 0,88 proc. PKB. Składka Polski w relacji do PKB będzie jedną z wyższych wśród państw członkowskich i sięgnie 0,97 proc. PKB.

Już samo zestawienie składki członkowskiej z korzyściami ze wspólnego rynku wyraźnie pokazuje, że składka jest tak niewielka, iż jej utrata poprzez wpłacenie do budżetu UE ma niewielkie znaczenie gospodarcze. Korzyść ze wspólnego rynku jest znacznie większa.

– Powinniśmy być przebiegli tak jak Holendrzy czy Niemcy, którzy więcej wpłacają, niż dostają, ale tylko pozornie. Jak niektórzy szacują, z każdego euro wpłaconego do budżetu Unii Europejskiej oni zyskują na tym rachunku ciągnionym około 4 euro, bo otwiera się rynek, przedsiębiorstwa mają większą swobodę eksportowania, współpracy i ten zysk jest wyraźny – tłumaczył w Polskim Radiu 24 prof. Witold Kwaśnicki z Uniwersytetu Wrocławskiego.

Jak widać, polska gospodarka również bardzo zyskuje na dostępie przedsiębiorców do wspólnego rynku, a nie na unijnych dotacjach, jak się po-

wszechnie uważa. Już w 2012 roku Elżbieta Bieńkowska, ówczesna minister rozwoju regionalnego, otwarcie wyjaśniała, kto korzysta na systemie unijnych dotacji. – Z każdego euro wpłaconego do Polski Niemcy odzyskują 86 eurocentów. Za to z każdego euro wpłaconego przez Niemcy do krajów Grupy Wyszehradzkiej (Polska, Słowacja, Czechy, Węgry – przyp. red.), odzyskują 125 eurocentów, a więc odzyskują więcej, niż wpłacają – mówiła wtedy Bieńkowska. Czyli Niemcy zarabiają nawet na wpłaconej składce!

Nasz zachodni sąsiad mocno zyskuje na relacjach gospodarczych z Polską również dzięki swoim inwestycjom. Około połowa eksportu z Polski realizowana jest przez spółki z kapitałem zagranicznym. Według danych GUS w 2018 roku najwięcej inwestycji zagranicznych w Polsce pochodzi z Holandii (23,2 proc. wszystkich inwestycji zagranicznych w naszym kraju), z Niemiec (16,6 proc.) oraz z Francji (12,8 proc.). Pierwsza pozycja Holandii bardziej wynika z przyjaznego systemu podatkowego tam funkcjonującego niż z rzeczywistych kapitałów z tego kraju. Rezultat jest taki, że zysk z kapitału szerokim strumieniem płynie ze Wschodu na Zachód.

Ministerstwo Finansów podaje wysokość dochodów uzyskanych w Polsce przez podatników posiadających siedzibę lub zarząd na terytorium innego niż Polska państwa członkowskiego UE z tytułu: dywidend i innych przychodów (dochodów) z tytułu udziału w zyskach osób prawnych, odsetek, opłat licencyjnych, przychodów z ty-

tułu świadczeń: doradczych, księgowych, badania rynku, usług prawnych. W latach 2005–2018 kwoty powyższych płatności z Polski do Holandii wyniosły 158,04 mld zł, do Niemiec – 143,68 mld zł, a do Francji – 82,45 mld zł. W ten sposób Polacy pracują na zyski Zachodu. Nie chodzi o to, by zablokować inwestycje zagraniczne w Polsce, bo są one dla nas również korzystne, ale problem polega na tym, że przewaga kapitałowa firm zachodnich w stosunku do firm polskich jest drugąco i one to wykorzystują, przez co walka konkurencyjna nie jest równa.

Niemiecki lobbying

Głównie Niemcy, ale i inne kraje zachodniej Europy, w relacjach z Polską korzystają również na emigracji naszych rodaków na ich rynek pracy. Z danych GUS wynika, że w 2019 roku z Polski do Niemiec na pobyt czasowy wyjechało 704 tys. osób, do Wielkiej Brytanii – 678 tys. osób, a do trzeciej w kolejności Holandii – 125 tys. osób. To są ludzie, którzy zamiast budować swoją pracę dobrobyt w Polsce, budują go w obcym państwie.

Ale Niemcy zyskują na członkostwie w Unii też w inny

sposób. Na przykład dzięki wspólnej walucie. Z zeszłorocznego raportu think tanku Centre for European Policy wynika, że najbardziej na operacji wprowadzenia euro skorzystały właśnie Niemcy. I jest to gigantyczna kwota w wysokości 1893 mld euro w latach 1999–2017 (ok. 100 mld euro rocznie!). Zyskała też Holandia – 346 mld euro, a największej straty Włochy – aż 4325 mld euro!

W 2018 roku Sigmar Gabriel, ówczesny niemiecki minister spraw zagranicznych, otwarcie przyznawał, że Niemcy są największym beneficjentem funkcjonowania Unii Europejskiej i to zarówno gospodarczo, finansowo, jak i politycznie. Dlaczego tak się dzieje? Bo Unia Europejska jest tworem, którego celem jest – zgodnie z koncepcją Mitteleuropy – dominacja Berlina, a nie Rzymu, Warszawy czy Pragi, nad Europą.

Niemcy potrafią zadbać o swoje interesy. W ramach eksperymentu warto spojrzeć na członków najważniejszych komisji w Parlamencie Europejskim. Dziwnym trafem w Komisji Handlu Międzynarodowego, w Komisji Rynku Wewnętrznego i Ochrony



Konsumentów oraz w Komisji Kontroli Budżetowej przewodniczącymi są europosłowie z Niemiec. W Komisji Rozwoju Niemcy mają dwóch wiceprzewodniczących, a licznie są reprezentowani również w istotnej Komisji Przemysłu, Badań Naukowych i Energii oraz w Komisji Gospodarczej i Monetarnej. Polaków w tych komisjach jest niewielu, a nawet jak są, to najczęściej dbają nie o interesy polskie, ale „europejskie”, czyli... Berlina.

To jedna strona medalu – ta bardziej widoczna. Druga to lobbing. – Niemcy uzyskały bardzo dużą przewagę nad całą resztą metodami lobbyngu na rzecz swoich interesów przemysłowych, bankowych i medialnych – uważa Michał Marusik, były europoseł z KNP.

Jak pisze francuski polityk Philippe de Villiers w książce pt. „Kiedy opadły maski”, „(...) corocznie na lobbing w Brukseli wydawanych jest od półtora do trzech miliardów euro. Nie ma sektora, który nie byłby poddany lobbyngowi: w szczególności dotyczy on przemysłu chemicznego, GAFAM [Google, Apple, Facebook, Amazon, Microsoft] i cyfryzacji, energetyki, rolnictwa, przemysłu farmaceutycznego, telekomunikacji, transportu, ale również LGBT”. W rezultacie unijne urzędy przyjmują przepisy, których domaga się lobby przemysłowe, a nie są wdrażane regulacje, które sprzyjałyby choćby zdrowiu konsumentów. Na przykład de Villiers podaje, że Europejska Agencja Leków (to ta, która m.in. certyfikuje szczepionkę na koronawirusa) znajduje się w rękach lobbyistów działających na rzecz koncernów far-

maceutycznych. Tak się w Unii załatwia swoje sprawy.

Cel biznesowy

Janis Warufakis, były minister finansów Grecji, przypomniał, że Unia Europejska jest kartelem stworzonym przez oligarchów. Korzenie Unii to przecież Europejska Wspólnota Węgla i Stali, czyli alians przemysłu ciężkiego, producentów aut i elektroniki, a potem także rolników, w celu ustalenia cen. Do tej wewnętrznej zмовy cenowej dorzucono cła importowe, żeby nie rozbiły jej firmy spoza granic kartelu. Z kolei zdaniem Marusika UE służy dwóm celom. Po pierwsze, utrzymaniu zbędnych stanowisk pracy dla tysięcy niepotrzebnych biurokratów, i po drugie, realizacji planów przemysłu (głównie niemieckiego) i banksterów. Regulacje unijne mają po prostu cel biznesowy. Bardzo wiele standardów ustanawianych dla jakichś grup produktów czy usług to standardy, które wyrażnie preferują pewne przedsiębiorstwa czy pewne koncerny. To tak jak się na polskim rynku mówi „ustawiony przetarg”, czyli przetarg, którego warunki podane są w taki sposób, że spełnić je może tylko jedna firma.

Niewątpliwie wielką zaletą UE jest dostęp do wspólnego rynku ponad 400 mln konsumentów. Forum Obywatelskiego Rozwoju tłumaczy, że „większy rynek umożliwia szerszy zakres specjalizacji, a co za tym idzie, większą produktywność, co przekłada się na wyższy poziom płac i standard życia obywateli”. Jak pokazują badania Komisji Europejskiej, zyskują na tym gospodarki wszystkich państw.

Ale z drugiej strony wraz z kolejnymi regulacjami polegającymi na uprzywilejowywaniu jednych branż w jednym kraju (czy bloku krajów) kosztem branż w innym kraju (czy bloku krajów) te korzyści w bilansie są coraz mniejsze. Unia Europejska coraz bardziej upodabnia się do tworu o gospodarce centralnie sterowanej z coraz głębszym interwencjonizmem państwowym, na czym najbardziej zyskują – co pokazały przytoczone liczby – Niemcy. Unia ewidentnie dąży do budowy superpaństwa, a najnowszym dowodem na to są niedawno uzgodnione unijne podatki i wspólne zadłużanie się.

Państwa członkowskie Unii Europejskiej mają sprzeczne interesy. W efekcie problemem jest nie tylko unijny budżet, z którego każdy chce jak najwięcej brać, a jak najmniej wpłacać (mimo że to tylko ok. 1 proc. PKB Unii), a przede wszystkim znacznie ważniejsza kwestia takiej, a nie innej ingerencji w gospodarkę za pomocą regulacji i całych polityk, takich jak energetyczno-klimatyczna czy dotycząca rolnictwa. Pakiet mobilności, przepisy o delegacji pracowników czy płacy minimalnej ewidentnie zostały skrojone tak, by korzystały na nich kraje tzw. starej Unii, a uderzyły w konkurencyjność biedniejszych gospodarek Europy Środkowej, dla których istniejący wolny rynek w tym zakresie był zdecydowanie lepszym rozwiązaniem. Niestety na forum unijnym politycy z naszej części kontynentu mają niewiele do powiedzenia i sami nie są w stanie przeciwdziałać budowie Mitteleuropy.



Czy w Polsce rozpoczęła się już transformacja energetyczna?

Czy stać nas na transformację energetyczną? Nie stać nas na to, aby tej transformacji nie przeprowadzić. Jeśli jej nie przeprowadzimy, będziemy mieli drogą i niekonkurencyjną energię, a co za tym idzie: drogą i niekonkurencyjną gospodarkę - twierdzi Artur Soboń, wiceminister aktywów państwowych.

Krzysztof Budka

Minister Artur Soboń był jednym z uczestników debaty organizowanej przez redakcję „Forum Polskiej Gospodarki” pt.: „Czy w Polsce rozpoczęła się już transformacja energetyczna?”. W debacie udział wzięli również: Sylwia Koch-Kopyszek – prezes Unii Producentów i Przedsiębiorców Przemysłu Biogazowego, Maria Cholewińska – prezes Fundacji Instytut im. Kazimierza Promyka oraz Marcin Roszkowski – prezes Instytutu Jagiellońskiego.

Ten proces mocno przyspieszy

W gronie ekspertów rozmawialiśmy o tym, czy transformacja energetyczna związana z unijną polityką klimatyczną to bardziej szansa dla polskiej gospodarki na rozwój i wkroczenie na tory innowacyjności,

czy może zamach na jej konkurencyjność, o największych wyzwaniach dla polskiego rządu i polskich spółek związanych z tą transformacją oraz o roli, jaką powinny w niej odegrać polskie firmy z sektora MŚP.

– Transformacja energetyczna w Polsce już się rozpoczęła. Niektórzy co prawda twierdzą, że ona dopiero u nas raczkuje, ale patrząc na programy związane z zieloną energią i środki finansowe skierowane na te programy, jakie wprowadza w ostatnich latach rząd, patrząc na inwestycje największych polskich firm, możemy być pewni, że za chwilę ta transformacja mocno przyspieszy – stwierdziła Maria Cholewińska.

– Duża transformacja energetyczna, taka na poziomie państwowym, jest ogromnym wyzwaniem i trzeba sobie

z tego zdawać sprawę. Działania rządu w kwestii OZE, a także zeroemisyjne strategie ogłaszane przez największe polskie spółki rzeczywiście każą nam patrzeć na te procesy z optymizmem. Świadczą o tym, że cała ta transformacja zmierza we właściwym kierunku – dodała Sylwia Koch-Kopysko.

Nowa rzeczywistość

Bardzo ważną kwestią poruszaną w dyskusji były wspomniane właśnie zeroemisyjne strategie ogłaszane niedawno przez największe polskie spółki energetyczne, czyli Grupę PGE, Tauron czy Energa. Uczestnicy dyskusji zgodnie podkreślili, że planowanie i ogłaszanie takich długoterminowych strategii ma sens. – Nasze największe spółki chcą odnaleźć się w nowej rzeczywistości rynkowej i nic w tym dziwnego. Przecież jeśli to nie PGE, Energa czy Enea będą stawiały w Polsce nowe instalacje w ramach zielonej energii, zrobią to podmioty zagraniczne, bo rynek nie znosi próżni. Trzeba więc, by te największe polskie spółki brały udział w projektach związanych z transformacją energetyczną i komunikowały o tym swoim inwestorom i klientom. Takie strategie należy potraktować jako coś absolutnie naturalnego – stwierdził minister Soboń.

I dodał, że rolą rządu, a w szczególności Ministerstwa Aktywów Państwowych, jest pomoc tym spółkom w całym procesie związanym z transformacją energetyczną. – Pracujemy obecnie nad strategią, która ma sprawić, by finansowanie dla zielonych projektów było jak najbardziej realne. Chodzi o wyjęcie z naszych spółek energe-



fol. PGE SA

tycznych aktywów węglowych i stworzenie dla nich odrębnego podmiotu, tak aby uwolnić tym spółkom możliwości inwestowania w nowe projekty, na które potrzebne będą gigantyczne środki finansowe – zaznaczył minister.

– Czy transformacja energetyczna to szansa dla polskiej gospodarki, czy raczej zagrożenie dla jej konkurencyjności? Jedno i drugie. W momencie kiedy nasi decydenci nie zdążyliby z przygotowaniem nowych sektorów do nieuchronnie nadchodzących zmian, wówczas polska gospodarka na polityce klimatyczno-energetycznej na pewno by nie skorzystała. To nie jest więc czas na to, by zastanawiać się nad tym, czy zabije nas CO₂, bo na pewno w tym układzie zabiją nas ceny za CO₂. Trzeba więc odpowiednio przygotować wszystkie regulacje, czego rząd wydaje się być świadomy – zaznaczył Marcin Roszkowski.

Potrzebujemy więcej czasu

– Transformacja energetyczna rzeczywiście jest obecnie

jednym z największych wyzwań dla całej polskiej gospodarki. Ta gospodarka musi utrzymać swoją konkurencyjność, a bez konkurencyjnej energii nie będzie konkurencyjnej gospodarki. W związku z regulacjami związanymi z unijną polityką klimatyczną energia oparta na aktywach węglowych przestaje się opłacać. Dlatego musimy myśleć o drodze do nowego miksu energetycznego. Taką drogę zapisaliśmy w polityce energetycznej państwa. Chcemy ją konsekwentnie realizować. Ale żeby w przypadku polskim ta transformacja się powiodła, potrzebujemy więcej czasu niż inne kraje Unii Europejskiej. To czas, który musimy przeznaczyć na wycofanie z produkcji węglowej i możliwość stopniowego zastępowania tej produkcji odnawialnymi źródłami energii oraz stabilnym źródłem energii, jakim jest atom – dodał minister Soboń.

Całą debatę można zobaczyć na naszym portalu fpg24.pl. Gorąco zachęcamy.

RELACJA POWSTAŁA WE WSPÓŁPRACY Z PGE S.A.

Estoński CIT w polskiej wersji, czyli co nam zafundował rząd?



Już od 1 stycznia 2021 roku spółki z o.o. i akcyjne będą mogły korzystać z ryczałtu od dochodów spółek kapitałowych (tzw. estoński CIT), o ile tylko ich rok podatkowy pokrywa się z kalendarzowym.

Marek Kutarba

30 listopada 2020 roku, a zatem w ostatnim możliwym terminie, została opublikowana ustawa wprowadzająca dla spółek kapitałowych (spółek z ograniczoną odpowiedzialnością oraz spółek akcyjnych) możliwość korzystania z polskiego wariantu tzw. estońskiego CIT. Rozwiązanie takie przewiduje ustawa z 28 listopada o zmianie ustawy o podatku dochodowym od osób prawnych oraz niektórych innych ustaw (Dz.U. z 2020 roku poz. 2122).

Nowe przepisy zaczną obowiązywać 1 stycznia 2021 roku. W konsekwencji z nowych rozwiązań spółki mogą korzystać w roku podatkowym rozpo-

czynającym się po 1 stycznia 2021 roku. Nie zawsze będzie to zatem już styczeń 2021 roku. Wybór opodatkowania ryczałtem od dochodów spółek kapitałowych może zostać dokonany począwszy od roku podatkowego rozpoczynającego się po 31 grudnia 2020 roku, jeśli zatem np. spółka rozpoczęła rok podatkowy 1 kwietnia 2020 roku i kończy go 31 marca 2021 roku, to z opodatkowania ryczałtem (tzw. estońskim CIT) będzie mogła skorzystać dopiero od 1 kwietnia 2021 roku.

Albo ryczałt, albo fundusz

Ustawa przewiduje dwa alternatywne rozwiązania, tj. ry-

czałt od dochodów spółek kapitałowych (czyli tzw. estońskiego CIT) oraz specjalny fundusz inwestycyjny, umożliwiający szybsze rozliczenie amortyzacji środków trwałych. To drugie rozwiązanie przypomina bardziej ulgi inwestycyjne.

Założeniem polskiego wariantu estońskiego CIT jest zapłata podatku przez spółkę z o.o. oraz spółkę akcyjną dopiero w momencie wypłaty zysku do udziałowców lub akcjonariuszy lub przeznaczenia go do „konsumpcji” np. poprzez pokrycia straty. Alternatywnym rozwiązaniem jest utworzenie przez podatnika specjalnego funduszu (rachunku) inwestycyjnego. Zgromadzone na nim środki można będzie zaliczyć do kosztów podatkowych już w momencie przekazania ich na specjalny rachunek bankowy (w formie odpisów). Warunkiem jest wydatkowanie tych środków na cele inwestycyjne nie później niż w roku podatkowym następującym po roku, w którym dokonano takiego odpisu.

My skupimy się na pierwszym rozwiązaniu, czyli nowym ryczałcie.

Od razu należy zauważyć, że nowe przepisy określają liczne warunki, które musi spełnić podatnik, jeśli chce korzystać z tzw. estońskiego CIT.

Przede wszystkim konieczne jest złożenie zawiadomienia o wyborze opodatkowania ryczałtem – według ustalonego wzoru, do właściwego naczelnika urzędu skarbowego w terminie do końca pierwszego miesiąca pierwszego roku podatkowego, w którym spółka ma być opodatkowana ryczałtem.

Oznacza to, że gdy spółka chce korzystać z ryczałtu

od 1 stycznia 2021 roku, musi takie zawiadomienie złożyć do 31 stycznia 2021 roku. Taki termin dotyczy jednak tylko spółki, która ma rok podatkowy pokrywający się z rokiem kalendarzowym, czyli taki, który rozpoczyna się 1 stycznia i kończy 31 grudnia danego roku. Pierwszym rokiem korzystania z ryczałtu jest bowiem 2021 rok. A pierwszym miesiącem tego roku styczeń.

Jeśli spółka ma rok podatkowy inny niż kalendarzowy, oświadczenie złoży w innym terminie. I tak, jeśli zatem np. rok podatkowy kończy się dla niej 31 marca 2021 roku i zamierza korzystać z ryczałtu od 1 kwietnia 2021 roku, to czas na złożenie oświadczenia ma do końca kwietnia 2021 roku.

Na marginesie warto zauważyć, że terminy na wybór nowego ryczałtu są identyczne jak te, które dotyczą wyboru innych form opodatkowania.

Liczne warunki do spełnienia

Aby spółka mogła myśleć o opłaceniu ryczałtu, musi spełnić liczne warunki. Przede wszystkim łączne przychody (razem z należnym VAT) z działalności osiągnięte

w roku podatkowym poprzedzającym rok, w którym spółka zacznie korzystać z ryczałtu, nie mogą przekraczać 100 mln zł. To stosunkowo wysoki limit, który pozwoli na korzystanie z ryczałtu większości spółek z o.o. i akcyjnych działających w Polsce. Warto jednak pamiętać, że niektóre branże nie skorzystają z ryczałtu bez względu na to, jakie mają przychody. Dotyczy to m.in. przedsiębiorstw finansowych i instytucji pożyczkowych. Z ryczałtu nie skorzystają także spółki w likwidacji.

Dodatkowo mniej niż połowa tych przychodów może pochodzić z wierzitelności, z odsetek i pożytków od wszelkiego rodzaju pożyczek, z części odsetkowej raty leasingowej, z poręczeń i gwarancji, z praw autorskich lub praw własności przemysłowej, w tym z tytułu zbycia tych praw, ze zbycia i realizacji praw z instrumentów finansowych oraz z transakcji z podmiotami powiązanymi.

Konieczne jest też spełnienie warunków związanych ze średnim zatrudnieniem oraz dotyczących udziałowców lub akcjonariuszy spółki. Spółka nie może też sporządzać sprawozdań finansowych zgodnie z MSR. Nieco inne warunki dotyczą małych podatników oraz podatników rozpoczynających działalność.

Ważnym kryterium, od spełnienia którego uzależniony jest dostęp do ryczałtu, dotyczy zatrudnienia. Spółka może korzystać z ryczałtu, jeśli ponosi wydatki na wynagrodzenia także z tytułu innych umów niż umowa o pracę (np. umów cywilnoprawnych). Wydatki takie trzeba będzie jednak ponieść w określonej kwo-

Konieczne jest złożenie zawiadomienia o wyborze opodatkowania ryczałtem.

cie, a spółka będzie musiała być płatnikiem składek ZUS od tych wynagrodzeń. Konieczne będzie zatrudnianie w różnych formach minimum trzech osób z łącznym wynagrodzeniem miesięcznym stanowiącym trzykrotność płacy minimalnej (w 2021 roku będzie to zatem 3×2800 zł, czyli 8400 zł).

W przypadku zatrudniania trzech osób na umowę o pracę (w przeliczeniu na pełne etaty) zatrudnienie musi trwać co najmniej 300 dni w roku.

Na cztery lata

Nowy sposób opodatkowania (ryczałt) wybierany będzie na okresy czteroletnie. Po zakończeniu tego okresu, jeśli podatnik spełnia warunki ustawowe, będzie mógł jednak kontynuować rozliczenia w kolejnych okresach czteroletnich. W przypadku rezygnacji z tej formy opodatkowania wymagana będzie informacja o rezygnacji, składana w deklaracji podatkowej za ostatni rok opodatkowania ryczałtem.

Co istotne, wyznaczenie czteroletniego okresu rozliczeń ryczałtem nie ma charakteru bezwzględnego, gdyż w przypadku naruszenia warunków jego stosowania podatnik utraci prawo do ryczałtu również w tym czasie. Będzie zatem można stracić prawo do ryczałtu np. już po dwóch latach korzystania z tej formy opodatkowania.

Podatek ma charakter ryczałtu o zróżnicowanych stawkach. Dla małych podatników oraz podatników, u których wartość średnich przychodów nie przekracza wartości maksymalnych przychodów określonych dla małych podatników, stawka ma wynosić 15 proc. podstawy opodatkowa-

nia (dla podatników niekorzystających z ryczałtu jest to 9 proc.). Dla pozostałych podatników – stawka wyniesie 25 proc. (dla niekorzystających stawka wynosi 19 proc.).

Stawki te mogą być jednak obniżone o 5 punktów procentowych (a zatem odpowiednio do 10 i 20 proc.), jeżeli nakłady na cele inwestycyjne osiągną określone poziomy (odpowiednio 50 proc. w każdym okresie dwuletnim albo 110 proc. w każdym okresie czteroletnim).

Sporo pracy dla księgowych

Aby móc korzystać z tzw. estońskiego CIT, trzeba dokonać przekształcenia wyniku podatkowego na wynik zblizony do wyniku finansowego netto, a zatem wyniku ustalonego zgodnie z przepisami o rachunkowości.

Odpowiednie przekształcenia dotyczą zarówno strony przychodowej, jak i kosz-

towej. Przekształcenia takie mają dotyczyć pozycji kosztowych i przychodowych za lata podatkowe poprzedzające pierwszy rok opodatkowania ryczałtem. Będą one uwzględnione w rozliczeniu za rok bezpośrednio poprzedzający pierwszy rok korzystania z ryczałtu. A zatem dla spółek, które zdecydują się na korzystanie z opodatkowania ryczałtem od 1 stycznia 2021 roku, różnice muszą być uwzględnione w rozliczeniu za 2020 rok, które dla spółek, których rok podatkowy pokrywa się z rokiem kalendarzowym, powinno być dokonane do końca marca 2021 roku.

W konsekwencji, aby z estońskiego CIT móc korzystać, nie tylko spełnić trzeba warunki formalne (limit przychodów i zatrudnienia, złożenie oświadczenia), ale konieczne są również odpowiednie przygotowania po stronie działu księgowego.





Piotr **Palutkiewicz**

Umowa o pracę?

Poproszę prosto i tanio

Znów przebijają się do debaty publicznej problemy z opodatkowaniem pracy w Polsce. Zgodnie z raportem Polskiego Instytutu Ekonomicznego większość Polaków jest za obniżeniem podatku PIT dla najmniej zarabiających. Można to szybko rozwiązać, podwyższając kwotę wolną, która w naszym kraju należy do jednych z najniższych w Europie.

Prawdziwy problem leży gdzie indziej. Jest nim zbyt wysokie opodatkowanie pracy wraz ze skomplikowaniem systemu składkowo-podatkowego. Jeśli pracownik otrzymuje wynagrodzenie na umowie w wysokości 5 tys. zł, to z tej kwoty dostanie na rękę 3,5 tys. zł. Jednak całkowity koszt jego zatrudnienia jest znacznie wyższy niż różnica pomiędzy kwotą widniejącą na umowie a tą, którą pracownik widzi ostatecznie na swoim koncie. Są jeszcze koszty po stronie pracodawcy. Aby pracownik otrzymał 3,5 tys. zł netto, pracodawca realnie płaci niemal 6,1 tys. zł. Zatem koszty zatrudnienia, które są zabierane przez organy administracji publicznej, wynoszą ponad 42 proc. całkowitej kwo-

ty, jaką pracodawca przeznacza na pracę danej osoby.

To nie koniec. Na wspomniane 42 proc. obciążeń składają się: PIT, ubezpieczenie emerytalne, rentowe, chorobowe, wypadkowe, zdrowotne, składki na Fundusz Pracy, Fundusz Gwarantowanych Świadczeń Pracowniczych, a ostatnio także PPK. Każdy z tych elementów jest wyliczany jako odmienny procent od różnych podstaw wynagrodzenia. Są jeszcze i ulgi. Bez wsparcia profesjonalistów w zakresie administracji kadrowo-płacowej czy specjalistycznego oprogramowania przedsiębiorca często nie jest w stanie dokonać rozliczenia pracownika na podstawie umowy o pracę. Cały ten system nałożony jest ponadto na sztywny Kodeks pracy. Problem ten dotyczy głównie mikroprzedsiębiorców. W wielu przypadkach skłonni byłiby zatrudniać pierwszych pracowników na podstawie umowy o pracę, jednak nadmiar obciążeń kosztowych i biurokratycznych stanowi dla nich barierę nie do przeskoczenia. Ostatecznie wolą kontraktować zleceńodawców na podstawie umów zleceń lub umów

B2B. Te formy są nieporównywalnie prostsze. Płacimy też od nich niższe składki i podatki, a sztywny Kodeks pracy nie ma tu zastosowania.

Jakiegolwiek jednak ruchy w kierunku ujednolicenia wymogów składkowych poprzez ich podniesienie dla umów cywilnoprawnych i B2B czy ograniczanie możliwości stosowania tych umów w żaden sposób nie przyczyni się do popularyzacji umów na podstawie kodeksu pracy. Efektem będzie wzrost szarej strefy na rynku pracy. Z kolei podmioty kierujące się pełnym legalizmem nie będą skłonne do zatrudniania, a tym samym nie zostanie osiągnięty spadek bezrobocia po okresie trwającej recesji gospodarczej.

Jak podejść do tego problemu? Konieczne jest zmniejszenie obciążeń składkowo-podatkowych umów o pracę, uelastycznianie zapisów kodeksu pracy, ujednolicenie systemu naliczania podatków i składek na ubezpieczenia społeczne. Tanio i prosto. Tanio pod względem podatkowym. Nie ma lepszej zachęty dla przedsiębiorców i pracowników, by z takiego produktu skorzystać.

CYKL DEBAT:

**GOSPODARKA - INWESTYCJE - INNOWACJE.
WYZWANIA DLA POLSKI NA NAJBLIŻSZĄ DEKADĘ**

Część III

"Czy polskie firmy są gotowe na transformację cyfrową?"



KRZYSZTOF BUDKA

Redaktor Naczelny „Forum Polskiej Gospodarki”



WOJCIECH ZUBOWSKI

Posel PiS, Sejmowa
Komisja ds. Gospodarki
i Rozwoju



DARIUSZ GRZEGOREK

Dyrektor ds. Rozwoju i Utrzymywania
Systemów IT, Centralny Ośrodek
Przetwarzania Informacji,
KGHM Polska Miedź SA



MICHAŁ KANOWNIK

Prezes Zarządu ZIP SEE
Cyfrowa Polska



JACEK SZAFADER

Ekspert ds. Transformacji
Cyfrowej, Prezes Zarządu
Atteli Sp. z o.o.

Czy polskie firmy są gotowe na przyjęcie nowych technologii?

„Gospodarka - inwestycje
- innowacje. Wyzwania dla
Polski na najbliższą dekadę”
- to cykl debat organizowany
od 26 października przez
„Forum Polskiej Gospodarki”.

Chcemy, by projekt ten
stanowił forum dyskusji
o najważniejszych kwestiach
dotyczących polskiej
gospodarki w możliwie
najszerszym kręgu
interesariuszy. Partnerem
Głównym cyklu został KGHM
Polska Miedź SA.

Krzysztof Budka

Do udziału w projekcie w roli uczestników zaprosiliśmy przedstawicieli najwyższych władz państwowych, ekonomistów, naukowców oraz przedsiębiorców. Partnerem Głównym cyklu został KGHM Polska Miedź SA, a patronatu nad wydarzeniem udzieliły: Ministerstwo Aktywów Państwowych, Ministerstwo Rozwoju, Pracy i Technologii, Narodowy Bank Polski oraz Giełda Papierów Wartościowych.

Cyfryzacja

Część grudniową cyklu otworzyła debata pt.: „Czy polskie firmy są gotowe na transformację cyfrową?”. Do udziału w dyskusji zaprosiliśmy: pośta Wojciecha Zubowskiego – zastępcę przewodni-

czącego Sejmowej Komisji do Spraw Gospodarki i Rozwoju, Dariusza Grzegorka – Dyrektora ds. Rozwoju i Utrzymywania Systemów IT, Centralny Ośrodek Przetwarzania Informacji, KGHM Polska Miedź SA, Michała Kanownika – prezesa zarządu ZIP SEE Cyfrowa Polska oraz Jacka Szafadera – eksperta ds. transformacji cyfrowej w biznesie, prezesa zarządu Atteli Sp. z o.o.

Zmiany technologiczne i społeczne, jakich obecnie doświadczamy, wymagają odpowiedniej reakcji ze strony przedsiębiorstw. Chodzi tutaj o takie aspekty ich funkcjonowania, jak przechowywanie i analiza danych, ale też nowe podejście do świadczenia usług czy kontaktu z klientem. Obecna transformacja

wymaga zmian operacyjnych i mentalnych, dzięki którym przedsiębiorstwa będą mogły odnaleźć się w nowej rzeczywistości i w pełni wykorzystać swój potencjał.

Rozmawialiśmy więc o tym, na ile polskie firmy są przygotowane do zmian, jakie niesie ze sobą transformacja technologiczna, jakie branże są najlepiej dostosowane do trwającej transformacji cyfrowej, czy obowiązujące w Polsce regulacje wychodzą naprzeciw zmianom oraz jaki wpływ na transformację cyfrową ma pandemia COVID-19 i obostrzenia z nią związane.

– To, co bardzo ważne i czego nie da się przeliczyć na żadne pieniądze, to fakt, że pandemia niejako zmusiła nas wszystkich: administrację publiczną, przedsiębiorców i obywateli do przeniesienia się do świata cyfrowego. Teraz powinniśmy zrobić wszystko, by to „wymuszone” przeniesienie wykorzystać z pożytkiem dla dobra całej naszej gospodarki – stwierdził poseł Wojciech Zubowski.

– Pandemia spowoduje zmiany w globalnym układzie sił gospodarczych. Tylko te państwa, które będą umiały przygotować się do tych zmian technologicznie, finansowo, edukacyjnie i mentalnie, wygrają przyszłość – zaznaczył z kolei prezes Michał Kanownik.

Natomiast Dariusz Grzegorek zwrócił uwagę na odpowiedzialność, jaka spoczywa na barkach narodowych czempionów, takich jak KGHM Polska Miedź SA. – Każda organizacja, szczególnie tak duża jak KGHM, musi być odpowiedzialna społecznie. Musi wspierać w rozwoju całe swo-

je otoczenie. Kluczową rolę odegrać w tym rozwoju powinny inwestycje w ludzi. Pod tym względem mamy jeden z największych potencjałów w Europie – przyznał Dyrektor ds. Rozwoju i Utrzymania Systemów IT, Centralny Ośrodek Przetwarzania Informacji, KGHM Polska Miedź SA.

I dodał: – Transformacja cyfrowa i cały związany z nią Przemysł 4.0 jest bytem bardzo dynamicznym. Ewoluuje i dostosowuje się do naszych potrzeb, które są generowane od wewnątrz. Stała się tak naprawdę bezpiecznikiem powodzenia w biznesie.

Konkurencyjna energia

Dwie kolejne dyskusje poświęciliśmy na omówienie wyzwań, jakie niesie ze sobą unijna polityka klimatyczna. W debacie pt. „Konsolidacja sektora energetycznego w Polsce” udział wzięli: poseł Małgorzata Janowska z Sejmowej Komisji ds. Energii, Klimatu i Aktywów Państwowych, Andrzej Sadowski – prezydent Centrum im. Adama Smitha, Dawid Piekarczyk – wiceprezes Instytutu

Staszica, Jakub Wiech – redaktor portalu Energetyka24.

Sytuacja finansowa polskich kopalń, polityka klimatyczna Unii Europejskiej stawiona na redukcję emisji gazów cieplarnianych oraz rosnące skokowo zapotrzebowanie na energię elektryczną wymuszają na sektorze energetycznym wielomiliardowe inwestycje. Odpowiedzią na te wyzwania ma być konsolidacja spółek energetycznych i ich integracja z górnictwem. Co ta na nasi eksperci?

– Najważniejsze to, co można zrobić już teraz, nie czekając na żadne unijne zobowiązania, to adopcja technik cyfrowych w polskiej energetyce, m.in. w oparciu o najnowszą technologię transmisji danych 5G, która pozwoliłaby polskiej energetyce i całej polskiej gospodarce uzyskać konkurencyjną przewagę w Unii Europejskiej. Jest to jak najbardziej możliwe – mówił Andrzej Sadowski.

Z kolei Dawid Piekarczyk zwrócił uwagę na fakt, że w przypadku wyzwań związanych z unijną polityką klimatyczną polski biz-





nes wyprzedza działania polityków. – Sektor energetyczny, w dużej mierze kontrolowany przez państwo, już zdecydował, że idziemy w zieloną energię. Teraz potrzeba nam więcej asertywności i pomysłowości, by w tym procesie przekuć nasze atuty w sukces – zaznaczył.

Na bardzo ważną sprawę uwagę zwrócił też Jakub Wiech: – Życzyłbym sobie, abyśmy jako państwo zdobyli się wreszcie na zaprojektowanie ponadpartyjnej drogi do transformacji energetycznej. Byśmy mogli ją realizować przez kilka kadencji Sejmu i byśmy agregowali siłę tej polityki klimatycznej do tego, by wzmacniać własny przemysł, własną gospodarkę i całą pozycję Polski w Europie.

Zielony Ład

W ostatniej tegorocznej dyskusji „Europejski Zielony Ład z polskiej perspektywy: jak wykorzystać szansę i uniknąć zagrożeń?” udział wzięli wybitni naukowcy: prof. Tadeusz Uhl z Akademii Gór-

niczo-Hutniczej, prof. Andrzej Jasiński z Uniwersytetu Wrocławskiego oraz ekspert Instytutu Prawa Gospodarczego dr Marian Szotucha.

Europejski Zielony Ład to z jednej strony szansa na poważne inwestycje nie tylko największych polskich spółek, ale również przedsiębiorstw z sektora MŚP w odnawialne źródła energii, poszukiwanie nowych rozwiązań i pchnięcie polskiej gospodarki na tory innowacyjności. Z drugiej jednak strony zagrożenie dla polskich rolników, drobnych producentów i wszystkich konsumentów w związku m.in. z podwyżką cen.

– Każda zmiana to szansa. Dlatego na Europejski Zielony Ład powinniśmy patrzeć właśnie z tej perspektywy. Gdy mamy sytuację zastaną, gdy rynek jest już podzielony, a karty zostały dawno rozdane, to nowej firmie, nowym technologiom bardzo trudno jest wejść na tę scenę. Ale gdy tylko coś się zmienia, wtedy jest okazja znaleźć sobie własną, nową niszę. I tak się od pew-

nego czasu u nas dzieje. Wiele polskich firm staje się liderami różnych segmentów rynku, których dawniej nie było. Także w energetyce – mówił prof. Tadeusz Uhl.

– Europejski Zielony Ład stymuluje innowacyjność i prowadzi nas do nowych technologii. Polacy to bardzo kreatywny naród i na pewno dadzą sobie tu radę. Państwo powinno tylko zrobić dwie rzeczy: stworzyć biznesowi odpowiednie warunki do rozwoju i nie przeszkadzać – dodawał prof. Andrzej Jasiński.

– Nie możemy abstrahować od realiów zewnętrznych. Nie wszystkie pomysły związane z Europejskim Zielonym Ładem są dla Polski korzystne, ale nie mamy innego wyjścia, jak tylko się w nie wpisać i przestać ciągnąć się w ogonie, przestać być wyłącznie biorcą i imitatorom nowych technologii, ale robić wszystko, by dołączyć do europejskiego peletonu innowacyjności i zmian – podsumował dr Marian Szotucha.

A co z zasobami polskiego węgla i naszymi kopalniami? Europejski Zielony Ład nie musi oznaczać ich zamknięcia i całkowitej rezygnacji z tego surowca. Są firmy, które dysponują odpowiednią technologią, by na węglu zarabiać i robić to w zgodzie ze wszystkimi normami unijnej polityki klimatycznej. W jaki sposób? Odpowiedź pada w trakcie dyskusji, do obejrzenia której gorąco zachęcamy.

Wszystkie debaty dostępne są na serwisie fpg24.pl.

PARTNER GŁÓWNY CYKLU:





Budujemy Twoją przyszłość
od 1996 roku



Warszawa • Poznań • Kraków • Katowice



HM INWEST S.A.

Twój deweloper

HM FACTORY Sp. z o.o.

Producent prefabrykatów
dla budownictwa mieszkaniowego

*Wszystkim naszym Klientom i Współpracownikom
życzymy
zdrowych i wesołych
Świąt Bożego Narodzenia
oraz samych sukcesów
w Nowym Roku*



Dzika prywatyzacja banków wciąż pogrąża naszą gospodarkę

Nieprzejrzysta oraz nigdy nierozliczona prywatyzacja polskich banków na przestrzeni ostatnich 30 lat to nie tylko pomijany koszt naszej akcesji do Unii Europejskiej. Sprywatyzowane instytucje niechętnie finansowały polskie firmy, szczególnie te z sektora MŚP, nie pozwalając rozwinąć im skrzydeł.

Robert **Azembski**

Kiedy Leszek Balcero-
wicz posiadał przemoż-
ny wpływ na politykę
gospodarczą, a było to szcze-
gólnie w latach 2000–2001,
z programowej, a czasem
beźmyślnej po prostu prywa-
tyzacji najlepszych polskich
przedsiębiorstw i banków do
państwowej kasy wpłynęło
30 mld zł. Na niewiele to się
jednak zdało. Dług publiczny
wzrósł w tym czasie z 65 mld
zł w 1991 roku, do blisko 315
mld zł. Z kolei w latach 2009–
2010 sprzedano kolejne pol-
skie firmy, tym razem za ok.
30 mld zł, a dług publiczny
sięgnął już... 800 mld zł. Takie
są źródła i podstawy wyso-
kiego długu publicznego. Ta-

kie są też przyczyny tego,
w którym miejscu znajduje się
Polska na mapie gospodarczej
Europy, oraz czym jest dziś
wykoślawiony tą dziką pry-
watyzacją sektor bankowy i na
co mogą liczyć polskie firmy,
w tym małe i średniej wielko-
ści.

Sowite prowizje

Zdaniem prof. Witolda Kie-
żunia z Akademii Leona Koź-
mińskiego, członka Internatio-
nal Academy of Management
(USA) i wykładowcy na wie-
lu uczelniach zagranicznych
w Europie, USA i Kanadzie,
„w 1999 r. Bank Światowy
przeprowadził badania inwe-
storów zagranicznych w Pol-

sce. Okazało się, że dawali oni tzw. prowizje za udział w prywatyzacji, a działo to się pod przykrywką obowiązującego wówczas prawa, nie tylko polskiego. BS pozyskał np. informację, że za 3 mln dolarów można było kupić odpowiednią ustawę w polskim Sejmie” (cyt. z książki „Patologia transformacji”).

Wyceny polskich banków były robione przez zagranicznych audytorów. Niby niezależnych, ale często od lat współpracujących z zagranicznymi inwestorami w ich krajach macierzystych. Wysokie koszty tych wycen dodatkowo pomniejszały dochody z prywatyzacji (obszerną pracę na ten temat przedstawił m.in. dr Ryszard Ślęzak). Pierwotnie transfer zysków do spółek matek banków zagranicznych miał być ograniczony do 15 proc. zysku netto danego banku. Potem zrezygnowano i z tego ograniczenia.

W końcowym efekcie naszego otwarcia granic dla transferów kapitałowych po wejściu do UE ok. 80 proc. wartości najbardziej dochodowego majątku narodowego, przede wszystkim sektor bankowy, ubezpieczeniowy, przemysł lekki, spożywczy i precyzyjny, sprywatyzowano. Wskutek tego polski budżet pozyskał ok. 140 mld zł przez 20 lat. Dużo?

– To, co się wydarzyło w Polsce, w swojej istocie jest podobne do tego, co zaszło wówczas w Afryce. Mieszkalem tam 10 lat i mogłem to dokładnie obserwować i analizować – mówił prof. Witold Kieżuń. – Cechą tej prywatyzacji, wykupu własności państwowej dokona-

nej przez wielkie korporacje międzynarodowe, była bardzo niska cena firm, korupcja, likwidowanie potencjalnej konkurencji metodą tzw. wrogiego przejęcia, kupna przedsiębiorstwa i jego zlikwidowania albo marginalizowania jego działalności.

Demony prywatyzatorów

Prawdziwym skandalem była prywatyzacja bardzo dobrze już wówczas rozwiniętego Banku Śląskiego. Bank ten był nowoczesny, jak na owe czasy dobrze z informatyzowany, szybko rozwijający się. Dysponował kapitałem akcyjnym blisko 1 bln zł i zaledwie ośmioprocentowym portfelu trudnych kredytów, bardzo niskim w tamtym czasie. Pierwsza wycena wartości akcji wyniosła ok. 230 tys. zł (starych), a potem ówczesny minister finansów z SLD podniósł ją do 500 tys. zł. W pierwszym notowaniu akcje uzyskały cenę 13,5 razy wyższą od ceny nominalnej, wzrastając do 6,75 mln zł. Badanie NIK wykazało, że przed prywatyza-

cją poważnie zaniżono kapitał akcyjny banku oraz zafalszowano zyski. Oprócz dymisji wspomnianego ministra finansów nikomu nie spadł włos z głowy.

Z kolei przy prywatyzacji WBK z Poznania (później BZ WBK) doradzał brytyjski Schroders. Akcje WBK sprzedano za 140 tys. zł (starych) za walor, a pierwsze notowanie na giełdzie wyniosło 350 tys. zł. Najwięcej akcji kupił EBOiR, który już po roku sprzedał cały pakiet Allied Irish Bankowi (AIB) za 3 mld zł! W końcu 2010 roku kontrolowane przez państwo PKO BP chciało odkupić ten bank za... 13 mld zł. Dziś bank prosperuje pod hiszpańskim właścicielem.

Były i inne prywatyzacje. Inwestorzy zagraniczni szybko skupowali akcje, także na GPW, i przejmowali nad polskimi bankami kontrolę. Taki los spotkał np. BRE, powołany w celu wspierania polskiego eksportu, oraz zdrowy wówczas Bank BPH. Pekao SA, po skonsolidowaniu



z innymi bankami, sprzedano Włochom z Unicredit za ok. 5 mld zł. Dziś aktywa tego banku wynoszą setki miliardów złotych; udało się go zrepolonizować. W przypadku Banku Gospodarki Żywnościowej akcje w 37 proc. należały do Skarbu Państwa, a reszta do banków spółdzielczych. Ale po sprzedaży swoich udziałów przez przymuszone regulacjami nadzorczymi BS-y bank trafił do holenderskiego inwestora Rabobank. W 2015 roku połączył się z francuskim bankiem BNP Paribas, a powstały w ten sposób BGŻ BNP Paribas (obecnie z marki banku praktycznie zniknął człon BGŻ) kontrolują Francuzi.

Chyba jednak największym skandalem było sprzedanie Citibankowi najstarszego i o zasięgu międzynarodowym Banku Handlowego w Warszawie, założonego jeszcze w XIX w. przez znanego wówczas i niezwykle skutecznego w działaniu finansistę Leopolda Kronenberga.

Krótko mówiąc, polskie banki, stworzone w dużym stopniu na bazie kapitału i depozytów Polaków, zbyto na przestrzeni dwóch, trzech dekad za ok. 30 mld zł, czyli – szacując ostrożnie – za nie więcej niż 15 proc. ich realnej wartości. Państwo polskie straciło na operacji co najmniej 200 mld zł. Cicho obecnie siedzący animatorzy i beneficjenci tych prywatyzacji, argumentują czasem, że inaczej się nie dało, bo nie było wówczas w kraju pieniędzy. To nie jest trafny argument. Na prywatnych rachunkach w NBP znajdowało się wówczas zdeponowane ok. 8 mld dolarów, a co najmniej drugie tyle stanowiły

Transfer pieniędzy z Polski za granicę, którego nikt nie skwalifikował, w samych latach 2004–2010 osiągnął kwotę 221 mld zł.

dewizowe oszczędności Polaków. Również pula rezerwy dewizowej na zabezpieczenie wartości złotego została źle skalkulowana, bo nie było potrzeby tworzenia wtedy aż tak dużych rezerw. Część z nich można było włączyć do procesu prywatyzacji banków. Można było też zaciągnąć np. pożyczki zagraniczne, ewentualnie sprzedawać tylko mniejszościowe zestawy akcji itp. Wiele było można, ale nic z tego nie uczyniono.

Nieuwzględniane koszty

Dlaczego to wszystko jest tak ważne? Według dr. Janusza Szewczaka, byłego głównego ekonomisty SKOK, transfer pieniędzy z Polski za granicę, którego nikt nie skwalifikował rozbijając na poszczególne pozycje, w samych latach 2004–2010 osiągnął kwotę 221 mld zł. Składają się na niego m.in. stosowanie cen transferowych, wypłaty dywidend, unikanie opodatkowania CIT, spekulacje walutowe, których Polska była tylko biernym odbiorcą, wypłaty różnych wynagrodzeń i premii dla zagranicznych

doradców oraz ściśle współpracujących z nimi, polskich menedżerów. Pieniądze „wyszły” też z kraju w postaci zakupów licencji, zmian logo, wątpliwego konsultingu itd.

Dlaczego to wszystko jest jeszcze dziś ważne? W opinii prof. Leokadii Oręziak z SGH nawet prywatne banki kierują się przede wszystkim pochodzeniem narodowym kapitału. Służą głównie interesom tych, którzy są ich właścicielami. Niemal obligatoryjnie wspierają firmy z krajów swojego pochodzenia. Przejmowanie rynku bankowego przez obcy kapitał ma zawsze miejsce przede wszystkim w krajach słabych ekonomicznie. Stanowi – jak to kiedyś określiła pani profesor – „jakieś ograniczenie suwerenności”, gdzie nikt w kraju nie ma wpływu na cele, które realizuje zagraniczny bank. Wbrew temu, co się kiedyś twierdziło, pieniądze jednak ma ojczyznę. Gdy pojawia się kryzys, taki jak na przykład obecnie, kwestia ta zyskuje duże znaczenie. Zmiana paradygmatu postrzegania zagranicznych podmiotów na polskim rynku powinna być już dziś oczywista.

Obecna struktura systemu bankowego w Polsce, uwzględniająca także polskie banki spółdzielcze, jest bliska optymalnego kształtu. Nie ma sensu proponować dalszej renacjonalizacji. Tym bardziej że wiąże się ona z ryzykami politycznymi. Ale być może dałoby się kiedyś wprowadzić takie mechanizmy (nadzorcze? właścicielskie?), które pozwolą objąć polskie firmy troskliwszą niż dotąd opieką.



Kamil Goral

Polska gospodarka w 2021 roku

Pandemia koronawirusa zachwiała kondycją w zasadzie wszystkich gospodarek na świecie. Obserwując najistotniejsze wskaźniki makroekonomiczne, nie można dojść do innego wniosku jak ten, że był to potężny szok, którego skutki możemy odczuwać latami. Nie oznacza to, że przed nami rysują się tylko czarne perspektywy. W przypadku Polski nie doszło do uszkodzenia tkanek ekonomicznej, wiele branż doznało potężnych strat, ale w dalszym ciągu nasza gospodarka ma znaczny potencjał do wzrostu.

Co więcej, ze względu na położenie geograficzne i poprawiającą się infrastrukturę Polska może stać się istotnym punktem na produkcyjnej i transportowej mapie świata. Pamiętać trzeba także o tym, że chociaż odczuliśmy skutki pandemii dosyć mocno, to i tak na tle wielu krajów Starego Kontynentu nasze wskaźniki prezentują się całkiem nieźle. W dalszym ciągu na niskim poziomie jest bezrobocie, powoli odbija popyt, poprawiają się nastroje w przemyśle. To nie są oczywiście powody do huraoptymi-

zmu, ale do skromnej i umiarkowanej nadziei już tak.

Wiele zależy od decyzji, osób na szczytach władzy odpowiedzialnych za gospodarkę. Na ile będą wśluchiwać się w głos biznesu, na ile wyjdą naprzeciw oczekiwaniom związanym z legislacyjnym spo-

taśmę. Oby podobnych sytuacji było jak najmniej, a najlepiej, aby nie było ich wcale.

Polska gospodarka potrzebuje postpandemicznej strategii, nowego kompasu pozwalającego odnaleźć drogę wzrostu w ciągu najbliższych kilku lat. Nie możemy opierać się tylko na pieniądzu z Unii Europejskiej, musimy szukać własnych dróg trwałego rozwoju i stawiać sobie realistyczne, acz ambitne cele. Jak w przypadku każdej strategii, konieczna jest także konsekwencja w jej realizacji i przede wszystkim kompetentni ludzie, którzy będą potrafili ją wdrożyć. Ileż to już podobnych dokumentów przyjmowano na przestrzeni ostatnich lat i ile tak naprawdę z nich zostało? Może pora wyciągnąć z tego wnioski i szczególnie teraz opracować dokument, który zrealizowany zostanie od A do Z. Tego też powinniśmy sobie życzyć, dobrze przygotowanego, skonsultowanego z biznesem i odpowiadającego na najważniejsze potrzeby naszego kraju planu dla gospodarki.

A na koniec to, co najważniejsze: radosnych i pełnych nadziei Świąt Bożego Narodzenia i Szczęśliwego Nowego Roku!

Polska gospodarka potrzebuje postpandemicznej strategii.

kojem i powstrzymaniem się od nachałnego fiskalizmu. Nie najlepszym prognostykiem jest tutaj sprawa podwójnego opodatkowania spółek komandytowych, mimo licznych próśb i apeli od przyszłego roku będą one podatnikami CIT. Można było się od tego ruchu powstrzymać, można też było wprowadzić go później, np. w 2022 roku. Klamka jednak zapadła i Sejm w ekspresowym tempie przyjął nowe prawo, praktycznie rzutem na



Strategia KGHM na półmetku

Nowatorskie projekty, skuteczne zmiany w systemie zarządzania, innowacyjne inwestycje, testowanie alternatywnych i niekonwencjonalnych rozwiązań w zakresie energii, wprowadzanie najnowocześniejszych technologii do procesu produkcyjnego - to rezultaty wdrażania Strategii KGHM Polska Miedź S.A. na lata 2019-2023.

Strategia KGHM Polska Miedź S.A. 2019–2023 jest na półmetku. Powstała z przeświadczenia, że należy zweryfikować priorytety firmy w zgodzie ze specyfiką rynku, nowymi trendami w gospodarce i przygotować się na zmienność sytuacji makroekonomicznej i geopolitycznej.

tycznej, które w istotny sposób wpływają na branżę wydobywczą. Nikt wtedy nie mógł oczywiście przewidzieć pandemii COVID-19 i jej wpływu na ogólnoswiatową gospodarkę, niemniej strategia ogłoszona przez KGHM dwa lata temu była jasnym sygnałem, że działania koncernu należy postrzegać nie w kategoriach sprintu, ale raczej patrzeć na nie jak na maraton, czyli w horyzoncie długoterminowym.

W wyniku analizy kluczowych trendów na świecie, takich jak przełom technologiczny, zmiany demograficzne i społeczne, niedobór zasobów naturalnych, zmiany klimatyczne, zmiany sił wśród globalnych gospodarek czy postępująca urbanizacja, Zarząd wypracował cztery strategiczne kierunki rozwoju KGHM:

- Elastyczność – przemysł 4.0, digitalizacja i elektromobilność,
- Efektywność – konkurencyjność w branży produkcyjnej i wydobywczej oraz przemysł 4.0,
- Ekologia – elektromobilność, rozwój regulacji proekologicznych, gospodarka obiegu zamkniętego oraz proekologiczna produkcja, zrównoważony rozwój
- E-przemysł – robotyzacja, digitalizacja, społeczeństwo oparte na wiedzy oraz założeniach przemysłu 4.0.

Optymalizacja

Jednym z najważniejszych założeń Strategii jest utrzymanie stabilnego, wysokiego poziomu produkcji krajowej. Uda się to zrealizować m.in. dzięki kilku istotnym inwestycjom.

W KGHM kontynuowany jest Program Udostępnia-

nia Złoża, którego celem jest udostępnienie złoża w obszarach koncesyjnych i perspektywicznych dla kopalń Zakładów Górniczych „Polkowice-Sieroszowice” i Zakładów Górniczych „Rudna”.

Bardzo ważnym punktem dotyczącym optymalizacji produkcji hutniczej było uruchomienie w Hucie Miedzi Legnica jedynej w Polsce pieca WTR (wychylno-topielno-rafinacyjny) do przetopu recyklingowego miedzi. Piec spełnia najwyższe standardy ochrony środowiska i posiada najnowocześniejszą instalację do oczyszczania gazów procesowych. Inwestycja ma zmniejszyć jednostkowy koszt produkcji i jednocześnie zwiększyć wykorzystanie miedzi pochodzącej z recyklingu. Budowę zrealizowano w rekordowo krótkim czasie, zaledwie 15 miesięcy.

Podstawową funkcją pieca WTR jest przetapianie złomów i rafinacja pirometalurgiczna miedzi. Wcześniej tę funkcję pełniły piece anodowe. Budowa WTR była konsekwencją realizacji planów wymiany technologii na wydziale elektorafinacji. Budowa pieca WTR to największa inwestycja w historii Huty Miedzi Legnica nie tylko pod względem poniesionych nakładów (250 mln zł), ale przede wszystkim ze względu na ogromny skok technologiczny.

W ramach realizacji Strategii trwa również rozbudowa zbiornika „Żelazny Most” – Obiektu Unieszkodliwiania Odpadów Wydobywczych. To niezbędny element w ciągu technologicznym produkcji miedzi, miejsce deponowania odpadów z flotacji rud miedzi pochodzących ze wszystkich zakładów górniczych KGHM



Polska Miedź S.A. Znajduje się na wschód od Polkowic przy miejscowości Rudna w Legnicko-Głogowskim Okręgu Miedziowym. W 2020 roku dobiegła końca pierwsza faza budowy Kwaterę Południowej. Planowany termin zakończenia całości robót to czerwiec 2022 roku. Inwestycja obejmuje m.in. budowę zapór okalających Kwaterę Południową – zapórę wschodnią zlokalizowaną na terenie Gminy Rudna oraz zapórę zachodnią na terenie gminy Polkowice. Docelowa objętość Kwaterę Południowej ma wynosić około 170 mln m³.

W listopadzie koncern poinformował, że najlepszy wynik finansowy w historii osiągnęła Sierra Gorda (odkrywkowa kopalnia miedzi i molibdenu zlokalizowana w chilijskim regionie Antofagasta na pustyni Atacama). W tej ocenianej niegdyś jako kontrowersyjna inwestycja kopalni, w wyniku eksploatacji rudy o wyższej zawartości metalu oraz większego wydobycia, produkcja miedzi za 9 miesięcy tego roku wzrosła o 35 proc. w porównaniu do takiego samego okresu w roku 2019.

Przedstawiciele koncernu podkreślają, że to nie koniec prac nad optymalizacją. Priorytetem jest doprowadzenie Sierra Gorda do pełnej zdolności produkcyjnej.

Inwestycja w OZE

Bardzo ważne miejsce w Strategii KGHM Polska Miedź S.A. zajmuje ekologia, szczególny priorytet ma energetyka. W ciągu dekady potęgę zapotrzebowania na energię koncern zamierza pokryć z własnych źródeł, w tym z OZE. Wśród kluczowych ele-



Fot. KGHM Polska Miedź SA

mentów Programu Rozwoju Energetyki KGHM znalazła się fotowoltaika. W grudniu 2020 roku KGHM ZANAM uruchomił pierwszą w Polsce elektrownię fotowoltaiczną opartą na technologii 4.0. Oprócz inwestycji KGHM ZANAM koncern prowadzi także projekty fotowoltaiczne – na terenie Oddziału Zakład Hydrotechniczny oraz przy Hucie Miedzi Głogów.

W ciągu najbliższych 24 miesięcy planowane jest oddanie do użytku elektrowni fotowoltaicznych o mocy ponad 10 MW. Pozwoli to w skali roku uniknąć ponad 8 tys. ton emisji CO₂ i innych związków azotów, siarki oraz pyłów do atmosfery.

W trwających projektach budowy elektrowni fotowoltaicznej Piaskownia Obora oraz Zespołu Elektrowni Fotowoltaicznych HMG I-II przyjęta przez spółkę Konceptja Programowo-Przestrzenna za-

kląda wykorzystanie paneli o mocy aż 400 Wp, co zwiększy potencjał zainstalowanej mocy z 9,5 do 14,5 MW.

Pierwsza ze wspomnianych elektrowni powstanie na terenie Kopalni „Piaskownia Obora”, przyczyniając się jednocześnie do zmiany kierunku rekultywacji tego terenu. Przyjęta koncepcja zakłada zainstalowanie paneli o dużej mocy 8 MW, na obszarze aż ok. 16 ha. Umożliwi to wyprodukowanie 8,5 GWh czystej energii elektrycznej dla Zakładów Górniczych Lubin, Zakładów Wzbogacania Rud i Zakładu Hydrotechnicznego.

Z kolei Zespół EPV HMG I-III to aż trzy odrębne lokalizacje na terenie Huty Miedzi Głogów. W nowej elektrowni zostaną zainstalowane panele o mocy 6,5 MW na obszarze ok. 12 ha, co pozwoli wyprodukować 6,9 GWh czystej energii elektrycznej.

Te nowe projekty fotowoltaiczne są elementami strategicznego programu firmy pod nazwą „Rozwój Energetyki, w tym OZE”. Jego założeniem jest m.in. pozyskanie czystej energii z elektrowni wiatrowych, zwiększenie produkcji z własnych źródeł gazowych oraz rozwój elektrowni fotowoltaicznych na terenach należących do koncernu. Realizacja EPV przez KGHM pozwoli każdego roku na redukcję emisji szkodliwych substancji do środowiska w wysokości ponad 10 tys. ton CO₂, ponad 9 ton związków siarki, ponad 9 ton związków azotu, niemal 4 ton tlenków siarki oraz blisko 0,5 tony pyłów.

Efekty finansowe

Realizacja Strategii przynosi również wymierne efekty w postaci finansów. Po dwóch latach od jej wdrożenia Zarząd KGHM może pochwalić się osiągnięciem ponad 2,5 mld zł. zysku netto w tym okresie, wyemitowaniem obligacji na kwotę 2 mld zł. oraz podniesieniem efektywności finansowania zewnętrznego i zwiększeniem wykorzystania faktoringu. To wszystko sprawia, że KGHM Polska Miedź S.A. ma zapewnioną stabilność finansową, dzięki czemu może z roku na rok przeznaczać coraz więcej środków na innowacje.

A te rosną w zauważalnym tempie i w perspektywie strategicznej wydatki na innowacje oraz badania i rozwój mają sięgnąć poziomu 1 proc. przychodów KGHM Polska Miedź S.A.

Z tych środków realizowane są następujące projekty:

- Polityka Działalności Badawczo-Rozwojowej
- Program CuBR realizowany

we współpracy z Narodowym Centrum Badań i Rozwoju o wartości 200 mln zł

- Program Doktoratów Wdrożeniowych KGHM
- Centralne Repozytorium Prac Badawczo-Rozwojowych
- Giełda Wynalazczości
- Search KGHM

Technologia przyszłości

Jednym z priorytetów Strategii jest e-przemysł. Spółka z powodzeniem realizuje program KGHM 4.0, na który składa się blisko 50 projektów obejmujących wszystkie obszary strategiczne. Ich efektem ma być doprowadzenie do spójnego zarządzania obszarem produkcyjnym z wykorzystaniem wszystkich możliwych danych.

Program KGHM 4.0 opiera się na czterech filarach: bezpieczeństwie, produkcji, zarządzaniu i informacjach, a także utrzymaniu maszyn i urządzeń. Obejmować ma znacznie szerszy sektor niż tylko produkcję: również handel i przetwarzanie danych. Chodzi o to, by poprzez monitoring, wiedzę oraz analizę danych móc zarządzać parkiem maszynowym, czyli wydłużać efektywny czas pracy maszyn i urządzeń, jak również poprawić bezpieczeństwo.

Cele zawarte w strategii rozwoju KGHM Polska Miedź S.A. nakładają ambitny plan zarówno dla zarządu, jak i pracowników. Nie zmieniła tego pandemia COVID-19. Od samego jej początku firma podjęła szereg działań wspierających pracowników oraz okolicznych mieszkańców w walce z COVID-19. Dyscyplina załogi oraz systematyczne monitorowanie zagrożeń i wdrażanie proce-

dur zapobiegających zakażeniom pozwoliły utrzymać pełną zdolność operacyjną aktywów koncernu. Spółka cały czas prowadzi liczne kampanie edukacyjne i informacyjne, udostępniła pracownikom specjalną infolinię oraz służy pomocą psychologiczną osobom pozostającym w izolacji, przy współpracy z personelem medycznym Miedziowego Centrum Zdrowia.

KGHM przystąpił też do rządowego programu Solidarnościowy Korpus Pomocy Seniorom. Firma, przy wsparciu wolontariuszy, regionalnych Ośrodków Pomocy Społecznej, Caritasu i lokalnych organizacji pozarządowych przygotowała plan działań zwiększający bezpieczeństwo seniorów. KGHM przekazał osobom potrzebującym pakiety ze środkami bezpieczeństwa, w tym środkami do dezynfekcji. Dodatkowo pomógł organizacyjnie w tworzeniu dodatkowych miejsc w szpitalach tymczasowych dla pacjentów chorych na koronawirusa na Dolnym Śląsku.

Nitroerg, spółka z Grupy Kapitałowej KGHM, uruchomiła też linię produkcyjną środków bakteriobójczych, które trafiły do pracowników i mieszkańców regionu oraz organizacji potrzebującym wsparcia w tym zakresie. Powołano również Radę Medyczną przy KGHM, która ma za zadanie wspierać i inicjować wszelkie prace spółki w zakresie szeroko zakrojonych działań lokalnych na rzecz zdrowia pracowników oraz mieszkańców regionu.

MATERIAŁ POWSTAŁ WE WSPÓŁPRACY Z KGHM POLSKA MIEDŹ S.A.



Rosną limity, rosną kary...

Nowe przepisy podatkowe podniosły limity pozwalające na korzystanie z 9 proc. CIT oraz ryczałtu od przychodów ewidencjonowanych. Wzrosły też złotowe przeliczniki wszystkich pozostałych limitów podatkowych, w tym dla tzw. małych podatników. Równocześnie w związku ze wzrostem płacy minimalnej wyższe od nowego roku będą kary dla podatników.

Marek Kutarba

Jak będzie to wyglądać w praktyce? Od 1 stycznia 2021 roku nastąpi podwyższenie limitu przychodów uprawniających do korzystania z obniżonej 9 proc. stawki podatku CIT. Limit wzrasta z 1,2 mln euro do 2 mln euro. Zgodnie z obowiązującymi obecnie przepisami podatek wynosi 9 proc. podstawy opodatkowania od przychodów (dochodów) innych niż z zysków kapitałowych – w przypadku podatników, u których przychody osiągnięte w roku podatkowym nie przekroczyły wyrażonej w złotych kwoty odpowiadającej równowartości limitu, przeliczonej według średniego kursu euro ogłaszanego na pierwszy

dzień roboczy roku podatkowego (dla limitu na 2021 rok będzie to kurs z 2 stycznia 2021 roku), w zaokrągleniu do 1 tys. zł. Z preferencyjnej stawki CIT mogą jednak korzystać wyłącznie podatnicy, którzy posiadają status małego podatnika lub rozpoczęli działalność (z pewnymi wyjątkami). I te warunki nie ulegną zmianie.

W przypadku tego limitu przeliczenie go na złote nie jest zatem jeszcze możliwe.

Od razu należy też zauważyć, że taki sposób przeliczenia kursu to wyjątek, bo pozostałe limity podatkowe przelicza się zazwyczaj według kursu z ostatniego roboczego dnia października roku poprzedza-

jącego rok podatkowy, w zaokrągleniu do 1 tys. zł. A zatem dla limitów na 2021 rok według kursu 4,5153 zł.

Wszystkie złotowe limity w górę

Nowelizacja podniosła też w sposób znaczący limit przychodów, który pozwala korzystać z ryczałtu od przychodów ewidencjonowanych. Dotychczas wynosił on zaledwie 250 tys. euro. Teraz wyniesie 2 mln euro, czyli dla roku 2021 po przeliczeniu wyniesie 9 030 600 zł (w 2020 roku było to 1 093 350 zł). Zmienił się również limit w euro uprawniający do kwartalnych wpłat ryczałtu. Po zmianie wynosi on równowartość 200 tys. euro, zamiast jak dotąd 25 tys. euro. Oznacza to, że w 2021 roku będzie wynosił 903 060 zł (w 2020 roku było to 109 335 zł). Stosuje się tu kurs z pierwszego roboczego dnia października, ale wyjątkowo bez dokonywania zaokrągleń.

Nie zmieniły się natomiast pozostałe limity podatkowe wyrażone w euro. I tak przedsiębiorcy, których sprzedaż z 2020 roku nie przekroczy 9 031 000 zł, skorzystają w 2021 roku z przywilejów małego podatnika CIT i PIT (rok wcześniej było to 8 746 800 zł). W tym przypadku przeliczenia limitu, który wynosi od 2020 roku 2 mln euro, dokonuje się według średniego kursu euro ogłaszanego na pierwszy dzień roboczy października roku poprzedzającego rok podatkowy, w zaokrągleniu do 1 tys. zł. A zatem według kursu 4,5153 zł.

Z kolei małym podatnikiem VAT (jest on uprawnionym do rozliczania tzw. metodą kasową oraz do kwartalnych wpłat podatku) będzie podatnik,

Wyższy niż w 2020 roku będzie także limit obligujący podatników do prowadzenia ksiąg rachunkowych.

którego sprzedaż w 2020 roku wyniosła 5 418 000 zł (obecnie jest to 5 248 000 zł). Zastosowanie ma w tym przypadku ten sam kurs co dla podatników dochodowych, a limit wynosi 1,2 mln euro.

Mały podatnik jest uprawniony także do jednorazowej amortyzacji (dotyczy to środków trwałych z grup 3–8 Klasyfikacji Środków Trwałych, z wyłączeniem samochodów osobowych). Łączna kwota jednorazowych odpisów amortyzacyjnych nie może przekroczyć równowartości 50 tys. euro. W 2021 roku będzie to 226 tys. zł (w 2020 r. było 219 tys. zł).

Wyższy limit dla ksiąg rachunkowych

Wyższy niż w 2020 roku będzie także limit obligujący podatników do prowadzenia ksiąg rachunkowych. Obowiązkowo księgi rachunkowe muszą prowadzić: spółki handlowe, spółki osobowe (cywilna, jawna i partnerska) i osoby fizyczne, jeśli przychody ze sprzedaży w minionym roku obrotowym przekroczyły 2 mln euro, banki i inne instytucje finansowe działające w oparciu o prawo bankowe lub w oparciu o przepisy dotyczące obrotu papierami wartościowymi, przedsta-

wicielstwa firm zagranicznych, jednostki samorządowe takie jak powiaty czy gminy. Jak z tego wynika, obowiązek prowadzenia ksiąg uzależniony od limitu obrotów dotyczy tylko jednej kategorii podatników. Pozostali mają obowiązek prowadzenia ksiąg bez względu na wysokość obrotu.

W tym przypadku limit wynoszący 2 mln euro przelicza się na złote według kursu euro z pierwszego dnia roboczego października, a zatem według kursu 4,5153 zł. Oznacza to, że podatnicy mają obowiązek prowadzenia w 2021 roku ksiąg, jeśli w tym roku ich obroty przekroczyły 9 030 600 zł (w 2020 roku było to 8 746 800 zł).

Wyższe kary dla podatników

Od 1 stycznia wzrosną także kary nakładane za wykroczenia i przestępstwa skarbowe na podstawie Kodeksu karnego skarbowego. W tym przypadku ich wysokość nie jest jednak uzależniona od kursów walutowych, ale od wysokości płacy minimalnej. A ta wzrasta od 1 stycznia 2021 roku z 2,6 tys. do 2,8 tys. zł.

W konsekwencji grzywny nakładane w formie mandatu będą mogły wynosić od 280 do 5,6 tys. zł (w 2020 roku było to od 260 zł do 5,2 tys. zł).

Grzywna za wykroczenie skarbowe (gdy uszczuplenie podatku nie przekroczy 14 tys. zł) wyniesie od 280 do 28 tys. zł (w 2020 roku było to od 260 zł do 26 tys. zł.), a za przestępstwo skarbowe od 37 333,33 zł do 26,88 mln zł (w 2020 roku było to od 34 666,67 zł do 24,96 mln zł.).

Cud wigilijny roku 1914

a sprawa polska

Cud wigilijny na frontach Europy Zachodniej podczas I wojny światowej, polegający na spontanicznych rozejmach, a nawet brataniu się żołnierzy wrogich armii w okresie Świąt Bożego Narodzenia, doczekał się nawet wielu filmowych ekranizacji. Tymczasem mało znanym faktem są cuda wigilijne na froncie wschodnim podczas wielkiej wojny.

Jarosław Mańka

Teatrem działań frontu wschodniego były przede wszystkim ziemie polskie krwawiące pod butem trzech zaborców, a wśród aktorów było także aż 6 mln Polaków – żołnierzy wcielonych do trzech wrogich sobie armii. Zaczniemy jednak od początku...

Na Zachodzie bez zmian

Nic nie zapowiadało, że wojna, która wybuchła latem 1914 roku będzie przez potomnych nazywana I wojną światową. Zarówno żołnierze Niemiec i Austro-Węgier, jak i alianccy rekruci jechali na front z głębokim przekonaniem, że ich rozłaska z rodziną potrwa zaledwie kilka miesięcy. Taką nadzieję mieli też Polacy wcieleni milionami do wrogich sobie armii. Wojna błyskawiczna planowana przez pewne siebie Państwa Centralne jesienią 1914 roku zamieniła się w wojnę pozycyjną. Linie frontu zachodniego – od belgijskiej Flandrii po Szwajcarię – przecinały kilometrowe okopy zamieniane przez obydwie strony w twierdze nie do zdobycia. Pomiędzy dwoma pasmami drutu kolczastego, transzei i schronów wrocy żołnierze spoglądali na przeciwnika oddalonego nierzadko jedynie o kilkadziesiąt metrów zoranej ziemi. Dokładnie takie pejzaże oglądali żołnierze alianccy i niemieccy pod belgijskim Ypres pod koniec pierwszego roku wojny.

Do chwilowego zawieszenia broni na czas Bożego Narodzenia wezwał na początku grudnia 1914 roku papież Benedykt XV. Początkowo Niemcy przychylali się do papieskiej propozycji, ale wojska

alianckie zdecydowanie odmówiły, toteż żołnierze wrogich armii nie spodziewali się oficjalnego rozejmu. Jednak mimo to decyzje o przerwaniu ognia zapadały na wielu odcinkach frontu.

Zaczęło się od choinki

Wszystko zaczęło się od zauważalnego ruchu w okopach niemieckich. Niebawem ku swojemu wielkiemu zdziwieniu Anglicy zobaczyli we wrogich okopach pięknie przystrojoną dużą choinkę. Niemcy zaczęli też śpiewać znaną Brytyjczykom kolędę „Stille Nacht” („Cichą noc”). Kiedy skończył się niemiecki śpiew, w przeciwnym okopie zabrzmiała wersja angielska tej kolędy. Kolejna kolęda Anglików „O przybywajcie wierni” została wzmocniona niemieckimi głosami śpiewającymi ją... po łacinie „Adeste fideles...”. Śmiertelni wrogowie wspólnie śpiewali jedną kolędę, która zdawała się łączyć głębokie okopy.

Kiedy śpiewy ucichły, Niemcy i Anglicy, początkowo bardzo nieśmiało, zaczęli wychylać głowy z okopu, a w końcu wychodzić bez broni na pas ziemi niczyjej. Zaczęło składać sobie życzenia, częstować papierosami i chwalić się zdjęciami żon, dzieci i narzeczonych. Nie zabrakło prezentów, uścisków i łez. Jeden z niemieckich oficerów, widząc zaistniałą sytuację, rozkazał wytoczyć z pobliskiego browaru dwie beczki piwa. Anglicy zrewanżowali się swoim nieodłącznym puddingiem.

Mecz piłki nożnej

Żołnierzom obcującym na co dzień ze śmiercią brakowało śmiechu i rozrywki, toteż

nic dziwnego, że wkrótce ktoś wpadł na pomysł rozegrania piłkarskiego meczu. Wybrani reprezentanci wojska niemieckiego i brytyjskiego rozegrali ze sobą zacięte spotkanie przy dopingu ogromnej rzeszy wojska. Wydarzenie to było tak niecodzienne, że postanowiono je utrwalić wieloma zdjęciami fotograficznymi. Atmosfera była tak niesamowita, że gdyby nie żołnierskie mundury i wojenny krajobraz, nikt nie pomyślałby, że oto właśnie toczy się wojna światowa. Nikomu nie przeszkadzało też, że za wyznaczniki linii boiska posłużyły... druty kolczaste. Najważniejsza była zabawa. Wynik 3:2 dla Niemców wcale nie zepsuł świątecznego nastroju. Każdy wynosił z okopu swoje rarytasy: grzanki z herbatą, kawę, wino. Wszyscy zgodnie wzniesli toast za... pokój. Wspólne świątowanie trwało do końca świąt. Do okopów żołnierze wracali ze świadomością, że koniec świąt będzie zarazem początkiem prawdziwego wojennego piekła.

Tymczasem na Wschodzie...

Podczas I wojny światowej do szeregów armii trzech zaborców: niemieckiej, austro-węgierskiej i rosyjskiej wcielono blisko 6 mln Polaków. Nierzadko przyszło im ginąć nie z własnej woli dostawnie w bratobójczych walkach. Polak walczył z Polakiem, tyle że w innym mundurze. Tak też było w grudniu 1914 roku, gdy front zatrzymał się m.in. na linii dolnej Bzury i Rawki. W ciężkich walkach z okopów strzelali do siebie polscy żołnierze z armii rosyjskiej do rekrutów Polaków z armii niemieckiej i austro-wę-

gierskiej. Najbardziej krwawe walki toczyły się o Bolimowo i Sochaczew. Sam Sochaczew w walkach prowadzonych od 17 grudnia wielokrotnie przechodził z rąk do rąk.

Świąteczny czas zmiękczył serca wiarusów. 24 grudnia, kiedy pojawiła się pierwsza gwiazdka, wzruszeni żołnierze podzielili się chlebem zamiast opłatkiem, wręczyli sobie małe prezenty. Zaintonowana przez jednego z żołnierzy kolęda „Bóg się rodzi” szybko rozbrzmiała jednym polskim głosem w rosyjskich okopach. Kolejne zwrotki były jeszcze głośniejsze, gdyż z okopu niemieckiego również setki gardeł podchwyciły melodię, śpiewając ją coraz głośniej. W końcu zagrział wspólny chór w języku polskim.

Wydarzenie to było bardzo wzruszające, z pewnością wiele żołnierskich oczu zaszkliło się od łez. Kolęda przypomniła żołnierzom nie tylko rozłąkę z rodziną, ale i los zniewolonej Ojczyzny, którą przypominały dalsze słowa pieśni: „Podnieś rękę Boże Dziecię, błogostaw Ojczyznę miłą”.

Co się wydarzyło po Wigilii 24 grudnia pod Bolimowem i Sochaczewem? Spisane wspomnienia jednego z żołnierzy nie odnotowują, czy zawarty został nieformalny rozejm pomiędzy walczącymi, ale jest to bardzo prawdopodobne, gdyż kolejna wzmianka o walkach pojawia się po dwóch dniach – 26 grudnia. Taka przerwa w normalnych okolicznościach była nie do pomyślenia.

Nie dziwi zatem sposób przerywania rozejmu: gwałtowny atak 26 grudnia niemieckich samolotów, które

*Zaintonowana
przez jednego
z żołnierzy kolęda
„Bóg się rodzi”
szybko rozbrzmiała
jednym
polskim głosem
w rosyjskich
okopach.*

zbombardowały sochaczewski rynek, zabijając ośmiu cywilów i raniąc kolejnych stu. Wydaje się, że wspólne kolędowanie polskich rekrutów było zagrożeniem dla niemieckich i rosyjskich oficerów. Polacy, będąc w przeważającej liczbie żołnierzami w dwóch wrogich sobie armiach, mogli przecież dojść do wniosku, że nie chcą ze sobą walczyć, a przecież nie ma groźniejszego wroga dla Niemca czy Rosjanina niż Polacy, którzy walczą pod swoim sztandarem.

Cud nad Rabą

W czasie adwentu 1914 roku wydarzył się Cud nad Rabą, który w osłupienie wprowadził carskich żołnierzy. Była to pierwsza interwencja Matki Bożej w obronie Polaków przed Rosjanami, jednak w przeciwieństwie do Cudu nad Wisłą pojawienie się Matki Bożej przed żołnierzami carskimi w Myślenicach jest do dzisiaj praktycznie nieznane.

Na przełomie listopada i grudnia Ziemia Myślenicka była areną krwawych walk podczas carskiej ofen-

sywy, mającej na celu zdobycie Krakowa. Na drodze do grodu Kraka armia rosyjska walczyła nad rzeką Rabą pod Myślenicami. Po pokonaniu wojsk austro-węgierskich i silnym ostrzale armatnim Rosjanie mieli przejść przez most na Rabie po to, by wkroczyć do praktycznie bezbronego już miasta. Wtem w oparach mgieł i dymu armatniego ukazała się im postać Matki Bożej Myślenickiej z małym dzieckiem na ręku. „Matier Boża” rozpościła szeroko przed Rosjanami płaszczyznę, jak gdyby chciała im zagrozić dalszą drogę. Przerażeni Rosjanie bali się wkroczyć do miasta i pośpiesznie zmienili trasę marszu. Niebawem niektórzy z nich, będąc już w austriackiej niewoli, sami opowiadali o cudzie, a myśleniczanie nie mieli wątpliwości, komu zawdzięczają ocalenie. Cud nad Rabą przyczynił się do rozkwitu kultu Matki Bożej Myślenickiej, której mieszkańcy miasta dziękowali za ratunek szczególnie w okresie Świąt Bożego Narodzenia 1914 roku.

Wyjątkowe życzenia

Oblegana po raz drugi przez armię rosyjską Twierdza Przemysł także doświadczyła swoistego wigilijnego cudu. Rosjanie zaprzestali morderczego ostrzeliwania twierdzy, pozwalając jej załodze na spokojne świętowanie. Oczywiście nie trzeba dodawać, że w obu wrogich armiach bardzo liczny rekrutem byli Polacy. Wtedy to na przedpolu VI obwodu obronnego pojawiła się tablica z życzeniami dla załogi twierdzy: „Z całego serca życzymy Wam wszystkim dzielni obrońcy Prze-

myśla spokojnych i wesołych świąt Bożego Narodzenia. Pokój, pokój na ziemi wszystkim ludziom dobrej woli. Niech Bóg spełni Wasze pragnienia – szczerze życzą oficerowie i żołnierze baterii nr 5, 10 Brygady Artylerii!”.

Jak podaje inna relacja, na następnym odcinku zasieku z drutu kolczastego żołdaci rosyjscy zawiesili kolejny transparent: „Niemcy, Węgrzy, Słowianie, Włosi, każdej nacji jej także należące, nie jesteście waszymi wrogami: jesteście dzielnymi żołnierzami! Życzymy Wam dobrych Świąt Bożego Narodzenia! Pokój! Pokój! Pokój!”.

W świątecznym czasie pojawiło się też wiele poselstw carskiej armii z życzeniami i prezentami do dowódców poszczególnych jednostek austro-węgierskiej twierdzy, która tak naprawdę była polskim miastem. W odpowiedzi na takie zachowanie podkomendnych cara Komendantura Twierdzy postawiła na ziemi niczyjej choinkę, pod którą znalazły się prezenty dla oblegających. 13 dni później, gdy nadszedł czas świąt prawosławnych, twierdza kurtuazyjnie wstrzymała ostrzał. Jeden z uczestników walk pod Twierdzą Przemyśl tamtego roku zapisze w swoim pamiętniku: „Te święta (...) będziemy pamiętać jeszcze przez wiele lat”.

Nigdy więcej!

Do dowódców wrogich armii (również oszołomionych zaistniałymi rozejmami na dużej skale) powoli zaczęło docierać, że żołnierzom po obu stronach okopów nie spieszy się do walki. Wiele z nich wznowiono dopiero po Nowym Roku i to na wyraźny rozkaz



dowódców. Odnotowano nawet fakt, iż knąbrna szkocka jednostka potrafiła utrzymać rozejm do 3 stycznia.

Dla wielu ówczesnych dowódców wydarzenia bożonarodzeniowe roku 1914 jawiły się jako śmiertelne zagrożenie dla żołnierskiego morale. Żołnierz miał być żądną krwi maszyną do zabijania wroga, a nie myślącym człowiekiem życzącym sobie pokoju i bratniej się z wrogiem. Dlatego regułą w obu wrogich armiach stała się odtąd częsta relokacja frontowych oddziałów. Wojskowi dowódcy zdawali sobie sprawę, że żołnierzowi ciężko będzie strzelać do przeciwnika, z którym niedawno piło się toast za pokój. Tym bardziej Niemcy, Austriacy i Rosjanie doskonale wiedzieli, że w ich szeregach służą żołnierze, których łączy nie tylko wigilijne toasty, ale też narodowość i więzy krwi. Tyimi żołnierzami

byli Polacy. Dlatego nie dziwi specjalnie fakt, iż w kolejnych latach wojny w drugiej połowie grudnia wręcz wzmagało ostrzał artyleryjski nieprzyjacielskich stanowisk, po to aby żołnierzom po każdej stronie okopu wybić z głowy pomysły o wigilijnym rozejmie lub wspólnym śpiewaniu kolęd.

Zabiegi zaborców na niewiele się zdały. Polacy w obcych armiach postanowili walczyć o własną niepodległość. W grudniu 1914 roku pod Bolimowem naszych rodaków, choć w obcych mundurach i podzielonych wrogimi okopami, potrafiła połączyć piękna kolęda. Dzisiaj jako naród często sami kopiemy okopy i strzelamy do siebie słowami jak armatnimi pociskami. Zdałoby się prosić Boga o wigilijny cud mądrości natenczas i na przyszłość. Wszak to sąsiedzi będą się cieszyć z podziałów.



Wybierz instalację słoneczną Energa Grupa ORLEN

**Postaw na własną instalację słoneczną z Energą,
produkuj własny prąd i obniż swoje rachunki.
Zyskaj aż 25 lat gwarancji na panele oraz roczne ubezpieczenie
instalacji w wybranym wariancie.**

Zadzwoń pod 555 555 505 lub wypełnij formularz na www.energa.pl.

Koszt połączenia wg stawek Twojego operatora telefonicznego.